



**BRE
SLAU**



**FOR
EVER**

**ANDRZEJ
ZIEMIAŃSKI**



fabryka
www.fabryka.com.pl

Andrzej Ziemiański
BRESLAU FOREVER

Lublin 2008

Drogi Czytelniku, Autor musiał poprzesuwać w czasie i przestrzeni niektóre wydarzenia, jakie miały miejsce w rzeczywistości – wyłącznie dla potrzeb dramaturgii. Nie znaczy to, że nie wie, co i kiedy się wydarzyło. Zmiany historii są naprawdę kosmetyczne.

Niektóre nazwiska użyte w powieści zostały wymyślone – większość jednak to prawdziwi ludzie oraz, abstrahując od kryminalno-fantastycznej fabuły, to opis ich autentycznych przeżyć.

Altbuserstrasse była małą, ale dość długą ulicą. Oficer kripo siedł nią rozdygotany. A może powinien wezwać gestapo? Poprosić o posiłki? Jak? Najbliższy telefon był chyba w aptece na Rynku. Albert Grunewald trzęsącymi się ze strachu rękami rozpiął płaszcz. Wyjął swojego lugera i przeladował. Wiedział, że mu to niewiele pomoże. Jednak musiał rozwiązać tę sprawę.

Kilka lat później ulicą Łaciarską, zwaną dawniej Altbuserstrasse, siedł przerażony oficer Milicji Obywatelskiej. Powinien wezwać posiłki. Ale jak? Na piechotę do komendy głównej czy najbliższego komisariatu? Łaciarska była jednym wielkim gruzowiskiem, Miszczuk ledwie mógł się przedrzeć. Rozpiął tandetną kurtkę, którą otrzymał z dostaw UNRRA. Wyjął radziecką tetetkę i przeladował. Podskórnie czuł, że mu to nie pomoże. Jednak musiał rozwiązać tę sprawę.

Ulica Łaciarska w roku 2006 wyglądała ślicznie, ponieważ gdy w przedszkolu z lewej strony zasadzono dziesiątki drzew, stała się jedyną oazą zieleni w samym centrum, tuż przy Rynku. Sławek Staszewski, oficer policji, nie zwracał jednak uwagi na piękne drzewa i krzewy. Rozpiął swoją zajeбіstą kurtkę „The North Face”, wyjął Hecklera&Kocha i przeladował. Miał dziwne wrażenie, że sam pistolet niewiele mu pomoże. Wyjął więc z kieszeni telefon, zadzwonił na komendę i zalogował się jako „swój”. Odebrali błyskawicznie.

–Potrzebuję wsparcia – powiedział do operatorki.

–Mam w okolicy trzy radiowozy. Przysłać wszystkie?

–Tak. A może ma pani kogoś z brygady antyterrorystycznej? Słyszał stukot klawiatury komputera w słuchawce. Potem krótkie „bip”, kiedy namierzała go GPS-em.

–Mam dwa cywilne samochody w pobliżu – powiedziała. – Podesłać?

–Tak. I proszę ściągnąć posiłki z innych części miasta. Bardzo pilne.

–Aż tak źle? Co się dzieje?

–Błagam. Niech pani załatwi, co się da na plac Nankiera. Za chwilę.

Albert Grunewald siedział w „Piwnicy Świdnickiej” ze swoim przyjacielem, weteranem pierwszej wojny światowej. Zjedli obfite śniadanie, sączyli teraz piwo, usiłując ignorować rozentuzjzmowanych gości wokół. Był rok 1939.

Richard Kuger mimo braku jednej ręki sprawnie przerzucał strony gazety.

–Jezus, zaczęliśmy wojnę z Polską.

–Przecież nakryje my ich czapkami.

–Tak. Tylko że już z nimi walczyłem. – Spojrzał na swój kikut. – Hitlerowi coś się pomyliło.

–Co? Hiszpania, Austria, Czechosłowacja...

–A tak, tak. Hiszpania, Austria i Czechosłowacja. Ale teraz żarty się skończyły. Zaczęli się Polacy.

–Przesadzasz. Zmiażdżymy ich małe państewko.

–Oczywiście. Jednak się nie zdziw, kiedy ich flaga będzie powiewać nad Bramą Brandenburską w Berlinie. Spróbuj wtedy zachować przymilny wyraz twarzy.

Grunewald wypił łyk piwa. Doskonałego, zimnego, z silnym posmakiem gorzyczki. Znajdujące się pod „Piwnicą” katakumby były doskonałym miejscem do przechowywania tego napoju. Podobno podziemne korytarze ciągnęły się aż do browaru położonego nad portowym kanałem Odry. Ale szczerze w to wątpił. Z tego, co wiedział, na pewno sięgały podziemi supernowoczesnego banku wybudowanego na rogu Rynku i placu Solnego. Wrocław w ogóle stał się supernowoczesnym miastem. Modernistyczna rewolucja w architekturze była widoczna na każdym kroku. Te wszystkie obłości, wygięte szyby, budynki w kształcie okrętów pokonujących sztormy, industrialne koncepcje... Było co zwiedzać. Ale piwo, na szczęście, przechowywano tradycyjnie. W wilgotnych, mrocznych podziemiach sięgających pamięcią średniowiecza. Polskiego średniowiecza. Ta myśl naprowadziła Grunewalda na tok myślenia swojego przyjaciela.

–O czym ty mówisz?

–O tym, że podczas powstania śląskiego wypadł z za węgla jeden Polak i rąbnął mnie bagnetem. Za młody był, nie trafił w serce ani w brzuch. Trafił w rękę. Tyle że brudny bagnet miał.

–Jak to Polacy. Zawsze wszystko u nich brudne.

–Za dużo czytasz gazet. Ucięli mi rękę z powodu gangreny. – Kuger wysączył kolejną dawkę piwa. – Ostrze było posmarowane gównem. A na to nie ma lekarstwa.

Obcięli mi rękę, że bym mógł żyć.

Uśmiechnął się.

–A kiedy go złapali, zdążył jeszcze rzucić nożem w oficera. I trafił w szyję. No trudno. Szyi nie da się amputować. A przynajmniej nie bez zgonu pacjenta. Więc oficer umarł sobie.

–Nie przesadzasz?

–Słuchaj. Żarty naprawdę się skończyły. Czechosłowacja czy Austria. Wszystko jedno. Wszędzie zwyciężymy. Ale usiłuj utrzymać przyjazny wyraz twarzy, jak oni będą zatykać swoją flagę na Bramie Brandenburskiej. Może przeżyjesz.

Grunewald skrzywił się w udawanym obrzydzeniu.

–No nie. Ty jesteś normalnie defetystą.

–Nie jestem. – Następnym łykiem piwa. – Ja po prostu widziałem oczy tego Ślązaka, który mnie zaatakował. Czysta, żywa furia. Uwierz mi. Oni nie darują.

–Przecież to zwykła nasza prowincja.

Kuger tylko pokręcił głową.

–Zaczynaj już trenować pokłony dla zwycięzców. Francja, Anglia, USA, Związek Radziecki. Wszędzie zwyciężymy. Jedynie Polacy nam nie darują – powtórzył po raz kolejny. – Wejdą w pakt z diabłem, za który zapłacą wszystkim, co mają. Ale nie darują. Znam tych sukinsynów.

–Gadanie.

–Tak myślisz? To przypomnij sobie, skąd się wzięło twoje nazwisko.

–O Boże Święty. Niby skąd?

–Od bitwy pod Grunwaldem. Któryś z twoich przodków musiał położyć tam głowę. Postaraj się nie podzielić jego losu. Przerwali, żeby kelner mógł zebrać naczynia po śniadaniu.

–Jak tak ciebie słucham, to zaczynam się bać tego, że w ogóle żyję – podjął Grunewald po chwili.

Kuger popatrzył przyjacielowi w twarz.

–Bagnet posmarowany gównem. Ja nie mam ręki, a oficer spoczywa sobie w mogile gdzieś na Śląsku.

–Boże... Zmieńmy temat. Co mamy na dzisiaj?

W starym niemieckim budynku siedział Miszczuk, oglądając przez okno miasto, które stało się jednym wielkim gruzowiskiem. Dostał obiad w kantynie, która jeszcze nie tak niedawno była stołówką gestapo. Zupa ze szmaty, to rozklepane do imentu „coś” i kiepskie kartofle sprawiały, że co chwilę mu się odbijało. Pochodził ze wsi, wiedział, co to prawdziwe kartofle. Wkręcił do maszyny papier z firmowym nadrukiem „Heil Hitler” u dołu. Nie znaleźli innego, więc przekreślali to ołówkiem -jedyny sposób. Niektórzy wypalali zapalniczkami, ale jakoś głupio było dać komunistycznej zwierzchności przepalony albo ucięty od dołu papier. Zresztą maszyna, na której pisał, wyglądała jeszcze śmieszniej. Nie miała polskich znaków, miała za to specjalny klawisz „SS”, który odbijał od razu znak dwóch piorunów.

„Zaczalem sledztwo w zleconej sprawie”. – Stukał powoli jednym palcem. – „Richard Kuger, auto...”

–Wasiak, jak się pisze autochton? – spytał kolegę w pokoju.

–Nie wiem. – Tamten zamyślił się na chwilę. – Zaczyna się chyba na „A”.

–O kurrrrr... Jakie „h”?

–Nie wiem. Daj mi spokój. – Wasiak o mało nie wylał „zabarwionej na czarno wody”, jak nazywali amerykańską kawę z dostaw. – Ja ze wsi jestem. Nie wiem, jak się pisze „h”.

Obaj dostali do podziału ogromną paczkę z UNRRA. Miszczukowi przypadła tandetna, ale fajna amerykańska kurtka. Wasiakowi porządne wojskowe buty. Reszta poszła na pół. Nie wiedzieli tylko, co zrobić z takimi gumkami w nawoskowanym papierze. Rozpakowali jedną, żeby zobaczyć, co to jest. Zwykły krążek zwiniętej gumy. Nikt w komendzie nie miał pojęcia, do czego to służy. Nawet komendant, bo aż do niego dotarli.

–No, chyba na chuja założyć – zażartował i wrzucił prezerwatywę do kosza. –

Tylko po co?

Nie wiedzieli. On zresztą też. Dużą część paczki przehandlowali na szaberplacu przy Nankiera i teraz mieli dość papierosów oraz bimbru. Miszczuk zaciągnął się amerykańskim camelem, a Wasiak nalał samogon do dwóch szklanek.

–No to zdrowie!

–Zdrowie. Wypili, choć zapach zestrzeliwał muchy w locie.

–Co mamy na dzisiaj?

–Jakaś dziwna sprawa. Ten autokar...

–Autochton?

–No, ten Kuger, tak. Twierdzi, że przed wojną mieli bardzo dziwną sprawę.

–Przed wojną? No to sobie jaja robi. Nie będę ślęczał nad sprawą, w której jedna gospodyni zabiła męża kuchennym nożem, a druga ma duchy w składziku. Trzeba było to sobie rozwiązać przed atakiem na Polskę! Niemców już tu nie ma.

–Nie do końca. To jest bardzo dziwne coś.

Staszewski wziął kawę z automatu i niósł gorący kubeczek do swojego pokoju. Miał dość tych gównianych kaw, herbat czy zup. Ale jako kawaler, choć z odzysku, nie miał czasu na gotowanie w domu. Nie miał nawet czasu zrobić sobie kanapki. Nie było już żony, która mogła włożyć mu trochę chleba do teczki. Zadzwoił do McDonalda, żeby mu przysłali swoje gówno, byle szybko. Był strasznie głodny.

Usłyszał piękną melodię, którą ustawił sobie jako dzwonek telefonu. Zerknął na wyświetlacz. Adwokat jego żony. Ola! – nie odbierał. Miał przedziwną sprawę. Szybko stukał w klawisze. Chryste Panie! Zabity agent krypto Grunewald. Zabity oficer

milicji Mischczuk oraz jego podwładny Wasiak. Co może łączyć te sprawy? Co może łączyć dwa zdarzenia, szczególnie dzisiaj, po wielu latach? Kto w ogóle zlecił śledztwo? Wiadomo, że prokuratura. Ale o co chodzi? Jakiś przestępca grasował we Wrocławiu i przed wojną, i po wojnie? To przecież niemożliwe. A zresztą nawet jeśli... to sprawa była już dawno przedawniona. O co chodzi w tym gównie? Co to za pierdoły jakieś są?

Ktoś w prokuraturze jednak miał głowę na karku. Sprawy się łączyły. Staszewski wystukał numer do sekretariatu prokuratury.

–Cześć, Dorotko. Psy się zgłaszają.

–Cześć. – Roześmiała się. – Tu świątynia proroka.

–Słuchaj, o co chodzi z tym Niemcem Grunewaldem i milicjantem Mischczukiem? Jakoś w ogóle nie kumam.

–Nie mam zielonego pojęcia. Przełączę cię na archiwum.

–Dobra, dzięki.

Usłyszał stuk klawiszy, ale po tamtej stronie było zajęte. Czekając, aż automat połączy go ponownie, wyjął z kieszeni mały czytnik diviksów. Wybrał pierwszy lepszy film z dysku i oglądał, trzymając urządzenie na kolanie. Ręce mu się trzęsły, chyba za dużo pił ostatnio. Najpierw rozwód z żoną, potem piekielne wyrzuty sumienia z powodu dzieci. Wszystko mu się psuło. Przełączył na inny film. Francuzi właśnie obrywali w Wietnamie, kiedy odezwała się archiwistka:

–Tak, słucham?

–Dzień dobry. Staszewski z policji. Dostałem od was jakieś dziwne materiały.

–Momencik. Już sprawdzam. Znowu stuk klawiszy.

–Tak, widzę pańskie zgłoszenie.

–Czemu mi ktoś przysłał informacje sprzed wojny?

–Nie wiem, proszę pana. Zadał pan pytanie, a komputer wybrał wszystkie wypadki odpowiadające konkretnym kryteriom.

–Ale przecież wysłała mi pani dane dotyczące Alberta Grunewalda z 1939 roku.

–To nie ja. To komputer.

–Proszę pani. Jeśli ktoś popełniał zbrodnie w trzydziestym dziewiątym i zakładając, że nie był wtedy przedszkolakiem, ale miał, powiedzmy, dwadzieścia lat, to dzisiaj miałby ile? – Sam gorączkowo obliczał to w myślach, bo był kiepski z matematyki. – To daje osiemdziesiąt siedem lat. Czy wyobraża pani sobie staruszka w tym wieku, który nadal popełnia zbrodnie?

–To nie ja. To komputer panu odpowiedział na zadane kryteria. Mamy już wprowadzone archiwa milicji, a nawet przedwojennego kripo. Wszystkie akta były w budynkach przejętych po wojnie. A my mamy teraz taki fajny amerykański skaner...

–Ale kto mi przysłał dane z 1939? – Staszewski zdenerwował się tak, że czytnik o mało nie spadł mu z kolan.

–Powtórzę jeszcze raz: komputer. Zadał pan pytanie, lecz nie ograniczył czasowo zasięgu poszukiwań. To taki przycisk na dole w oknie formularza. Więc maszyna wysłała panu wszystko, co miała i co odpowiadało kryteriom.

–Rozumiem. Dziękuję.

Zamyślony odłożył słuchawkę. Przecież zbrodni nie mógł popełniać facet, który miał prawie dziewięćdziesiąt lat. Jeśli nawet jeszcze żył, to leżał w łóżku, robił do pampersa, popijał letnią herbatkę i czekał na pielęgniarkę. Niemożliwe!

No dobrze. A może to organizacja? Ale jaka? Działająca na terenie Wrocławia od 1939 roku? Śmieszne. Przecież najpierw były Niemcy, które chciały rządzić światem, a

potem Polska, która przejęła to miasto. Niemożliwe, że by istniał ktoś, kto popełniał zbrodnie non stop przez prawie siedemdziesiąt lat.

Mischczuk został oficerem, ponieważ zasłużył się na wojnie. Niemiecki kontratak rozsyłał radzieckie siły na tym odcinku. Zagrożony był nawet ruski sztab. I w tym momencie ruszyły do ataku dwa polskie czołgi. Mischczuk przywiązał sobie na szyi dziecinną żeliwną waniekę. Miała służyć jako zbroja. Za nim szedł Wasiak. Jedną ogromną stalową patelnię wsunął w gacie, drugą za kurtkę – rękojeść wystawała mu przez kołnierz. Obaj mieli po dwie pepesze.

–Jesteśmy polskimi czołgami! – krzyczeli.

Walili, każdy z dwóch pepesz trzymany w rękach. Rosyjski oficer wyskoczył z bunkra, żeby zobaczyć to zjawisko.

Dostali po dwa pociski. Mischczuk w waniekę, Wasiak w patelnię. Niemcy strzelali precyzyjnie. Uciekali, bo im się chyba nie chciało ginać. Inni Rosjanie też wyszli na ze wewnątrz, patrząc z pewnym zdumieniem.

–A wy co tu robicie? – zapytali.

–No, generalnie służymy za czołgi, obywatelu jakiś tam... Nie umiem rozeznąć się w waszych stopniach. – Mischczuk szarpał się z przywiązaną do szyi wanieką. – Panie, no...

–Ja nie pan.

–No... no... Panie oficjerze.

–Śmiesznie to mówisz. – Rosjanin uśmiechnął się nagle. Usiadł na cembrowinie nieczynnej fontanny. Odsunął czapkę na

potylicę. – A skąd jesteś?

–Ze wsi.

–Z jakiej?

–A Mohyłowo. Daleko stąd. Dziadowie prawili, że była tam straszna bitwa między naszymi i obcymi. Ale dostaliśmy chyba w dupę.

–No, ale teraz ty bijesz wroga w dupę.

–Chyba tak.

Rosyjski oficer zapalił papierosa.

–Wiesz co? Ja też jestem Polakiem, jak i generał Głuzdowski, który prowadzi to natarcie. Tak jak ty w ruskiej armii.

Trzeba było się sprzymierzyć z diabłem, żeby zabrać im Breslau. My nie darujemy.

–Tak jest, panie oficyerze.

–Oddamy diabłu wszystko. Ale... – zaciągnął się głęboko – Breslau będzie nasz. Zdobędziemy go albo oni się poddadzą.

Przerwały mu głośnie komunikaty wygłaszane po niemiecku z megafonów. Wezwanie do kapitulacji, opis tego, co działo się wokół miasta, oraz wyjaśnienia, że armia Schoerнера nie przyjdzie na pomoc, bo spiesza na Zachód jak może najszybciej.

–Słuchaj. Pogadajmy jak Polak z Polakiem.

–Kiedy pan po polsku prawie nie mówi.

Oficer uśmiechnął się lekko.

–Odważny jesteś. – Skinął głową. – Za zasługi wojenne mianuję cię porucznikiem. Tego drugiego, z patelnią na jajach, mianuję sierżantem.

–Tak jest, towarzyszu!

–No, nareszcie poprawnie się odezwaliście. Choć ze mnie taki „towarzysz” jak z koziej dupy fortepian. – Zsunął czapkę z powrotem na czoło. – W polskiej armii mówi się „ku chwale ojczyzny”. No, ale my na razie w innym wojsku jesteśmy. – Wstał lekko. Był bardzo szczupły. – Kiedy już zdobędziemy Breslau, to spróbujcie go bronić. Już wy nie popuścicie. – Znowu uśmiech. – Chłopi z dziada pradziada.

Breslau stał się Wrocławiem już po kilku dniach. Miszczuk i Wasiak zgłosili się do Milicji Obywatelskiej w kilka miesięcy później, po demobilizacji. Obaj zostali przyjęci, bo mieli wzorowe papiery – służba w Armii Radzieckiej, chłopskie pochodzenie i ordery za męstwo. Zapłacili diabłu, co było trzeba. Tyle, ile mogli. Diabeł jednak chciał więcej. Zapisali się do partii, ponieważ tak im kazano. Chodzili w niedzielę na czyny społeczne, polegające na odgruzowywaniu tego morza ruin, choć dla chłopów z urodzenia praca w niedzielę była gorejącą raną. Toż to grzech. Ale skoro partia kazała... Trudno. Zaciskali zęby i robili swoje. Ukradkiem chodzili do kościoła. Każdy w innym punkcie miasta, żeby nikt ich nie namierzył. Miszczuk potrafił nawet przejść

na piechotę z centrum do kościoła na Karłowicach. Tam i z powrotem. Ale dzięki temu go nie rozpoznano.

Pracowali nieźle. Szabrownicy, złodzieje, bandyci. Strzelaniny na Biskupinie, który wydawał się wtedy odległy jak Dzikie Zachód od Anglii. Tam łatwo było stracić życie. Ale nie trafiło na takich, co się boją czegokolwiek. Szli na piechotę. Jeepy i ciężarówki były dla bezpieczeństwa. Miszczuk i Wasiak nie okazali się aż tak godni jak oficerowie UB – Wilenstein, Blugenwitz czy Rozewidzki, żeby ich wozic amerykańskimi autami.

Partia o nich dbała jednak. Najpierw przydzielono im kozetki we wspólnej sali mieszczącej dwadzieścia osób. Do tego stolówka dawnego gestapo, gdzie dostawali byle co, ale za to za grosze. A potem przydział na służbowe mieszkanie. Niestety, mieszkanie miało niewielką wadę. Nie posiadało jednej ściany i strasznie tam wiało. Żeby nie wypaść po nocy, kiedy chodzili sikać, ustawili rząd pustych butelek po bimbrze przed krawędzią przepaści. Nawet zaspany facet, jeśli kopnie taką flaszkę i usłyszy loskot, to zawróci. To się sprawdzało. Z zazdrością patrzyli na polskie rodziny, które przybywały, ciągnąc za sobą wózki z tym, co pozwolono im zabrać ze Wschodu -z Wilna czy Lwowa. Obaj byli samotni. Gdy obu wcielono do ruskiej armii, ich rodzinami zajęli się Ukraińcy. No i teraz pozostali sami. Bez bliskich, bez swoich wsi, bez żadnego mienia poza tą jedną amerykańską paczką oraz tym, co dała im partia. Dwa kiepskie koce z napisem „Wehrmacht” i dwa doskonale materace z napisem „US Army”. Było ciepło pomimo braku ściany, bo nakrywali się kurtkami. Dało się żyć. Tylko ta dziwna sprawa...

Staszewski podkręcił kaloryfery w swoim mieszkaniu. Było odrobinę za zimno. Najpierw wziął gorącą kąpiel. Potem przelknął dwie tabletki aspiryny i witaminę C. Przygotował sobie drinki i piwo. Włączył panoramiczny telewizor. Jak zwykle o tej porze. Ktoś coś gotuje, a prezenterzy krążą pomiędzy ludźmi, którzy na przykład hodują króliki. Bryndza. No i jeszcze amerykańskie seriale, w których Joe strzela do przestępców, albo brazylijskie, w których Jose kocha Juanitę, ale coś mu nie wychodzi. Pewnie ma wrzody na penisie, pomyślał Staszewski. Oglądał jednak te seriale ze złomowiska, bo po prostu nie miał siły szukać czegoś sensownego. Od czego to się zaczęło? – pytał się w myślach. Grunewald, Miszczuk, Wasiak. Wszyscy polegli w

jednej sprawie. Jak to możliwe? Zadzwoił do archiwum. Włączył tryb głośnomówiący w telefonie, bo robił sobie kawę.

–Przepraszam, że przeszkadzam – krzyczał znad elektrycznego czajnika w kuchni.

–Czy mamy akta Alberta Grunewalda? Rok 1939.

Chwila oczekiwania.

–Tak, mamy. Mamy też jego pamiętnik.

–O!

–Podesłać panu?

–Bardzo proszę.

–Adres e-mail, poproszę. Podaj.

–I z góry dziękuję. Elektryczna golarka na baterie nie była zbyt sprawna, ale nie wymagał od niej nic więcej. Nie miał w planach spotkania ze swoją kobietą dzisiaj. Mógł pozostać niedogolony.

Pamiętnik Grunewalda? To chyba będzie interesujące. Ciekawe, od czego się to wszystko zaczęło...

Kuger kuśtykał z celi więzienia śledczego do pokoju przesłuchań. Miał tylko jedną rękę. Opierał się na kuli, bo teraz miał też tylko jedną nogę. Na szczęście dwaj strażnicy nie wyłóżliwali się i usiłowali go podtrzymać. Dotarł do pokoju przesłuchań.

Pozwolono mu usiąść, co przyjął z ulgą. Miszczuk i Wasiak z marszu potraktowali go srogo.

–No i co macie na swoje usprawiedliwienie, Kuger? No co? Pani tłumacz ledwie się wyrabiała. Znała jedynie szkolny niemiecki.

–Jak wam się usprawiedliwić, Kuger? – tłumaczyła. – Co wam teraz powieście?

–Ja tam nie wiem. – Zamyślił się. – Co mam wam powieście?

–On nie chce nic powieście – tłumaczyła na polski.

–No to powiedz mu, że zrobimy z nim jak polskie gestapo! – wrzasnął Miszczuk. Przetłumaczyła.

–Zrobią z tobą jak polskie NKWD – tak to brzmiało w jej wersji. Widać też czegoś doświadczyła w życiu.

Kuger się przestraszył.

–Ja nic nie wiem! – krzyknął. – Ja prosty policjant. Nie wzięli mnie na wojnę, bo jakiś Ślązak rękę mi okaleczył. A potem ruski bombowiec nogę urwał! Jestem... Byłem

–poprawił się – zwykłym policjantem. Tak jak i wy.

Tłumaczka była niezła:

–On mówi, że był bombowcem, a z was to zwykle policjanty.

–Nie żadne policjanty – wydarł się Miszczuk. – My jesteśmy z Milicji Obywatelskiej!

Kobieta dawała z siebie wszystko:

–On mówi, że nie są z policji, tylko... tylko... z pospolitego ruszenia.

–Boże. Nie rozumiem.

–No... – Nie mogła się skupić. – Aufstand. Powstanie. „Hej, kto Polak, na bagnety!” – usiłowała mu wytłumaczyć, śpiewając.

Nie pojął.

–Jakie bagnety? Przecież wygraliście wojnę.

–No, nie rozumiesz? – Zanuciła znowu: – „Strzelcy maszerują, ulani werbują... zaciągnę się!”.

–Kompletnie nic nie rozumiem.

Przetłumaczyła:

–Absolutnie odmawia współpracy. Jest zagorzałym nazistą i powiedział, że Hitler zwycięży.

Miszczuk pokręcił głową.

–Nie powiedział. Może jestem i głupi, ale nawet ja wiem, jak się mówi „Heil Hitler”. On w ogóle nie użył słowa „Hitler”.

Włączył się Wasiak:

–Spytaj go, jak długo ślęczał nad tą sprawą z Grunewaldem. Przetłumaczyła:

–Oni pytają, jak długo kochałeś się z Grunewaldem. Kuger oniemiał.

–Przepraszam, co?! Nigdy nie kochałem się z mężczyzną. Jestem protestantem. Człowiekiem wierzącym. Ja? Z Grunewaldem?

–Co on mówi? – dopytywał się Wasiak.

–Mówi, że nie walczył pod Grunewaldem. I nie można go o to oskarżyć. –

Tłumaczka zamyśliła się na chwilę. I dodała: – Cholera. On może mieć rację. Przecież to dość dawno było. Myślicie, że można żyć aż tyle lat?

Miszczuk się zdenerwował. Wasiak ukrył twarz w dłoniach.

–Dziewczyno, gdzie ty się uczyła niemieckiego?

–No, w Związku Radzieckim. Wywieźli całą rodzinę i pojechaliśmy do kolchozu. Szczęście mieliśmy. Bo innych więźli... – zawahała się – no, wiecie gdzie.

Obaj skinęli głowami.

–No i w tym kolchozie poznałam takiego profesora. Buraki wykopywał. To był światowej sławy profesor od germanistyki.

Jakieś prace wypisywał o niemieckiej poezji. No, ale był Rosjaninem, a ja po rusku słabo rozumiem. Jak nas razem dali do wożenia gnojowicy, to mnie trochę nauczył. No i tyle umiem. – Spuściła oczy. – Żadnych szkół nie kończyłam.

–Wszystko jasne. – Mischuk zapalił camela i nagle w porywie litości wetknął go w usta Niemca. Ten przyjął papierosa tak skwapliwie, że Mischukowi zrobiło się głupio. Odkroił grubą pajdę z czerstwego bochenka, który przysłali mu dawni sąsiedzi z rodzinnej wsi. Posmarował solidnie słonym amerykańskim masłem i podał Niemcowi. Kuger nie wiedział, czy najpierw palić, czy jeść. Robił obie rzeczy naraz. Co, zważywszy, że miał tylko jedną rękę, zakrawało na wyczyn świata.

–Nie dojdziemy do niczego. – Wasiak wstał i podszedł do okna. Zerknął na strażników. – Odprowadzić więźnia!

Jeden z nich zaczął się szarpać z drzwiami.

–Coś się zepsuło w zamku, panie sierżancie! – zameldował.

–Ja wam pokażę – wybelkotał Kuger z pełnymi ustami. – Tu jest zapadka, która zatrzaskuje drzwi, jak ktoś włączy przycisk alarmowy w biurku. Chyba ktoś z was włączył przypadkiem kolaniem. Ja wam zaraz wszystko pokażę.

–Co on mówi? – spytał Mischuk.

–Że mi wszystko pokaże! Ale ja nie chcę widzieć! – Tłumaczka obróciła się na krześle. – Jestem kobietą.

Wasiak załamał rękę. Miał tylko podstawowe przeszkolenie w milicji, ale powiedział:

–No, na zbrodnicę to on mi nie wygląda. Podprowadzić więźnia do drzwi.

Kuger, niesiony właściwie przez dwóch strażników, odblokował drzwi błyskawicznie.

–Teraz wyje syrena na wartowni, ale to też da się wyłączyć.

–Co on mówi? Tłumacz.

–On mówi, że teraz będzie wyc.

–Jasna cholera. Cemu chce wyc? Daliśmy papierosa, daliśmy chleb, nie biliśmy... Cemu chce wyc?

–On mówi, że syreny śpiewają. Nie! – kobieta zreфлекtowała się nagle. – Syrena wyje.

–Faktycznie – dodał jeden ze strażników. – Słysząc wycie z oddali.

–Dobra – przerwał Mischuk. – Jeśli powie, jak to wyłączyć, to dajcie mu paczkę cameli, zapalki i chleb.

–Zaraz – włączył się Wasiak. – A skąd on to wszystko wie?

Kuger domyślił się pytania. I odparł:

–Pracowałem w tym pokoju przed wojną.

Jechali dorożką do Jahrhunderthalle. Nie przydzielono im samochodu. Autami rozbijali się tylko faceci z gestapo.

Kryminalna policja nagle straciła na znaczeniu. Lecz ta powolna podróż cieszyła Kugera. Wertował swoje ulubione gazety.

–Patrz – powiedział do Grunewalda. – Nasi od paru dni szturmują Westerplatte.

Oni mają tam malutki oddziałek. My mamy pancernik, lotnictwo bombowe, armaty oraz oddziały specjalne. I nic. – Przerzucił następną stronę gazety. – Czym oni się tam bronią? Rzucają w naszych kamieniami? Czy tłuką gałkami?

Grunewaldowi nie chciało się podejmować dyskusji.

–Ty naprawdę jesteś defetystą – odparł jednak. – Przecież nasi są o krok od Warszawy. Zaraz powinien zaatakować Stalin. Mamy ich w kleszczach. Za kilka tygodni Polska zniknie.

–Taaa... – Kuger zapalił papierosa. – Znikała już wiele razy. Ale ciągle jakoś jest.

–Przezań.

–Tak? A Anglia i Francja? Wypowiedziały nam wojnę.

–Posłuchaj, opowiem ci stary kawał, jak trzy narody projektowały helmy dla swoich żołnierzy. Niemcy zrobili najbardziej funkcjonalny. Francuzi najpiękniejszy. Anglicy taki, że by był najtańszy.

–I co z tego?

–Otóż Francja nie ruszy na wojnę, bo im się nie chce. Słyszałem w radiu, że w bunkrach na Linii Maginota występował dla żołnierzy sam Maurice Chevalier.

Wyobrażasz sobie coś takiego w niemieckich koszarach? Oni będą siedzieć okopani do końca świata, tylko nudno im, więc za parę dni sprowadzą sobie panienki z Moulin Rouge. A Anglia się nie ruszy, bo im się nie oplaca. Mają za dużo mgły, no i kanał La Manche jest za szeroki – kpił. – Za dużo pieniędzy by poszło na tę wojnę. Nie lepiej wydać w pubie? Wystawili nam Polskę jako łatwy cel.

Kuger kiwał głową.

–Opowiem ci historię wojenną. Kiedy poszliśmy na bagnety, to udało mi się zdobyć plecak rosyjskiego żołnierza. I wiesz, co w nim znalazłem?

–Listy od matki?

–Nie. Taką dziwną laleczkę, pewnie pamiątkę.

–Mówiła po rosyjsku?

–Nie kpij. Nazywała się wańka-wstańka. Jak ją przewróciłeś, to zawsze wstawała. Obojętnie, co z nią zrobiłeś, zawsze

potrafiła wstać.

–No i co z tego?

–Polska to właśnie taka laleczka. Likwidowaliśmy ją wiele razy. A ona zawsze potem stawała na nogi.

–O czym ty, do diabła, mówisz?

Kuger zaciągnął się po raz ostatni i wyrzucił papierosa.

–Mam tylko nadzieję, że Breslau pozostanie nasz. Nie chciałbym, żeby Polacy przesłuchiwali mnie w tym samym pokoju, w którym teraz pracuję. Kocham to miasto.

–Wariat. Oni zaraz polegną.

–Na szczęście nie wezmą mnie do wojska, bo nie mam ręki. Ciebie też nie, bo jesteś oficerem kripo. My dwaj mamy szansę.

Przejechali pod supernowoczesnym przejściem dla pieszych zbudowanym przez Hitlera. Po prawej mieli jedno z największych zoo w Europie. Po lewej futurystyczną kopułę Hali Stulecia otoczoną alejkami z zieleni. Przejechali przez dodatkową bocznice tramwajową, specjalnie przystosowaną do obsługi masowych imprez. Fiaker zatrzymał się przy wejściu.

–Jesteśmy. – Odwrócił się na koźle. Wymienił należną kwotę. – A wiecie, panowie,

że tu sam Hitler przemawiał? Jest honorowym obywatelem Breslau.

–Wiemy, wiemy – odparł Kuger. – Brakuje jeszcze, żeby papież też został honorowym obywatelem naszego miasta. A najśmieszniej będzie, jeśli okaże się Polakiem. I też będzie występował w tej hali.

–Zupełnie zwariowałeś. Nigdy nie wybiorą Polaka. Toż to zawsze sami Włosi.

–Boże, powtarzałem ci to tyle razy. Ty ich nie znasz. Oddadzą dusze diabłu, oddadzą wszystko, co mają. Ale nie popuszczą.

–Ty masz jakąś obsesję.

–Może. – Kuger złożył gazety w rulon i wetknął sobie pod kikut. Z trudem wysiadł z dorożki. – Mam tylko nadzieję, że to ty będziesz miał rację.

Przeszli idealnie wypielęgnowaną alejką. Szeroki hall przytłaczał swoją wielkością. Ogromne drzwi prowadziły na widownię, która przytłaczała jeszcze bardziej. W całej Europie nie było budynku o takiej kubaturze i takiej konstrukcji. Mężczyźni nie wchodzili na widownię. Zahaczyli ciecia i kazali mu zawołać inżyniera Klausa. Wiedział, o kogo chodzi. Podprowadził ich do restauracji, a potem umknął, żeby wywiązać się z zadania. Usiedli w ogromnej sali z panoramicznymi szybami. Podziwiali przepiękną pergolę. Spore jezioro z fontanną, otoczone kolumnadą oplecioną winobluszczem. Zamówili sobie deser. Pączki z nadzieniem wiśniowym, lody z truskawkami i gorące placki nadziewane serem. Do tego kanapki z gorącą szynką i dwa kotleciki z galką muszkatołową.

–Co tu się właściwie stało? – spytał Grunewald.

Kuger odłożył gazety i wyjął ze swojego chlebaka teczkę z aktami. Wertował je sprawnie jedną ręką.

–Facet przyszedł na swoją zmianę. Zaczął pracować i nagle wybuchł.

–Co?

–Wybuchł.

–Jaja sobie robisz?

–Wyglądało to tak, jakby połknął granat i wysrał zawleczkę. Jedynym świadkiem jest inżynier Klaus... Jezu, jak tu niewyraźnie napisali. Klaus Winter-cośtam.

–Wypatroszyli go?

–Nie. Na patologii sekcjonowano ciało. Nie ma śladów cięcia nożem. Przerwało im wejście inżyniera.

–Moi panowie, nazywam się Klaus Winterbaum.

–Ależ prosimy, prosimy – powiedział Grunewald. – Zechce pan się dosiąść.

–Panowie są z kripo?

Obydwaj, jak na komendę, pokazali mu legitymacje.

–Zje pan coś z nami?

–Nie, dziękuję. Co prawda jestem głodny, ale mam mnóstwo pracy. Jutro jest w tej hali wiec naszej nazistowskiej partii. Kupa roboty.

–A co pan robi? – spytał Grunewald.

–Zajmuję się nagłośnieniem. – Zerknął na gazety Kugera. – Nie takim, o jakim panowie myślą. Nie propagandą. Ja jestem od kabli, mikrofonów i głośników. W tej hali jest fatalna akustyka i trzeba się naprawdę napracować, żeby wszyscy słyszeli, co mówi gauleiter.

–Proszę nam opisać, co się stało tamtego dnia z... – Kuger wertował akta. – Z...

–Wiem, o co panowie pytają. Od początku to było dziwne. Majster szedł ulicą Wilhelmshafenstrasse z robotnikami do pracy. Szedł jak pod wpływem alkoholu. Zataczał się, od czasu do czasu jakby zamierzał wracać albo przynajmniej zmienić kierunek marszu. Robotnicy go podtrzymywali, a on zaprzeczał ruchami głowy i coś bełkotał. Podobno wyglądało, jakby chciał się przed nimi bronić, chciał uciec czy coś takiego. Robotnicy oczywiście od razu mi o tym donieśli. Praca z

elektrycznością to nie są przelewki, drodzy panowie.

–Ma pan rację, oczywiście.

–No właśnie. Pobiegłem natychmiast sprawdzić, bo pijaka nie mogłem dopuścić do prac przy kablach. Siedział sam w szatni. Śpiewał.

–Przepraszam, co? – Grunewald pochylił się lekko. – Śpiewał?

–Właściwie to nucił. Brzmiało jak mantra albo jakieś hawajskie przyśpiewki. Nie wiem. Na muzyce się nie znam.

–Oczywiście. Proszę mówić dalej.

–On potem zaczął tańczyć.

–Słucham?

–Nie przesłyszał się pan. Zaczął tańczyć. No nie wiem, jak to określić. Takie murzyńskie podrygi albo indiańskie.

Chwyciłem go za ramię, żeby sprawdzić, jak bardzo jest pijany, powąchałem, no bo co innego mogłem zrobić. Nie wyczułem w oddechu zapachu alkoholu. Cuchnął cebulą i chyba parówkami. Nie wiem zresztą czym, ale alkoholu nie wyczułem.

–I co on zrobił?

–Wyrwał mi się. Ale bez agresji. Najwyraźniej nie zamierzał mnie zaatakować. Układał te kwiatki w dziwny wzór.

–Jakie kwiatki?

–Proszę pana, jestem inżynierem, a nie ogrodnikiem. Były tulipany, róże i jakieś inne, których nie umiem nazwać. Musiał je kupić w dobrej kwaciarni, bo były przepięknie przycięte i ozdobione. Sądząc po ilości, musiał na nie wydać majątek, w skali zarobków majstra oczywiście. – Inżynier spojrział na nich zdziwiony. – No, ale musicie mieć przecież zdjęcia miejsca zbrodni na posterunku.

Grunewald i Kuger spojrzeli na siebie.

–Proszę pana, jest wojna. Zmobilizowali nam połowę personelu. Najlepsi fotografowie robią teraz zdjęcia polskich pozycji pod Warszawą dla wywiadu wojskowego.

–A. Rozumiem.

–Ale niech pan skończy. Co się działo dalej

–Odepchnął mnie pod ścianę. Lecz jak mówię, bez agresji. Niczego mi nie chciał zrobić. Tak przynajmniej rozumiałem.

–To ja nie rozumiem. Prosty robotnik pana bije, a pan...

–To był majster. Grunewald machnął ręką.

–Dobrze, majster pana bije, a pan...

–On mnie nie bił. On mnie po prostu odsunął.

–No, niech będzie. A co było dalej?

–Potknąłem się. Wylądowałem pod ścianą.

–I?

–On ciągle nucił coś niezrozumiałego. Ja się gramoliłem, żeby stanąć na nogach. A potem eksplodował.

–Przepraszam, co?

–Eksplodował. Kuger otarł czoło swoją jedyną ręką.

–Miał jakieś materiały wybuchowe? Inżynier potrząsnął głową.

–Nie sędzę. Trochę się na tym znam, bo miałem praktykę w górnictwie. Nie widziałem, żeby uruchamiał jakiś zapalnik. Zostałem totalnie ogłuszony Ale to nie był dźwięk jak od materiałów wybuchowych, który wywała bębni w uszach. Coś... – zamyślił się – falowało. Tak, falowało. Krzyczałem na robotników, żeby pomogli. Kiedy przybiegli, to ich nie słyszałem. Ale otarli mi krew z twarzy, jego krew. Zanieśli do ambulatorium.

–Jakieś odłamki?

–Nie, to nie był granat. Dostałem „nim”. Ścierali majstra ze mnie przez dobrą godzinę. Zwymiotowałem dwa razy. To było straszne.

–Zaraz – włączył się Grunewald. – Mówi pan, że nie było huk, a jednocześnie nie słyszał pan robotników.

–Tak, to prawda.

–Jak to wytłumaczyć?

–Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Widziałem ich poruszające się usta i nie słyszałem niczego. – Zamyślił się. – Nie było żadnego huk. Ale czułem się, jakbym przyłożył ucho do działa największego kalibru w momencie wystrzału. Po prostu ogłuchłem.

–Kiedy wrócił panu słuch?

–Po jakichś dwóch, może trzech godzinach. Lecz najgorsze jest to, że... – Inżynier zawahał się nagle i skrzywił.

–Proszę mówić.

–Przedtem słyszałem jakieś szepty.

Kuger roześmiał się.

–To normalne. Słyszał pan swoich robotników, tylko niewyraźnie. Zwinięte

bębenki.

–Nie, proszę pana. Słyszałem szept swojego majstra. Tego, który zginął.

Grunewald zakrył usta, żeby nie widać było jego uśmiechu. Kuger też usiłował opanować mięśnie twarzy.

–Proszę pana. To zupełnie normalne. Oberwał pan falą uderzeniową od sporej dawki dynamitu. A może trotylu. Nie było odłamków, więc to nie granat.

–Tak – wtrącił Grunewald. – To zwykły szok.

–Nie było huków – powiedział inżynier.

–Oj, nie słyszał pan po prostu, bo pana momentalnie zaćmiło. Jak w nas Ruscy uderzyli za poprzedniej wojny, to nie wiedziałem, gdzie jest niebo, a gdzie ziemia. Nawet nie wiedziałem, gdzie jest okop, w którym siedziałem.

Winterbaum roztarł skronie.

–I gdzie był ten okop? – spytał poważnie. – Znalazł go pan?

Grunewald i Kuger spojrzeli po sobie. Kuger zaciskał wargi, żeby się nie roześmiać, i kręcił palcem kółka na skroni, tak żeby tamten nie widział.

–Tak, znalazłem. – Usiłował zachować powagę. – Siedziałem w nim.

–Też spędziłem wojnę na froncie – powiedział Grunewald. – Tyle że zachodnim. Jak wybuchł w pobliżu nas angielski pocisk z grubego działa, to ja nawet nie wiedziałem, jak się nazywam. To normalne. To szok.

–Ale to przechodzi – dodał Kuger.

–Nie było huków – odparł Winterbaum. – Nic nie eksplodowało poza majstrem. Nie było huków.

–Oj, po prostu kiedy on pana popchnął, uderzył pan głową o ścianę i nic pan nie pamięta.

–Nie uderzyłem. Nie mam śladu guza ani choćby siniaka. Jestem człowiekiem racjonalnym. Inżynierem. – Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. – Te szepty... – podjął. – Słyszałem, jak mówi do mnie mój majster. I inne osoby... – Zmienił zdanie: – Inne istoty. Wzywały mnie.

Kuger zajął się swoją porcją lodów, żeby ukryć radosny wyraz twarzy. Grunewald jednak spytał:

–Wzywały do czego?

–Po prostu do siebie.

Na szczęście idiotyczną dyskusję przerwało wejście jednego z robotników.

Powiewał specjalnym wojennym wydaniem gazety. Był radosny.

–Przepraszam najmocniej, proszę panów. Ale chcę przekazać najnowszą wiadomość. Zdobyliśmy Westerplatte! – krzyknął.

Grunewald i inżynier uśmiechnęli się. Kuger smętnie pokiwał głową.

–Naprawdę zdobyliśmy w boju? – spytał.

–Nie. Poddali się.

–Aha. Nie udało się trafić kamieniem w nasz pancernik. Ani strącić gałęzią samolotu? – mruknął.

–Proszę?

–Walczyli w okrążeniu. Po prostu skończyła im się amunicja – wyjaśnił.

–Natychmiast przestań – warknął Grunewald. Kuger jednak wstał i oparł robotnikowi swoją jedyną rękę na ramieniu.

Powiedział:

–Stary, musisz znaleźć tłumacza. I nauczyć się po polsku: „Naprawdę nigdy nie należałem do NSDAP”.

–Ale, proszę pana, ja należę do naszej partii. Kuger uśmiechnął się do niego.

–A, to w takim razie masz przesrane.

–Przestań! – ryknął przestraszony Grunewald.

Mieli już lepszego tłumacza. Mogli się dogadać z Kugerelem. Mischuk wrzeszczał:

–A wiesz, co robimy z niemieckimi jeńcami?! Wiesz co? – rozdarł się na całego. – Każe my im wykopywać trupy i zanosić do wspólnych mogił. Wiesz, jaki tam jest smród? I co widać?

–Nie nadaję się raczej do wykopywania trupów. Mam tylko jedną rękę i jedną nogę – odpowiedział Kuger spokojnie. Wasiak doskoczył z boku.

–Ty świnio! Mów, od kiedy należysz do NSDAP?!

I tu więzień zaskoczył ich totalnie. Odpowiedział im czystą polszczyzną:

–Naprawdę nigdy nie należałem do NSDAP. Oniemieli. Patrzyli na siebie oniemieli. Zatkalo obydwu.

–Ty... ty... – jąkał się Mischuk. – Ty jesteś Polakiem?

–Nie. Jestem Niemcem.

–To skąd umiesz tak dobrze powiedzieć?

–Przygotowałem się. Jestem dość przewidujący. Wasiak tylko kiwał głową.

–To powiedz coś jeszcze po polsku. Kuger odpowiedział:

–Nie jestem z gestapo, nie jestem z RSHA, nie brałem udziału w wojnie, bo mam tylko jedną rękę, nie byłem w SS, ani razu nawet nie widziałem obozu koncentracyjnego. Nikogo tam nie posłałem. Jestem podoficerem policji kryminalnej. Bandydzi, złodzieje, mordercy, tylko tym się zajmowałem.

Miszczuk opadł w fotelu. Wasiak oparł się o ścianę.

–To znasz polski?

–Nie, nie znam. Tych kilku zdań nauczyłem się na pamięć. Wynająłem najlepszego tłumacza w Breslau, żeby wytrenował... O, przepraszam, we Wrocławiu. Czulem, że mi się te słowa przydadzą.

Miszczuk i Wasiak trwali w szoku.

–Ty, słuchaj – powiedział jeden do drugiego. – Coś tak myślę, że on mówi prawdę.

–No. Też mi się wydaje.

–Szlag z nim. Sprawdzimy przejęte akta.

–Jak sprawdzisz? Ilu masz tłumaczy?

–No rzeczywiście. – Miszczuk odwrócił się do strażnika: – Podrzucicie więźniowi do celi kilka camelów. Strażnik się obruszył.

–Amerykańskie papierosy mam mu dawać?! Dam ruskie!

–No to przecież się udusi. To Niemiec.

–Fakt – dodał Wasiak. – Nie przeszedł tego, co my. – Powrócił do przesłuchania: –I co było z tym śledztwem w Hali Ludowej?

Widząc, że zestresował Kugera, dodał ugodowo:

–Nie bój się. My nie z UB, jesteście zwykłą milicją. – Pomyślał przez chwilę. – Nie wyślemy cię do gułagu czy innego łagru. Jeśli wszystko powiesz, grzecznie, jak na spowiedzi, zwolnimy cię i wtedy pojedziesz. Niemców teraz się wysiedla, więc, kurna, kamraci zanoszą cię do pociągu i pojedziesz do tych swoich Niemców. Będziesz sobie jadł to swoje... – Zawahał się i odwrócił głowę. – Co oni tam jedzą?

–Golonkę – odpowiedział tłumacz.

–No. Będziesz jadł tę swoją golonkę i pił wódkę.

–Oni piją piwo – wtrącił znowu tłumacz. – Choć wódką też nie gardzą.

–No właśnie – ciągnął Wasiak. – Będziesz jadł golonkę i pił piwo wymieszane z wódką. A tam jakaś kobieta w pobliżu. – Zapalił papierosa. – Czy ty w ogóle wiesz, ile jest samotnych kobiet w twojej ojczyźnie? Wiesz, ilu Niemców zginęło na wojnie? Ile tam jest bab do zagospodarowania? Spokojnie, spokojnie. Nawet na kalekę się rzuca. Będziesz jebał jak królik, przecież jaj ci nie urwało.

–A chętnych bab będzie wiele – włączył się Miszczuk. – Wyobraź sobie to.

Golonka, piweczko, a ty z babą w ciepłym łóżeczku. Pod kołderką. Rano przejrzyś sobie gazetę, kiedy ona będzie robić śniadanie. Na przykład jakąś tłustą jajecznicę. Kuger miał usta pełne śliny. Miszczuk nie rezygnował.

–Oczywiście, możemy cię też przekazać UB. Tylko widzisz... – zawiesił głos. –

Przyznasz się do przekopania kanału pod Atlantykiem, a potem wyślą cię do takiego obozu za kręgiem polarnym, w którym umrzesz z gaciami pełnymi gówna z paru miesięcy.

Wasiak podszedł z boku. Robił teraz za „dobrego policjanta”.

–No to wybieraj. Jajecznica rano, piwko i ciepłuteńka kobieta pod kołderką czy krąg polarny, gdzie się będziesz chołgał po lodzie, bo ci nie dadzą żadnej podpórki. A rabotać musisz.

Miszczuk dodał:

–Jak długo przeżyjesz przy minus czterdziestu?

–Ciepła kobieta w łóżku – wabił Wasiak. – Golonka, piwko, papieroski i poranna gazeta. Albo... minus czterdzieści, wokół druty i strażnicy. Ludzie, którzy będą cię chcieli zjeść. I wszystko ukraść, a ty raczej się przed nimi nie obronisz. Kuger otarł ślinę z ust.

–Powie mi! – wrzasnął. – Wszystko wam powiem! Miszczuk zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko.

–I o to chodziło – wyrwało mu się. – Gadaj, jak na spowiedzi świętej. Kuger zasłonił dłońią oczy.

–Naprawdę mnie zwolnicie? Poślecie do Niemców?

–Tak. – Miszczuk żuł amerykańskiego cukierka. Był jakiś dziwny, za cholerę nie dawano go pogryźć. Na opakowaniu pisało „chewing gum”. Rzeczywiście, ciągnął się jak guma. Milicjant zrobił minę twardziela i połknął całego.

–Grunewald odsuwał mnie od śledztwa, bo uważał, że jestem defetystą. Coś jednak wiem. Towarzyszyłem mu od początku.

Stółówka gestapo była nieczynna. Zabrakło elektryczności i wody. Zrobiło się cholernie zimno, bo wysiadło też ogrzewanie w budynku. W tym mieście nic nie działało. Władze chciały uruchomić jedną linię tramwajową, ale się nie udało.

Na torach stał rozbity ruski tank, i to najcięższy. Nie dało rady go przepchnąć, ani nawet pociągnąć ciężarówką. Innego sprzętu nie było. W kamiennych kanionach królowali szabrownicy i Werwolf.

Rozłożyli na stole to, co mieli. Dostali od partii dwa śledzie i kawałek chleba. Jakoś tak głupio było jeść ze stołu, więc rozścielili pod spód gazetę. Widząc desperację Niemca, dali mu kawałek chleba ze śledziem. I trochę wody do popicia. A potem jeszcze pół szklanki bimbru, żeby wiedział, że są do niego pozytywnie nastawieni.

–No dobrze. Jak było?

Sławek Staszewski wyłączył sze-rokokątny plazmowy telewizor. Szukał w przepastnej szufladzie. Co wziąć na przeziębienie? Witaminy czy aspirynę? I jakieś krople do nosa. Może maść z ekstraktem majeranku? Nie, do cholery. Kopał w głębokich zasobach swojej szuflady z lekami. Miał całe mnóstwo pastylek, jak każdy lekoman. Może to tylko alergologia? No to w takim razie coś z antyhistaminą. Dusił go wyraźnie. Zrobił sobie kąpiel z solą zawierającą morskie algi. Gmerał po szafkach z alkoholami. Może ludowe sposoby są lepsze? Usiłował usprawiedliwić swój ciąg do picia. Powtarzał sobie zawsze przed lustrem przy goleniu: „Sławek, ty nie jesteś żadnym alkoholikiem. Ty jesteś zwykłym pijakiem!” Był dość bogaty, ponieważ ojciec, znany profesor, zostawił mu spory spadek. Szukał więc pomiędzy francuskimi winami, koniakami, butelkami whisky. Wreszcie wybrał żubrówkę. Pociągnął z gwinta. Zapalił papierosa i nastawił wodę na herbatę.

O co chodzi w tych wszystkich sprawach?

Przeszedł do gabinetu. Wyłączył grającą od wczoraj wieżę na wysięgniku. Od razu mu ulżyło. Wyłączył też komputer stacjonarny. W laptopie podłączonym do sieci wystukał w jakieś wyszukiwarce: „morderstwa upozorowane na wewnętrzny wybuch ofiary”. Kanapka z jego ulubionym kawiozem była zbyt mała, żeby go nasycić. Zamówił przez telefon pizzę z dostawą do domu. Pociągnął kolejny lyk żubrówki.

Zerknął na wyniki wyszukiwania. Jedyne, co komputer znalazł, to odnośnik do jakiejś powieści. Dla pewności sprawdził linki do piratów. Oczywiście znalazł. Zaczął czytać: „Altbuserstrasse była małą, ale dość długą ulicą. Oficer kripo szedł nią rozdygotany. A może powinien wezwać gestapo? Poprosić o posiłki? Jak? Najbliższy telefon był chyba w aptece na Rynku. Albert Grunewald trzęsącymi się ze strachu rękami rozpiął płaszcz. Wyjął swojego lugera i przeładował. Wiedział, że mu to niewiele pomoże. Jednak musiał rozwiązać tę sprawę”.

Potem podniósł słuchawkę telefonu. Stuknął klawisz, pod którym krył się numer do Marioli. Odebrała po pierwszym sygnale.

–Tak?

–To ja, kochanie. Mam do ciebie ogromną prośbę.

–No? – rzuciła krótko.

–Kochanie, wracaj natychmiast. Proszę. Po prostu wariuję.

–Z miłości do mnie?

–To też. Ale właśnie przeczytałem powieść. Trochę przypomina sprawę, którą mam rozwiązać. Z konkretnymi danymi.

–O Boże. Nachlaleś się znowu.

–Jeszcze nie. Potrzebuję pomocy.

–Dobra, daj mi się ogarnąć i skończyć pracę.

–Zamówić ci taksówkę?

–Zamówię sama. A co tam autor napisał?

–Wygląda, jakby znał akta policji, znał tę sprawę. Wydaje się, że wie troszkę więcej, niż ja wiem.

–A kto to jest?

–Ziemski. Jakiś grafoman popieprzony.

–Czekaj, czekaj... – Odchrząknęła. – Czytałam jego powieści. Toż to science fiction.

–Ale zna fakty.

–Momencik. – Nie mogła się skupić. – Mgliście kojarzę, że przez parę lat robił programy o policji w telewizji. Pewnie stąd zna akta.

–No może. Ale wracaj mimo to. Roześmiała się.

–Mówisz, masz.

–Dzięki. Naprawdę potrzebuję pomocy.

–Chyba psycholog, żeby ci pomógł przestać chlać.

Prowadził ich Polak zesłany na przymusowe roboty do Breslau. Znał miasto, potrafił coś tam wydukać po niemiecku. Dali mu kawał galaretowatej marmolady z radzieckich dostaw, żeby go obłaskawić. Prowadził ich przez księżycowy krajobraz. Wąskimi przejściami pomiędzy zwałowiskami gruzu – w górę i na dół – trzeba było uważać na nogi, żeby nie utknęły w jakieś szczeliny. Wasiak niósł swoją pepeszę. Mischuk miał pod kurtką zdobycznego schmeissera. Obaj włożyli do kieszeni służbowe tetetki. Biskupin to był Dzik Zachód, choć de facto leżał na wschodzie Wrocławia. Był najmniej zniszczony, więc od szabrowników i Werwolfu nie można

było się opędzić. Strzelano ze wszystkiego. Na komendzie krążyły plotki, że do jeepa Urzędu Bezpieczeństwa wypalono nawet z pancerna. Opowieści o tym, że walono do milicjantów z ciężkich karabinów maszynowych, traktowali jako legendy. Komu z szabrowników chciałoby się nosić takie ciężkie cholerstwo? Jedynym faktem, który znali z autopsji, to

strzał do ciężarówki z amerykańskiej bazooki. No i może odpalenie w stronę komendy z angielskiego piata. No, ale to byli miejscy partyzanci, AK, a nie szabrownicy. Tych ostatnich obawiali się najbardziej. Partyzant miał swój honor, szabrownik nie. Przesłuchiwali jednych i drugich – jeśli udało się złapać. Różnica była zasadnicza. Partyzant szedł na akcję z dokładnie oznaczonym celem. Mógł zabić, lecz nie przypadkową osobę, tylko konkretną. A szabrownik siał po wszystkich, bo był nawalony bimbrem po same uszy. Niemcy też strzelali do wszystkich, ale ich było najmniej. W dodatku same szczeniaki. Wystarczyło walnąć w nich serią i już uciekali. Kiedy dotarli na monstrualne lotnisko uczynione na placu Grunwaldzkim poprzez zburzenie najpiękniejszej w mieście dzielnicy naukowej, nie mogli złapać tchu. Miszczuk zarządził odpoczynek. Wasiak wyjął z kieszeni amerykańskich wojskowych spodni konserwę przyslaną przez Anglików w ramach pomocy. Konserwa była niemiecka, przejęta z magazynów Wehrmachtu gdzieś na zachodzie. Przegryźli po parę sardynek. Dalej byli głodni, bo nie mieli chleba. Zapalili dziwne brazylijskie papierosy – też z dostaw. Były brązowe i bardzo grube. Były również potwornie mocne. Zakręciło im się w głowach.

–To nie papierosy – wyjaśnił ich przewodnik. – To cygara. Widziałem u Niemców. Tego dymu się nie wdycha, tylko pyka.

–Co się z nim robi?

–No, pyka. Tak jak fajkę.

–Nigdy w życiu nie paliłem fajki. Jak się to robi? – powtórzył.

–Co?

–No pykuje.

–O Chryste! Nie wciąga się dymu do płuc, tylko do ust i od razu wypuszcza.

–Nie rozumiem. To po co palić takie coś? Przewodnik nie wiedział, jak wytłumaczyć. Jąkał się...

–No no... To jest styl, elegancja i klasa.

–E tam – Wasiak machnął ręką. Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym. – Ja to mam klasę robotniczo-chłopską. – Zarechotał nagle. – A jakby taki jeden z drugim od elegancji zapalił machorkę, toby go musieli wieźć do szpitala. Albo od razu na cmentarz. Miszczuk parsknął śmiechem.

–Ja to nawet paliłem skręty z rozgniecionej i pociętej słomy. A fikę zrobiłem z gazety.

–No przecież tam nie ma nikotyny. – Przewodnikowi wydało się to fantastyką.

–Nie wiem, czego nie ma, za to dym jest. – Miszczuk podniósł się ociężale. Był naprawdę zmęczony. W amerykańskiej kurtce, spod której wystawał schmeisser, i z cygarem w ustach wyglądał niczym mafioso.

I tak potraktował go ruski patrol, który wyskoczył zza sterły gruzu.

–Ruki wwierch! Bumażki!

Na szczęście ktoś w komendzie był przewidujący i wiedział, że Rosjanie stacjonują w gmachu politechniki. Zalałwil co trzeba. Mieli nawet dokumenty po rosyjsku z pieczętką NKWD. Na widok tych pieczętek patrol zmył się w podskokach.

–No, chodźmy – powiedział tłumacz. – Musimy tam dojść przed zmrokiem. Chyba że macie papiery dla Werwolfu z podpisem Hitlera. – Roześmiał się z własnego dowcipu. – Albo dla szabrowników z pieczętką Robin Hooda.

Ruszyli szybko. Przewodnik opowiadał, jak Niemcy kazali im rozwalać najwyższy kościół we Wrocławiu, żeby zbudować to lotnisko, po którym szli właśnie. Miszczuk tylko kiwał głową. A Wasiak powiedział:

–Wiem, że wam tu było ciężko. Ale uwierz mi, tam, gdzie my byliśmy, nie przeżyłbyś trzech tygodni.

–Tak? A jadłeś kiedyś wyłącznie zmrożoną brukiew?

–A spróbowałeś kiedyś nie jeść nic? Tylko pić herbatę z sosnowych igiel?

–A nas trzymali w przepelnionej szkole. Nie było gdzie się położyć.

–A nas na mrozie. Mogłeś się kłaść, gdzie chciałeś, miejsca było w pizdu. Tylko że już się nie podniosłeś.

Miszczuk się zdenerwował. Postanowił ich rozsądzić. Krzyknął:

–Flaga na maszt! Wrocław jest nasz!

Nie miał pojęcia, że stał się prekursorem przebojowej piosenki, która pojawi się za kilkadziesiąt lat i będzie dotyczyła polskiej okupacji Iraku oraz geostwa. Nawet nie znał tych pojęć.

Przewodnik tylko kręcił głową.

–A ja chcę z powrotem moje Wilno.

–A ja nie chcę wrócić do Krasnoj Armii. Mam, co mam. Mieszkanie, ubranie i czasem paczki z UNRRA. Mam co do pyska włożyć, partia daje. We Wrocławiu nigdy nie będzie minus czterdzieści. A wracać nie mam gdzie. Naszymi rodzinami i naszymi domami zajęli się Ukraińcy. Skutecznie.

–No dobra, nie licytujmy się. – Przewodnik ruszył w drogę. I nagle powtórzył za Miszczukiem: – Flaga na maszt. Wrocław jest nasz!... Macie rację.

Z bronią w rękach dotarli na miejsce tuż przed zmrokiem. Na ich widok z ogromnych drzwi wybiegł jakiś człowiek, powiewając białą flagą i krzycząc coś po niemiecku. Miszczuk przeladował schmeissera.

–Co on? Dopiero teraz się poddaje?

–Nie. On mówi, że tu nie ma roboty dla szabrowników. Wszystko już zabrali. I żeby go nie skrzywdzić. On nic nie ma – wyjaśnił przewodnik.

–Ma nas za szabrowników?

–A jest tu ktoś inny?

Wasiak postanowił włączyć się do rozmowy.

–My chcicie... Rozumiesz: c-h-c-i-e-ć. My chcicie gadać z polnische

Obersturmfuhrer.

Niemiec wyraźnie się przestraszył.

–Polnische Obersturmfuhrer? Mein Gott!

Przewodnik usiłował tłumaczyć:

–Oni są z polskiego gestapo! Natychmiast chcą zobaczyć tego, który rządzi tym wielkim budynkiem!

–Z polskiego NKWD – postanowił dobić Niemca Wasiak.

–A ja jestem z MI-5 – dodał Mischuk, robiąc groźną minę. Obaj Polacy spojrzeli na niego zdziwieni.

–A co to jest MI-5?

–Nie wiem. Kiedy mnie tłukli na Łubiance w Moskwie, to kazali się przyznać, że jestem agentem angielskiego wywiadu.

No to jak zarobiłem parę ładnych razy w fajans, jaja mi spuchły, to się przyznałem, że jestem z „em aj fajf”. Tak to wymawiali.

– Wyprostował się z dumą. – Jestem brytyjskim agentem. Mam to na piśmie z wyroku.

–A jaki miałeś numer?

–Nie pamiętam, bo łeb mnie bolał. Na pewno były tam dwa zera. – Kichnął głośno, ponieważ z powodu braku ściany w mieszkaniu ciągle się przeziębiał. – U nas w celi był taki doktor, co znał angielski, i spytałem, co to znaczy „em aj fajf”. No to

odpowiedział: „Czy jestem piątką?”. Widzicie? Nawet Ruscy zrobili ze mnie agenta na piątkę.

–E tam, wielkie mi coś – powiedział Wasiak. – Ja to się przyznałem, że kopalem kanał pod Moskwą, żeby wysadzić Kreml! Czapę dostałem na piśmie. Ale jak Niemcy uderzyli, a Ruscy dostali w dupę, to nas zmobilizowali, choć tylko jako SOE.

–A co to jest SOE? – zainteresował się przewodnik, który wojnę spędził po drugiej stronie frontu.

–Socjalno-opasnyj element. – Mischuk spuścił ostrożnie suwadło pistoletu maszynowego. – My dwaj chłopcy z dziada pradziada i jesteśmy „klasowo niebezpiecznym elementem”?

–Dajmy spokój. I chodźmy wreszcie, bo naprawdę się ściemnia.

Niemiec poprowadził ich do ogromnej hali. Byli przytłoczeni jej ogromem,

nowoczesną, betonową konstrukcją. To robiło wrażenie. Potem przeszli do jakiegoś korytarza, który sądząc po szerokości i wielkości hali, musiał mieć parę hektarów powierzchni. Jakby tu zasiać pszenicę, można by mieć niezłe zyski. Pokonali kilkanaście schodków. Niemiec załomotał w żelazne drzwi.

–Kto tam? Helmut, to ty?

–Ich bin. Mit Kameraden.

–Jakich, kurwa, „kameraden”? Powalilo cię?

–Nein, ich... Przerwał mu Mischuk:

–Tu Milicja Obywatelska. Otwierać!

–O Boże, nareszcie! – głos zza drzwi nie brzmiał zbyt wyraźnie. – Ale skąd mam pewność, że wy to wy?

–Stąd, że jak nie otworzysz, to wydłubiemy dziurę w drzwiach i wrzucimy ci tam granat – wrzasnął Wasiak.

–A jak ja pierwszy rzucę na was?

–Chryste, człowieku. – Mischuk uklęknął i usiłował wepchnąć swoje papiery przez szparę pod drzwiami.

–Drei Kameraden mit Papieren – krzyknął Niemiec.

–A może ci ktoś trzyma lufę przy skroni? – Człowiek w środku nie wydawał się przekonany. – I każą ci mówić te słowa?

–Ty, słuchaj – zdenerwował się Wasiak. – Jak ci przygrzmocę z pancerfausta, to się tam usmażysz – kłamał. – Może my jeszcze oblepić drzwi plastikiem. Też będzie fajnie.

Mischukowi udało się jednak przepchać dokumenty przez szparę pod drzwiami.

–Masz? – krzyknął.

–Mam – rozległo się z wnętrza.

–Czytasz?

–Ja nie za bardzo umiem czytać. Ale próbuję.

–No to, kurwa, otwieraj, albo cię przysmażemy! – wrzasnął Wasiak. Poskutkowało. Usłyszeli szcęk dwóch solidnych zamków i metalowe wrota

uchyliły się trochę. Zobaczyli starszego mężczyznę z pepeszą w rękach, które tak drżały, że wszyscy uskoczyli pod ścianę.

–Alkoholik – wyrwało się Mischukowi.

–Nie – odpowiedział Wasiak. – Spietrany tylko strasznie.

–Spokojnie, spokojnie – wtrącił się przewodnik. – Jesteśmy z Milicji

Obywatelskiej.

–Akurat. Szaber robicie.

–No i ciebie wyszabrujemy z tej pustej hali razem z pepeszą. Ot, i będzie my mieć zysk w Warszawie. W zoo będą cię pokazywać. Albo w cyrku.

Starszy człowiek wpuścił ich na balkon. To, co zobaczyli, wydało się zupełnie nieprawdopodobne. Poręcz balkonu była zabezpieczona workami z piaskiem. W luce pośrodku stał niemiecki karabin maszynowy i parę skrzynek amunicji. Do tego dwa mauzery, pepesza, którą zobaczyli przed chwilą, i spora kolekcja granatów.

–Nazywam się Józef Kolski – powiedział staruszek. – Ja zawsze trochę słabowałem na umyśle. No, durny jestem po prostu. Ale kazali pilnować tej hali i wytwórni filmów obok. Tylko jak? Samemu? No to dobrałem sobie tego Niemca, bo on tu był cieciem i wie, co gdzie jest. A tu szabrownicy, męty, partyzany różnej maści.

Wszystko, panowie, tu jest i strzela po nocy. No to się okopaliśmy.

–Okopaliście się? – nie wytrzymał Mischuk. – Na betonowym balkonie?

–No nie... Wzięliśmy i nasypali piasek do worków. Tu obok Niemce składali broń. Tośmy podpierdolili im karabin maszynowy i dwa mauzery. Pepesza jest moja, od władzy.

–I co? Nachodzili was? – spytał Wasiak.

–No tak. – Kolski wychylił się znad barykady. – O, tam. – Wskazał ręką. – Tam jeden leży.

Wszyscy wychylili się, żeby zobaczyć ciało. Kolskiemu trzęsły się dłonie z nerwów w takim stopniu, że mógłby służyć za naturalny młot pneumatyczny. Ledwie otworzył dwie puszkę z radziecką tuszonką, którą poczęstował wszystkich.

Jedli łapczywie, nabierając tym, co kto miał. Bagnetem, amerykańskim nożem bojowym albo wręcz scyzorykiem. Tuszonka była znakomita.

–Tu fatalny dźwięk w tej hali. Jak się raz puści serię z tego ustrojstwa – wskazał niemiecki karabin maszynowy – to przez pół dnia już się nic nie słyszy.

–Domyślam się. – Mischuk obserwował zwłoki faceta ubranego w angielski battle dress, rosyjski hełm i buty wyjęte chyba z gnojowicy. Miał jeszcze białą-czerwoną opaskę na ramieniu. Dość czystą. – Nie chowacie ciała?

–Chowamy – odparł Kolski. – Jak się więcej uzbiera. Dla jednego nie oplaca się kopać w parku – nagle przerwał i rzucił pozornie bez związku: – Panie, tu są duchy! Nie śmiećcie się.

–Nie zamierzamy się śmiać. – Mischuk nareszcie syty, choć brakowało mu chleba, zapalił camela. – My właśnie w sprawie tych „duchów” przyszliśmy.

Grunewald skinął na Kugera.

–No to chodźmy do tej wytwórni filmów, o której mówił Winterbaum.

–To krok stąd. Grunewald zapłacił rachunek za wykwintny deser w restauracji Jahrhunderthalle i wyszli na zewnątrz. Alejki zaprowadziły ich do bocznego wejścia. Zawsze korzystali z bocznych wejść. Łatwiej było się dowiedzieć faktów u mniej ważnego cecia. I tak też się stało. Spotkali jakiegoś fągasa w kiepskim garniturze. Siedział na małym krzeselku i studiował zadrukowaną kartkę papieru.

–Jesteśmy z policji kryminalnej.

–Z kripo?

–Tak. – Pokazali legitymacje.

–To wchodźcie. – Machnął papierem, nad którym ślęczał. – Właśnie dostałem powołanie do wojska. Jutro już mnie tu nie będzie.

–No to gratulujemy – odparł Grunewald. – Zmiażdży pan Polaków!

–A ja panu współczuję – dodał Kuger. – Zupełnie szczerze życzę panu szczęścia. Niech pan przetrwa tę wojnę, i następną, i następną. A potem jeszcze jedną.

–To będzie wiele wojen?

–Nie wiem. Albo wiele, albo jedna wielka, światowa.

–Tak jak w 1914?

–Myślę, że gorzej. Teraz tamci lepiej zagrają. Trochę się nauczyli.

–Milcz, defetysto! – warknął Grunewald. – Za chwilę będziemy mogli zakrzyknąć: „Warszawa jest nasza!”.

Kuger uśmiechnął się lekko.

–Żeby tylko potem oni nie krzyczeli: „Breslau jest nasz!”. Żeby się tak nie stało, Panie Boże. Ja naprawdę kocham to miasto.

–Milcz! – Wściekły Grunewald zwrócił się do cecia: – Widział pan tę zbrodnię?

–No widziałem, ale to nie żadna zbrodnia.

–A co?

–No, jeden facet się po prostu zachlastał.

Kuger beczelnie przysiadł na krzeselku cecia, Grunewald oparł się o ladę.

Osuszył chusteczką czoło. Coraz mniej mu się ta sprawa podobała.

–Jak było?

Cieć potarł brodę.

–No, normalnie. Przyszedł żołnierz. Żadna szarża, miał karabin na ramieniu, a oficerom przecież nie dają tego do noszenia. Ja tam się na stopniach wojskowych nie znam...

–No to zaraz się pan nauczy – przerwał mu Kuger, wskazując na jego kartę mobilizacyjną. – A wie pan, jak jest po polsku: „Nie strzelać! Poddaję się!”?

–Natychmiast przestań! – ryknął Grunewald. – Zaraz nas aresztują!

–Nas? Kto? Przecież to my jesteśmy policją. – Kuger roześmiał się. – Mnie nic nie zrobią. Nawet skuć kajdankami się mnie nie da. – Pomachał kikutek ręki.

–Wiesz kto! Grunewald spojrzał na ciecia.

–Proszę nam pokazać miejsce zbrodni.

–Oczywiście. Ale to naprawdę żadna zbrodnia. Odbiło mu. Poprowadził ich płataniną korytarzy. Kolejne wielkie wrota. Potem pokazał im

stół nakrytą ogromną, opartą na kolumnach kopułą.

–O, tutaj. – Wskazał rząd idealnie równo ustawionych stolików. – Biegłem za nim, bo zaczął odstawiać stoliki pod ścianę. No ale on żołnierz, z karabinem! Co ja mogłem zrobić? A potem on powiedział, że zaraz będą goście. No to pomagaliśmy mu ze sprzątaczką prznosić te stoliki. Ale ustawiał tak nieregularnie. Jakby mu nie zależało.

No to myśmy ze sprzątaczką ustawiali równo. Myślałem, że jakaś delegacja ma przyjechać. No i przyjechała cię żarówka z kwiatami. Pomyślałem sobie, widząc te ilości, że sam gauleiter do nas zawita. A wszystkie w takich pięknych koszach, okraszone bibułą i ozdobami. Czeladnicy właściciela kwaciarni biegali jak szaleni.

Kuger zamknął oczy, żeby nie było w nich widać kpiącego wyrazu, kiedy usłyszał staromodne „czeladnicy” i „okraszone”.

–I co było dalej? – dopytywał się Grunewald.

–On zaczął wyjmować te kwiaty, niszcząc piękne przybranie, i układał je na podłodze. W taki dziwny wzór. Wtedy pomyślałem, że sam Hitler do nas zawita. A potem zaczął tańczyć.

–Tańczyć?

–Tak. I coś tam śpiewał. Brzmiało to jak przyspiewki Hohenhotów z kronik kinowych.

–Hotentotów – poprawił Kuger.

–No tak. Myśmy ze sprzątaczką stali zdumieni, a on tańczył i śpiewał. A potem krzyknął: „Dlaczego mnie nie chcecie?”.

–Proszę?

–Krzyknął: „Dlaczego mnie nie chcecie?”.

–I do kogo to krzyknął?

–Ja tam nie wiem. Na pewno nie do nas.

–I co?

–Zdjął but. Taki jakiś oklapły był. Wyciągnął z buta sznurówkę. Zdjął skarpetę i zawiązał sobie ją na dużym palcu u nogi, przeladował karabin. No tośmy ze sprzątaczką zaczęli się wycofywać. On przywiązał drugi koniec sznurówki do cyngla i włożył sobie lufę karabinu do ust. Ktoś krzyknął: „Nie!”.

–Kto?

–Nie wiem. Ręce mi się trzęsły ze strachu, to nie pamiętam. Naprawdę nie wiem kto.

–A co zrobił ten żołnierz?

–Ja uciekałem. A on pewnie pociągnął za sznurówkę i wypalił sobie w usta. – Cieć zamyślił się na chwilę. – Pamiętam tylko, jak sprząteczka mówiła, że w życiu nie odczyści tej sali. Mózgiem tam prysnęło po wszystkich sprzętach. W szoku była. Kuger zapalił papierosa. Pokiwał głową do Grunewalda.

–No i widzisz, stary. Nie kupuj kwiatów swojej narzeczonej, bo to się źle kończy.

–Po pierwsze, nie mam narzeczonej. Po drugie, jeśli dalej będziesz tak wieszczył, odsunę cię od sprawy.

–Możesz mnie z nim skontaktować? – spytał Sławek Mariolę.

–Ja wszystko mogę.

Wygooglała nazwisko pisarza i wszystkie jego namiary na laptopie.

–OK. Dzwonimy. – Wystukała numer. Odczekała chwilę. – Dzień dobry. Dzwonię z pisma „Fakty i Fotografie”. Czy moglibyśmy się umówić na wywiad dzisiaj?

–O Jezu... – Sławek usłyszał zaspány głos.

–Chyba „Mario”, jeśli o mnie chodzi. Rozmówca roześmiał się.

–Ludzie, czy wy wiecie, która jest godzina?

–Chyba wiemy. Po jedenastej – odparła niezrażona.

–No to jak możecie budzić ludzi o tak wczesnej porze?

–Wie pan... Jestem głupią blondynką z dużym biustem. Przepraszam, że pana obudziłam.

–Ależ nic nie szkodzi – natychmiast zmienił ton. – A ile ma pani wzrostu? Tak tylko z ciekawości pytam.

–Metr osiemdziesiąt dwa.

–A jest pani rosła? Taka „w sobie”?

–Niech pan sam sprawdzi. Jestem dużą dziewczynką.

–Ok. No to jadę. Kiedy i gdzie?

–Dam panu godzinę na ablucje i dojazd. Spotkajmy się o dwunastej trzynastej w restauracji „Żak” na Rynku.

–Wiem gdzie to jest. Będę.

–Dziękuję. – Odłożyła słuchawkę.

Sławek zaskoczony masował sobie skronie.

–Jezu, jak ty to zrobiłaś?

–Człowieku, jeśli się lubi jakiegoś pisarza, to się czyta wszystkie jego wywiady. On po prostu uwielbia duże, rosłe

blondynki – Ja na szczęście spełniam wszystkie te warunki. – Popatrzyła na Staszewskiego z uśmiechem. – Będzie jadł mi z ręki.

–Jesteś genialna.

–Genialny to był Einstein. A ja mam po prostu odpowiednie ciało i odpowiednią wiedzę. Ty tylko siedz z boku i nagrywaj.

Masz godzinę na przygotowanie dla mnie pytań.

Ziemski wszedł do knajpy idealnie o czasie. Profesjonalista – nigdy się nie spóźniał. Przywitał się z kelnerami, którzy najwyraźniej go dobrze znali. Wymienił jakieś żarciki z kelnerkami. Mariola machała gazetą „Fakty i Fotografie”. Przysiadł się błyskawicznie. Był obsłużony szybciej niż ona – kelner zapytał tylko: „To co zwykle?”. Dostał piwo i „wściegłego psa”. Spytala:

–Czy jest jakaś knajpa, w której pana nie znają?

Odpowiedział:

–Z całą pewnością jakaś jest. Wrocław to cholernie duże miasto i takie... bardziej rozrywkowe. – Uśmiechnął się,

rozbiegając ją wzrokiem. Wiedziała, że go ma. Wiedziała z całą absolutną kobiecą pewnością. Była dokładnie w jego typie.

–Chciałabym porozmawiać o pańskiej książce „Breslau... cośtam”.

–Pani od razu do meritum.

–No bo pan patrzy wyłącznie na moje piersi. Roześmiał się i podniósł wzrok.

–Inteligentna pani jest.

–Z tego powodu, że widzę, gdzie się pan gapi? Zaczął się śmiać już całkiem szczerze.

–No, jestem pod wrażeniem. Rozchyliła dekolt sukienki tak, że by mógł zobaczyć prawie wszystko.

–Niech pan patrzy. Teraz lepiej?

–Widzę, że „Fakty i Fotografie” zatrudniają wyłącznie fachowców. Ale ponieważ widok jest piękny, to odpowiem pani na wszystkie pytania.

–I o to mi chodziło. – Poprawiła sukienkę, żeby nie miał zbyt przesadnej perspektywy. – Skąd wziął się pomysł na tę powieść? Mówię ciągle o „Breslau cośtam”.

–Proszę pani. Na każdym spotkaniu autorskim, kiedy mnie o to zapytają, mówię:

„Wrrrrrrrrrr!” Nie wiem, skąd autor czerpie pomysły. Nie wiem, naprawdę.

–No ale skąd inspiracja do tego właśnie tematu? Zamyślił się.

–Na pewno z akt policyjnych. Kręciłem serial o policji przez parę lat.

–Wiem, wiem.

–Uuuuu... Naprawdę jest pani dobrze przygotowana. – Wrócił do tematu: – Z akt pani wiele nie wyczyta. Tam same pierdoły.

–Też wiem. Czytałam kilka.

–Naprawdę jestem pod wrażeniem. – Wypił „wściegłego psa” i zajął się piwem. Zapalił papierosa. – To był przypadek. Spotkałem Richarda Kugera, pewnego wojennego inwalidę bez ręki i bez nogi. Żył sobie szczęśliwie w RFN, jak to się wtedy mówiło, z panią, która o niego dbała. Miał nawet auto, które można obsłużyć, nie mając połowy kończyn. Żył sobie.

–Ale do rzeczy.

–No właśnie. Nie mogliśmy się porozumieć, bo ja po niemiecku to może dziesięć słów, a on po polsku ledwie ledwie. Ale jego kobieta była Polką. Zabrana na roboty, lecz nie chciała wracać do komunistycznego raju, więc przygarnęła inwalidę, bo miał wysoką rentę. Fajnie się im żyło, chyba się nawet pokochali.

–A wracając do meritum? – przerwała mu Mariola.

–No więc ona przetłumaczyła mi całą historię. Otóż Kuger i Grunwald...

–Może Grunewald? – przerwała mu znowu.

–Może – zgodził się. – Tak go nazwałem w powieści. Skąd pani wie?

–No przecież piszę wywiad o pana książce.

–No tak. – Zaciągnął się głęboko papierosem. – Opowiedział mi niesamowitą historię z przedwojennego Wrocławia, to znaczy z Breslau. Jacyś ludzie wybuchali, palili się albo popełniali samobójstwa. Za każdym razem otaczali się kwiatami.

–I co?

–Właściwie nic. Grunewald został zabity, nie wiem przez kogo, w 1945. A Kuger był przesłuchiwany przez polską milicję.

Nic do niego nie mieli, ale przesłuchiwali a propos właśnie tej sprawy, w której ludzie sami wybuchali. Mieli podobny problem. Kiedy już wszystko zeznał, wsadzili go do pociągu do Vaterlandu. Był zwykłym

podoficerem policji kryminalnej. A my nie Ruscy, żeby im Katyń zrobić. Gwałty, zabójstwa, morderstwa, przekręty. Tylko tym się zajmował. Kripo nie było wpisane na listę organizacji zbrodniczych, więc nie wysłali Kugera na wycieczkę do ZSRR. Z innymi, jak oni to mówią: „wypędzonymi” pojechał sobie do Niemiec.

–A ta dziwna sprawa?

–Bardzo mnie to interesowało. Ponieważ kręciłem dla telewizji program o policji, pozwolili mi na wgląd do akt. Tam niewiele jest. Nie dowiedziałem się niczego poza opisami zgonów.

–A co pana zainspirowało do napisania tej powieści?

Kelner, mimo że nie miał zamówienia, przyniósł Ziemiemu zupę gulaszową i kolejnego „wściekłego psa”. Autor wypił „psa” natychmiast i zajął się zupą.

–Nie przeszkadza pani, że będę jadł podczas wywiadu? Nie zdążyłem wciągnąć śniadania. Jakaś okrutną porę wymyśliła pani na wywiad. Wolalbym drugą w nocy.

–Nie przeszkadza mi to w ogóle.

–No to powiem pani dziwną rzecz – Szufłował łyżką gęstą zupę i mówił niewyraźnie: – Jakaś dziwna miłość. Przeczytałem pamiętnik Grunewalda. Oczywiście koledzy pomogli tłumaczyć, bo ja po niemiecku to może dziesięć słów znam, w porowach dwadzieścia. Nie nudzę pani?

–Nie, absolutnie. Już pan mówił o dziesięciu słowach po niemiecku.

–A tak. Istotnie. Powtarzam się. Te kwiaty i samobójstwa to była najmniej ważna rzecz podobno. Ja nie jestem policjantem, tylko pisarzem.

–A co było ważne?

–Nie wiem. Jednak każdy, jak pisał Grunewald... Każda z ofiar musiała przejść skomplikowany rytuał, który polegał na robieniu codziennie tych samych czynności w ściśle określonej kolejności. To były jakieś pierdołki. Śniadanko, mycie twarzy mydłem, jazda do pracy. Takie tam drobiazgi. Naprawdę nie nudzę pani?

–Nie.

–Grunewald pisał o jakiejś świątyni. Jeśli ma pani dostęp do akt, to pani dotrze i do świątyni.

–Dotrę.

–Proszę się nie śmiać.

Mariola dotknęła jego ręki. Nawiązała kontakt fizyczny. Złapała go. Najwyraźniej chciał ją poderwać. Zaczął grać.

–Chodzi chyba o gimnazjum sióstr elżbietanek na placu Nankiera. Z naciskiem na „chyba”. – Uśmiechnął się sympatycznie.

–To dlaczego te dziwne zgony odbywały się w okolicy obecnej Hali Ludowej albo Wytwórni Filmów?

–Proszę pani, jestem pisarzem, a nie jasnowidzem. A poza tym zgony się nie „odbywają”.

Czuła się obsobaczona, kiedy zajął się zupą gulaszową, która wyraźnie mu smakowała. Skinął na kelnera, a ten, jakby czytając w jego myślach, przyniósł placek po węgiersku i następnego „wściekłego psa”. I znowu „psa” wypił natychmiast, życząc Marioli zdrowia. Plackiem zajął się później, po skończeniu zupy.

–Przepraszam, naprawdę jestem strasznie głodny.

–Ależ nic nie szkodzi. – Zamyśliła się na chwilę. – A jak pan określi koincydencję pomiędzy Halą i gimnazjum?

–Nie ma żadnej. – Zerknął na nią ciągle z zainteresowaniem. – Proszę sobie odpowiedzieć na konkretne pytanie. Co łączy Halę Ludową z Wytwornią Filmów.

Tam, gdzie miały miejsce te „wybuchy” różnych osób, samozapalenia i samobójstwa.

–Kwiaty?

–Nie. Jestem architektem z wykształcenia, więc patrzę na to zawodowym okiem.

–Jaka jest koincydencja?

–Obydwa budynki mają duże kopuły.

–O Matko Boska, to czemu nie wysadzali się choćby w katedrze? Zamarł z kawalkiem placka na widelcu. Przełknął łyk piwa.

–O Matko Boska – zaczął ją przedrzeźniać. – Tam nie ma kopuły. – Przybrał wyraz twarzy świadka stojącego przed komisją sejmową. – A poza tym nie mam wiedzy na ten temat.

Rozbroił ją. Roześmiała się. Znowu dotknęła jego ręki, tym razem przeprasząc.

–Załatwił mnie pan – przyznała. – Ale przecież napisał pan powieść na „ten temat”.

–Proszę pani, jestem pisarzem fantastą. Nie wciskam kitu czytelnikom, więc wszystkie fakty mają oparcie w rzeczywistości. Jeśli czegoś nie wiem, to pytam mądrzejszych. Ale, do jasnej cholery, fikcja literacka poza faktami to tylko fikcja. Fantastyka.

–Nie rozumiem.

–Fabuła to nie akta sądowe! Tam się trochę zmyśla. Mówię o aktach sądowych, oczywiście.

Zaczęła się śmiać, zakrywając usta dłońmi. Patrzyła, jak odsunął talerz z niedokończonym plackiem. Poprosił kelnera o rachunek. Zapłacił kartą kredytową i podpisując wydruk, dodał jeszcze:

–Niech pani spyta kolegę przy stoliku tuż obok, czy nagranie się udało. Spojrzała zaskoczona.

–Proszę?

–Chyba za długo kręciłem program o policji, żeby nie wiedzieć, co jest grane. Wstał, pocałował Mariolę w rękę i wyszedł, uśmiechając się do kelnerek.

Odpowiedziały uśmiechami.

Grunewald postanowił pisać pamiętnik. Sprawa go przerosła, a chciał, żeby cokolwiek po nim pozostało, bo czuł, że zginie. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta wizja. Po prostu męczyło go w nocy jakieś okropne przeczucie. Nie mógł spać. Cała piżama, szczególnie kołnierzyk, była przepocona. Złapał się na tym, że spał nie sam już, ale we dwójkę. On i luger – 9 milimetrów parabellum. Z pełnym magazynkiem. Grzechnie pod poduszczyką. Zauważył przerażony, że po koszmarnych snach, z których udało mu się obudzić, trzymał w ręce swój pistolet. Szlafmyca przeszkadzała mu celować. Też mokra zresztą. Tak jak i poduszka.

Podszedł do sekretarzyka. Była dwunasta trzynaście w nocy. Zapalił światło, wziął ryzę papieru. Miał doskonale pióro Watermana. Amerykańskie. Amerykanie to najpewniejsi sojusznicy. Sprzedali Niemcom system kart perforowanych do ewidencji tych przeklętych Żydów. Firma IBM. Mucha nie siada. Teraz Niemcy mieli wszystkich pod kontrolą. Związek Radziecki przysyłał w jakichś monstrualnych ilościach strategiczne surowce. Ilu można mieć sojuszników? A Niemcy miały najlepszych i największych. Do tego Japonia i Włochy.

Owinął się szlafrokiem i zaczął pisać.

Zamierzam odsunąć Kugera od śledztwa. Jest potwornym defetystą. Anglia i Francja, tak jak przewidziałem, srają w gacie... – skreślił dwa ostatnie słowa – robią w portki ze strachu. My mamy za przyjaciół USA, Rosję, Włochy i

Japonię. A oni kogo? Polskę, która zdycha, bo Stalin wbił im nóż w plecy? Zdobyliśmy Warszawę. Ich władze uciekają szosą na Zaleszczyki. Anglicy uzbrajają jakichś staruszków w myśliwskie dubeltówki i tworzą... – nie wiedział, jak to nazwać, więc wymyślił: – Volkssturm.

A ten Kuger siedzi w kawiarni przy piwku i prosi Boga, żeby Breslau pozostał niemiecki! Bo on kocha to miasto! A co miastu mogłoby się stać? I jeszcze lepsze. Prosi Boga, żeby nie nadlatywały nad niego żadne bombowce. Kompletny wariat. Jakie bombowce? Czyje? Skąd? Przecież żadne nie mają szans.

Staszewski zadzwonił do Ziemskiego. W słuchawce usłyszał zaspiany kobiecy głos.

–Taaaaaak?

–Przepraszam – przedstawił się. – Czy zastałem...

–Tak, zastał pan – kobieta weszła Staszewskiemu w słowo. – Zaraz go obudzę. Tylko proszę się nie przejmować inwektywami, które buchną z jego ust. – Roześmiała się. – On się budzi przez jakąś godzinę, więc będzie bardzo brutalny. A pan z prasy czy z radia?

–Z policji.

–O cholera. Znowu kogoś pobił? Cemu ja nic nie wiem?

–Nie, nie. Proszę się nie przejmować.

–Bo on ma ciężką rękę, jak przywali, to wióry lecą.

–Ale to naprawdę nie jest sprawa o pobicie.

–Nie zastrzelił nikogo? Prawda? Niech pan powie, że nikogo nie zastrzelił.

Proszę.

Staszewski tylko westchnął.

–Służę. – I wyrecytował poważnym tonem: – Nikogo nie zastrzelił.

–Bo już było wiele przesłuchań o pobicie. Ale on broń ma legalną. Jeśli strzelał, to w obronie własnej albo w stanie... no, w stanie...

–Nie trzeźwym? – odpowiedział.

–Nie! W stanie wyższej konieczności! Postanowił zażartować:

–A po ilu piwach osiąga stan wyższej konieczności?

–Ach! – opamiętała się. – Przekroczył szybkość. – Usłyszał westchnienie ulgi. – Ale

to jest sportowy samochód. Nie da się nim jechać zbyt powoli. Ile miał na liczniku?

Sto osiemdziesiąt? Dwieście?

Zdenerwował się.

–Nie interesują mnie wykroczenia – warknął. – A pani właściwie kim jest?

–Jego agentem literackim.

–I tak sobie żyjecie razem?

–To chyba nie pańska sprawa?

–Oczywiście. – Teraz on westchnął. – I jeśli się pani nie boi, to proszę obudzić bestię.

–Ja to się tam nie boję. Mam swoje sposoby. Ale panu współczuję.

Nastąpiła chwila ciszy. Później jakieś mruknięcia. A potem wiązka inwektyw tak

strasznych, że słuchawka telefonu powinna się Staszewskiemu stopić w rękę. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Kolejne

przekleństwa. Ktoś ewidentnie spadł z łóżka, sądząc po odgłosach. Wreszcie w słuchawce odezwał się zaspany i

jednocześnie wściekły głos:

–Czy ty, kurwa, wiesz, która jest godzina?

–No, trochę tak. Mam taki zegarek, który sam łączy się ze stacją regulacyjną we Frankfurcie. Jest dziewięta trzynaście.

–No to cię, kurwa, zapier... Kochanie, podaj pistolet. I amunicję! Staszewski usłyszał w tle:

–Chcesz strzelać do słuchawki? Pogięło cię od rana?

–Dawaj pistolet z amunicją! Pojadę do tego skurwysyna!

–Już dobrze, dobrze. Napijesz się piwa, kawy czy soku?

–Piwa! I gdzie jest klucz od sejfu z bronią?

–Och, gdzieś zapodziałam.

–A amunicja?

–Też gdzieś tu jest. Zakrzątnę się i znajdę. – Pięć sekund ciszy. – Obudź się nareszcie. Już dobrze, dobrze. Napijesz się piwa, kawy czy soku? – zapytała jeszcze raz.

–Soku z cytryną i odrobinką lodu, jeśli mamy.

–A dołaleś wody wczoraj?

–Nie.

–No to sobie popatrz na lodówkę i zdjęcia pingwinów! Też będzie ci zimno.

Staszewski usłyszał śmiech, a potem w tle pocałunki i szept. Raczej mile, z tego, co udało mu się zrozumieć.

Rzeczywiście kobieta miała swoje sposoby, rozbroiła pisarza momentalnie. Głos w słuchawce brzmiał zdecydowanie inaczej.

–Czego pan chce?

–To ja nagrywałem pańską rozmowę z Mariolą. Dłuższa chwila ciszy.

–No nie. Jestem pod wrażeniem. Policjant, który przyznaje się do nielegalnego podsłuchu.

–Chciałbym porozmawiać o pańskiej powieści.

–Dobrze. Kiedy i gdzie?

–Może „Sankt Petersburg”?

–Stać pana na tę knajpę? Okej, ja za siebie zapłacę, ale pan...

–To ja pana zapraszam – rzucił sucho Staszewski. – Zamówię befszytk tatarski i piwo, a potem kawę po rosyjsku.

Cisza. Cisza. Cisza.

–O Matko Święta. Ile pan o mnie wie...

Policjant postanowił go dobić:

–Ale tym razem bez żadnych panienek. Ja wiem, że kelnerzy pana lubią i udają przed kolejną dupą, że pierwszy raz pana widzą. Nieźle pan to opracował. Może się pan tam pokazywać z kolejnymi dziewczynami, a oni słowa nie pisną o poprzednich.

–Dokładnie. W przeciwieństwie do „Metafory”, gdzie kelnerki donoszą kolejnej babie, z kim i kiedy byłam. – Ziemski przerwał zdumiony. – Zaraz. Czy ja jestem śledzony?

–Nie.

–To skąd te informacje?

–Ja po prostu lubię dużo wiedzieć. Śledztwo, brutalne przesłuchania, tajni współpracownicy, agenci, podsłuchy wszędzie, zdjęcia z satelity. I takie tam.

–A poważnie?

–A poważnie: to może interesujemy się tą samą kobietą?

–Którą?

Ziemski domyślił się i roześmiał nagle.

–Dobra. Niech pan nie mówi. Staszewski również się roześmiał.

–No to już pan wie którą.

–No wiem. – Pisarza wyraźnie to bawiło. – Będę, panie szwagrze. Odłożył słuchawkę.

Miszczuk i Wasiak obudzili się zziębnięci na betonowym balkonie okolonym workami z piaskiem. Byli przykryci jedynie własnymi kurtkami. Ciężko rozprostować kości po takim noclegu, ale mieli trening z Rosji. I poradzili sobie. W tym mieście nigdy nie będzie minus czterdzieści. „Flaga na maszt! Wrocław jest nasz!” Wszyscy byli strasznie głodni. Kolski szturchnął

Niemca:

–Du, kommst zu Schabermensch. Brot.

Niemiec o mało nie dostał zawału.

–Schabermensch? Nein. Schießen! One szelać! – usiłował mówić po polsku. –

One szelać, te szaberminy!

–To idź z białą flagą. Powiedz, że damy tuszonkę za chleb. Miszczuk potrząsała głową.

–Chcesz go wystawić na śmierć?

–No co pan. Do Niemca nie strzelają, bo im nie zależy. To do nas strzelają, bo my jesteśmy „władza”.

–Czy te drzwi dadzą się zamknąć od zewnątrz? – spytał Miszczuk.

–Tak.

–No to idziemy całym oddziałem.

Wyszli niczym angielscy komandos. W szyku i ze wsparciem. Niemiec i przewodnik dźwigali granaty. Po kilku minutach wydostali się z ogromnej hali.

–Gdzie? – spytał Miszczuk.

–Tam. – Kolski wskazał Wytwórnię Filmów. Usiłowali się kryć za rachitycznymi drzewkami, potem przypadli do ściany.

–Hej! – krzyknął Miszczuk. – Szabrownicy!

Zarobili serią z automatu. Wszyscy zrobili „padnij”.

Odpowiedzieli ogniem. Miszczuk ze schmeissera, Wasiaak z pepeszy, Kolski z niemieckiego erkaemu, przewodnik z mauzera, a Niemiec rzucał granaty.

–Stop! – wrzasnął Miszczuk. Niewiele już słyszeli po kanonadzie. – Hej! Wy tam! – wrzeszczał. – Chcemy się dogadać.

–Czego? – rozległo się z wnętrza. Chyba duże wrażenie zrobił na nich karabin maszynowy Kolskiego. I granaty też nie były bez znaczenia.

–Macie chleb?

–Mamy.

–No to wymiana. Dwa bochenki za dwie puszkę tuszonki.

–A jak się, kurwa, wymienimy?

–Jeden z waszych podchodzi do nas, a jeden z naszych do was. Wymiana pośrodku. Obaj bez broni.

Dłuższa chwila ciszy. Jakieś stłumione głosy, których nie mogli zrozumieć ogłuszeni karabinową palbą. I nagle dobiegł ich głośny krzyk:

–Dobra! Zaraz nasz wychodzi!

–No to niech się pokaże.

Z budynku wyszedł zarośnięty gość z dwoma bochenkami. Trzymał je w wysoko podniesionych rękach. Wasiaak odłożył pepeszę i wziął dwie puszkę. Szli w swoją stronę. Wasiaak nawet nie wiedział, że ta scena stanie się podstawą kultowego westernu „Rio Bravo”. Zbliżali się do siebie.

Ktoś strzelił. Wasiaak rzucił się na szabrownika i obalił go na ziemię. Kolski odpowiedział ogniem po oknach. Miszczuk czołgał się w kierunku drzwi. Przewodnik zastrzelił kogoś ze swojego mauzera. Niemiec wrzucił do środka granat. Miszczuk podniósł się i wbiegł do budynku.

–Nie ruszać się! – krzyczał. – Milicja Obywatelska.

W pierwszym pomieszczeniu zastał dwóch totalnie ogłuszonych ludzi. Krzyknął: „Na podłogę! Milicja Obywatelska”.

Mogli go nie słyszeć. Wywalił w sufit pół magazynka z automatu. Teraz zrozumieli i pokładli się grzecznie.

Kolski tak skutecznie walił ze swojego erkaemu, że nawet na korytarzu trzeba było uważać na rykoszety. Miszczuk wpadł do kolejnego pomieszczenia. Zrezygnował z tradycyjnego zawołania milicjantów. Czterech mężczyzn położyło się na podłodze, kiedy wypieprzył w sufit kolejną serię. Bez słowa. Zmienił magazynek.

–Ilu was jest?

Nikt nie odpowiedział. Przybiegł Wasiaak z przewodnikiem.

–Tam dalej nikogo nie ma!

–Co?

–Sprawdziłem wszystkie pomieszczenia. Jest tylko tych sześciu. Ale nie sposób oblecieć wszystkiego. Te korytarze to jakieś kakatupy.

–Co?!

–Wiem, że nie słyszysz – wydarł się przewodnik. – On chciał powiedzieć „katakumby”.

–Więc co? Zabieramy tych sześciu i spierniczamy?

–Myślę, że tak będzie najlepiej. Ale zobaczmy, co oni tu mają. – Podeszedł do sterty przedmiotów. Gramofony, radioodbiorniki, ubrania, meble, precjoza.

Zdarł ogromną plandekę z jakiegoś wielkiego przedmiotu.

–O Matko Święta! Samochód.

–No, całkiem fajna furmanka. Ale gdzie dyszel? Przewodnik wziął to za dowcip.

–Jak oni go tu wprowadzili? Wasiak tylko machnął ręką.

–W tej wytwórni czy przetwórni korytarze takie, że ciężarówka by się zmieściła.

–Popatrzcie tutaj. Kawior! Mischuk wybaluszył oczy.

–A co to jest kawior?

Wasiak odkręcił pokrywkę małego słoiczka i powąchał.

–Po mojemu jest to gówno łabędzia, ale zmielone. – Zastanowił się chwilę. I powiedział zamyślony: – Z tymi Niemcami to już naprawdę musiało być źle pod koniec wojny, jak gówno pakowali do słoiczków.

–Panowie – włączył się przewodnik – zabierajmy, co nam się przyda, i wracajmy na nasz strongpoint!

–Na co?

–No... – nie umiał znaleźć słowa. – Na odpowiednik Westerplatte! Wasiak aż przysiadł z wrażenia.

–Panie. To po drugiej stronie Polski jest! Nie dojdziemy tam nawet i w cztery dni.

–Mówilem o symbolu. Spieprzajmy na nasz balkon. Na ostatni punkt obrony.

–No dobra, spieprzajmy. Ale... Kto powie Kolskiemu, żeby przestał strzelać do okien i drzwi? – Mischuk wskazał za siebie.

Wszyscy zwątpili. Strach był za duży. Nikt nie chciał wychodzić pod ogień.

–Wyrzucimy białą flagę.

–No przecież sam powiedział, że durny jest. A jak nie zrozumie? Wasiak drapał się po głowie.

–No to wyrzucimy granat.

–Chcesz zabić kolegę?

–No to krzyczymy.

–Przecież nie usłyszysz. Nie przekrzyczymy tej palby. Wasiak się obraził.

–No to wezwijmy lotnictwo i artylerię.

–Masz rację. Murzyni mają takie bębny. Tam-tamy. I jeśli w nie walą, centrala od razu wie, o co chodzi. Wyprodukuj tu taki jeden, będziesz miał nagrodę Stalina.

Mischuk zapalił camela bez filtra. Zaciągnął się i usiadł pod ścianą.

–Ile on ma amunicji? – zapytał.

–Dużo – powiedział przewodnik.

–W takim razie mamy dwa wyjścia. Albo czekamy, aż mu się skończą naboje, ale to kiepska opcja, bo może sobie coś zachować na czarną godzinę. I może się akurat ściemniać, kiedy wyjdziemy.

Przewodnik parsknął śmiechem. Mischuk niezrażony kontynuował:

–Jest drugie wyjście. Proste, łatwe i przyjemne. Spierniczamy tymi korytarzami, po których to podobno mogą jeździć ciężarówki, wybijamy okno po drugiej stronie budynku i schrzaniamy dalej. Obchodzimy całą Halę Ludową wokół i jesteśmy za plecami Kolskiego. A wtedy już sobie poradzimy. – Rozejrzał się po twarzach obecnych. – Szabrowników, jeśli tam są, przykryje się ogniem. I co, proste?

Towarzyszący im Niemiec musiał coś zrozumieć, bo krzyknął przerażony:

–Korytarze nein! Nein, nein, nein! Dort sind Geister! Duchy, duchy!

–Co on, kurwa, mówi?

–Mówi, że tu są duchy.

–Posłałbym go do Rosji na minus czterdzieści. Tam by zobaczył, co to są duchy. Prawdziwe.

–On mówi, że tu straszy. Że uciekali z Kolskim i strzelali. Ale to nic nie dawalo. Przez całą noc przesiedzieli na dworze opatuleni jedną kurtką. Zimno było, ale bali się wejść do budynków. No to walili do wszystkiego, co się rusza. Przypadkiem ustrzelili jednego szabrownika. Ciemność straszna.

–No... to im się chwali. Może medal im dadzą.

–Rano ufortyfikowali balkon. Nikogo nie widzieli oprócz szabrowników, do których strzelali, i z rzadka rosyjskich patroli. Wymieniali zdobyczny spirytus na tuszonkę.

Mischuk podszedł do jednego z leżących na podłodze szabrowników. Kopnął go w bok, ale z wyczuciem, tak żeby nie złamać żeber.

–Ty. Czy jest tu boczne wyjście?

–O Jezus Maria! – wrzasnął tamten. Mischuk wyjął z kieszeni francuskie lusterko, które dostał w jednej z paczek. Przejrzał się.

–No – powiedział z uznaniem. – Na Jezusa to ja może wyglądam. Fakt. – Zawahał się. – Ale Wasiak za cholerę nie przypomina Maryi.

–Boże! Nie idźcie tam!

–No proszę. Już jestem Bogiem. Szybki awans.

–Ludzie, tam straszy. W tych korytarzach.

Miszcuk odpalił kolejnego camela.

–Ja mam światopogląd... – Zamyślił się. – Chryste, jaki mam światopogląd? Przecież mówili nam to na spotkaniach partii.

–Materialistyczny – odpowiedział mu Wasiak. – Marksistowsko – engelsowsko –leninowski.

–Ano właśnie. Ja się duchów nie boję! Mam schmeissera i granaty.

–Nie idźcie tam! – krzyknął szabrownik. – Dwóch naszych kolegów zaczęło wrywać kwiatki z niemieckich klombów, układali je w takie dziwne wzory, tańczyli, a potem się zastrzelili.

Miszcuk odrzucił papierosa. Wpadł na pomysł.

–Dobra. To wychodźcie pierwsi pod ogień Kolskiego.

Jeden z szabrowników wykazał się refleksem i pomyslowością. Namoczył spirytusem jakąś szmatę, podpalił i wyrzucił na zewnątrz. Potem wykazał się też odwagą. Podniósł ręce i wyszedł, drąc się:

–Nie strzelać! Na rany Chrystusa, nie strzelać!

Kolski rzeczywiście zdjął palec ze spustu. Wyszli wszyscy. Każdy, kto miał, zapalił

papierosa. Brzęczało im w uszach. Byli nieprzytomni od huków, zapachu spalonej nitrocelulozy z nabojów i nerwów.

Najchętniej by się gdzieś położyli. Zamiast tego usiedli pod ścianą i najpierw usłyszeli skrzypienie, a potem zobaczyli jakis oniryczny widok.

Kilka kobiet ciągnęło drewniany wózek własnej roboty. Były strasznie zmęczone. Jedna z nich trzymała kilkuletnią dziewczynkę. Miszcuk musiał się zainteresować, choć głowa mu się kiwała.

–A, przepraszam, panie co tu robią?

Najstarsza odpowiedziała:

–Panie kochany, PUR nam dał wilłę na tym Biskupinie. Po Niemcach. Ale tu po nocy strzelają, jakieś bandy biegają. Nie, my wracamy do śródmieścia. Strach ginąć.

–Przecież tu już nikt nie strzela. Jesteśmy z Milicji Obywatelskiej i...

Przerwała mu:

–Nikt nie strzela? A to to co jest? – Wskazała na luski z karabinu Kolskiego. – Chabazie jakieś czy co?

–O. To pani z Wilna? – rozpoznał charakterystyczny wyraz.

–Z Wilna to ja byłam przed wojną. Teraz wracam z rosyjskich stepów.

–Rozumiem.

–Niczego pan nie rozumie. Nasi mężczyźni są w Anglii. A mój mąż za kole m polarnym, brat bruki układa w Samarkandzie.

Miszcuk potarł brodę. On naprawdę wiedział, o czym ta kobieta mówi. Choć nigdy nie był za kanałem La Manche. Znał tę drugą stronę, którą i one znały. Nie szybkostrzelne myśliwce dla Polaków. Tylko „łopata, siekiera, motyka i kilofy...” - zanucił w myślach popularną piosenkę.

–Mogę udostępnić wam mieszkanie w centrum. Jednej ściany nie ma, aleśmy butelki ustawili, żeby nie wypaść po śpicy.

–Bóg zapłać, dobry człowieku. Tylko niech pan powie jedną rzecz. Te kilka kobiet i dziecko mają odbudowywać to wszystko? Nasi mężczyźni są albo w Anglii w wojsku, albo w gulagu.

Zacisnęła zęby. Nie wiedział, jak ją pocieszyć. Powiedział niezdarnie:

–Proszę pani. Damy radę!

–Domyślam się. Nie z takich upadków się podnosiliśmy.

–Damy radę – powtórzył i napisał kobiecie na kartce adres. Ciężko szło, bo musiał popluwać na chemiczny ołówek. A poza tym pisać to umiał ledwie ledwie. Podziękowała z kurtuazją właściwą kresowej szlachcie.

Potem wzięła w dłoń sznurek od wózka i zaczęła ciągnąć z innymi kobietami. Chwyciła za rękę dziewczynkę, żeby się nie zgubiła. Miszcuk podbiegł nagle i dał im w odruchu serca jeden ze zdobycznych bochenków chleba. Kobieta odpowiedziała serdecznym uśmiechem. Miała bardzo ujmujący uśmiech.

Sławek Staszewski siedział w wykwintnej restauracji „Sankt Petersburg”. Włączył sobie jakiś film w malutkiej, przenośnej przeglądarce, którą trzymał w dłoni, ale nie zdążył niczego obejrzeć. Mimo korków na ulicach i trudności z zaparkowaniem Ziemi przyszedł punktualnie co do sekundy. Kelnerzy na jego widok zaczęli przygotowywać dwuosobowy stolik, domyślając się, że zaraz przyjdzie jakaś kobieta, ale Staszewski zdziwił ich, podnosząc się lekko.

–Witam pana.

–A, dzień dobry. – Podali sobie ręce. – Ale może przejdziemy na ty. Będzie mniej oficjalnie.

–Świetny pomysł. Sławek.

–Andrzej. Kelner podbiegł z boku z pytaniem:

–To co zwykle?

–To co zwykle, poproszę. Sławek roześmiał się.

–Będę się powtarzał. Czy jest jakaś knajpa w Polsce, gdzie cię nie znają?

–Na pewno jest. Chyba nie byłem jeszcze w Kielcach.

–Pięknie. – Sławek przełączył swoją przeglądarkę na tryb wyszukiwania. Wyświetlił wybrane fragmenty tekstu. – O to by mniej więcej chodziło.

–O Jezu. Zeskanowałeś całą powieść? – Ziemski skupił się nad wybranymi fragmentami powieści. – Słuchaj. Jest tu jeden problem. Jestem pisarzem, lecz pisarzem fantasta.

–Do czego zmierzasz?

–Opieram się na faktach. Jeśli czegoś nie wiem, to zawsze konsultuję u fachowców. Ale... – zawiesił głos. – Nie wciskam kitu czytelnikom. Z tym że powieść to powieść. Musi tam być trochę fantastyki. Trochę zmyśleń. Jakaś fabuła, którą trzeba zaczerpnąć wyłącznie z własnej głowy.

Pisarz zajął się przyrządzaniem przyniesionego właśnie befsztyku tatarskiego.

–Dotarliśmy do tego samego dokumentu – kontynuował. – Te kobiety złapali w centrum ubecy, czy jak oni się tam wtedy nazywali. Znaleźli w wózku klamoty z Wilna, które zdołały wywieźć, i bochenek chleba, który dał im Miszczuk. Zaczęli wypytywać.

A kiedy się okazało, że połowa ich mężczyzn jest w Anglii, a połowa w gulagu, no to od razu do pierdła. Uratował je list Miszczuka. Ten, w którym przekazywał im swoje mieszkanie. No i... już bez wózka i bez chleba mogły zająć to mieszkanie.

–A to skąd wiesz, bo w dokumencie nic na ten temat nie ma? Andrzej uśmiechnął się szeroko.

–Z opowieści rodzinnych. Ta kobieta to była moja babcia.

–UB robiło szaber? – Staszewski potrząsnął w zdumieniu głową. To tym pisarz wypełniał luki, które pozostawiały policyjne dokumenty!

–Ależ skąd. Tylko konfiskaty. – Andrzej upił łyk piwa. – W tysiąc osiemset którymś car skonfiskował mojej rodzinie dobra za udział w powstaniu i posłał mężczyzn na Sybir. Sowiety zabrały dziewczynom sklep z nabiałem w Wilnie, którym się usiłowały ratować przed głodem. A potem ubecy zabrali im wózek ze szmatami i bochenek chleba. Był czas przywyknąć.

Staszewski dostał specjalność lokalu – boeuf Strogonow. Zajął się nim bezzwłocznie, choć był strasznie gorący. Jedzenie wyraźnie mu smakowało. Popił zimnym piwem.

–No to co, powiesz mi coś? – spytał Ziemskiego. – Do jakich dokumentów dotarłeś? I może coś jeszcze z opowieści rodzinnych?

–Nie ma sprawy. – Andrzej skończył już beltanie tataru i też zabrał się do niego skwapliwie. Mówił więc troszkę niewyraźnie. – Sprawa wyglądała bardzo dziwnie. Ludzie wybuchali, palili się albo popełniali samobójstwa. Bez powodu. Zawsze towarzyszyły im kwiaty. Opowiadał mi o tym Kuger, ale za defetyzm został odsunięty od śledztwa. I chyba dzięki temu przeżył. Choć go później poharatowały ruskie bombowce, których się strasznie bał.

–Coś więcej?

–Dotarłem do różnych dokumentów w archiwach. Otóż trzeba było przejść skomplikowany rytuał. Tylko się nie śmieć, proszę.

–Nie będę się śmiać.

Kolejny kęs tataru.

–O ile dobrze zrozumiałem, cały sens rytuału polegał na tym, żeby żadnego nie przechodzić.

Staszewski mimo obietnicy z trudem opanował mięśnie twarzy.

–A te kwiatki, tańce?

–To sam koniec. Wtedy już jest po wszystkim.

–Nie rozumiem.

–Wiesz, dotarłem tylko do strzępów informacji. Zorientowałem się, że większość ofiar miała nerwicę natręctw. Jak ja.

–Ja też. Witamy w klubie.

Ziemski roześmiał się, podnosząc szklankę piwa.

–No to jesteś w grupie ryzyka.

–Eksperymentowałeś, żeby dojść do rozwiązania?

–Tak. Ale przestraszyłem się. Dokładnie w momencie, kiedy trzymałem lufę pistoletu przy skroni i krzyczałem do swojej kobiety: „Trzymaj mnie, trzymaj!”. Na szczęście rosła i silna jest. Przytrzymała.

–A kwiatki były?

–Nie zamawiałem w kwiaciarni ani nie rwałem z klombu. Moja kobieta kocha roślinność. Ciągle w domu jest pełno kwiatów, często egzotycznych.

–Czy Grunewald miał też nerwicę natręctw?

–Tak. Z całą pewnością.

–A Miszczuk i Wasiak?

–Tego nie wiem. Z akt milicji też się nie dowiesz.

–A inne osoby?

–Wszystkie miały. Na ile zdołałem odczytać z tych papierów. Ale wiesz, jeśli ktoś cierpi na to samo i zna objawy, to każdy drobiazg naprowadza na cel.

–Dokładnie. Powiedz coś więcej o tym rytuale. Przerwali na chwilę, że by kelner mógł zabrać naczynia.

–Ciężko o tym opowiadać. Może inaczej: trudno ubrać w słowa. To są powtarzające się sytuacje. Jakies drobiazgi. Rzeczy pozornie bez znaczenia. Na przykład jednemu facetowi bierki za każdym razem układały się w ten sam sposób. Inny, kiedy się zde nerwował i krążył pomiędzy pokojami, przekraczając próg, zawsze robił to lewą nogą. Jakkolwiek by obliczał odległości, robił mniejsze czy większe kroki, zawsze wypadła lewa noga. Gdy się ma nerwicę natręctw, to takie coś strasznie przeszkadza.

–Wiem coś o tym.

–Domyślam się. Były inne rzeczy. Liczenie sztachet w płocie, patrzenie na zegarek, o której rano pojawi się kot sąsiadów w oknie. Stepowanie na kafelkach, że by nie nadepnąć na fugę...

Przerwał nagle, widząc, że Staszewski ociera jednorazową chusteczką pot z czoła.

–Thou art the men!

–Proszę?

–To z opowiadania Lema o przeznaczeniu. Cytat chyba z Edgara Allana Poe. Nie pamiętam. – Ziemi dopił piwo. –

Oglądasz kota sąsiadów w oknie i sprawdzasz, o której godzinie się pojawił?

–Tak.

–No to jesteś na najlepszej drodze do rozwiązania sprawy. – Nachylił się nad stołem. – Tylko pamiętaj: kresem tej drogi jest śmierć.

–A kwiatki?

–Kwiatki to ci przyniosę na pogrzeb. – Ziemi nachylił się jeszcze bardziej. – Pamiętaj. Przeżyłem jedynie dlatego, że tuż obok stała duża, silna kobieta i wyrwała mi z ręki broń.

Grunewald obudził się zlany potem. Chciał się przewrócić na drugi bok, ale poduszka była mokra i zimna. A poza tym zegar ścienny tykał potwornie głośno: „tik-tak, tik-tak, tik-tak”. Podniósł się ociężale. Jego koszula nocna była też przemoczona, podobnie szlafmyca. Chwiał się na nogach, jak zawsze po przebudzeniu. Otworzył drzwiczki zegara i zatrzymał wahadło. Było mu strasznie zimno. Budzik głośno podawał swoje „tyk, tyk, tyk”. Drażniło to Grunewalda, więc schował zegarek do szuflady, nakrył małą poduszką i zamknął. Usłyszał kroki mleczarza z za okna i podkute buty: „stuk, stuk, stuk”. W tym samym rytmie co zegary. Zamknął okno. Niewiele to pomogło. Owinął się szlafrokiem. Głowa mu się kiwała, nie mógł dojść do siebie. Usiadł na brzegu łóżka i zapalił papierosa. W oknie sąsiadów pojawił się kot, którego obserwował co rano. Natychmiast skoczył do szatki nocnej i sprawdził, która jest godzina. Szósta trzynaste.

–Helga! – krzyknął. – Helga! Usłyszał jakieś niewyraźne dźwięki z pokoju obok.

–Helga! Trzeszczenie kozetki, rozdierające ziewanie, odgłosy szarpania się z garderobą, potem: „tup, tup, tup”, w tym samym rytmie co zegary. A właściwie: „szu, szu, szu”, bo szurała kapciami po podłodze. Choć ciągle w tym samym rytmie. Służąca w podomce narzuconej na koszulę nocną stanęła w drzwiach.

–Tak, proszę pana?

–Zrób mi coś do jedzenia i przygotuj mycie...

–Już robię.

Poszła do łazienki. Zaspana szurała kapciami: „szu, szu, szu”. Grunewald kiwał głową na prawo i lewo.

–Napełnić wannę czy...

–Nie. Szybkie mycie. Postawiła stolek, na nim miednicę. Przygotowała mydło i ręcznik. Zaczęła gotować wodę.

–A pan znowu z tymi duchami się zadaje? – spytała.

–Skąd wiesz?

–No, wczoraj pan przyszedł lekko wstawiony. A może i nie lekko. Musiałam przygotować pana do snu. No i naopowiadał mi pan, że nie może skończyć sprawy, która ciągnie się tak długo.

–To wszystko przez tego Kugera. Defetysta koszmarny. Zdobyliśmy Francję, Holandię, Belgię. Goering powiedział, że wybombardujemy Anglię z wojny. A on stale powtarza, że przyjdą Polacy i zabiorą nam Breslau. Wariat jakiś.

–Ma pan całkowitą rację. Pan Hitler zmył hańbę naszej kapitulacji podczas poprzedniej wojny.

–Dokładnie! I kazał spalić ten wagon, gdzieś my ją podpisywali.

–Widziałam w kronice filmowej. Nalala gorącej wody do miski. Sprawdziła ręką, dołala trochę zimnej.

–A Kuger po prostu się boi. Przecież mamy takich sojuszników jak Związek Radziecki i USA. Największe państwa na świecie!

–Ma pan rację. A co z tymi duchami? Tym się zajmuje policja?

–To jest coś bardzo dziwnego. Umył ręce i twarz. Wkręcił nową żyłkę do maszynki. Długo rozrabiał mydło w

małym naczynku. Potem nałożył je na policzki i brodę ogromnym pędzlem. Zaczął się golić.

–No i co z tymi duchami? Tego nie powinien robić ten... no... egzorcysta?

–To nie jest takie proste.

–To nie jest takie proste – powiedział Miszczuk. Zdjął skórzany pasek i zawiązał go na barierce balkonu Hali Ludowej.

Naostrzył brzytwę, przesuwając ją w przód i w

tył na pasku. Nie miał mydła, więc zmoczył twarz zabranym szabrownikom spirytusem. Wyjął swoje francuskie lusterko i zaczął się golić. – Ci wszyscy ludzie mieli ze sobą coś wspólnego.

–Mówisz o duchach? – Kolski ocknął się znad swojego karabinu maszynowego.

–Nie. Biorę sprawę na swój prosty, chłopski rozum. Każdy zrobił to samo. A to, co usłyszeliśmy od szabrowników, świadczy, że oni wcześniej też to robili.

Przerwał im huk rozbijanych drzwi. Do środka monstrualnej hali wjechał jeep wyladowany żołnierzami.

–Hej tam! Jest tu ktoś? – krzyknął oficer siedzący obok kierowcy.

–A wy kto? – Kolski przywarł do swojego erkaemu.

–Porucznik Izaak Blumstein. Urząd Bezpieczeństwa.

–A. To dobrze. Chodźcie tu na balkon. Żołnierze z jeepa zrobili osłonę, celując ze swoich karabinów. Kolski wychylił się znad worków z piaskiem.

–Niepotrzebnie – krzyknął, wskazując trupa szabrownika. – On już jest nieżywy. Rzeczywiście słabował na umyśle. Było to widać gołym okiem. Blumstein dotarł do nich po paru minutach, błędząc po korytarzach.

–Co tu się dzieje?

–Złapaliśmy szabrowników.

–I brzytwą ich zalatwicie? – Rozszerzył oczy ze zdumienia.

–Nie, nie. Ja się tylko golę – odparł Miszczuk.

–Kurwa! To mnie wysyłają, żebym sprawdził, co się stało z dwoma milicjantami, którzy od dwóch dni nie zgłaszają się na komendzie, a oni sobie bibkę urządzają! – Spojrzał na sterty wiktuałów skonfiskowanych szabrownikom. – O! Nawet kawior!

–Nie, to labędzie gówno – powiedział Wasiak całkiem szczerze. – A te butelki to, panie, szczyzny jakieś.

–Beaujolais z 1938 roku? – powiedział Blumstein, podnosząc butelkę wina.

–Tego się pić nie da. Zgaga potem straszna. To jakaś taka lemoniada, ale ohydna w smaku.

–A co pijecie?

–No spiryt. Też te szabry miały. Oficer poprawił swój nienaganny mundur.

–No właśnie. Tak podejrzewałem. Nawalili się i nie przyszli na odprawę. Miszczuk nie dawał za wygraną:

–Panie poruczniku... Tu są duchy.

–Tak? Doprawdy?

–Są!

–No to pokażcie mi jednego. Miszczuk i Wasiak spojrzeli po sobie. Kolski aż się skulił ze strachu. Niemiec na szczęście nie rozumiał.

–No, nie ma sprawy. Tylko musimy pójść do Wytwórni Filmów.

–Dobrze.

–Ale ja tam z panem nie wejść. – Miszczuk schował swoją brzytwę i lusterko. Pachnący lawendą oficer nie wnikał.

Wyglądał pięknie w swoim mundurze. Tak

jakby przedwojennym. Tak jakby.

–Dobrze. Pójdę sam.

Godzinę później Blumstein przybiegł do wnętrza Hali Ludowej. Wyrwał kanister ze swojego jeepa i oblał się benzyną.

Usiłovali mu przeszkodzić, ale odskoczyli, kiedy włożył do ust papierosa i wyjął zapalniczkę. Uciekali najszybciej jak mogli.

Kiedy już się palił, wrócili. Miszczuk podciął go, kopiąc w nogę obcasem. Na leżącego Wasiak narzucił swój płaszcz.

Żołnierze pomogli szynelami. Udało im się zagaścić ogień. Zrobili jednak błąd. Zapomnieli o kaburze. Blumstein wstał, zrzucając płaszcze i szynele. Coś charczał, usiłując mówić, lecz miał już chyba zbyt poparzone płuca, nie mogli go zrozumieć. Wyciągnął tetetkę, przeladował i strzelił sobie w usta.

Miszczuk w szoku usiadł na podłodze, podnosząc oczy do góry, jakby chciał podziwiać monstrualną betonową kopułę nad nim. Wasiak czyścił swój płaszcz z kawałków spalonej skóry. Żołnierze stali nieprzytomni. Niemiec powtarzał:

–Mein Gott! Mein Gott! Mein Gott! Miszczuk wziął się w garść.

–Co to jest? – spytał szabrowników.

–Nie wiemy!

–Nie lubię takich odpowiedzi.

–Naprawdę nie wiem – powiedział najstarszy. – Tych dwóch naszych, co zginęli, poszło chyba za daleko.

–A dlaczego wam się nic nie stało?

–Nie mam bladego pojęcia.

–I nie baliście się robić składu szabrowego w budynku, gdzie straszy? – włączył

się Wasiak.

Tamten tylko wzruszył ramionami. Wyglądał na rozsądnego człowieka. A przynajmniej racjonalnego.

–Żeby coś się stało, to chyba musi być kopuła. Tak mi się wydaje. I jeszcze ludzie muszą być odpowiedni.

–Odpowiedni do czego?

–No... inni.

–W jakim sensie?

–Nie widział pan? Ten oficer, który tu przyjechał – wskazał na trupa Blumsteina – przez cały czas bębnił palcami w drzwi samochodu. W określonym rytmie. – Szabrownik zastanowił się chwilę. – Tak jak i pan przez cały czas liczy okna wzrokiem.

Wasiak aż podskoczył. Skąd tamten wiedział? Miał aż taki zmysł obserwacji?

–Co to ma do rzeczy? – rzucił sucho.

Przerwał mu Mischuk:

–A ja liczę rzędy ławek w tej ogromnej hali. Boże, przestańcie pieprzyć. – Podniósł swój automat. – Pójdę tam zaraz i sprawdzę.

–Nie radzę – odparł cicho szabrownik. – A przynajmniej niech pan nie wchodzi do tej sali z kopułą.

–Co tam się dzieje?

–Widzi pan, tam się nic nie dzieje. Ale kiedy przybiegł kolega i walnął do siebie z pistoletu maszynowego, to naprawdę zważyłem. Ja już widziałem różne samobójstwa. Od trutki, strzału w głowę, powieszenia, utopienia. Ale żeby gość walił w siebie z automatu w klatkę piersiową?

Mischuk spojrział na trupa Blumsteina. Drżały mu ręce. Napił się trochę spirytusu i walczył o odzyskanie oddechu. Jak zawsze po takim trunku pojawiła się uporczywa czkawka. Otworzył nową paczkę amerykańskich papierosów. Zapalił chesterfielda. Po machorce, którą palił na Wschodzie, wszystkie zachodnie gówna były dla niego za słabe. A te brązowe, ogromne brazylijskie papierosy już się skończyły.

–Kim byłeś przed wojną?

–Policjantem. Wydział zabójstw.

–I teraz szaber robisz?

–A z czego mam żyć? Co mam do mordy włożyć? Może do milicji mnie weźmiecie na pensję? – zakpił. – Poślecie do gulagu, bo miałem czelność przed wojną ścigać bandytów.

–No dobra, dobra – powstrzymał go Mischuk. – Za wojny co robisz?

Szabrownik masował sobie skronie. Potem spojrział na nich w desperacji.

–Nie wiem, dlaczego to mówię, bo kręcę sobie sznur na szyję. – Odetchnął głęboko. – Bylem informatorem AK. A kiedy mi się grunt zaczął palić pod nogami, spieńczyłem do lasu.

–Jaki oddział? Nazwisko dowódcy?

–Gówno się ode mnie dowiedzie!

Mischuk i Wasiak spojrzeli po sobie. Facet robił wrażenie.

–A jak ty się właściwie nazywasz?

–Sławomir Borowicz.

Niedokończony chesterfield z pstryknięcia wylądował na samym środku hali. Był to wyczyn świata, choć nie odnotowano go w żadnych kronikach.

–No to teraz cię zdziwię. Zostałeś właśnie przyjęty do Milicji Obywatelskiej.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Żadnej reakcji po żadnej ze stron. Jakby usiedli do pokera.

–Jaja sobie robicie? – sondująco.

Mischuk wychylił kolejny lyk spirytusu. Ta pieprzona czkawka.

–Nie. Przedwojenny policjant? To musisz tylko nam pomóc rozwiązać sprawę tych zgonów.

–A moi koledzy?

Mischuk pogardliwie machnął ręką.

–Kolegów odwożą jeepem. Znaczą żołnierze. Ale nie do UB, tylko na milicję. Nic strasznego im się nie stanie.

Wasiak postanowił się włączyć:

–Właśnie! A my pojedziemy tym ich skradzionym samochodem. Mischuk zamyślony pokiwał głową.

–A czy ty ktoś potrafi prowadzić tę furmankę?

–Ja umiem – powiedział Borowicz.

–No to jeszcze lepiej. – Wstał i podniósł prawą dłoń. – Zaprzysiężenie. Powtarzaj za mną: „Będę służyć Polskiej Republice Ludowej”...

–Mam w dupie republikę ludową!

Mischuk nie odzywał się dłuższą chwilę, ponieważ wstrzymał oddech, usiłując pozbyć się czkawki.

–Nie rób z siebie politycznego, bo UB weźmie. Polski nie masz w dupie?

–Nie. Mischczuk klepnął Wasiaka w plecy.

–Widzisz? Przysiągł.

–No – zgodził się tamten. – Tak. Ale jakoś tak niemrawo.

–A ty niemrawo popierniczasz do kościoła w każdą niedzielę? Aż się za tobą kurzy, ty komunisto.

–No, ale przysięgał na dupę.

–A ty to na Matkę Boską Częstochowską przysięgałeś przed komisją partyjną?

–No fakt, że partia i dupa to mniej więcej to samo. Masz rację. Mischczuk podszedł do Borowicza. Dał mu swojego schmeissera i dwa magazynki.

–Jaki miałeś stopień w partyzantce?

–Porucznika.

–No to teraz jesteś porucznik Sławomir Borowicz z Milicji Obywatelskiej. Tylko pomóż nam rozwiązać tę sprawę.

Była trzynasta trzynaście.

Staszewski obudził Mariolę, która przysła zmachana z pracy i ucięła sobie drzemkę na kanapie. Przyniósł laptopa z zeskanowaną powieścią, którą studiował od wielu dni.

–Posłuchaj. – Pokazał jej. – Popatrz, co on napisał na sto trzynastej stronie. Nieprzytomna tarła oczy.

–Co?

–Pisze, że szedł trzynastego maja ulicą Łaciarską. Uzbrojony po zęby, bo już mu odbijało. Miał pistolet, rewolwer, zapasowe magazynki, kamizelkę kuloodporną z kewlaru. A na to maskującą kurtkę z goreteksu.

–W maju? – ziewnęła. – No to musiał się strasznie spocic.

–Dokładnie. Tak to opisuje. Ale...

–Ale? – Włączyła telewizor nieprzytomna. Kanał trzynasty. Poskakała po innych, lecz nie znalazła niczego ciekawego.

Włączyła więc radio. Automat włączył kanał

trzynasty. Podawali wspominki ze stanu wojennego, trzynastego grudnia. Przeskoczyła na jakąś stację z cichą muzyką.

–I co się stało?

–Taka dziwna rzecz. On już w panice przeladował swojego HeckleraKocha, odbezpieczył...

–To chyba nielegalne.

–Nieistotne. Był spanikowany. I nagle...

–Co się stało? – Podniosła się z kanapy, pokazując swój kształtny biust.

–Z boku podszedł jakiś chłopczyk. – Palce Staszewskiego sprawnie stukwały w klawisze, że by pokazać odpowiednie fragmenty tekstu. – Miał na sobie pseudoamerykańską koszulkę do baseballa z numerem trzynaście. I powiedział... –Nie mógł zrolować tekstu na odpowiedni fragment, bo ciągle zatrzymywało mu się na stronie sto trzynastej. W końcu jednak znalazł. – Chłopczyk powiedział: „Ten, który przybiera maskę złego, może być tym dobrym”.

–No i co to znaczy?

–Właśnie nie wiem. Później poszedł do domu, rezygnując z celu marszu.

Przyłożył sobie lufę do skroni, lecz na szczęście tuż obok była duża i silna kobieta.

Wyrwała mu broń z ręki.

–Do czego zmierzasz?

–Nie mam pojęcia. Dziwi mnie tylko, że Ziemski opisał scenę własnej próby samobójstwa na stronie sto trzynastej swojej powieści.

–Kompletnie nie rozumiem, o co chodzi.

–Sprawdź, który program jest nastawiony w naszej pralce.

Wstała wściekła i jednocześnie rozespana. Pomstowała pod nosem na te głupoty,

na durną pracę i na Sławka w szczególności. Przecież wczoraj sami wstrzymali pralkę, żeby jej praca nie przeszkadzała im we śnie. No, a teraz jej się przypomniało, że powinna uruchomić ją ponownie. Zerknęła na pokrętło. Piękne piersi podrygiwały przy każdym ruchu.

–Programator stoi na trzynastce – powiedziała.

–No widzisz? – Zapalił papierosa. – Nie za dużo tych trzynastek?

–Widzę tylko, że jesteś durny do imentu! A może właśnie twój papieros, który jarasz, jest trzynasty w paczce?'

Pokiwał głową.

–Nie wiem. – Rzucił jej paczkę. – Przelicz, ile zostało.

Liczyła opuszkami palca, dotykając każdego filtra. Potem podniosła wzrok. – Siedem. – Spojrzała ze zdziwieniem. – O kurwa!

Mischczuk zapalił własnoręcznej roboty pochodnię, lecz rozświetlenie gigantycznej hali w nocy było niemożliwe. Równie dobrze mógłby sobie włożyć tę pochodnię w dupę – efekt ten sam, ale przynajmniej byłoby wesoło, jakby wykonał solowy popis „taniec świętego Wita z kijem w tyłku”. Nieźle brzmiałoby to na plakatach reklamowych.

Borowicz obudził się, szukając gorączkowo swojego schmeissera. Wasiak totalnie zaspany chwycił pepeszę, Kolski dopadł do erkaemu, Niemiec chwycił granaty, a przewodnik mauzera.

–Co się stało?

–Warta mi się kończy, a tam się coś rusza!

–Gdzie?

–No nie wiem gdzie. Nic nie widać.

Najlepszym refleksem wykazał się Borowicz. Wyrwał pochodnię Mischukowi i zrzucił z balkonu.

–Do jasnej cholery! Dzięki temu światłu oni nas widzą, a my ich nie. Kolski poprawił taśmę karabinu.

–Pociągnąć serią?

–I w co trafisz po ciemku? Najszybciej we własną dupę.

–To co robić?

Borowicz zwrócił się do Niemca:

–Du, Granaten machen. Verstehen?

Tamten na szczęście zrozumiał. Wyrwał zawleczki i rzucił dwa granaty. Wszyscy odłożyli broń, żeby zatkać sobie palcami uszy. Pochodnia na dole nie zgasła od wybuchów. Wyjrżeli znad worków z piaskiem z ciekawością. Niczego nie było widać poza chybottliwym kręgiem światła rzucanym przez pochodnię.

–E tam. Pociągnę serią – powiedział Kolski.

I nagle zobaczyli człowieka, który wszedł w krąg światła pochodni. Przeladowali swoje pistolety i karabiny. Choć nie było sensu strzelać. Człowiek zaczął układać podpierniczone z jakiegoś trawnika kwiatki w skomplikowaną figurę.

–O kurwa! – Borowicz odłożył papierosa, którego międlil w ustach, ale nie

zapalał, bo bał się użyć zapalniczki w ciemności. Byłby łatwym celem. – Zejdę tam i go

powstrzymam.

–Nie boisz się szabrowników?

–Przecież to moi koledzy.

–No, ale w ciemności jebną cię, zanim się zorientują.

–W tej chwili rabują po domach. Przecież zaraz świt.

–No dobra. Będziemy cię osłaniać, dopóki pochodnia nie zgaśnie. Potem połóż się pod balkonem i leż, udając, że cię nie ma.

–Nie ma sprawy. – Borowicz wyskoczył na korytarz i ruszył, szorując ręką po ścianie, żeby trafić na schody. Nic nie było widać.

Zobaczyli go ze swojego Westerplatte, jak nazwali ufortyfikowany balkon, kiedy podchodził z automatem w rękach.

Wrzasnął: „Ręce do góry!”. W tym momencie mężczyzna eksplodował.

Niemiec przeliczył pozostałe granaty, żeby mieć pewność, że nikt żadnego nie rzucił. Kolski z nieprzytomnym wyrazem twarzy taszczył dwie skrzynki amunicji do swojego erkaemu. Mischuk z Wasiakiem patrzyli na siebie jak oniemiałi. Na dole Borowicz otarł sobie okrwawioną twarz rękawem, a potem zgodnie z instrukcją położył się pod balkonem, osłaniając tym, co znalazł. Niemieckim, ciężkim krzesłem.

Świtało.

Grunewalda obudził dozorca domu.

–Proszę pana, jest telefon do pana!

–Gdzie?

–W aptece. Przyszedł mleczarz i mówi, że pan Kuger chce, żeby pan do niego zadzwonił. Do kripo.

–Verflucht! Odsunąłem go od sprawy.

–Ja tam nie wiem. Mleczarz był w aptece i przekazał wiadomość.

–Dobrze, dziękuję. – Odwrócił się, zamykając drzwi. – Helga! Helga! Szybkie

mycie i ubranie. Mydło i brzytwa! Śniadanie.

Jak zwykle szurając kopciami, przyniosła mu z łazienki miednicę, dzbanek z wodą i przybory do golenia. Pędzłem rozrabiał mydło w naczynku, a ona smażyła jajecznicę.

–A co do picia? – krzyknęła z kuchni. – Może ten cognac, co pan wczoraj przyniósł?

–Tak, może być. Nalej do lampki.

–Jezusie Chrystusie! Do lampy mam go wlać?

–Do lampki!

–Tej malej przy łóżku?

Zaciął się brzytwą. Zmył krew z twarzy i przykleił na rankę kawałek gazety.

–Do kieliszka!

–Tego od wódki?

–Nie, tego większego.

Nalała mu do szklanki. Trajkotała przez cały czas, jaki to niearyjski naród ci Francuzi, co to nawet kieliszków nie znają. Dno, kanalie bez kultury. Podludzie. Wódkę lać do szklanki – toż to barbarzyństwo. Nie zamierzał jej prostować.

Jajecznica okazała się świetna. Boczek, cebulka i podsmażona wcześniej kiełbasa jako podstawa zabeltanych jajek. Helga gotowała znakomicie. Sól i pieprz. Żadnych innych przypraw. Do tego dwie kromki chleba grubo posmarowane masłem. Dwa kawałki podgrzanej szynki. No i na zimno Kartoffelsalat – sałatka z kartofli doprawionych po bawarsku. I kawa.

–Ogarnij się i sprowadź mi dorożkę.

–Tak, proszę pana. – Helga, wciąż szurając kapciami, poszła do swojego pokoju. Grunewald zdążył skończyć jajecznicę z dodatkami, kiedy wyszła ubrana niczym panna na wydaniu.

–Na kiedy ma być? – spytała.

–Na dzisiaj. – Usiłował się nie roześmiać. – Najlepiej zaraz.

–Dobrze. Już idę na postój. – Zamknęła za sobą drzwi.

Grunewald zajął się kawą i koniakiem podanym osobliwie w szklance. Zapomniał powiedzieć służącej, żeby przyniosła gazetę. Ale to nie problem, Kuger na pewno będzie miał wszystkie. Zdaży przeczytać najważniejsze wiadomości w pracy.

Helga wróciła po kilku minutach.

–Już jest, proszę pana.

Pomogła mu się ubrać. Specjalną szczoteczką usunęła niewidzialne pyłki kurzu z marynarki i płaszcza. Zawiązała mu na szyi biały szalik i podała pistolet.

–Dziękuję, Helgo.

–Do usług, proszę pana.

Zszedł po schodach, poprawiając kapelusz. Gdy tylko wsiadł, fiakier strzelił z bata i ruszył ostro. Mimo że ulice były puste, Grunewalda czekała prawie półgodzinna podróż z Karłowic nad fosę, gdzie stał budynek kryminalnej policji. Gdyby miał samochód, ta sama droga zajęłaby pięć minut. Przy tych wszystkich reorganizacjach, przenoszeniu biur z budynku do budynku już nawet nie wiedział, gdzie pracuje. Podniósł kołnierz i podciągnął wyżej szalik. Było zimno jak na tę porę roku. Obserwował ludzi na chodnikach. Był rok czterdziesty drugi. Sprawiali wrażenie, jakby się bawili. Kiedyś był na festiwalu w Wenecji – atmosfera wokół wydawała się podobna. Szczęście, miłość, sprzyjanie. Karnawał. A pan Hitler dawał powody, żeby ten karnawał trwał w nieskończoność. Breslau forever, użył w myślach niemiecko-angielskiego zwrotu. Studiował w Anglii. A teraz całe brytyjskie imperium tkwiło na kolanach, ściśnięte przez U-Booty i Luftwaffe. Zaczęli już nawet robić pobór wśród Polaków i Czechów do lotnictwa, bo nie mieli kim walczyć. Mogli tylko prosić o łaskę. I nagle Grunewald poczuł ten zapach. Pachniało zwycięstwem. Oszłomiła go ta woń. Patrzył na szczęśliwych ludzi chodzących po chodnikach. Na starszych panów, którzy studiowali gazety, żeby się dowiedzieć o nowych zwycięstwach, i na panie, które podciągały im szaliki i zawiązywały mocniej, żeby się nie zaziębili.

Kiedy dojechali, zapłacił fiakrowi i wbiegł po schodach do biura. Drzwi pokoju Kugera były otwarte.

–No i co, defetysto? – krzyknął od wejścia. – Kto miał rację?

–W kwestii?

–Zwycięstwa w wojnie.

–No... twoi zaufani sojusznicy, o których wielkości tak ładnie mówiłeś, USA i ZSRR, chyba nas opuściły.

–Nasze wojska widzą już kopuły cerkwi w Moskwie! Kuger zapalił papierosa.

–A czy widzą też kopuły w Waszyngtonie?

–Dopłyniemy tam!

–Ciekawe czym? Jakies takie mam głupie wrażenie, że nie dopłynęliśmy nawet do Anglii, choć blisko.

–Milcz, defetysto!

–Ja tam mogę milczeć. Ciekawi mnie tylko, jak Polacy nazwą Breslau. – Zamyślił się. – Vratislavia? Albo...

–Wrocław! – krzyknął Mischuk. – Flaga na maszt, Wrocław jest nasz!

Ruszyli ławą do wnętrza przepastnych korytarzy Wytwórni Filmów. Jedyne Kolski nie dygotał ze strachu, bo miał za ciężki karabin i bolały go mięśnie.

–Gdzie jest ta kopuła?

–Tędy. – Kolski wskazał kierunek. – Ale lepiej tam nie idźmy.

–A co nas może spotkać poza widokiem kolejnego zabitego szabrownika? –

powiedział Borowicz. Niemniej ręce mu się trzęsły. Przeszli kilkadziesiąt metrów.

Kopuła. Ktoś nogą otworzył drzwi. Długa chwila ciszy.

–Ilu? – spytał Mischuk.

–Co najmniej sześciu – odpowiedział Borowicz, licząc ciała na podłodze. – Ale przez te kur... cholerne stoliki niewiele widać.

–Ale z tych kwiatków toby co najmniej kwiaciarnię zrobili. Borowicz spojrzał na Wasiaka.

–Z kwiatków nie robi się kwiaciarni.

–A z czego?

–No, z drewna, szkła, betonu. Co kto lubi.

–To co? – włączył się Kolski. – Strzelamy? Stali otepiali, patrząc na zmasakrowane ciała.

–Do kogo?

–Do kogo? – Grunewald się zdenerwował. – Do kogo kierujesz swoje pretensje?

–Do nikogo. – Kuger jedną ręką sprawnie wertował swoje gazety. – Wpadłem po prostu na jeden pomysł. Przeglądałem akta...

–Przecież odsunąłem cię od sprawy! Śledź sobie tych swoich złodziei, bandytów i gwałcicieli.

Kuger wypił łyk amerykańskiej kawy, którą nazywali zabarwioną na czarno wodą.

–Widzisz. Zauważyłem, że w każdej z nich pewne sytuacje się powtarzają. Te same sprawy, ci sami ludzie. Takie same zdarzenia.

–Jakie?

–Poczekaj. Znam tylko akta, a tam jest napisane, że X zapierniczył Y siekierą. Nic nie wyczytasz. Ale powtarzają się słowa.

–Ale powtarzają się słowa – wymamrotał Staszewski, budząc się nagle i siadając na łóżku. Zaspana Mariola usiłowała go objąć. Wysmyknął się i poszedł do lodówki po piwo. – Słowa – powtórzył już przytomniej.

Z akt tych spraw można było gównem odczytać. Lecz dopiero teraz Staszewski zauważył, że w każdym powtarzały się te same słowa. Zadzwoił na komendę i poprosił o kontakt z głównym informatykiem. Nit było go już w pracy, oczywiście. Poprosił o numer domowy. Nie mógł się połączyć. Zadzwoił ponownie na komendę i poprosił o numer na komórkę. Bingo. Słyszał w tle głośną muzykę.

–Z akt to raczej niczego się pan nie dowie.

–To akurat wiem. Sam piszę te akta. Informatyk roześmiał się.

–OK. O co więc chodzi?

–Czy da się z akt wyłowić te same słowa?

–O Chryste! Oczywiście, że się da, pod warunkiem, że akta są wprowadzone do komputera. Choć to jest mniejszy problem, bo zapewne są.

Muzyka w tle przybierała na sile. Słysząc było jakieś krzyki i odgłosy zabawy. Wesele czy co? Słysząc też jednak stuk klawiszy. No tak, informatyk to taki zboczeniec, który wszędzie ma ze sobą laptopa.

–A jaki jest większy?

–Otrzyma pan odpowiedź: powtarzające się słowa to: „się”, „no”, „i” oraz „To nie jest moja wina”. – Roześmiał się znowu. – Program nie jest inteligentny. On po prostu zrealizuje zadane kryteria.

–A gdybym mu zadał wyłącznie na zeznania milicjantów i policjantów? Chodzi ciągle o powtarzalność słów.

–No to otrzyma pan: „Nieprawdą jest, że biłem podejrzanego pałką”, „Nie kopalem podejrzanego nogą ani żadną inną częścią ciała”, „Podejrzany urwał nogę od krzesła i zaczął się nią bić w plecy”, „Podejrzany, ewidentny narkoman, wyrwał mi pojemnik z gazem łzawiącym i zaczął go wdychać”.

–Bardzo śmieszne. – Staszewski tylko wzniosł oczy do góry. – Ale czy może mi pan naprawdę pomóc?

–No mogę, tylko o co chodzi?

–O powtarzalność słów.

–Boże! Jakich?

–Nie wiem. Nie chodzi o „się”, „bo”, ani „Podejrzany tak se sam przyłożył pięścią w nerki, że teraz trzeba go leczyć”. Chodzi o: „zauroczenie”, „mistrz” albo „przywódca”. Jeśli to się ukáže w aktach, to proszę zbadać, jakie inne słowa się powtarzają.

Usłyszał stuk klawiszy.

–Boże, pan jest w knajpie i łączy się z siecią?

Informatyk usiłował przekrzyczeć kapelę w tle.

–Tak, zawsze mam laptopa przy sobie. A nasz kochany Wrocław fundnął nam bezprzewodową sieć w rynku. To jakiś blu tuż albo wi-fi – zażartował. – Ja tam nie wiem, ja tylko komputery odkurzam.

Staszewski udawał, że nie słyszy kpiny.

–I co pan znalazł?

–Zaraz... Grunewald, Miszczuk, Wasiak i...

–I co?

–I pan. Staszewski wypił łyk kawy. Podeszedł do kredensu i wyjął whisky. Pociągnął z gwinta.

–Co pan znalazł?

–No moment. Nie jestem Bogiem. Znowu stuk klawiszy.

–„Zauroczenie”. To jest słowo klucz.

–Do czego?

–A to ja już nie mam pojęcia. Po raz kolejny odgłos walenia palcami w klawiaturę.

–Użył pan tego słowa dwukrotnie w odniesieniu do pisarza Ziemskiego. Staszewski stłumił

ziewnięcie.

–Wiem, o czym pisałem.

–Jasne. Pozostali panowie pisali jednak o sobie. „Zauroczenie” się powtarza.

Grunewald, Miszczuk i Wasiak. Wszyscy o tym samym.

–O czym?

–O Jezus Maria! Nie jestem Wszechmogącym – powtórzył informatyk. – Nie potrafię panu wyjaśnić sensu wszechświata.

–O czym pisali? Jakie słowa się powtarzały? – Staszewski pociągnął jeszcze łyk whisky.

–Powtarzają się: „Bóg”, „mistik”, „zauroczony”, „wiara” i... – przerwał na chwilę.

–I co?

–Takie dziwne zdanie.

–Jakie?

–„Ten, który przybiera maskę złego, może być tym dobrym”. – Informatyk zawahał się dłuższą chwilę.

Odgłosy knajpy nagle znikły. Zapadła ponura cisza.

–Co się stało? – zapytał Staszewski.

–Nic – warknął tamten. – Wyłączyłem taśmę z nagraniem odgłosów kawiarni.

–A gdzie pan jest?

–Na komendzie. Puszczam to nagranie przy każdym telefonie w nocy, żeby nikt nie wiedział, że jestem sam.

Staszewskiemu zrobiło się głupio.

–Współczuję panu. Jeszcze gorzej. Kurwa, faux pas. Zabrnął za daleko w swoim współczuciu.

–I tego chciał się pan dowiedzieć?

–Nie. – Sławek nagle wpadł na pomysł. – Coś pan usłyszy. Zaczął głaskać leżącą w łóżku Mariolę. Zaczęła głośno mruzczeć. Przytknął jej słuchawkę do gardła. Obudziła się nieprzytomna. Odruchowo odwzajemniła pieszczoty. Teraz on zaczął mruzczeć.

–Mrrrrrrrr... – Jak dwa koty w jednym łóżku.

–Chce mnie pan zdołować?

–Nie. Chcę powiedzieć, że Mariola ma wiele koleżanek. Wiele też z nich jest niezagospodarowanych.

Tamtego zatkało. Dłuższą chwilę przetwarzał w myślach to, co usłyszał.

–Chce pan jakieś tajne informacje?

–Nie. Może się spotkamy we czwórkę. Ja, Mariola, pan i taka laska, że panu buty spadną. Gotowa do wzięcia. Trzeba się tylko trochę postarać. Nie jestem rajfurem.

Cisza w słuchawce. Przeciągająca się cisza.

–Dobrze – padło nagle. – Czego chce się pan dowiedzieć?

–Jakie słowa się powtarzają w raportach Grunewalda, Miszczuka i Wasiaka? Tylko nie te najprostsze. I oprócz tych, które mi pan podał.

Westchnienie.

–Dobrze. Dwa tygodnie pracy i będzie pan miał.

Kuger odłożył gazetę i wypił łyk kawy.

–To jest jakaś organizacja przestępcza.

–Jaka? Partyzancka? – Grunewald dopiero rozpiął płaszcz. – To przekazmy sprawę gestapo.

–Nie, nie, nie. – Kuger zajął się małą bułeczką. Moczył ją w kawie i przegryzał jak Francuzi.
– Jeśli się za to weźmie gestapo, to złapią jakiegoś Żyda i tak mu przypięnią, że przyzna się do budowy drabiny na Księżyc.

–O co ci chodzi?

Kawałki bułeczki spadały do kawy, jednak Kuger łowił je zaciekle łyżeczką. Nie miały szans.

–Spróbuj na to spojrzeć inaczej. Jeśli ludzie wybuchają, a nie połknęli granatu, wysrywając zawleczkę, to musi być w tym coś niezwykłego.

Niby prosta konstatacja, ale Grunewald dał się złapać i spytał odruchowo:

–Co?

–Nie wiem. Sprawdziłem wszystko, co mamy na ten temat, i jednak coś ich łączy. Zaintrygowany Grunewald zdjął płaszcz i przysiadł w fotelu. Poprosił sekretarkę o

kawę i bułeczkę z masłem. Nie zamierzał jej moczyć w filiżance jak zabójcy. Zauważył, że drgała mu prawa noga. Zrobił się strasznie nerwowy, od czasu kiedy wszystkich agentów kripo poniżej któregoś tam roku urodzenia zmobilizowano na front. Musiał pracować ze starcami i kalekami.

–Łączy ich to, że wybuchają? No, genialne naprawdę, że na to wpadłeś. Mnie by do głowy nie przyszło – zakpił.

–Nie. Jedni mają wewnętrzne eksplozje, inni samozapłon, a inni sami się zabijają, że tak powiem, w sposób klasyczny.

Staszewskiego zbudził telefon. Śniło mu się, że rozwalił dwóch facetów, a ostatniego kopnął tak, że Mariola, już na jawie, dostała rykoszetem. Obudziła się i rozspana masowała bolącą łydkę. Zdążyła się do tego przyzwyczaić.

Podniósł słuchawkę.

–Tak?

Przetworzony elektronicznie męski głos powiedział złowieszczo:

–Porwaliśmy twoją żonę. Staszewski ziewnął rozziewając.

–Którą? – zapytał uprzejmie.

–Co: którą?

–No, którą żonę? Pierwszą, z którą się rozwiodłem, czy drugą, z którą się właśnie rozwodzę?– Ręką namacał Mariolę obok, żeby sprawdzić, czy jest na miejscu. Mariola nie była jeszcze jego żoną i była na miejscu, więc odetchnął z ulgą. – Słuchaj, czy wiesz, która jest godzina, dowcipnisiu?

–Masz dostarczyć trzydzieści tysięcy złotych w banknotach o małych nominałach, nieznaczonych proszkiem, w reklamówce, na dworzec...

–Czekaj, czekaj, czekaj – przerwał rozmówcy. – A jeśli nie dostarczę, to co się stanie?

–Zabijemy ją!

–Boże, co za amatorszczyzna. Najpierw przecież przesyła się ucięte ucho, palec, potem nogę lub rękę albo biust...

–Nie żartuj. Zabijemy ją, kiedy tylko zadzwonisz na policję! Trzydzieści tysięcy w worku...

Staszewski znowu mu przerwał:

–Przepraszam, co powiedziałeś?

–Że ją zamordujemy, kiedy zadzwonisz na policję!

Zaczął krzyczeć i szarpać swoją kobietę w łóżku.

–Mariola, Mariola! Dawaj stacjonarny telefon. Oni zabiją Ilonę, jeśli zadzwonimy na policję. Wykręć szybko numer 997.

–Co? – pytała rozspana.

–Dzwoń na policję! – wrzeszczał.

–My naprawdę nie żartujemy – odezwał się ponury głos w słuchawce.

–Ty imbecylny jeden – powiedział Staszewski – mam ci dać trzy dychy, a ty za to wypuścisz mi żonę, która wydoi mnie z alimentów? Morduj w spokoju, człowieku. Moc z tobą. Do czasu aż cię złapię.

–Co?

–No, tak się składa, że to żona policjanta. Wszystkie psy się na ciebie rzucają. Ale... osobiście wolałbym, żebyś mi przysyłał jej obcięte uszy, palce, no i to wszystko, co zwykle wysyłacie. – Zamyślił się. – Piersi miała ładne. Więc może biust mi wyślecie. Na pamiątkę.

Zamknął klapy komórki, przerywając połączenie. Wziął do ręki telefon stacjonarny.

–Połączcie mnie z oficerem dyżurnym.

–Co się stało? – Mężczyzna po drugiej stronie ledwie stłumił ziewnięcie.

–Jakiś dowcipniś opowiadał, że porwali mi żonę. Westchnienie.

–Mam nadzieję, że to nie jest prawda.

–A ja mam nadzieję, że to jest prawda.

Rozkaszał się, jak każdy nałogowy palacz, który usiadł na łóżku. Powlókł się do lodówki po piwo. Otworzył puszkę okocimia i wrócił do sypialni.

–No, ale okazmy choć cię litości – odezwał się do dyżurnego. – Sprawdźcie, kto do mnie dzwonił przed chwilą.

–Ale, proszę pana, przecież porywacz nie mógł być aż tak głupi, żeby dzwonić z komórki ani z domowego. To pewnie budka telefoniczna.

Staszewski wzruszył ramionami.

–Niestety – westchnął z wyrazem żalu. – Sądząc po głosie, był wyjątkowo głupi.

–Rzucam do akcji wszystkich fachowców. Natychmiast sprawdzą. Aż sykną. Denerwowała go niedomyślność dyżurnego.

–Nie, nie, nie. Bez pośpiechu. Niech żona sobie trochę posiedzi u nich. I dowie się, co to jest prawdziwe życie.

Policjant po drugiej stronie ryknął śmiechem. Nareszcie zrozumiał.

–Aż tak źle było w małżeństwie? – Chichotał ciągle. – Ale ma pan rację. One wszystkie są przemienne na początku, a potem jakoś dziwnie się zmieniają.

–Dokładnie.

Dyżurny miał niezły ubaw.

–Rozkaz przyjęty. Przystąpimy do działań operacyjnych, gdy tylko znajdzie odpowiedniego fachowca. Nie wiem, ile to potrwa.

–Rozumiem. Dziękuję.

Staszewski odłożył słuchawkę. Siedział nieruchomo na brzegu łóżka, gapiąc się w skrzydła bloku naprzeciw. W oknie pojawił się czarno-biały kot sąsiadów. Staszewski natychmiast sprawdził godzinę.

Boże. O co tu chodzi? Jakieś oniryczne sytuacje albo jak z amerykańskich filmów. Powtarzające się słowa, powtarzające się sytuacje. To normalnie świat snów. Siedział na brzegu łóżka, jak co noc. Z puszką piwa w jednej ręce i papierosem w drugiej. Też jak co noc. Kot sąsiadów patrzył na niego, a przynajmniej tak się Sławkowi wydawało.

Zadzwoił do Ziemskiego. Udało mu się go złapać. Druga trzynaście nie była porą, która pisarza stresowała. Nawet nie szykował się jeszcze do snu. Staszewski usłyszał dość uprzejme:

–No i o co ci chodzi, mistrzu?

–Skąd wiesz, kto dzwoni?

–Bo mi się wyświetlasz w telefonie.

–Przecież dzwoniłem na stacjonarny. A mój numer jest zastrzeżony.

–Trzeba mieć ekstra maszynę – zabrzmiało z wyraźną dumą.

–Słuchaj, będziemy uprawiać słowny ping-pong czy też może się czegoś od ciebie dowiem?

–Czego się chcesz dowiedzieć?

–W tej twojej powieści, na stronie sto trzynastej, jest opisane, jak Kuger i Grunewald...

–Łączą ich kwiatki – powiedział Kuger. – Z tym że to najmniej istotne.

–A co jest istotne? – Grunewald dokończył bułeczkę i popił kawą. Potem odsunął pustą filiżankę na bok.

–Wszyscy zrobili się nerwowi. Wszyscy zauważali dziwne rzeczy.

–Niby co?

–Na przykład... – Kuger jedną ręką wertował akta. – „Cień budynku w słońcu przesuwał się wyjątkowo szybko” albo „Sprawdzając zegarek, zawsze zauważyłem trzynastkę. To mogła być trzynasta trzynaście, dziesiąta trzynaście, ósma trzynaście w wieczór”. Grunewald uniósł brwi zdziwiony.

–I w aktach są takie pierdoły?

–Nie. Sam je napisałem.

–Skoro zginęli, to skąd masz te informacje?

–Od ich kobiet, które wszystkie przepytalem.

–Zaraz, zaraz, czekaj. – Grunewald się zirytował. – Odsunąłem cię od sprawy. Czy ty wiesz, co to jest rozkaz?!

Przerwało im wejście wachtmeistra. Kompletny młokos, trzęsły mu się ręce. Boże, teraz dzieci brali do służby. Niedługo będzie musiał pracować z przedszkolakami. A potem to już chyba żłobek i niemowlaki. Wszystkich sprawnych zabierali na front. No, ale przecież dlatego mieli takie sukcesy. Europa była niemiecka.

–Mam list dla pana Grunewalda, jest inaczej adresowany, jednak kazali mi go dostarczyć właśnie panu.

Pana, panu... Wersal tu sobie robią. Gołowas nie wiedział, że przed nazwiskiem trzeba podać stopień służbowy. A może go nawet nie znał.

–Skąd? Młody nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

–No bo... No bo... – Nieśmiało wskazał palcem na Kugera. Ten roześmiał się tylko.

–Jestem aż tak nieprawomyślny, że już nawet raportów nie mogę czytać? Chłopak najchętniej schowałby się pod biurkiem. Nie miał zielonego pojęcia, jak wybrnąć ze skomplikowanej sytuacji.

–To nie jest raport, proszę pana. Ktoś przysłał list prywatny. Do pana. – Znowu wskazał Kugera ręką. – Ale cenzura otwiera teraz wszystkie listy. I kazali dać temu drugiemu panu.

Grunewald wziął pismo. Podobnie jak posłaniec również nie wiedział, jak się zachować.

–Dziękuję, możesz wyjść.

–Tak jest, proszę pana! – Młokos strzelił obcasami i zasalutował niczym w wojsku.

Jeszcze moment i zainstalują tu karabiny maszynowe w oknach obsługiwane przez małpy. Tylko tego brakowało. Chociaż po co, skoro cały świat był już niemiecki. Pozostały nędzne resztki.

Kiedy trzasnęły drzwi, Grunewald podał kopertę Kugerowi.

–Jeśli to do ciebie, to czytaj.

Kaleka zaprzeczył ruchem głowy. Uśmiechnął się.

–Ty czytaj, jak ci kazali. Rozkaz to rozkaz – zakpił okrutnie, powtarzając poprzednią kwestię kolegi.

Grunewald wyjął list z koperty. Przez chwilę przebiegał po nim oczami. Potem zdjął okulary. Chusteczką wyciągniętą z kieszonki wytarł spotniałe czoło. Nie bardzo wiedział, jak podnieść oczy i spojrzeć na przyjaciela. Przemógł się jednak.

–Przykro mi. Przygotuj się na najgorsze.

–Co? Przenoszą mnie na front? A kto mi przeładuje pistolet? Przecież mam tylko jedną rękę.

–To list prywatny.

–Od jakiejś kochanki? Czy też stwierdzili, że jestem Żydem? Grunewald znowu przetarł czoło.

–Porwali twoją żonę.

–Angielscy komandosi?

–Zwykli bandyci. Dla okupu.

Kuger uśmiechnął się nagle. Wstał, zrobił kilka kroków do okna, odwrócił się i przeszedł pod drzwi. Potem podszedł do stolika, ciągle uśmiechając się radośnie.

–Naprawdę? Nie, no... Świat nie może być taki piękny. To mi się tylko śni.

–Nie kpij. Zabiją ją, jeśli nie zapłacisz okupu.

–Teoretycznie mógłbym im dać połowę pensji. Ale kiedy ją wypuszczą, to ona zabierze drugą połowę na alimenty. Więc z czego będę żył?

Grunewald nie wierzył w to, co słyszał. Zdenerwowany podszedł do ogromnego okna żeby się uspokoić, patrzył na przepiękną panoramę Beslau. Skręcił sobie papierosa, zapalił i zaciągnął się do samego dna płuc. Potem odwrócił się i krzyknął:

–Lekceważysz to?!

–Wprost przeciwnie. Powróćmy do sprawy głównej.

–Człowieku! Czy ty nie rozumiesz, że porwali twoją żonę?

–Byłą żonę – odpowiedział spokojnie Kuger. – Rzuciła mnie, gdy mi amputowali rękę. Nie chciała żyć z kaleką. Wolała przystojnego amanta. Młoda była.

–I nie obchodzi cię jej los?

–Kompletnie nie. Grunewald tylko zakrył twarz dłońmi. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Dla przyzwyczajonego do praworządności i „państwowej” moralności Niemca było to nie do pomyślenia.

–Wracając do ważniejszej sprawy – kontynuował Kuger. Rozparty w fotelu też zapalił papierosa. Potrafił obsłużyć pudełko zapalek jedną dłonią. – Przepytałem te wszystkie kobiety, wiesz, żony ludzi, którzy wybuchali. Co za dziwna koincydencja... Część z nich powiedziała mi, że ich mężowie dostawali listy o porwaniu małżonek dla okupu. Niektórzy panowie wierzyli i panikowali, niektórzy nie. Okazywało się potem, że ich ekszony – podkreślił „eks” – były albo u rodziny w Bawarii, albo na urlopie w Zoppot, albo pojechały z jakimś kochankiem na wieś.

–Dlaczego tego nie ma w aktach? – spytał Grunewald. Kuger zrobił minę w stylu „jestem wiejskim głupkiem”.

–Nie wiem. Grunewald zgasił dopiero co zapalonego papierosa.

–Należy natychmiast przesłuchać wszystkich oficerów, którzy prowadzili śledztwa w poszczególnych sprawach!

–A przesłuchuj sobie. – Kuger odchylił się w fotelu. – Czeka cię długa wycieczka na front wschodni. Jeżeli jeszcze żyją, to może się czegoś dowiesz.

–Wszystkich zmobilizowali?

–Akurat tych, co mieli związek z tą sprawą. Pozostaliśmy tylko my dwaj. Dwa samotne pieski zagubione w mieście. Ciebie nie wezmą do wojska, bo jesteś za wysoko postawiony. A ja jestem kaleką, w armii mógłbym jedynie czyścić latryny. A i to nieudacznie.

Grunewald zaczął krążyć po pokoju. Był zagorzałym nazistą i nie mógł uwierzyć, że ktoś z wewnątrz mógł kryć jakąś aferę. Był prawdziwym Niemcem. Dla niego „tak” oznaczało „tak”, a „nie” to „nie”. Nie było nic pomiędzy. Wypełniał swoje obowiązki jak mógł najlepiej. Ścigał tych wszystkich złodziei, przestępców, morderców. Krzyczał „Heil Hitler” na wiecach. Brał udział w planie pomocy dla żołnierzy na froncie. Wysłał im swój sweter, nowe kalesony, skarpety, puszkę marmolady i wszystkie ersatz-czekolady, które dostał. Był ideowcem. Regularnie wpłacał część pensji na fundusz wojenny. Nie mógł uwierzyć, że ktoś z kripo krył jakąś przestępczą akcję.

–Wiesz co? – powiedział.

–Co? – Kuger był pomnikiem „szczególnego zainteresowania”.

–Musimy powiadomić gestapo. Kuger wydmuchiwał kółka dymu.

–Ależ oczywiście. – Teraz zamienił się we wzór uprzejmości. – Gestapo już jutro wykryje „tajną organizację konspiracyjną”, która pojutrze przyzna się, że jest „tajną organizacją konspiracyjną”. A na trzeci dzień rozstrzela się kilku Żydów. Tak. To jest bardzo dobry plan.

–Dość kpin, defetysto!

–Jak się komuś przyleje pałą, to się przyzna, że chciał odgryźć psu jaja. A pretekst do rozstrzelania Żydów lub niewygodnych Niemców każdy dobry.

Grunewald wyrzucił ramiona w górę.

–Boże, przestań mówić takie rzeczy!

–Boisz się podsłuchu, nazisto? W twoim hitlerowskim rajcu?

–Przestań!

Kuger podniósł słuchawkę telefonu na biurku. Wiedział, że mógł sobie pozwolić nawet na najbardziej bzdurne rzeczy wobec swojego przyjaciela. Grunewald mimo swoich przekonań i wrodzonej karności był po prostu człowiekiem poczciwym.

–Centrala? Przepraszam najmocniej, chciałem spytać, czy w moim pokoju jest podsłuch?

Grunewald wyrwał mu słuchawkę.

–Przepraszam. Kolegi jak zwykle trzymają się żarty. A chcielibyśmy po prostu poprosić o dwie kolejne kawy i kilka kanapek.

Kuger objął go swoją jedyną ręką.

–Bum, bum, bum – powiedział.

–Co?

–Podobno taki odgłos wydają spadające bomby.

–Stul pysk! – Grunewald po raz pierwszy stracił opanowanie. – Przeklęty defetysto!

–Bum, bum, bum. Tratatata.

–Bum, bum, bum! To było straszne – mówił przewodnik do Mischzuka i Wasiaka. – Kazili nam budować lotnisko na placu Grunwaldzkim. I wtedy nadleciały amerykańskie bombowce. Każdy się ukrył, gdzie mógł, nawet w mysiej dziurze.

–I co? – spytał Wasiak.

–Jezu... Zaczęli walić. To było takie „bum, bum, bum”. Ale z wykopem.

Widziałem, jak ludzie wymiotowali, jak im krew płynęła z uszu, jak ich rozrywało. A potem zrobiło się jeszcze fajniej. Przylecieli Ruskie. Nie mieli ciężkich bombowców, więc zagrali koncert: „tratata”. Strzelali do wszystkich z karabinów maszynowych, bo to były lekkie samoloty szturmowe.

Przerwał im Borowicz. Zachowywał się jak lunatyk. Wstał nagle, a potem jakby się rozmyślił. Usiadł sztywno na workach z piaskiem, położył rękę na karabinie maszynowym Kolskiego. Spojrzał do góry.

–Utworzyliśmy stanowisko ogniowe, ale nie pozwolili nam strzelać. Stałem więc na armacie, żeby zobaczyć przedpole. Mieli około dwustu dział. Przez lornetkę widziałem ich dowódcę, który szabłą wskazywał kierunki ataku. Tamci zrobili zwrot bojowy...

–Jaka to była bitwa? – zainteresował się Wasiak. – Gdzie?

Przewodnik tylko złapał się za głowę.

–Nieuki jedne. Przecież on wam opowiada Mickiewicza, ale tak, żebyście zrozumieli, o co chodzi.

–Co nam opowiada? – włączył się Mischuk.

–Mickiewicza! To bitwa warszawska.

–W trzydziestym dziewiątym? Czy w dwudziestym? Przewodnik usiadł na poręczy balkonu i potrząsał głową. Borowicz położył mu rękę na ramieniu.

–Spokojnie, teraz będą nami rządzić chłopci i robotnicy. Ciekawe, do czego nas to doprowadzi?

–Do zera – odparł przewodnik.

Odwrócił się do Mischuka i Wasiaka.

–Oryginalny tekst brzmi tak: „Nam strzelać nie kazano, wstąpiłem na działo i spojrzałem na pole; dwieście armat grzmiało. I widziałem ich wodza: przybiegł, mieczem skinął i jako ptak skrzydła wojska swego zwinął...”

–Fajne – powiedział Wasiak. – A kiedy była ta masakra?

–Dawno, dawno temu. – Przewodnik tylko machnął ręką. Usiadł zrezygnowany w kącie ufortyfikowanego balkonu.

–Wygraliśmy?

–Nie do końca. Ordon, dowódca, wysadził swoją redutę. Grzebiąc swoich i obcych.

–O kurde! – Wasiak był wyraźnie zafascynowany. – To fajny był gość. Mądry. Nie chciał, żeby jego ludzie szli na Sybir, do gułagu.

Przerwał mu Mischuk:

–A my jak ostatnie głupy poszliśmy

–Oj, przestań. My proste chłopcy. Nie wiedzieliśmy, co to minus czterdzieści. A Ordon był cwany facet. Wiedział skądś i się wysadził. Ale, kurna, miał farta!

–Pewnie wyczytał w gazecie.

Przerwał im Borowicz:

–Panowie, przestańcie. Przytoczyłem Mickiewicza, żeby zwrócić wam uwagę na magię liczb. – Spojrzał na nich. – „A imię jego czterdzieści i cztery”.

Mischuk aż przysiadł.

–O Jezus Maria! On się nazywał Czterdzieści Cztery Mickiewicz? Aż tyłu ich matka powiła? Niemożliwe.

Borowicz oklapł trochę.

–Na imię miał Adam. Ale nie o to mi chodzi. Tylko o magię liczb. Czterdzieści cztery. – Zerknął na Wasiaka, który nosił zegarek. – Która jest teraz godzina?

–Pierwsza trzynaście.

–Czyli trzynasta trzynaście, prawda?

–Tak.

Zamyślił się na chwilę.

–Spróbujmy to śledztwo poprowadzić nie po chłopsku, nie po proletariacku, ale zgodnie z regulaminem przedwojennej policji, która może z romantyczną poezją niewiele miała wspólnego, ale wiedziała przynajmniej o jej istnieniu. Bez partyjnych uprzedzeń. OK?

–Co?

–Pytałem, czy się zgodzicie?

–Aha. Ale my takie partyjniaki religijne, że aż strach. – Wasiak ledwo trzymał się na nogach, bo trofiejny spirytus uderzał mu do głowy.

Staszewski dalej indagował pisarza przez telefon.

–I co było później w twojej powieści?

–No przecież ją czytałeś.

–Tak. Ale chciałbym wiedzieć, gdzie znalazłeś źródła.

–Na komendzie, w archiwum miejskim, w IPN-ie, w bibliotece uniwersytetu i bibliotece politechniki.

Westchnienie.

–To oni na uniwersytetach trzymają takie pierdoły?

–O Jezu! Człowieku, toż ci tłumaczę! – Andrzej musiał czegoś nadużyć, bo głos miał zdarty. – Wchodzisz do biblioteki i co widzisz?

–No, co widzę? – teraz Staszewski był niepewny. – A co powinienem widzieć?

–Ty pewnie widzisz mur książek. Staszewski zgodził się natychmiast:

–Tak. Całe ściany obstawione woluminami.

–A wiesz, co ja widzę?

–Co?

–Dwie przepiękne bibliotekarki. Totalnie znudzone swoją pracą. – Andrzej zmienił ton. – A wiesz, co one widzą?

Staszewski był coraz bardziej zainteresowany.

–Co?

–Fajnego faceta, który patrzy im w oczy, który mówi do nich ciepłym barytonem, który przyniesie ze sobą czekoladki i który, najważniejsze, wysłucha ich bredni na temat życia, które nieodwołalnie muszą powiedzieć.

–O kurde! Rzniesz je? W głosie pisarza zabrzmiało zdziwienie:

–No szlag! Zwariowałaś?

–Nie no, tak tylko pytam. Nie wiedział, jak się wycofać.

–Ja nie chcę przynieść do domu AIDS ani niczego podobnego. Już mam w ciele kilkanaście kultur bakterii od różnych kobiet.

O kur zapiał. Erotoman gawędziarz.

–To co z nimi robisz?

–Z bakteriami? Normalnie. Spirytus albo antybiotyki. Albo też się wystarczy nie przejmować.

–Nie. Co robisz z kobietami?

–Zabawiam. Pokazuję, że ten dzień nie jest stracony na nudną pracę jak każdy inny. A wtedy one robią cuda.

No, nie taki gawędziarz znaczy. Staszewski natychmiast wyobraził sobie dobrą dziesiątkę pozycji seksualnych, które można byłoby określić mianem „cudu”.

–Kurde, jakie?

Niestety, rozczarowanie:

–Przynoszą materiały, o których tylko najstarsza bibliotekarka wie, gdzie leżą. A tam są kopalnie króla Salomona.

Staszewski przełożył słuchawkę do drugiej ręki, ponieważ z wrażenia spociło mu się ucho. Zapalił papierosa.

–No i do czego doszedłeś?

–Przecież wszystko masz tam napisane. Nie zwróciłeś uwagi na to, że w powieści co chwilę powtarzają się te same sytuacje? Chryste, czy Grunewald, czy Miszczuk, w różnych realiach, w różnych czasach, ale oni ciągle robią to samo.

–A ten współczesny oficer policji?

Cisza. Andrzej chyba też zapalił papierosa. Cisza przedłużała się strasznie.

–A może to ty? – powiedział wreszcie.

Staszewski oniemiał. Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

–Jak mogłeś mnie opisać, skoro mnie wtedy nie znałeś?

–Každy pisarz to konfabulant. Musisz pamiętać, że ja sam to przeżyłem. Nie zginąłem tylko dlatego, że miałem w zasięgu ręki silną babę, która zdążyła mi spluwę zabrać. – Zawahał się. – No i widzisz – podjął po chwili. – Mówię ci to już trzeci raz.

–Wiesz. „Dzień dobry” to ja mówię nawet i dziesięć razy dziennie.

–Tak. Jednak w tych wszystkich aktach było coś więcej niż „dzień dobry”.

–Co?

–Nic. Sytuacje się powtarzają, więc powtórz jedną.

–Jaką?

–Spróbuj przeczytać pamiętnik Grunewalda i odtwórz jego jeden dzień. Od początku do końca. Dokładnie, krok po kroku. Tylko pamiętaj...

–O czym?

Chwila milczenia. Bardzo długa. Wreszcie wydusił:

–Na końcu tej drogi jest śmierć.

–Aleś mnie przestraszył. Normalnie zsikałem się w gacie. Andrzej wcale się nie roześmiał. Powiedział:

–Mamy podobny gust. Twoja obecna kobieta to duża, silna, zdecydowana. Tak?

–Tak.

–No to pamiętaj. Kiedy śmierć przyjdzie, miej ją przy sobie, a może przeżyjesz.

Mnie się udało. Cudem.

Odłożył słuchawkę.

Staszewski wyciągnął kolejnego papierosa, mimo że poprzedni jeszcze się palił. Wyjął z kieszeni piżamy radio wielkości kciuka, włożył do uszu słuchawki i puścił stację, która grała wyłącznie muzykę.

Przewodnik wołał zostać na miejscu. Ilość skonfiskowanych dóbr na umocnionym balkonie

wyraźnie go nęciła. Szczególnie koniaki, w których zasmakował. Miszczuk, Wasiak i Borowicz poszli do Wytwórni Filmów.

–Nie będziemy wchodzić pod kopułę – powiedział Borowicz. – W naszym magazynie jest radiostacja wielkości połowy szafy, ale działa. Możecie się połączyć z komendą. A ja muszę się dowiedzieć czegoś o ofiarach. Co ich łączyło.

–No to, że wybuchali, palili się albo strzelali do siebie – powiedział Wasiak.

–Jezus, człowieku, ja muszę akta widzieć – odparł Borowicz. – To jest praca policji, a nie partii komunistycznej.

Ostrożnie przeszli przez wielki korytarz. Magazyn szabrowników znajdował się tuż obok. Zdjęli płaszcze i kurtki, żeby mieć swobodę ruchów.

–A na chu... znaczy na cholere żęście to tu przytargali? – spytał Miszczuk.

–Chcieliśmy sprzedać partyzantom. Im radiostacje zawsze potrzebne. Nawet niemieckie.

–A czym taki partyzant zapłaci?

–A wiele ma rzeczy – przekomarzał się Borowicz, przedrzeźniając ich styl mówienia. – Niemieckie hełmy, lugery, dog-tagi. To teraz na Zachodzie pokupny towar. „Pamiątki wojenne” niby.

–A co to są „doktaki”?

–Po polsku „nieśmiertelniki”. Takie metalowe znaczki z nazwiskiem zawieszane na szyi. Kiedy żołnierz ginie, jeden odrywa się i daje dowódcy, a drugi wkłada do ust.

–Jezusie, Maryjo i Józefie! – Wasiak aż przysiadł. – Dowódcy do ust takie coś wsuwać? Toż to brudne i we krwi.

Borowicz tylko machnął ręką. Przysunął się do drzwi. Nie wiedział czy może tam wejść, czy nie było innych szabrowników. Zapytał gestami: „Wchodzimy na chama?”. Wasiak przeładował pepeszę.

–A co mi tam. Rodziny już i tak nie mam. – Kopnął w drzwi, wpadł do środka i celując z automatu, krzyknął:

–Jestem z katolickiej milicji partyjnej! Ruki wwierch! Tym razem Miszczuk nie wytrzymał:

–Coś ci się popierdoliło. Możemy wejść?

–Tak.

–Nikogo nie ma?

–Nie!

–A może lepiej ty wyjdź, a my granatką rzucimy? A?

Ten cholerny kresowy akcent z zaśpiewem. Borowicz, który pochodził z Galicji, ledwie milicjantów rozumiał. Zabrał jednak Miszczukowi granat i wszedł do środka. Na podłodze leżał tylko jeden szabrownik, ale tak upity, że nie widział sensu się nim zajmować. Dla pewności jednak przyłożył mu w głowę granatem. Tamten nawet nie drgnął. Zapach bimbru, który od niego płynął, był porównywalny z mocą iperytu. Borowicz uruchamiał radiostację. Instruował Wasiaka, jak ma kręcić dynamem.

–Jaka jest częstotliwość komendy?

–Nie wiem.

Borowicz spojrzał na Miszczuka.

–Jaka?

Ten postanowił ukryć niewiedzę pod groźną maską.

–To ściśle tajna informacja. Nie można ujawniać!

–Aha. – Borowicz zabrał się więc do samochodu. Mercedes kabriolet. Niestety, nie chciał

odpalić. Akumulator siadł. Spróbowali z korby, ale po wypoceniu większości płynów, które mieli w organizmach, zrezygnowali. Nie zadziało.

–No dobrze, panowie, musimy go pchnąć.

–Eeee... – mruknął Wasiak. – Furmanka lepsza. Ale w tej to nawet dyszla nie ma.

–Konia też nie mamy, więc do roboty. Ja za kółko, a wy od tyłu. – Borowicz zapakował trzy steny do środka, zapasowe magazynki, amunicję i dwa pancerafausty. Ponieważ w łupach zgromadzonych przez szabrowników nie znalazł już żywności, dodał tylko kilka litrów bimbru w elegancko zalakowanych butelkach.

Zaczęli pchać auto. Wyjechali na szeroki korytarz i tam wreszcie mercedes odpalił na dwójce. Borowicz gazował ostro na sprzęgle, żeby rozgrzać silnik, a oni wskoczyli do środka. Samochód ruszył ostro. Łoskot silnika ogłuszał w zamkniętej przestrzeni, a co gorsze, korytarz się kończył.

–Jezu, tam są drzwi! – krzyknął Wasiak. – Zniszczymy samochód!

–A co to jest? – Borowicz prowadził pewnie. – Nasz samochód? Przecież niemiecki.

–Ale drzwi są już nasze. Z ziem odzyskanych.

–A pierdolić. Trzymajcie się! – Uderzył w drewniane wrota z dużą prędkością. Mercedesowi nic się nie stało. Natomiast deski z drzwi śmigły wokół niczym odłamki granatu. Wytrzęsło ich na kilku schodkach, potem z piskiem opon zakręcili przed budynkiem pokrytym winoroślą.

–I co? Fajnie było?

–O, ja cię... O, ja cię... – powtarzał Mischuk.

–Matko Boska Częstochowska... – modlił się Wasiak.

–To zobaczycie jeszcze lepsze rzeczy – powiedział Borowicz i dał gaz do dechy. – Czasem zdarzyło się gonić przestępcę przed wojną, więc doświadczenie mam.

Nie usłyszeli go z powodu grzmotu silnika, pisku opon i świstu powietrza. Powierzali duszę Bogu. Piekielna machina miała jednak w bród paliwa i parła przed siebie z szybkością porównywalną chyba tylko do samolotu podczas nurkowania. Borowicz błyskawicznie zmieniał biegi.

–Zorientuj mapę! – krzyknął do Wasiaka. Podał mu niemiecki plan miasta ze skrytki i kompas.

–Co?

–No, zorientuj mapę!

–Jezusie! Co mam zrobić?

–Przystawić kompas do mapy i tam, gdzie wskazówka najbardziej się kręci, przekoś mapę, żeby była górą do wskazówki. Każda mapa ma północ u góry!

–O matko. Ja to się nie znam na tych czarach.

–Ja też – dodał Mischuk. – Wiem tylko, że o północy diabeł wychodzi. Jak księżyc nie ma.

–O kurde balans! – Borowicz zahamował na środku ulicy. Żadnych innych samochodów nie było w zasięgu wzroku. Nie wyłączył silnika. – Mam do wyboru Adolf-Hitler-strasse albo Hermann-Göring-strasse. Dobra, coś wymyślę. Chodzi o to, żeby gruzów nie było.

Jechali z makabryczną szybkością. Minęli jakiś las, w którym Niemcy kiedyś polowali, a który teraz był parkiem w centrum.

–A może gdzieś tu będzie ulica Mickiewicza – Wasiak popisał się pamięcią.

Mischuk postanowił się jeszcze bardziej popisać. Pamiętał co nieco ze szkoły, którą przerwali mu naziści i komuniści.

–A może będzie tu ulica Kochanowskiego?

Gnali właśnie czteropasmową szosą, która już niedługo miała zostać nazwana

ulicą Kochanowskiego.

–Już jest bezpiecznie – powiedział Borowicz. – Za mostami są jednostki polskie i radzieckie.

Tu się szabru nie robi.

–Ale handelek odchodzi, nie? – Mischuk musiał się nachylić do kierowcy, żeby być słyszonym.

–No masz. Pewnie. A po co ja ten bimber brałem? – Zerknął w stronę zapasów zgromadzonych na tylnym siedzeniu. – Przecież nie po to, żeby się upić.

Mischuk i Wasiak nie mieli nic przeciwko upijaniu się, ale przyznali mu rację. Bimber to waluta bardziej pewna niż jakiegokolwiek banknoty, poza dolarami.

Pierwszy polski patrol zatrzymał ich tuż za mostami, dokładnie w miejscu, gdzie po latach będzie uwielbiała czyhać policja drogowa z radarem. Punkt był dobry. Zjazd z wysokiego mostu, drzewa, krzaki. Idealne miejsce na zasadzkę. Kierowca nie zauważył do ostatniej chwili.

–Na cholere wam trzy steny, schmeisser i pepesza? – wrzasnął żołnierz w przepoconym mundurze.

–Do obrony własnej – odparł spokojnie Borowicz.

–A dwa pancerfausty?

–A... jakoś tak się przyplątały.

–Jesteśmy z Milicji Obywatelskiej! – włączył się Mischuk. Pokazał papier z pieczętką NKWD.

Dowódca patrolu natychmiast opuścił swój automat. Nie chciało mu się wędrować za krąg polarny. Pokazał, że można jechać.

Kiedy tylko skręcili w lewo, złapał ich patrol sowiecki. Tu było jeszcze prościej.

–Ile? – spytał Borowicz.

–Osiem!

–Akurat. Dam ci jedną.

–Dwie?

–Dwie butelki? Czyś ty ocipiał? Dam ci jedną! Tym razem przerwał im Wasiak:

–Panie śledczy. Koło nam się odłączyło od furmanki i tam się turla. Borowicz wyjrzał zdziwiony.

–Przecież to niemożliwe!

–No, ale tam się toczy.

–O Boże, stanęliśmy na kupie gruzu. Wybiegł, żeby sprawdzić. Nawet zapasowego nie dało się włożyć, bo wszystkie śruby były zerwane.

–No jasny szlag! Przecież jechałem ostrożnie. Nie po wybojach.

–Akurat ostrożnie! – wściekł się Mischuk. – Ze dwa razy tym kołem wjechaliśmy w dziurę po bombie na ulicy. Musiałem się trzymać z całej siły.

Borowicz spojrzał na niego.

–To co robimy? Naprawa potrwa ze dwa dni.

Mischuk wyskoczył z auta. Podszedł do Rosjan.

–Rebiata, posłuchajcie. Damy wam cały nasz bimber i mercedesa. On da się naprawić w dwa dni. A kiedy go sprezentujecie dowódcy, to będziecie mieli fajnie. Patrzcie, ma nawet chorągiewkę na masce. Ale musimy mieć jakiś samochód w zamian.

–Amerykańskiego jeepa wam nie damy!

–A nie musi być amerykański. Dajcie cokolwiek...

Rosjanin zastanawiał się długo. Wizja bimbru i tego, że tak królewski prezent

osobiście da dowódcy, a ten odeśle go za to z powrotem do Rosji, do rodzinnej wioski, w ramach przedterminowej odsyłki, cholernie nęciła. Bardzo już chciał zobaczyć rodzinę. Był na wojnie od samego początku.

–Dobra. – Przełknął ślinę. – Jeepa wam nie damy. Ale jest tu taki niemiecki transporter pancerny.

–Opancerzony – poprawił go Borowicz.

–Rozchlastało go nasze działo – kontynuował Rosjanin. – Ale jeździ. W silnik nie dostał. Tyle że burty jednej nie ma.

–Dobra, dawaj. – Mischuk popluł w rękę i wystawił do przybicia.

Rosjanin musiał być Polakiem z pochodzenia, bo też popluł i przybił. Potem się odwrócił i krzyknął:

–Wania! Leć i przyprowadź to cudo!

–Tak toczno! – Żołnierz rzucił się pędem w kierunku koszar. W trakcie oczekiwania rozpili jedną butelkę bimbru. Przegryźli tuszonką. A kiedy

zawartość puszek się skończyła, zjedli jakąś ohydą konserwę z US Army. To była kasza. Niejadliwa kompletnie. Jałowa, bez smaku. A tu nawet soli nie było. Drugą butelkę zaczęli, zagryzając niemieckimi sardynkami z brytyjskich dostaw. Mischukowi, Wasiakowi i Rosjaninowi brakowało chleba. Wszyscy chłopcy z urodzenia, nie wyobrażali sobie posiłku bez chleba. Jedynie Borowicz pił pod papierosa. Odpalał jednego chesterfielda od drugiego. Potem przeszedł na brytyjskie playery. Ale też trzymał się najlepiej. Ci cholerni inteligenci potrafili jednak upić się i być ciągle w formie. Nareszcie przyjechał niemiecki transporter. Rzeczywiście, rozwalony z jednej strony. Borowicz wskoczył do środka przez właz ewakuacyjny. Długo sprawdzał mechanizmy. Potem wychylił głowę z włazu kierowcy.

–Rzeczywiście wszystko działa. W środku nie bardzo da się siedzieć, bo go rozpierniczyło ruskie działo. Ale możecie jechać na dachu.

–No to nie ma sprawy. – Zaczęli żegnać się z Rosjanami.

–I dajcie mi moją torbę!

–Dobra! Na chwiejnych nogach przenieśli z mercedesa broń i amunicję. Borowicz ich zaskoczył. Otworzył boczne drzwiczki. Wziął swoją torbę i wyjął z niej czystą koszulę, którą założył. Zawiązał na szyi biały jedwabny szalik. Włożył angielską kurtkę lotniczą. A do tego niemieckie gogle, które znalazł wewnątrz.

–No i jak, panowie? – Założył amerykański hełm. – Dobrze się prezentuję?

–No, całkiem obleci – powiedział Wasiak.

–Więc wy na dach. Bierzcie steny i na górę. Resztę klamotów umieścę w kabinie kierowcy.

–A dlaczego steny? – spytał Mischuk.

–Bo z tego cholerstwa można strzelać, nawet jak ktoś jest bardzo pijany.

–No ale na boku mamy hakenkrojca. – Policjant wskazał pancerną burtę. – Nasi zastrzelą, nie pytając o imię.

–O żeż wy sieroty – zdenerwował się Borowicz. – Przecież to niemiecki pojazd. Kierowca musiał mieć trochę minii.

Wszedł do pojazdu i zaczął rozwalać skrzynki w pobliżu stanowiska operatora. Po chwili podał im puszkę.

–Proszę. Przemalujcie swastyki na – zawahał się – na polskie szachownice lotnicze. Będzie najprościej.

–A czym?

–Boże, sieroto! Kawalkiem zwiniętej w rulon gazety! No, bądź harcerzem i zacznij sobie wreszcie radzić.

Wasiak usiadł na ulicy. Patrzył przed siebie, na zielone tereny naprzeciw. Na dzikie pola, które za kilkadziesiąt lat zostaną przecięte liniami wysokiego napięcia, a pod spodem zamienione na pracownicze działki. A potem wybuduje się tu domy, niszcząc działki.

–Ja nigdy nie byłem harcerzem – powiedział smutno. – Jestem ze wsi. Bardzo biednej. Nikogo nie było stać na jakieś tam harcerstwo. Jeść nie było co.

–Dobrze. – Borowicz ponownie wyskoczył z pojazdu. Wyjął z kieszeni jakieś ulotki, zwinął w rulon i usiłował stworzyć polski znak na kanwie niemieckiego. –

Dobrze – powtórzył. – Chłopom to się nawet nie chce nic namalować na durnym pancerzu. Więc będzie malował magister Uniwersytetu Jagiellońskiego! Arcydzieło takie, że Matejce gacie spadną.

Miszczuk podszedł z boku.

–Przestań.

–Bo co? Postawisz pod ścianą i rozstrzelasz?

–Nie, od tego jest UB. Ale nie mów mu tak. On całą rodzinę od Ukraińców stracił.

–A ja to co?! Widzisz gdzieś tu moją matkę albo ojca? Mojego dziadka? – krzyczał. – A może moją siostrę?

–Przestań.

–Widzisz gdzieś tu moich bliskich? A może do kieszeni schowałem i tam się kryją przed wami?

–Skończ już.

Borowicz też usiadł na ulicy.

–Mam was w dupie. – Nawet nie chciało mu się palić. – Ojca, profesora, poprowadzili na rzeź do jakiegoś obozu, gdzie się jeszcze męczył parę miesięcy.

Miszczuk przysiadł obok.

–A mojego ojca, prostego chłopca, dziabnęli najpierw bagnetem. A kiedy za głośno charczał, dobili kijem położonym na gardło. Tyle wiem od tych kilku osób, które uciekły do lasu. O reszcie rodziny to już się dowiedziałem od Ruskich.

Borowicz wstał i chwycił za zaimprovizowany pędzel ze zwiniętych ulotek.

–Dobra, nie licytujmy się. Do roboty.

Zaczął malować polską szachownicę lotniczą na burcie. Okazało się, że rzeczywiście miał niezły talent. Zajęło mu to może dwie minuty. Potem jeszcze domalował polskiego orła na pancernej płycie z przodu – oczywiście z koroną. Też całkiem niezłe. Z boku dopisał jakieś fikcyjne numery seryjne, żeby uprawdopodobnić całe przedsięwzięcie.

–Ruszamy – powiedział po chwili. – Wy ze stenami na dach, ja do środka.

Włączył interkom, który miał zewnętrzny głośnik dla desantu. Chciał, żeby go słyszeli.

–Uwaga. Wkraczamy znowu do niebezpiecznego rejonu. Patrzcie na wszystko wokół, bo ja ze środka gównem widzę.

Skęcili na most, potem przejechali drugi. Zagruzowana ulica, przy której ciągle tliły się domy. Ale dla transportera żadne zwałowiska cegieł nie były przeszkodą. Parli do przodu niczym czołgi Guderiana. Wpadli na jakiś plac z przepięknie urządzonym skwerem. Borowicz zahamował gwałtownie, bo plac był kompletnie zapchany ludźmi. Musiał przyjechać jakiś pociąg z Wilna albo Lwowa. Ludzie szli powoli, całymi rodzinami, ciągnąc na wózekkach swój mizerny dobytek. Mieli

przydziały na mieszkania, które opuścili Niemcy.

Jakiś staruszek krzyknął:

–O Jezusie i Święta Maryjo! Nasi wrócili!

–Mają steny! – wrzasnął ktoś inny. – To polscy komandos z Anglii! Huraaaa!

–Nasi! Nasi wrócili! Staruszek podszedł bliżej.

–Czy mamy już palić komitety partyjne? Borowicz otworzył malutkie drzwiczki i z trudem wygramolił się na zewnątrz.

Robił wrażenie w swojej skórzanej kurtce, wsuniętym pod nią białym szaliku, goglach i hełmie.

–O Boże! Amerykanin!

–Ja cię sunę! Generał Patton przekroczył linię Odry! Ludzie wokół rwali kwiaty i obrzucali nimi pojazd. Staruszek machał rękoma.

–Czekajcie, ludzie! – krzyknął. – Ja trochę znam amerykański.

–Nie ma takiego języka – dodał ktoś bardziej uczony.

–Cicho! – Mężczyzna podszedł bliżej, zionąc cebulą, którą zjadł rano z chlebem bez masła. Nic innego nie miał po prostu. – Could we put the fire to the party comitee?

Borowicz trochę lepiej znał angielski, ale zrozumiał.

–Chcesz zrobić ognisko z kolegami? – popatrzył lekko zdziwiony.

Staruszek zastukał laską w transporter.

–O Boże, on mówi po polsku. To agent amerykańskiego wywiadu! – Odwrócił głowę. – A kiedy będzie wolność?

Borowicz wzruszył ramionami.

–Nie wiem. – Zamyślił się. – Ale... „przeżyliśmy najazd szwedzki, przeżyjemy i radziecki!”.

Ludzie zaczęli się śmiać.

–Oj, niech wam Bóg wynagrodzi. Jakaś kobieta chwyciła go za rękę.

–Ale kiedy będzie wolność? – powtórzyła jak echo.

–Nie wiem, proszę pani. Mam nadzieję, że nie za kilkadziesiąt lat dopiero. Podeszła następna kobieta. Musiała być z innego transportu, bo mówiła z twardym, ostrym akcentem, a nie wschodnim, śpiewnym.

–Pewnieście głodni. – Podała Borowiczowi kawał surowego mięsa. – Świnia nam zdechła z braku wody. W transporcie nie było jak wyjść z nią na pole.

Uśmiechnął się.

–Pani spod Krakowa?

–Tak.

–Ja też z tych okolic. Dziękuję bardzo. Ludzie ruszyli dalej. Kobieta powiedziała jeszcze:

–Bo wie pan, mąż był w AK i teraz uciekamy.

–Wiem. Doskonale wiem. I jeszcze raz dziękuję. W transporcie był też pewien chłopiec, jedyny, który nie patrzył na „wyzwoliciele!”.

Spieprzał do najdalszego miejsca w kraju, żeby go nie zamknęli. Miał przy sobie tylko malutki pistolet Waltera i pajdę chleba. Resztę broni oddziału zakopał w Krynicy przy skoczni narciarskiej. Po pierwszych aresztowaniach związał gdzie mógł najdalej. Trafił do Wrocławia. A ponieważ wtedy nie było jeszcze komputerów, to go nie wykryli. Żył sobie. Został profesorem, choć karierę zaczynał od kelnera.

Borowicz tymczasem przygotowywał mięso, tnąc je nożem na małe kawałki.

–No co się tak gapiecie? – krzyknął do Mischczuka i Wasiaka. – Zbierajcie drewno na ognisko.

–A gdzie my to ognisko zapalimy? Toż tu mogą ciągle strzelać. A my im się pokażemy dymem.

–W środku wozu. Przedział silnika jest zabezpieczony stalową płytą, a burta rozdarta. Będzie cug, więc nic nie wybuchnie.

Zaczęli obłamywać gałęzie z drzew na skwerze, a Borowicz zbierał chrust. Po kilku minutach ułożyli w środku pancерnej skorupy zgrabny stosik.

–No i jak to zapalimy? – spytał Wasiak. – Przecież drewno świeże i mokre.

–Oj, mnożycie trudności.

Z wielkim trudem przepchnął się przez wąski przedział silnika na stanowisko kierowcy. Ze skrytki wyjął rakiętnicę. Kiedy wracał, zaklinował się w malutkich drzwiczkach na chwilę. Ale potem strzelił w sam środek stosu. Zmrużyli oczy od blasku. Malutki spadochronik racy spalił się momentalnie, ale ognisko zapłonęło. Zaczęli nabijać mięso na patyki. Wszyscy byli bardzo głodni.

–No i co? – Borowicz usiadł przy stalowej płycie, żeby go nie zadymiło. – Nie udało się?

–Niezłe – powiedział Wasiak. Mischczuk zagryzł wargi.

–A co zrobimy dalej? – spytał. Borowicz nie odpowiadał. Cały czas miał w głowie pytanie kobiety z wózkiem: „A

kiedy będzie wolność?”. I nagle zobaczył mężczyznę, który przeskakuje mur. To było gdzieś nad morzem. Chyba w stoczni. Wolność!

–Jezus Maria! – krzyknął. – Kwiaty! Kwiaty!

–Co kwiaty? – nie zrozumiał Wasiak.

–Obrzucili nas kwiatami! A ja już mam wizję przyszłości. Trzeba je zgarnąć!

–Ty co? Zdurniał? Wszystkie czołgi obrzucają kwiatami.

–Ale nie te, w których siedzi załoga pracująca nad tą sprawą. Zginiemy!

Mischczuk miał najlepszy refleks. Widział już eksplodujących ludzi w otoczeniu kwiatów. Wyskoczył przez tylne wyjście, ciągnąc Wasiaka. Borowicz wydostał się przez właz. Gorączkowo zmiotali kwiaty z pojazdu.

–Z powrotem na skwer! – krzyczał Borowicz. – Albo spalmy!

–Spokojnie – odezwał się Wasiak, najmniej strachliwy. Nagle jednak ujrzał pod powiekami wizję człowieka, który przeskoczył mur stoczni i odpowiedział na pytanie kobiety z wózkiem. – O Matko Święta! Spalmy! Zaczęli wrzucać kwiaty do ogniska.

Staszewski całą noc studiował pamiętnik Grunewalda. Skończył nad ranem. Z lodówki wyjął sobie dwie rzodkiewki i włożył do ust. Mariola obudziła się momentalnie.

–Sławek! Nie chrup tak głośno!

–A jak mam chrupać?

–Ciszej! I w drugim pokoju! Mam jeszcze pół godziny snu.

–No to się obudź. Bardzo mi zależy, żebyś zagrała pewną rolę.

–Jaką?

–Zdejmij majtki, T-shirt i włóż nocną koszulę. Podniosła się z łóżka. Rozespana o mało nie upadła, potykając się o kolumnę domowego kina.

–Aha. Jeśli mam włożyć koszulę, to będziemy się seksić. Ci mężczyźni to tylko o jednym: żeby zobaczyć babę w przezroczystym giele.

–Nie będziemy uprawiać seksu. Chcę, żebyś się w kogoś wcieliła. Uśmiechnęła się i posłała mu

pocałunek samymi ustami.

–Mam się znowu przebrać za sarenkę i będzie od tyłu, jak wtedy? Przełknął ślinę, bo przypomniał sobie. To „wtedy” stało mu nagle przed oczami.

–Boże, nie chodzi naprawdę o seks. Chcę, żebyś zagrała rolę!

–Mogę ci zagrać i Marilyn Monroe. Tylko kup wentylator, żeby mi sukienkę od dołu podwiało. Przy naszej klimatyzacji ten numer raczej nie wyjdzie.

–Będę cię nazywał Helga. Mariola odezwała się już z garderoby:

–To i tak dobrze. Bo mogła być Hildegarda albo Brunhilda.

–Nie śmieję się. Chodź.

Wróciła do sypialni, zgrabnie kręcąc kształtną pupą. Przy framudze wykonała numer, który powinien znaleźć się w każdym podręczniku dla tancerek na rurze i być traktowany jako kanon. A potem podeszła do niego i, odrzucając głowę do tyłu, podniosła dół koszuli. Dość wysoko. Tak mniej więcej do szyi.

–Bierz mnie! Jestem Helga.

Staszewski, ponieważ siedział na łóżku, miał oczy na wysokości... no i na wysokości tego, co znalazło się tylko parę centymetrów przed jego twarzą. Fryzura typu irokez, idealnie wydepilowane nogi, fantastyczne biodra. Przeniósł wzrok na fryzurę, którą Mariola miała na głowie.

–Kochanie, naprawdę nie chodzi o seks. Musisz mi pomóc w śledztwie.

–Mam się jeszcze bardziej wypiąć? – spytała już z lekkim powątpiewaniem.

–Włóż szlafrok.

Gończakowo przerzucał kartki skserowanego pamiętnika Grunewalda.

–A skąd ja ci wezmę szlafrok? Przecież nie mamy żadnego.

Mniej więcej wiedział, co robić.

–Musimy odtworzyć pewną sytuację. Co do szczegółu. Skoro nie masz szlafroka, załóż płaszcz. Będiesz udawać moją służącą, Helgę.

–Znaczy mam włożyć fartuszek kuchenny na golasa? Ale i tak mi go poplamieś olejem, czyszcząc spluwy, żeby nie zabrudzić swojego ulubionego T-shirta. Jak mam włożyć tę szmatę?

–Nie, znajdź płaszcz.

–Nie mam. – Nagle uderzyła się w czoło. – Mam, mam, mam!

Pobiegła znów do garderoby. Zaczęła przesuwając tony kurtek puchowych, wojskowych, sportowych, skórzanych, letnich i zimowych umieszczonych na wieszakach.

–Mam! Jest!

–To zakładaj i chodź.

Po chwili wyszła owinięta płaszczem tak, żeby udawał szlafrok.

–No i co? – była już wyraźnie zaintrygowana.

Staszewski ciągle wertował odbitki z pamiętnika Grunewalda.

–Helgo, zrób mi śniadanie i szybkie mycie. Chcę sześć jajek na boczku i słoninie...

Mariola spojrzała na niego jak na wariata. Dosłownie ją zatkało.

–Sześć jajek to może i znajdę w lodówce. Ale skąd mam wziąć boczek i słoninę?

Przecież są potwornie niezdrowe. Nie jemy tego syfu.

Niestety, miała rację. Słoninę on sam może widział kiedyś w dzieciństwie. A może nawet nie w dzieciństwie, tylko na jakimś filmie? W każdym razie mgliście wiedział, co to jest. Ale skąd ma ją wziąć dzisiaj? Nie miał pojęcia.

–Może mamy jakąś konserwę?

–Chcesz jajecznicę z tuńczykiem? – nie zrozumiała. A tylko tuńczyka mogła znaleźć na półce.

–Nie! Chcę odtworzyć sytuację sprzed kilkadziesiątu lat.

–No to nici z tego. Mogę ci dać ostre papryczki do jajecznicy. Mogę ci dodać chudą wołowinę, którą trzymam na supę gulaszową, albo kotlety z soi. Albo... -Otworzyła drzwiczki lodówki i studiowała zawartość. – Może żurawinę z pigwą? Albo kawior lub kandyzowany ananas?

–Nie! – warknął. – Muszę odtworzyć sytuację sprzed kilkadziesiątu lat – powiedział po raz kolejny. – Muszę mieć jajecznicę z mięsem.

–Wiesz co? Powtarzasz się.

Staszewski nagle podparł głowę rękami. Chryste! Ona miała rację. Co chwilę to samo, to samo, to samo. Powtarzający się film. Jak kalejdoskop przestrzeni. Geometria czasu. Jeszcze raz i jeszcze. Do znudzenia. Postanowił jednak się nie zrażać. Był niezłym dochodzeniowcem mimo swojego pijaństwa. Poczłapał do barku i nalał sobie wódki do kieliszka.

–Musisz szurać kapciami.

Nie mogła szurać, bo nosiła plastikowe klapki w jakiejś supertechnologii. Nic z tego nie wyszło. No, może jakiś szelest, ale nie za bardzo. Klapki były przeciwpoślizgowe.

–Teraz daj mi miednicę z wodą do mycia. Mariolę znowu zatkało.

–A skąd ja ci wezmę miednicę, do jasnej cholery? To jakieś średniowiecze czy co?

–To daj głęboki talerz.

–Nie będziesz mył gęby w moim talerzu!

–A wiadro?

Zaczęła pukać się w czoło.

–A skąd wezmę?

Postanowił być ugodowy. Poszedł na współpracę:

–Może być takie od mopa.

–Ten kwadratowy pojemnik?

–Tak. Nalej tam ciepłej wody. Znajdź miseczkę i rozrób mydło. Potem daj pędzel. Przestała się dziwić i z rezygnacją machnęła ręką.

–A mamy jakiś pędzel? Mojego do pudru ci nie dam.

–O Boże. Zrobimy ze zwiniętej i wystrzępionej gazety! – zdenerwował się. –

Zresztą może być ten, który został po ostatnim malowaniu mieszkania.

–Przecież to rolka. Chcesz mazać swoją twarz brudną rolką?

–Nie chcę. Muszę odtworzyć pewną sytuację. Chcę mieć mydło. Zaczęli szukać. Nic z tego. Przewalili całą szafkę w łazience. Obydwoje cierpieli na alergię.

Dokładnie sprawdzali etykiety środków do mycia. Na każdym było wyraźnie napisane, że producent gwarantuje brak mydła w „środku myjącym”. Sami przecież wybierali. Mieli japońskie mleczko do pielęgnacji twarzy Shiseido, oczyszczający tonik z algami, żel z mikrogranulkami i substancją ściągającą pory, piankę czyszczącą wewnątrz, cokolwiek by to znaczyło, oraz cleaner ze zmielonymi muszelkami. Każdy z absolutną gwarancją braku mydła.

–Skąd mam ci wziąć mydło? – spytała wkurzona Mariola.

–Nie ukradliśmy czegoś z któregoś hotelu? Zamyśliła się. Potem poszła do garderoby.

–Ty możesz mieć rację. – Przyniosła torbę podróżną Sławka. Szperała z dużą wprawą.

–Jest! – Wyjęła małe mydełko. – Jest. Do tego ręcznik, szlafrok i chusta do owijania wina. – Milczała przez chwilę. – To po cholere musiałam wkładać płaszcz? – Zajrzała głębiej. – Ukradliśmy jeszcze szampony, żele pod prysznic i łyżkę.

–No widzisz, sklerotyczko?

–Boże! Nie pamiętam, skąd myśmy to kradli.

Sławek zmrużył oczy, zastanawiając się intensywnie. W Egipcie? W Zakopanem, w Ustce? Czy na Maderze?

–Ja też nie pamiętam. Nieważne. Skup się! Załamala ręce.

–Co mam robić?

–Helgo, przygotuj mi golenie – cytował dokładnie pamiętnik Grunewalda. Krok po kroku.

–W czym mam ci przygotować to golenie?

–W naczynku.

–Przecież nie mamy.

–To w filiżance.

–Też nie mamy. Może być w kubku? Ale nie dam ci mojego ulubionego. Palnęła się w czoło.

Znalazła na półce wielkie pudło z filiżankami Rosenthala, które dostali w prezencie. Nie używali, bo za drogie na co dzień.

–Podaj brzytwę.

–Jezusie Chrystusie. Brzytwę to ja może raz w życiu widziałam!

–Nie komplikuj. Daj maszynkę do golenia.

–Tę elektryczną? Przecież tylko taką masz.

–Daj mi swoją plastikową maszynkę, którą depilujesz nogi. I spokojnie.

Wszystkimi bakteriami już dawno się wymieniliśmy.

Mydło nie chciało rozpuścić się w filiżance. Przypominało kawałek betonu. Bełtanie zwiniętą gazetą, rozbijanie nożem ani włożenie do kuchenki mikrofalowej nic nie dawało. Staszewski zadzwonił więc do kolegi fizyka. Ten przez kilka minut udzielał sążnistych wyjaśnień, dlaczego się nie rozpuszcza. Generalnie chodziło o to, że mydło jest zbyt dobrej jakości. Z byle jakim nie byłoby problemu, a to musiało być high quality. W rękach będzie mydlić, w filiżance nie. Ale za to nie zostawia osadu, nalotu, żadnych brudów. Jest pancerne.

Nie wiedział, co zrobić. Namydlić ręce, a potem na twarz? No ale Grunewald wyraźnie wspominał o naczynku. Czy to jest ważne? Nie miał zielonego pojęcia.

–Helgo! Zawołaj mi dorożkę.

Wyraźnie zaciekawiona podeszła do laptopa. Szybko stukała w klawisze. Google, searching. We Wrocławiu było może pięć dorożek. Wszystkie w Rynku – tylko dla turystów. Mała szansa, żeby dotarły na Karłowice w dającym się przewidzieć czasie. Nagle zmarszczyła brwi.

–Sławek, Chryste! Przecież dzisiaj jest trzeci maja.

–O cholera, a my nie mamy flagi!

–Mamy! – Popędziła do garderoby. – Przecież kupiłam w zeszłym roku. Wróciła ze sztandarem zatkniętym na kijku od mopa. Przywiązała go do poręczy

balkonu drutem i usztywniła taśmą klejącą. Była niezła w improwizacji. Flaga łopotała na wietrze. Sławek zasalutował do gołej głowy. Tak tylko, żeby pokazać szacunek.

Męczyło go co innego. Usiadł znowu do akt i gorączkowo przerzucał papiery. Najpierw pamiętnik Grunewalda.

Na święto nazistowskie wywiesiłem flagę ze swastyką. Przeszedł do akt Miszczuka i Wasiaka.

Z powodu zasług wojennych i szczególnego oddania w walce z reakcyjnym podziemiem oraz sku... sku... skutecznego (dobrze powiedziałem?) rozprawiania się z elementem zbrodniczym i szabrownikami dostąpią oni ho... honoru (dobrze powiedziałem?) wciągnięcia flagi na maszt!

Staszewski masował skronie. „Flaga na maszt, Irak jest nasz” – powtarzał słowa piosenki Lecha Janerki. A może same się powtarzały?

–Słuchaj, zamiast dorożki zamów mi taksówkę... Helgo! – dodał. Mariola wystukała numer z domowego telefonu.

–Dzień dobry.

–Dzień dobry. Już jedziemy. Nie musiała podawać adresu. Komputery natychmiast wychwytywały numer

telefonu, pod warunkiem, że nie był zastrzeżony, sprawdzały, czy dzwoni stały klient i czy nie było żadnych kłopotów z płatnościami. Ponieważ Staszewski spełniał wszystkie kryteria, taksówka momentalnie ruszyła z któregoś postoju w pobliżu.

–A co z tą jajecznicą? – spytała Mariola.

–Dajmy sobie z tym spokój. Nie zjem sześciu jaj na śniadanie. Nie wiem, co oni wtedy robili, że tak żarli.

Wzruszyła ramionami.

–Też nie wiem. Ale ja bym zjadła.

–Żartujesz? – Popatrzył na nią zdziwiony.

–Nie. Zjadłabym.

–No, a później sama nazywasz się foczką i mówisz, że na brzuchu masz sadelko. Uśmiechnął się miło, ale dziewczyna wyraźnie się zezłościła.

–A ty to co? Od rana piwko albo drinki. Myślisz, że nie wiem, co trzymasz w szufladzie biurka? Dwie butelki wódki! – Zadyszała się. – Masz tam trzy spluwy i dwie butelki wódki!

Wzniósł oczy do góry.

–Ale od tego się nie tyje.

–Od tego się umiera! – usiłowała być rzeczowa. – I jeszcze dwie paczki fajek dziennie.

–Umiera się z powodu jedzenia.

On też był rzeczowy i znał statystyki. Nie straszcie rakiem frajerów. Zdechną od frytek, coli, kiełbasy i tłuszczu. Będą sto razy bardziej liczni niż ci od raka.

–No oczywiście! Dwie paczki papierosów i wódka okraszana piwem to nie jest powód do umierania? Szczególnie jeśli się jest alergikiem.

–Alkohol pomaga astmatykom.

–Tak. – Odwróciła się plecami. – A szczególnie papierosy ci pomagają. – Rzuciła czymś w ścianę. – Pomagają ci w drodze na cmentarz. Podtrzymują za ręce! I chlejesz w robocie!

Nie był świnią i nie powiedział, że ją właśnie zabija kanapka, którą sobie w międzyczasie zrobiła.

–Oj, Mariola, jestem dobrym oficerem policji. Jestem fachowcem. I to, co piję albo palę, nie powinno nikogo obchodzić.

–Tak! – wrzasnęła. – Tylko się nie zdziw, jak cię zwolnią. Zastąpią cię miernotą przekłętą, która nie będzie potrafiła nawet ułamka spraw załatwić, które ty potrafisz. Ale za to codziennie będzie trzeźwa, codziennie o czasie w pracy, codziennie gotowa lizać dupę szefowi. Zrozum to wreszcie!

–Co mam lizać? Nikomu nie będę! – Nalał sobie nowy kieliszek wódki.

Mariola przysiadła się. Objęła go ramieniem i przytuliła. Powiedziała już cicho i spokojnie, po kobiecemu:

–Wiem, wiem, wiem. – Przytuliła się jeszcze mocniej. – Ty po prostu niczyjej dupy

nie polizesz. Znam cię, popaprańcu. Honor przeszkadza pełzać. Tak?

Spojrzał na nią.

–Kocham cię, wariatko!

–I ja ciebie kocham, wariacie!

Potem przekręciła głowę, uśmiechnęła się i zrobiła jedną ze swoich lisich min.

–Ale to nieprawda.

Co nieprawda?

Parę dup polizaleś.

Ja? – obruszył się. – Jakich?

No, na przykład tę. – Rozchyliła uda i spojrzała pomiędzy nie. – Tę!

Czy powieść może zapanować nad swoim twórcą? Czy znani mu tylko z akt, więc de facto wymyśleni bohaterowie mogą objąć nad nim władzę? Układać scenariusz tak, jak oni chcą, a nie on?

Ziemski siedział przy komputerze i nie wierzył własnym oczom. On to wszystko napisał? Czy może znowu zaczyna się wariactwo? Miał już doświadczenie z poprzedniego razu. Skoczył do drugiego pokoju błyskawicznie.

–Kobieto! – ryknął. – Trzymaj mnie! Nie daj mi dojść do sejfu z bronią! Silna była. Przytrzymała. A potem szepnęła:

–Ty i tak nie wiesz, gdzie jest klucz do sejfu. Schowałam. Odetchnął z ulgą.

–To daj mi telefon. Szybko wystukał numer.

–Sławek?

–Tak. – Staszewski nie należał do osób, które kładą się przed północą.

–Grozi ci straszne niebezpieczeństwo.

Staszewski był już tak upity, że spadł z łóżka, z którego brzegu oglądał telewizję. Upuścił telefon. Długo gramolił się, żeby go podnieść.

–No i co z tym niebezpieczeństwem? – Odwrócił słuchawkę, bo przyłożył ją do ucha odwrotnie. – Czego mam się bać?

–Oni wszyscy kontaktowali się z chemikami. Nie próbuj tego. Staszewski westchnął ciężko.

–Wiesz, podrzuciłeś mi niezły pomysł.

–Nie rób tego!

–Ale to jest naprawdę niezła myśl.

–Sławek, pamiętaj. Oni wszyscy nie żyją!

–My też przestaniemy, jak każdy. Ale skojarzenie dobre. Dzięki!

Grunewald przyszedł do pokoju Kugera. Ten siedział jak zwykle z papierosem w ustach i z ogromnym kubkiem gorącej kawy, studiując akta. Była trzynasta trzynaście.

–Ty wiesz, że natchnąłeś mnie genialnym pomysłem? – zaczął Grunewald.

–Jakim?

–Napisałem list do profesora Buchwalda z uniwersytetu w Berlinie. – Przysiadł na krześle. – Zapytałem, jak można wysadzić człowieka od środka. I popatrz, co mi odpisał. – Rozwinął szeleszczący arkusz.

–Ty jeszcze ciągle przy tej starej sprawie? Zresztą... – Kuger zawahał się – przecież mnie od niej odsunąłeś. – Odłożył papierosa i pociągnął łyk kawy. – Jestem defetystą. – Jeszcze jeden łyk. – To tylko powiedz, z jaką szybkością nasze oddziały spieszą spod Moskwy? Sto kilometrów na godzinę, jak porsche, nie osiągną. Bo tam nie ma dróg, a oni nie mają porsche.

–Mein Gott! Ty śledź sobie tych pospolitych złodziei i przestępców – wykrzyknął Grunewald. – A kiedy przyjdzie do obrony Vaterlandu, to uciekaj na tyły,

bo jedną ręką nie przeładujesz pistoletu.

Kuger uśmiechnął się ciepło.

–O! – Wyjął lugera z kabury i przeładował o kant biurka. – Mogę! – Roześmiał się. – Gorzej mi idzie ze zmianą magazynka, ale zawsze mogę kogoś poprosić. – Nachylił się do Grunewalda. – Jeśli oczywiście w pobliżu będzie jeszcze ktoś żywy oprócz Polaków i Rosjan. Bo wiesz... oni mi chyba nie pomogą.

–Masz obsesję! Ty masz po prostu obsesję. Wygramy!

–Ja mam obsesję? A kto mówił, że mamy najpewniejszych i najsilniejszych sojuszników w tej wojnie? Ty? No i gdzie są teraz USA i ZSRR? Może mi się tylko zdawać, ale tkwią chyba po drugiej stronie frontu.

–Włochy i Japonia. Kuger aż oklapł.

–A wiesz, co to jest trzysta tysięcy rąk podniesionych do góry?

–Nie.

–To włoska armia w ataku. Nawet Grunewald się uśmiechnął.

–A Japonia leży za daleko – kontynuował Kuger.

–Walczyli z Rosją!

–Tak, ale teraz mają większy problem na głowie. Nie chcę być złym prorokiem, lecz ten problem chyba ich przygniecie.

–Ty tylko, żeby nic nie robić!

–Tak. Nierobienie niczego byłoby niezłym wyjściem z sytuacji. Ale trzeba to było zacząć już przed wojną. W tej chwili za późno.

–Zdrajca!

–Nie. Ja po prostu za dużo gazet czytam. I niestety, nawet z oficjalnych informacji wyciągam wnioski.

–Przestań!

–Tak, tak. Czytałem na przykład, że Japończycy wysłali dwa tysiące bomb nad USA. Tyle że nie mogli osiągnąć ich kontynentu, więc podczepili bomby do baloników i korzystali z wiatru. Podobno jedna z nich zrobiła dziurę w trawniku, a druga rozwalila drzewo w parku narodowym. Reszta nie doleciała.

–Nie kpij.

Odruchowo jednak wyobraził sobie te dwa tysiące bomb na balonikach. Jego niemiecki, precyzyjny umysł szybko obliczał stosunek obszarów zajętych przez budynki przemysłowe czy miasta w stosunku do nieużytków, lasów i pól. Jego niemiecki umysł aż się zwinął w podziwie dla cudzej głupoty. Albo aktu desperacji.

–Czemu nie? Ciekawy jestem, jakie bomby Amerykanie zrzucą na Japonię, i to niepodczepione do baloników. – Kuger wyjął z szuflady atlas świata i zaczął kartkować. – No, Tokio to wiadomo, a potem najbliższe mają Hiroszimę, Nagasaki i parę innych. Zobaczymy, co wybiorą. Ale u nich też koszty się liczą. Pewnie polecą najbliższe.

–Tak, tak. – Grunewald przysiadł na krześle dla przesłuchiwanego i też przyjął minę kpiarza. – Amerykanie przyjdą też do Niemiec. Maszerując po dnie oceanu! – Ryknął śmiechem.

–A po co maszerować? Nie lepiej przyplłynąć statkiem?

–Nasze U-Booty ich masakrują!

–To niech się jeszcze nauczą latać, żeby masakrować ich samoloty.

–Mein Gott! Że ciebie jeszcze nie aresztowali. To jakiś cud.

–Wierzę w cuda. A poza tym, jeśli w moim własnym kraju nic złego nie zrobiłem, to dlaczego

mam się obawiać aresztowania? Jestem zwykłym łapieżnikiem, który łapie złodziei. Taka praca.

–Obrażasz Führera!

–Mówisz o tym idiocie Hitlerze? Który nas w miazgę wprowadził?

Przepowiadałem ci... Ale mi nie wierzyłeś. Mam go w dupie.

–Ciiii... Naprawdę cię aresztują. – Grunewald przestraszył się tego, co mówił Kuger.

Przyjaciel wzruszył ramionami.

–Naprawdę sądzisz, że tu jest podsłuch? Skoro jesteś prawomyślnym nazistą, to czego się boisz?

–Zwariowałeś.

–Odpowiedz.

Grunewald wstał z krzesła i zaczął krążyć po pokoju. Trzęsącymi się rękoma zapalił papierosa. Nie udzielił odpowiedzi.

–Chcesz poznać treść listu od berlińskiego profesora? – spytał, żeby odwrócić uwagę od idiotycznego i niebezpiecznego tematu dyskusji.

–Chcę.

–Otóż po paru tygodniach odpisał mi, że jest możliwy wybuch „od środka człowieka”. Wystarczy wziąć do ust nadmanganian potasu i wypić kwas siarkowy.

–O Matko Święta! – Kuger o mało nie rozwalił sobie głowy, uderzając nią w akta, które miał na biurku. – Wyobrażasz sobie człowieka, który je nadmanganian i pije kwas? Miałyby fioletowe usta i poparzone podniebienie. A niczego takiego nie stwierdziliśmy.

–Można jeszcze połączyć jakiś środek wybuchowy. Efekt będzie jeszcze większy.

–Boże! Obawiam się jutrzejszego jadłospisu w naszej stołówce. „Na śniadanie dynamit. Na obiad granaty okraszone angielskim plastikiem, a na deser kompot z nitrogliceryny”. To może być smaczne. Jeśli dodadzą trochę miotaczy ognia, będzie całkiem niezłe. I ciepło.

–Przestań wreszcie kpić.

–Chyba źle myślisz, Albercie. – Kuger strzelił palcami. – Popatrz na jedną rzecz. Skoro nie mieli takich śladów na ciele, to...

–To może łykali w szklanych kapsułkach?

–Tak. I później walili się pięścią w trzewia, żeby rozwalić kapsułki, zanim je wysrają. – Siedział jak pomnik, kompletnie nieruchomo.

–A ty co myślisz?

–Myślę, że powinieneś się skupić na powtarzalności spraw. Oni wszyscy robili to samo. Nie dość tego: w każdej sprawie powtarzały się te same zdarzenia. Te same zdania. Te same słowa.

–Skąd możesz wiedzieć, co mówili?

–No przecież przesłuchiwałem świadków.

–Przesłuchałem wszystkich, których mogłem – pieklił się Staszewski przed Mariolą. – I nic, nic, nic.

–O tak. Zły mężczyzna. – Przytuliła go i pocałowała. – Zły, zły, zły. – Głaskała po głowie. – A kiedy jesteś zły, to jesteś dobry w seksie. – Roześmiała się. – I całkiem mi się to podoba. – Nowy uśmiech. – Może założyć jakiś ekstra gorsecik?

–Nie mogę rozwiązać tej sprawy.

Wstała z łóżka. Nawet bez gorsetu wyglądała nieprawdopodobnie.

–Rozwiążesz ją – powiedziała zupełnie poważnie. Zasalutowała do gołej głowy.

Powtórzyła znany slogan: – Jak nie ty, to kto? Jak nie dziś, to kiedy?

Oddał salut.

–Rozkaz. Rozwiążę tę sprawę.

Obydwoje na golasa rzucili się do Internetu. Jej pełne, podrygujące piersi strasznie rozpraszały, ale już po kilku sekundach znaleźli właściwy adres w przeglądarce.

Staszewski wystukał numer w telefonie. Dodzwonili się chyba do Gdańska.

–Dobry wieczór, panie profesorze. Sławomir Staszewski z policji.

–O Matko Święta! Znaleźliście mój skradziony rower? Głos po drugiej stronie był pełen ekscytacji i niedowierzania połączonego z podziwem.

–Nie, nie, nie. My w innej sprawie.

–Z całą stanowczością stwierdzam, że nie miałem wtedy więcej niż siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Wasze radary są wadliwe!

–My nie z drogówki. – Oboje stali przy telefonie przełączonym na tryb

głośnomówiący. – Mamy do pana takie pytanie. Jak się wysadzić od środka?

Wyraźnie słychać było przełknięcie śliny.

–O Boże. Mówicie o człowieku rozsadzonym od środka?

–Tak.

Zaczęli marznąć, więc Mariola przymknęła drzwi balkonowe i powróciła na stanowisko, żeby słyszeć resztę rozmowy. Okryli się kołdrą ściągniętą z łóżka.

–Najprościej jest zjeść nadmanganian potasu i popić kwasem siarkowym. Ale kto to zrobi? Chyba jakiś wariat. – Profesor zawahał się przez chwilę. – No, ale po obu substancjach mieliby widoczne ślady w ustach.

–A jeśli nie było śladów?

–No... można i łyknąć środek wybuchowy. Ale chyba jakoś tak głupio obserwować, jak lont dopala się w ustach.

–A poważnie?

–No przecież macie wyniki sekcji. Co ja wam powiem?

–Jak można wybuchnąć?

–Są w prasie popularnej opisy wybuchów czy samozapłonów jakichś ludzi. Ale ja jestem naukowcem. Ja w to nie wierzę. Tak samo jak w to, że księżyc jest kawałkiem spleśniałego sera.

–Proszę nam pomóc. Jestem oficerem policji i ja to widziałem. Profesor milczał dłuższą chwilę.

–Widział pan? – Znowu umilkł. – Na własne oczy? – zapytał wreszcie z wahaniem.

–Tak.

–No, teoretycznie można sobie wyobrazić, że ktoś łyka dwie kapsułki w otoczce, która się rozpuszcza w żołądku. Teoretycznie można połknąć semteks i uruchomić detonator telefonem komórkowym. – Zastanowił się. – Ale to są brednie! Zawsze znaleźlibyście ślady, czy chemii, czy semteksu.

–Więc co się stało?

–Nie wiem. – Chwila namysłu. – Ale mam wrażenie, że powinien pan sobie zadać inne pytanie. Jakim cudem widział pan ofiary samobójstw w trakcie akcji? Bo widział pan kilka, jak rozumiem?

–Tak.

–Ile? W trakcie „odpalania”.

–Cztery.

–Widzi pan, panie oficerze. Jestem naukowcem – powtórzył. – I nie wierzę w taką genialną koincydencję spraw, że jako policjant widział pan cztery wybuchy. – Profesor musiał coś jeść, bo głos miał coraz bardziej niewyraźny. – A ile widział pan na własne oczy przypadków kradzieży

samochodów?

Bingo. Strzał w samą dziesiątkę. Facet z Wybrzeża był rewelacyjny. Ile kradzieży samochodów widział Staszewski na własne oczy? Ile morderstw widział na własne oczy? Ile wypadków samochodowych poza tymi, w których sam uczestniczył? Zero.

–Ma pan rację. Żadnego.

–Więc wszystko jasne. Podczas całej długiej, jak się domyślam, kariery nie zobaczył pan ani jednej kradzieży auta, ale za to aż cztery „samowybuchy”. No to podejźmy do tego racjonalnie.

–Dobrze.

–Naukowiec widzi wszystko na sucho. Przyczyna, skutek. Tylko to, nic więcej. Profesor mówił coraz bardziej konkretnie.

–Ale do czego to prowadzi?

–Wniosek jest prosty. Skoro nie widział pan ani jednej kradzieży samochodu, a widział pan cztery samobójstwa, to...

–To? – podchwycił. Tamten był zdecydowany.

–Może pan jest przyczyną. Ze Staszewskiego aż spadła kołdra. Mariola, choć sama w szoku, okryła go troskliwie.

–Czy był pan naocznym świadkiem jakiegokolwiek kradzieży? – kontynuował profesor.

–Nie.

–A tu cztery sprawy, w których pan uczestniczył osobiście. Nie wydaje się to panu dziwne? Zaczęli szeptać z Mariolą. Profesor z Gdańska jednak nie dał im się nagadać.

–Nie kradnie pan, nie powoduje wypadków, lecz widzi pan cztery samobójstwa? I w dodatku takie same? Z naukowego punktu widzenia i z samej statystyki wynika, że to niemożliwe. Gdyby był pan złodziejem, to widziałby pan kradzieże. We własnym wykonaniu jedynie. Ale pan tylko łapie przestępców. Już po fakcie. A tu?

–Przyznam się, że nie rozumiem.

–Nie wiem, jak to panu powiedzieć. Spróbuję prościej: pan nie kradnie, więc nie widzi pan kradzieży. Ściga pan tylko sprawców. Proszę więc sobie odpowiedzieć na pytanie: jakim cudem zobaczył pan czterech samobójców, którzy popełnili swój czyn w pańskiej obecności? Przecież pan nie popełnił samobójstwa.

–Jaka jest odpowiedź?

Profesor przełknął jakiś większy kęs i popił kawą lub herbatą.

–Być może to pan jest odpowiedzią.

Kiedy odłożył słuchawkę, stali długo w milczeniu, skuleni pod kołdrą. Mariola, jakby bojąc się czegoś, szepnęła Sławkowi prosto do ucha:

–Zauważyłeś? Powtórzył to samo trzy razy.

–Zauważyłem. Przytuliła się mocno.

–Sławek...

–Mm?

–Ale ty nie popełnisz samobójstwa?

Borowicz darł się z wnętrza opancerzonego pojazdu:

–No powiedzcie mi, gdzie jechać! Ja tu ze środka nic nie widzę.

–Otwórz taką klapkę z przodu.

–Chyba pomyliło ci się z czołgiem T-34! Tu nie ma żadnej klapki, tylko takie małe przezierniki!

–To skrócić w lewo.

Rąbnęli w słup trakcyjny. Nie przewrócił się, ale pochylił. I to bardzo. Kable spadły na pojazd, lecz na szczęście nie były pod napięciem. Przed wojną Wrocław miał pięć przedsiębiorstw tramwajowych. Szyny, słupy, kable były wszędzie.

–No i jak prowadzicie? – Borowicz masował obolałe czoło. Dobrze, że miał hełm na głowie. W tej chwili już z odpryśniętą farbą z przodu.

–A ty jak prowadzisz? Myśmy mało z dachu nie spadli! Borowicz wychylił się z wjazdu.

–No szlag mnie trafi. Co mam teraz zrobić?

–Wycofaj się i naprzód.

–Wycofaj? A gdzie tu jest wsteczny bieg? Może wiesz? Bo ja nie wiem.

–Spróbujmy na chybił trafił – powiedział Mischuk.

–A srał to – dodał Wasiak. – Jedź przez słup. Borowicz schował głowę. Ruszyli, masakrując linię trakcyjną. Potem jechali

zygzakiem, niszcząc witrynę jakiegoś sklepu, rozwalając barierkę przystanku tramwajowego, wszystkie słupki sygnalizujące na drodze. Kiedy podjechali pod

komendę, aż kilkanaście osób wybiegło z bramy. Chcieli sobie popatrzeć na niemiecki pojazd pancerny, który dymił, bo ognisko, na którym piekli mięso jeszcze nie zgasło, i na setki metrów kabli, zerwanych z przedwojennych trakcji tramwajowych, ciągniętych z tyłu. Większego ubawu nie mogli kolegom dostarczyć.

–Ty, popatrz – odezwał się ktoś z boku. – Angielscy komandosi.

–Chwilowo zatrudnieni w Werwolfie. – Kto inny, rechocząc, wskazał na wóz. – Nie mogliście więcej tych kabli przywieźć? Sprzedalibyśmy na złom i byłoby na bimber!

Wasiak nie wytrzymał.

–Ty! – ryknął. – Bo ci zaraz przygrzmocę z działa!

–Nie masz działa!

Wasiak, wkurzony do imentu, wyjął ze środka pancerfausta i wycelował.

–Mam. Takie małe, przenośne. Chcesz jeden pocisk?

Wyraźnie ostudziło to gromadę kpiarzy. Wasiak zachowywał się jak niepoczytalny. A woleli nie sprawdzać, czy panuje nad sobą.

Zostawili pojazd z ogniskiem wewnątrz na środku ulicy. Mógłby robić za parowóz. Pozostałe po uczcie kotlety zapakowali w niemieckie ulotki wzywające do obrony miasta i pouczające, że Breslau nie będzie kapitulował. Obrońcy miasta chyba uwierzyli, bo dali z siebie wszystko. Wrocław skapitulował jako ostatni.

Mischuk wprowadził ich na wartownię. Ciec z karabinem prawie przysiadł z podziwu.

–O Jezu! Amerykańca żeście złapali? – Wskazał na Borowicza. – Jankesi już wylądowali? Na spadochronach?

Rzeczywiście, Borowicz robił wrażenie Jankesa w kurtce i szaliku. Odparł:

–Nie. Na razie szpieguję.

–Aha. A kiedy nasi chłopcy z Anglii wylądują tutaj? Londyn przecież niedaleko.

–Londyn, Londyn? – zastanawiał się Borowicz. – To gdzieś w okolicach Obornik Śląskich? Czy parę kilometrów od Łądka Zdroju?

Znał nowe nazwy miejscowości. Szabrownicy ukradli komuś szkice do słynnego później słownika profesora Rosponda, który już zaczął zamieniać niemieckie nazwy na polskie. Im to było niepotrzebne, ale Borowicz z ciekawości przeczytał.

–Co? – cieć nie zrozumiał dowcipu.

–Jak zwykle musimy liczyć tylko na siebie. Ale damy radę.

–Cicho, kurwa – włączył się Miszczuk. – Bo nas ktoś usłyszy.

Poprowadził ich szerokimi schodami na górę. Cieć z tyłu krzyknął jednak, nie bacząc na konsekwencje:

–Pewnie, że damy radę! Tylko jakby nasze chłopaki z Anglii przyfrunęli, byłoby łatwiej!

Borowicz przystanął nagle, powalony wizją. Zobaczył Polaka, który obejmuje Tron Piotrowy. Zobaczył koniec stroju opresji. Otworzył oczy.

–O Boże, kwiaty! – krzyknął, wskazując doniczkowe rośliny na parapetach, które musiały jeszcze ustawiać niemieckie sprzątaczkę, bo teraz były całkiem uwiędłe. –

Pędem na górę.

Zaczęli biec po szerokich, ultranowoczesnych schodach. Potem ogromnym korytarzem. Miszczuk wpuścił ich do wielkiego gabinetu. Wasiak dla pewności podbiegł do parapetu i wyrzucił przez okno jedyną stojącą tam doniczkę. Zaraz wyjrzał z ciekawością, czy ktoś przypadkiem nie oberwał w głowę. Stało tam kilku oficerów UB, ale, niestety, nie trafił w żadnego.

–Co wy tam wyrabiacie? – wrzasnął któryś wyższy rangą.

–Melduję, że przesłuchujemy podejrzanego o współpracę z wywiadem Anglii, Francji i Japonii. A także o zamiar wymordowania wszystkich milicjantów we Wrocławiu poprzez zatrucie wody. Towarzyszu... – zawahał się. – Z tej wysokości nie widzę stopnia.

–A to dobrze. – Ubek uspokoił się wyraźnie. – Tylko skujcie go, żeby już niczym więcej nie rzucał.

–I przyłóżcie mu! – krzyknął inny. – Bo na pewno współpracuje też z wywiadem Ameryki, skoro on taki międzynarodowy. Wy z milicji jesteście za bardzo łagodni!

–Tak jest! – Wasiak zamknął okno. Zaczął się śmiać. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby uderzyć Polaka. Chociaż jego koledzy często to robili. – Słyszeliście? Chciał, żebym ci przyłożył – prychnął. – No, na weselu czy zabawie w remizie to tak... Nie ma sprawy. Ale na komisariacie? Zdułniał?

–Ty się wreszcie zamknij! – Miszczuk kładł przed Borowiczem sterty akt na biurku. – I mamy jeszcze takie – dodał, wskazując Himalaje teczek na górnej półce. – Tyle że germańskie.

–Znam niemiecki. Poradzę sobie. Przerwało im huknięcie drzwiami, w których pojawił się jakiś oficer.

–Obaj natychmiast do komendanta! – wrzasnął. – A więźnia do celi na ten czas.

–Ale to nie więzień, tylko ten, no... ten...

–Konsultant – odpowiedział Borowicz. – Poza UJ-otem skończyłem jeszcze studium policyjne.

–„Ujotem”? Aaaaaa... Amerykanin! Borowicz wzruszył ramionami.

–Być może już niedługo. Ale tylko z wyboru.

–Nie, nie – zaprotestował Miszczuk. – Musisz rozwiązać tę sprawę. Do Ameryki go nie puścimy na razie. – Odwrócił się do człowieka w drzwiach. – On jest przedwojennym oficerem policji!

–Aaa... Sanacyjny oficer? To do tury z nim.

–Nie. On jest specjalistą od kry... kry...

–Kryminalistyki – odpowiedział znowu Borowicz. I uśmiechnął się radośnie. Miał ukryty w kurtce malutki damski pistolet. „Szóstkę”. Był też wystarczająco zdeterminowany, żeby strzelać wokół, a ostatnim nabojem sobie w usta. Nie miał żadnej ochoty iść do komunistycznego więzienia,

po tym co usłyszał od szabrowników, którzy czasem odwiedzali siedzących kolegów.

Miszczuk i Wasiak wyszli do komendanta, a on zaczął studiować akta. Cudem tylko powstrzymywał się od poprawiania żenujących błędów ortograficznych. Zapalił chesterfielda. Miał straszną ochotę na herbatę, ale gdzie we Wrocławiu dostać coś takiego? Może w stołówce milicji podawali jakiś ersatz, lecz tam samego go nie wpuszczają. Zerknął do szuflady, znalazł butelkę bimbru. Pociągnął łyk i o mało nie zwymiotował.

Był mniej więcej w jednej czwartej lektury polskich teczek, kiedy przerwał nagle. Podstawił sobie krzesło i sięgnął po teczki niemieckie. Wertował szybko, bo naprawdę doskonale znał niemiecki. Dopóki nie wymordowali profesorów z Jagiellonki, uczyli tam porządnie i skutecznie. Błyskawicznie przerzucał kartki.

Miszczuk i Wasiak wrócili po mniej więcej godzinie. Obaj wyglądali niczym zbite psy. Komendant opieprzył ich za wszystko. Nie pojawili się na kolejnych odprawach, nie utworzyli punktu ochrony wokół Hali Ludowej. Nie nawiązali łączności. No ale niby jak? Komenda i Biskupin to były bardzo odległe wyspy w archipelagu Wrocławia. Z morzem pełnym rekinów pomiędzy. Nie mogli zostać wydaleny z milicji, bo mieli list z gratulacjami od Głuzdowskiego, nienaganną służbę za sobą (wiadomo gdzie) i odznaczenia.

–Odsuwają nas od tej sprawy – powiedział Miszczuk. Otworzył szufladę i wypił dwa wielkie łyki z butelki.

Borowicz zamarł.

–Już wiem, o co chodzi, mniej więcej. Ale najpierw wasz problem. Podniósł słuchawkę telefonu i postukał w widełki.

–Towarzystwo telefonistko, proszę mnie połączyć z towarzyszem komendantem.

–To ty, Wasiak? – Zobaczyła numer pokoju na konsoli.

–Nie. Generał Einseinstariersein z UB.

–O Jezu!

Borowicz brnął dalej z wdziękiem.

–Nie ma Jezusa, towarzyszko! To opium dla mas! – krzyknął. – Ale jest kontrola wewnętrzna. I tego radzę się bać – powiedział już cicho i łagodnie. – A nie szatana – dodał ciepło. – Towarzysz szatan nie jest w stanie wysłać was do kołchozu na Wschodzie. – Chwila przerwy na oddech i wręcz ujmujące zakończenie: – W przeciwieństwie do mnie.

–Oczy... oczywiście – wyjąkała przerażona. – Z kim mam połączyć? Bo zapomniałam ze strachu – wyznała szczerze.

–Z towarzyszem komendantem. Połączyła momentalnie.

–No czego? – rozległo się w słuchawce.

–Tu generał Einseinstariersein z UB! Co wy wyrabiacie?!

–A... a... ale o co chodzi?

–Sprawdźcie, towarzyszu, na centrali, skąd ja dzwonię! Z pokoju Miszczuka i Wasiaka. – Obaj właśnie biadolili cicho, widząc się w więzieniu. – Chcecie zdekonspirować moich agentów? Tak? Na waszym miejscu, chociaż nie wierzę w Boga, zacząłbym się modlić!

–Ale dlaczego? Ja nic nie zrobiłem.

–No właśnie. Sprawdziliście? Dłuższa chwila ciszy.

–Tak jest, sprawdziłem. Dzwonicie z ich pokoju, towarzyszu.

–To moi najlepsi ludzie, a wy tarzacie ich po podłodze?

–Ależ skąd. Stali na dywanie.

–No to co wy sobie tam wyobrażacie?! Wzięliśmy dwóch najlepszych milicjantów do rozwiązania tajnej sprawy, a wy rzucacie kłody pod nogi?!

–No, ktoś rzeczywiście rzucił doniczką, ale żadnego rzucania kłód nie odnotowano, towarzyszu generale. Bo słyszałem. Naprawdę kłodami nikt nie rzucał. Towarzyszu, a może zaproszę was na wódkę, pokażecie papiery i...

–Jakie papiery?! – rozdarł się Borowicz. – Przecież mówiłem, że to tajna misja!

–Tak jest! Rozumiem.

–Ja sam się przebrałem za angielskiego komandosa, a udaję sanacyjnego policjanta!

Komendant wyraźnie zgłupiał.

–Tak, rozumiem – powiedział wreszcie. – Oczywiście. Coś jednak dręczyło go wyraźnie, bo spytał:

–Przepraszam, nie zapamiętałem. Jak wasze nazwisko, towarzyszu generale?

–Przecież mówiłem. Einseinstariersein. Sprawdźcie mnie w KBW. Tylko ani słowa o tajnej sprawie!

–Tak jest!

Miszczyk drżącą ręką wytarł pot z czoła. Wasiak siedział oniemiały. Jedyne Borowicz niczym się nie przejmował. Co mu mogli zrobić? Miał swoją „szóstkę” w kurce i olewał cały świat. W każdej chwili mógł wyjść do tego drugiego świata. Podobno lepszego.

–Nie zwracałem uwagi na same przypadki – powiedział, wracając do tematu. – Zwróciłem uwagę na takie dziwne coś.

–Na co?

–Jesteście tacy sami.

–My? – Miszczyk spojrział na Wasiaka. – Oszalałeś?

–Oj, nie wy jako wy. Grunewald zagorzały nazista. Miszczyk zagorzały komunista. I teraz Kuger swój chłop. Wasiak swój chłop.

–No jak?

–Boże, przecież mówię. Nie jesteście do siebie podobni fizycznie. Chodzi mi o dwie pary policjantów.

–Milicjantów! – przerwał Miszczyk. – Obywatelskich! Nie wiedział, jak im wytłumaczyć.

–Nie sądzę, żeby przed wojną istniała taka organizacja. Chyba że w Ameryce.

–Albo w Rosji – Wasiak popisał się swoją wiedzą. Zadowolony z siebie usiadł na blacie biurka i też sięgnął po butelkę ukrytą w szufladzie. Wypił kilka łyków i chuchnął w rękaw. Borowicz o mało nie spadł z krzesła, czując zapach. Zemdlilo go dokumentnie. Z trudem odzyskał oddech.

–Z czego jest ten bimber?

–Nie uwierzysz. Z krowiego łajna. Borowicz zakrył twarz rękoma.

–A ja wypilem łyk tego ohydztwa! O Boże!

–Boga nie ma – odparł Wasiak. I zaraz sam sobie zaprzeczył: – Tak naprawdę to jest, ale teraz nie wolno o tym mówić.

Borowicz gwałtownie przełykał ślinę. Usiłował dojść do siebie.

–Mam teraz w żołądku jakieś okropne bakterie i mikroorganizmy.

–Spokojnie, to spiryt jest. – Wasiak poklepał go uspokajająco po plecach. – Jak robaki masz w brzuchu, to teraz wyjdą razem z gównem. O!

–Uciekną z obrzydzenia – usiłował zażartować Borowicz. – Macie trochę herbaty?

–Herbata jest w Chinach.

–No, cokolwiek do wypicia poza tą okropnością?

–Przyniesiemy ci tej amerykańskiej kawy, co nie ma smaku. Ale czarna jest przynajmniej. I z cukrem da się pić. – Wasiak otworzył okno. – Przyniesiemy ci też kapusty, bo sądząc po smrodzie, to właśnie gotują. Do stołówki cię nie wpuszczą.

–I chyba nie chcę tam iść. Ale podsunęliście mi niesamowity pomysł. Musimy znaleźć człowieka, który przeżył rytuał. Może był taki przypadek. Może ktoś go uratował.

–A niby jak mamy to zrobić?

–No przecież sami mówiliście, że jest obiad. Stańcie przed stołówką i wypytujcie wszystkich oficerów, czy widzieli coś takiego. Do samego końca. Czy widzieli kogoś tańczącego wśród kwiatów. Takiego, który przeżył.

–Rozumiem. – Mischuk potarł brodę.

–A jak osobnika znaleźć potem wśród tych ruin? – dodał Wasiak. – Nawet jeśli jakiś przeżył.

–O Boże! Metoda! Procedura postępowania. Krok po kroku według regulaminu. Rutynowe śledztwo.

–A co to znaczy „rutynowe”?

Borowicz tylko westchnął.

–Rutyna to taka trucizna. Jak się nią poleje świeże kwiaty, to więdną. A jeśli wypije ją człowiek, to staje się taki jak wy. Niewyszkolony.

–Ale mnie wywieźli, jak miałem kilkanaście lat – powiedział Wasiak. – Gdzie się miałem szkolić? Na Sybirze? Ty wiesz, jak tam zimno? Oczy mi zamarzały.

Borowicz spuścił wzrok i powrócił do studiowania akt.

–Na szczęście nie wiem. A jutro będziemy mieć bandytę w rękach. Jeśli zrobicie swoje uczciwie. I przynieście coś do picia. Bo tej waszej „kałówki” nie tknę. – Zajął się konsumpcją zimnego kotleta, którego dostał od „wypędzonej” wilnianki.

Kuger znowu przerzucał akta. Plan rysował się jasny.

–Posłuchaj – zwrócił się do Grunewalda. – Musimy znaleźć kogoś, kto przeżył ten rytuał.

–Niby jak? A poza tym ty nie uczestniczysz w sprawie. Dzielimy tylko wspólny pokój.

–W którym będą mnie przesłuchiwać. Takie mam dziwne przeczucie. – Kuger nalał sobie herbaty. – Stańmy na głowie, ale znajźmy tego gnoja, który to robi.

Śledztwo dosłownie go porywało. Czuł, że jest o krok za przestępcą, że czuje jego oddech, zapach potu... Bo tamten się poci. Z całą pewnością. Wie już, że Kuger o nim myśli. A żadnemu przestępcy takie myślenie nie zwiastowało niczego dobrego.

–Myślisz, że to jedna osoba?

–Nie mam zielonego pojęcia. Ale my jesteśmy zwykłymi policjantami, a nie jakimiś tam faszystami.

–Mów za siebie.

–Rozumiem. W każdym razie nawet jako nazista jesteś dalej policjantem i masz obowiązek ścigać przestępców! A nie, kurde, mordować, gdzie się da, kogo się da i kiedy się da!

Usiłował zgrabnie przemilczeć niewypowiedzianą na razie głośno sugestię spisku przeciw władzy. Gdyby głośno padło coś takiego, koniec śledztwa byłby od razu jasny. Zabito by natychmiast jakichś Żydów (jeśli jeszcze jacyś byli) albo kogokolwiek, kto nawinie się pod rękę, i pochwalono by się w samym Berlinie. Kuger łąpał się na tym, że nie chciał już żyć. Po tej stronie krainy śmierci trzymało go jednak wpojone od dziecka poczucie obowiązku. On miał złapać przestępcę i wsadzić za kratki. Tyle jego Kugerowej mentalności.

–Ciszej! Cholera, ciszej!

–Co? Boisz się, że tu ktoś słucha? Ja jestem tylko policjantem. – Zamyślił się. – Ja nie chcę słyszeć, jak ktoś bije faceta w pokoju obok. Przesłuchuję zgodnie z regulaminem. Nawet Polacy mnie wypuszczają. Nie zrobiłem nic złego.

Zapalił papierosa jedną ręką. Gdy odrzucił zapałkę, przyszło olśnienie. Zerknął na kwiatek w doniczce, którym parę lat później Wasiak rzucił w oficerów UB i nie trafił.

–Musimy znaleźć człowieka, który przeszedł rytuał i przeżył.

–Jak?

–Nie wiem. Wypytajmy wszystkich przed stołówką. Zaraz obiad. Trzeba spytać, czy ktoś widział rytuał z kwiatami i pamięta żywą ofiarę. Może się ktoś trafi.

Mariola stanęła przy Staszewskim.

–A wiesz, o czym zapomniałeś?

–O czym, Helgo? – Dalej odtwarzał punkt po punkcie ostatni opisany dzień Grunewalda.

–Tam zawsze było dwóch policjantów. Dobry i zły.

–Nie mam partnera. Do czego zmierzasz?

–Posłuchaj, Grunewald i Kuger, Miszczuk i Wasiak. Zawsze jeden fajny, drugi mniej.

–Grzebałaś w moich aktach?

–No pewnie. Przecież jestem kobietą. – Pokręciła mu przed oczami swoją kształtną pupą. – Więc ja będę tym dobrym policjantem w naszym zespole.

O mało nie zakrztusił się papierosem.

–Ty?!

–No pewnie. Zaczekaj chwilę. Zrzuciła swoją przezroczystą koszulę nocną. Poszła do garderoby. Dotarły do

niego odgłosy szamotaniny i trzask otwieranych szuflad. Po kilku minutach wyszła ubrana w wojskowe buty, spodnie w barwy ochronne typu woodland. Miała na sobie jego kamizelkę kuloodporną z kewlaru. Na głowie rosyjski hełm z wielką literą „V” i napisem „Blues Brothers Day”, który dostała na jakiejś imprezie. Z sejfu wyjęła swoją damską dwudziestkędwójkę. Przeładowała, wzięła dodatkowy magazynek i schowała do kieszeni. Pistolet idealnie się mieścił.

–No i co? Nie przydam ci się?

–Jestem pod wrażeniem. – Westchnął. – Ale, kochanie... Wszyscy ludzie, którzy zajmują się tą sprawą, giną.

–Ojej! Naprawdę? – Teraz Mariola westchnęła, parodiując Sławka. – A wiesz, od czego ty zginiesz?

–Od czego? – spytał zaintrygowany. Otworzyła szufladę jego biurka i wyjęła butelkę wódki.

–Od tego! – wrzasnęła. Rzuciła w niego kartonem papierosów. – I od tego!

–Jezu! – Na kolanach szukał kartonu pod kanapą. – Czy wiesz, że jak choć raz strzelisz z tej twojej dwudziestkidwójki poza strzelnicą, to pójdiesz siedzieć?!

–Będę strzelać w obronie własnej! Nie puszcze cię na śmierć samego! Podniósł głowę.

–Kocham cię, ty kompletnie porąbana wariatko.

–I ja ciebie kocham, kretynie! Wstał, wydając z kartonu nową paczkę papierosów. Szamotał się z otwarciem. A

kiedy mu się już udało i zapalił, podszedł do sejfu. Wyjął z niego ogromnego visa, podał Marioli.

–Masz armatę.

–A po co?

–Wiem, że dobrze strzelasz, ale to nie zawody sportowe. Swoją dwudziestkądwójką, jak ci adrenalina podskoczy, to pewnie nawet go nie trafisz, a jeśli trafisz, a on będzie na przykład pijany, to i tak cię dopadnie. Naprawdę weź armatę.

Mariola była dobrym strzelcem. Kiedy zaczynała uprawiać ten sport, pomyliła tarcze. Zamiast do pistoletowej, w odległości dwudziestu pięciu metrów, strzeliła do karabinowej, ustawionej dwa razy dalej. Miała dziesiątkę. No, ale to tylko trening.

–Ile mam nabojów w magazynku? – spytała.

–Cztery.

–Wystarczy?

–Tak. Walisz dwa na dzień dobry, z biodra, a potem jeden celowany. W głowę pacjenta.

–A czwarty?

–Ten jest dla ciebie. – Uśmiechnął się. – Jakby coś nie wyszło.

Zaczęła się śmiać. Sławek spojrzał poważnie.

–Pamiętaj. Strzelaj sobie w usta. A nie w skroń, bo co trzeci taki snajper przeżywa. I ma to różne przykre konsekwencje.

Dopiero teraz zrozumiała, że Staszewski nie żartuje.

–Aż tak źle? A jeśli oni będą mieć broń maszynową?

–To zacznij sobie układać nekrolog do gazety. Przeładowała visa. Aż podskoczył.

–Jezus Maria! Nie!!!

–Co nie?

–Przecież on ma ruchomy bezpiecznik w rękojeści! Wystarczy, że chwycisz, i jest odbezpieczony. To nie jest nowoczesna spluwa z milionem przełączników i zabezpieczeń. Przeładowujesz, chwytasz i strzelasz. A później trzeba dać na mszę za duszę napastnika. Tak napisali w instrukcji obsługi.

Roześmiała się i rozładowała.

–Dobra. Więc idę z tobą?

–OK. Grunewald pisał:

Helga uparła się i powiedziała, że idzie ze mną. Podobno miała sen, że mnie zabiją. Wzięła kuchenny nóż i szpadek, którym zruszała ziemię w donicach na balkonie. Była zatem uzbrojona.

Miszczuk i Wasiak wrócili po dobrej godzinie, kiedy Borowicz kończył czytanie akt.

–No i co? – spytał.

–Cienizna. Znaleźliśmy tylko dwóch oficerów, którzy widzieli tańczących wśród kwiatków. Jednego uratowali milicjanci, jak się chciał zabić.

–No to go wezwijcie.

–Niby jak? W tym morzu gruzów, gdzie nazwy ulic są albo po niemiecku, albo po polsku, albo w ogóle ich nie ma? Ewentualnie nie ma nawet ulic, tylko takie cegłowisko jedne. Nie wiemy, gdzie mieszka.

–A ten drugi?

–A tego to mamy pod ręką. Gestapowiec.

–No to tego wezwijcie.

–Ale on mówić nie chce. Wspomniał, że uratował go kolega, kiedy ześwirował i chciał się zabić. Ale więcej mówić nie chce. Od kolegów wie, gdzie go posłać.

–Gdzie?

–Na minus czterdzieści. I dowie się, co to jest chodzić z gaciami pełnymi własnego gówna. Ruscy mu nie darują.

Borowicz sortował niemieckie akta wedle znanego tylko jemu klucza. Miał doskonałą pamięć.

Zamyślił się.

–No to niech go przesłucha ten Kuger. Macie go jeszcze w pierdłu?

–No pewnie – odparł Wasiak. – No ale żeby tam Niemiec Niemca przesłuchiwał? Możemy mu przypałować, ale...

–A kogo do tej pory przesłuchiwał? – Borowicz pokiwał głową. Ci dwaj nie mieli żadnych podstaw pracy policji. – Pała od razu? – powiedział. – Poznajcie profesjonalne metody.

–Ale my z milicji!

–No to ucźcie się. – Westchnął. – Możecie mu wystawić papiery, żeby jeszcze dzisiaj pojechał do Niemiec?

–Pewnie. On nam nic nie zawinił. Taki sam śledczy jak my.

–No to zróbcie tak: jeden z was pójdzie i załatwi papiery, żeby go zwolnić już dzisiaj. Drugi zwinie na ulicy dwójkę Niemców z wózkiem.

–Na cholerę ci wózek? – Wasiak aż przysiadł z wrażenia. – Chcesz im zrabować te ichnie klamoty?

–Po prostu tak zróbcie. – Borowicz zaczął porządkować akta i odkładać je na odpowiednie półki.

Zapalił playersa. Zamyślił się, gryząc wargi. Powtarzalność sytuacji. Mniej więcej już wiedział, gdzie zacząć to śledztwo. Trochę też zaczął się bać. Potrzebował jednak kogoś, kto będzie mu pomocny i powie, co wie.

Niemców Mischuk i Wasiak przyprowadzili już po kwadransie. Byli przerażeni do granic. Ustawili swój wózek pod ścianą i stanęli na baczność. Ojciec, matka i córka. Borowiczowi zrobiło się wstyd, że musi tak traktować ludzi. A z drugiej strony pamiętał swojego ojca, profesora, prowadzonego na rzeź. Nie mógł się połapać we własnych uczuciach. Jednocześnie było mu żal tych ludzi i rozsadzała go nienawiść. Poplątane losy – jak z tym żyć? Zerknął na wózek. Mieli tam byle co. Tak samo jak Polacy przyjeżdżający z Wilna i Lwowa. Musieli się mijać na ulicach. No ale... trzy mocarstwa zdecydowały o losie tych wszystkich biedaków, więc niech one biorą winę na siebie.

–Chcecie tuszonki? Bimbru?

–Ja nie byłem w Wehrmachcie! – krzyknął Niemiec, osłaniając żonę i córkę. – Tylko w Volkssturmie! Stary przyk jestem!

–Nikt pana o nic nie oskarża.

–Ja chcę tylko wyjechać do Niemiec. Choć kocham Breslau.

–Wiem – powiedział Borowicz swoją perfekcyjną niemieczyzną. – A ja kocham moje Wilno. Na nasze nieszczęście przenieśliśmy się do Krakowa. No i tam tatusia wzięli i zabili. Ale nie oskarżam państwa personalnie. Jeszcze dziś wsiądziecie do pociągu do Niemiec, jeśli taki gdzieś będzie.

–A co z nami teraz?

–My nie z RSHA. – Borowicz nagle się roześmiał. – Oczywiście siedzimy w tym samym budynku, ale my nie bijemy. Gwarantuję, dziś wieczorem będziecie w pociągu.

Niemiec odetchnął z ulgą, choć dalej trząsał się ze strachu. Dziwny stan. Ulgą i niedowierzaniem. Kobiety, zacisnąwszy usta, stały nadal bez ruchu, jakby cała sytuacja ich nie dotyczyła. Borowicz obserwował mężczyznę z ciekawością. Postanowił go uspokoić.

–Niech się pan trzyma dzielnie. Jest pan Niemcem i jedzie do Niemiec. A ja

jestem Polakiem i jadę do Ameryki. To kto ma lepiej?

Niemiec zgłupiał.

–Poszedłem na współpracę z tą milicją – kontynuował Borowicz. – Muszę rozwiązać jedną sprawę i wtedy mnie puszcza. Także, widzi pan, jesteśmy w podobnej sytuacji.

Wyraźnie rozluźnił Niemca, choć nadal nie do końca.

–Ja chcę do domu! – krzyknął.

–Ja też chcę do domu. – Zapalił kolejnego playersa. – Problem w tym, że go nie mam. Dzięki wam.

–Nie byłem żołnierzem. Jediną prawdziwą walkę stoczyłem podczas powstania śląskiego. Pamiętam tylko, jak jeden z waszych, strasznie młody, wyskoczył zza węgła i ciachnął jednego z naszych w rękę. Bagnet miał posmarowany gównem, więc naszemu rękę ucięli. A kiedy złapałem powstańca, to jeszcze rzucił nożem w oficera. I zabił.

Borowicz zamyślił się i przygryzał wargę. Olśnienie.

–Widzisz, jak to wszystko się łączy?

–Co się łączy?

–Zaraz zobaczysz swojego przyjaciela.

–Którego?

–Poczekaj chwilę.

Siedzieli w milczeniu kilkanaście minut. Borowicz, gdy skończył papierosa, zaczął żuć zapalki. To nie była sprawa jak wszystkie. Za dużo zgodności, za dużo przypadków, zbyt wiele tropów prowadzących do celu. Tylko czym był cel? Miał nadzieję, że gestapowiec, który przeżył rytuał, mu coś powie.

Ciszę przerwało wejście Mischuka i Wasiaka w towarzystwie strażników, którzy nieśli więźnia.

–Kuger! To ty?! – krzyknął Niemiec spod ściany.

–Pierschek? Ty żyjesz? Ostatni raz widzieliśmy się, kiedy nas Polacy masakrowali pod Górą Świętej Anny.

–Przeżyliśmy. – Nagle Niemiec zorientował się, że słucha go polski oficer doskonale znający niemiecki, i zmienił ton. – Rękę to pamiętam, gdy ten chłopiec rzucił się na ciebie. Ale co z nogą, przyjacielu?

–Rosyjskie bombowce. Byłem w Breslau podczas oblężenia.

–Dobrze, dobrze – przerwał im Borowicz. – Skończmy ze wspominkami. Notabene mój prawujek, jeśli można się tak wyrazić, też tam walczył. Tyle że po drugiej stronie. – Roześmiał się. – Góra Świętej Anny, czy jak to się wtedy mówiło, Annaberg. Rzeczywiście była tam taka masakra?

–Była.

–Niech mi pan uwierzy, panie oficerze – dodał Pierschek. – Prawdziwa jatka. A kiedy wasi ruszyli na bagnety, to już było piekło. Widziałem dantejskie sceny, jak żeśmy się zabijali.

–No proszę, czyli wujek jednak prawdę mówił. – Borowicz potarł skroń. – A myślałem, że to tylko fantazje staruszka.

–Czy moglibyśmy się wziąć za sprawę? – przerwał tym razem Mischuk.

–Sekundę. – Borowicz nie mógł czegoś zrozumieć. – Czy to prawda, że gdy nasi poszli na bagnety, to wy zwinęliście swoje lewe skrzydło?

–To było prawe skrzydło, panie oficerze. Patrzy pan z odmiennej perspektywy. Z naprzeciwka.

–A fakt. Ma pan rację.

Miszczuk nie mógł już wytrzymać.

–Czy moglibyśmy wreszcie zacząć?

–Jasne. – Borowicz nie mógł jednak skończyć: – A kiedy nasi doszli do świątyni? To co się działo?

–Jatka, panie oficerze. Jatka. My ich, a oni nas. Noże, bagnety, kolby karabinów, pięści albo nawet zęby. Jeden z waszych, ranny, to nawet granat chwycił w zęby i wyszarpnął zawleczkę. A potem przytulił się do naszego oficera. Obaj zginęli.

–Zaraz, zaraz, bo to ciekawe. Czy wokół były kwiaty?

–Nie wiem. Nie patrzyłem. – Niemiec zamyślił się na chwilę. – Może były, ale kto na to zwracał uwagę w bitwie. Jakies tam świątynne wota. Albo doniczki raczej. Nie mam pojęcia.

–Nie, nie. Ja pana nie zamierzam wypytywać o kwiatki, ale o faceta, który wziął granat do ust i eksplodował w ramionach niemieckiego oficera.

–Nie wiem. Widziałem kątem oka. Wszyscy straciliśmy słuch po wybuchu. Wasi strzelali, my też, w zamkniętym pomieszczeniu. No to przecież nic już pan nie słyszy, choćby po jednym wystrzale. Nie wspomnę o granacie.

Kuger pochylił się na krześle.

–Ja wiem, o co mu chodzi – powiedział, przerywając Pierschkowi. – O wybuchających ludzi.

–Dokładnie to miałem na myśli – uśmiechnął się Borowicz. – Też mamy z tym problem.

Kuger pochylił się jeszcze bardziej, balansując na krawędzi upadku.

–Czego pan się chce dowiedzieć?

–Przeczytałem wszystkie wasze akta. Wyjątkowo skrupulatnie prowadzone. Więc wiem o śledztwie wszystko. Zależy mi na czymś innym.

–Na czym?

–Widzi pan, mamy w areszcie gestapowca, który przeżył rytuał. Ale on nie chce mówić. Zawsze to lepiej, jak rodak z rodakiem porozmawia.

–Nie będę go przesłuchiwał.

–Proszę pana, jest pan oficerem policji, jak i ja byłem. To pogadajmy jak kolega z kolegą. Pan się nie wyzwierał ani w łagrach, ani w obozach koncentracyjnych. Możemy więc porozmawiać jak ludzie kulturalni.

–Nie!

–Dobrze – Borowicz zgodził się natychmiast. – Widzi pan. Moja propozycja jest taka. – Otworzył szufladę. – Moja propozycja jest taka... – powtórzył. – Puszka tuszonki, chleb, butelka bimbru, bo to najlepsza waluta teraz, i ten papier.

–Jaki papier? – Kuger miał usta pełne śliny.

–Stwierdzający, że już dzisiaj może pan jechać do Niemiec. Pan Pierschek z rodziną zawiozą pana na dworzec. Teraz! Na tym wózeczku. – Borowicz, skupiony, mówił powoli, wyraźnie i dobitnie. – Jedna rozmowa i jedzie pan na dworzec. Jedna rozmowa!

Kuger odruchowo chciał ukryć twarz w dłoniach, nie udało mu się z powodu kalectwa.

–Nie.

–Widzi pan, ten papier można potraktować na różne sposoby – znął się

Borowicz. – Mogę go podrzeć. – Naddarł centymetr. – Mogę usuwać kawałki. – Oderwał niewielki fragment. – I mogę go panu dać. Wybór zawsze należy do człowieka. Co pan woli? Wolność i Bawaria za parę dni czy nasze przytulne więzienie?

Borowicz oddarł następny kawałek. I jeszcze jeden. I jeszcze.

–Chce pan ten papier? Nie daję go panu do przeczytania, bo pan nie rozumie po polsku. Ale daję oficerskie słowo honoru, że jest prawdziwy. – Oddarł następny kawałeczek. – Chce pan go? Bo jestem już blisko najważniejszej pieczętki.

–Tak! Tak! Tak! – rozdarł się Kuger. – Chcę!

–No to przesłucha pan gestapowca.

–Jawohl.

Borowicz odwrócił się do Mischzuka i Wasiaka.

–Przyprowadźcie go.

Kuger wskazał brodą biurko.

–Po co? Tu jest konsola. Wystukuje pan numer więźnia i przyprowadzają z wartowni. Amerykanie nam sprzedali ten patent.

–Czyli sześć, sześć, sześć. Numer bestii. – Borowicz uśmiechnął się wrednie. – Nie sędzę, żeby tu numerowali więźniów. To nie Auschwitz mimo wszystko.

Mischzuk i Wasiak poszli ze strażnikami. Borowicz drażnił się z Niemcami. Patrzył na nich albo groźnym wzrokiem, albo łagodnym. Bawił się konsolą. Ciekawe, czy światełka i brzęczyki w ogóle cokolwiek mówiły chłopom zmobilizowanym z Polesia na wartowni. Ciekawe, czy potrafili czytać. Najpierw Ruscy, potem Niemcy i

znowu Ruscy. Nie zdążyli skończyć szkół. Niektórym zafundowano nawet bezpłatne wycieczki „Sybir Tours”. Byli jednak inteligentni. Jeden wpadł do gabinetu z pepeszą.

–A co się tu wyrabia, towarzyszu?

–Przyjechałem z Warszawy. Kontrola wewnętrzna z UB – powiedział Borowicz. – Notabene cuchnie od was bimbrem jak z gorzelnii. Zaraz zajmę się tą sprawą.

–Ale my nie pijemy, towarzyszu!

–Herbaty nie pijecie, kawy nie pijecie. Być może nawet nie pijecie wody. Ale wódę to tak!

–Nie. Naprawdę nie.

Borowicz nachylił się do Kugera.

–Gdzie jest najlepsza skrytka na wartowni? – spytał po niemiecku. – Chodzi o alkohol.

–Szafka nad drzwiami. Nikt nie sprawdzi.

Borowicz odwrócił się do spietranego już lekko, ale ciągle podejrzliwego wartownika.

–Czy mam zobaczyć, co jest w waszej szafce nad drzwiami? Tam u was, na wartowni? Mam tam pójść i wyciągnąć konsekwencje? Ewentualnie butelki.

–Nie, nie, nie, tam nic nie ma. Ja pobiegnę zobaczyć i sprawdzić, towarzyszu.

–Dobrze, sprawdźcie.

Wartownik zmył się momentalnie. Borowicz ciągle żuł zapalki i rozmyślał nad tą dziwną sprawą. Miał niby punkt zahaczenia. Ale jakoś tak podświadomie czuł, że tu potrzeba geniusza. Jakiegoś cholernego Sherlocka Holmesa. Herkulesa Poirot. Boże, natchnijcie mnie, myślał. Niech przynajmniej przyjdzie doktor Watson!

Przyszli Mischuk i Wasiak, prowadząc gestapowca. Wasiak od razu przyskoczył do szuflady biurka.

–O Matko Boska! – Wpychał sobie pod pachy zakamuflowane butelki bimbru. – Jest kontrola z Warszawy. Połowa komendy wylewa wódę do kibla i tłucze butelki.

–Na twoim miejscu bym się nie przejmował. Kontrola jest z Wilna, potem z Krakowa, a teraz z Wrocławia – uśmiechnął się Borowicz, tym razem przyjaźnie. – Tak się układało życie kontroli. Jest bardzo mobilne.

Mischuk zrozumiał pierwszy.

–Jezusie i Maryjo! Coś ty nawyrabiał?

–Ja tylko bawiłem się konsolą. Obaj byli przerażeni paniką na korytarzach.

–Ale teraz komenda wylewa wódę do sracza! I tłucze butelki.

–I bardzo dobrze. Picie jest szkodliwe. Ale wy swoje butelki zostawcie, bo to cenna waluta.

–Ty se normalnie jaja robisz! – wrzasnął Mischuk.

–Nie. Jaja to robi kura. A ja tylko sprawiłem, że wasz bimber będzie teraz sto razy cenniejszy. Najlepsza waluta skoczyła nagle w górę na giełdzie.

Wasiak położył rękę na ramieniu Mischuka.

–On chyba wie, co robi – powiedział. – Dajmy mu działać.

–Sanacyjny oficerek?

–Nie mów „oficerek”. To prawdziwy oficer, który szkoły ma za sobą. On umie trochę więcej niż paraszę wynosić z celi jak my. Albo bałandę pić. Jego nauczyli przed wojną. Zawodu policjanta.

Mischuk zapalił rosyjskiego papierosa. Eleganckiego. Najpierw zgniótł tekturową tutkę dwa razy, żeby mu się tytoń do płuc nie dostał, potem odpalił zapalniczką zrobioną z karabinowej łuski.

–Dobra. Dajmy mu mówić.

Borowicz zwrócił się do gestapowca:

–Drogi panie. Nie jestem tu po to, żeby ścigać pana za zbrodnie wojenne ani nic innego. Pogadajmy jak oficer z oficerem. Chodzi wyłącznie o sprawę kryminalną.

–Niczego wam nie powiem!

–Oj tam, zaraz „nie powiem”. – Borowicz odchylił się na fotelu. – Kanapeczkę z tuszonką? Herbaty? No przecież my tu nie bijemy.

–Nie? – Gestapowiec odwrócił się, podniósł kurtkę i koszulę. – Nie?

–Oj Boże. Upadł pan na kaloryfer i tyle.

Sine pręgi na plecach tamtego były tak regularne, że naprawdę mogły przypominać bicie kaloryferem.

–Niczego wam nie powiem!

–Za pańskie zbrodnie będzie pana sądził sąd radziecki. Z góry współczuję. Lecz my od pana chcemy tylko informacji.

–Niczego nie powiem!

–Ma pan rodzinę? To przecież nie jest tajna informacja.

–Mam. Żonę i córkę. Zabijecie je?

Borowicz zapalił angielskiego playersa. Podał gestapowcowi paczkę, ale tamten odmówił. Zapadła cisza.

–My nikogo nie zabijamy, w przeciwieństwie do was. To teraz... – Borowicz przerwał, by tym dobitniej zabrzmiało to, co zamierzał powiedzieć: – Chce pan jechać do Rosji z rodziną? Czy sam?

Facet był twardy. Zrozumiał szantaż i odpowiedział, decydując się na ryzyko:

–Sam.

–No to proszę współpracować.

–Niczego wam nie powiem.

–A ja nie chcę słuchać o tym, co pan zrobił. Interesuje mnie wyłącznie sprawa kryminalna. Nie polityczna, nie partyjna, nie polsko-niemiecka, tylko kryminalna!

Borowicz położył nogi na stół niczym Amerykanie i zaciągnął się dymem z papierosa.

–Kuger. Do dzieła. Arbeit, Arbeit! Ten pochylił się do współwięźnia.

–Stary, proszę cię, pomóż.

–W czym? Kuger zawahał się.

–Jak widzisz, jestem inwalidą. Byłem w kripo. Nic do mnie nie mają i dali papier, że mogę jechać do Niemiec. Tym wózkiem, który stoi pod ścianą... I z tą niemiecką rodziną...

–Daleko nie zajedziesz.

–Nie śmieć się. Wózkiem tylko na dworzec. – Kuger przecesał włosy palcami. – Kolego, uwierz mi. To nie jest sprawa nazistowska ani o zbrodnie wojenne. Zwykła, kryminalna.

–Mam ci wierzyć? Przekupili cię.

–Nie! Posłuchaj. Wiem, że ciebie czeka straszny los. Ale pomóż mi, kalece. Co cię to kosztuje? – Kuger wykazał się znajomością psychiki. Był dobrym podoficerem śledczym. – Doskonale rozumiem, że mi zazdrościsz i najchętniej powiedziałbyś „pocałuj mnie w dupę”. Ale proszę, okaż łaskę niemieckiemu inwalidzie! Tu chodzi naprawdę wyłącznie o sprawę kryminalną.

Gestapowiec tylko kręcił głową. Zaciskał wargi, cmokał. Coś tam jednak niemiecki śledczy zdołał zdziałać.

–No może i masz rację. Bardzo ciężko jest w Rosji?

–Nie wiem. Nie byłem. Spytaj tych dwóch Polaków. – Wskazał Mischzuka i Wasiaka. – Oni tam byli. Jest chyba nieciekawie.

–O nic nie będę pytał Polaków.

Borowicz, który tłumaczył na bieżąco milicjantom, o mało nie ryknął śmiechem.

Miszczuk tylko pokiwał głową. Wasiak westchnął ciężko.

–Powiedz mu – szepnął – że jak tam się znajdzie, to sto razy bardziej będzie chciał pytać Polaków – przerwał, żeby zaraz dokończyć: – któredy uciekać.

Borowicz przetłumaczył:

–On mówi, że wyłącznie interesuje nas sprawa wybuchających ludzi. Nie będziemy pytać o nic innego. Nie musi się pan pogrążyć w bagnie. No i powiedział, że w Rosji jest nieźle. Będzie pan miał znośne warunki. Wie pan, ten wspaniały klimat, doskonałe rolnictwo. Będzie pan miał dużo jedzenia. No i ciepło.

Ale na Krymie, dodał w myślach. Ciebie jednak wyślą na Kołymę. Też na literę K. Nawet gestapowiec się zdziwił.

–On to wszystko powiedział jednym zdaniem? – Wskazał na Wasiaka.

–Och, streszczał się po prostu. Kuger przejął śledztwo.

–Kolego. Interesuje mnie tylko rytuał z kwiatkami, który przeżyłeś. Tylko to.

Powiedz, jak było.

Gestapowiec wzruszył ramionami. Dłuższą chwilę siedział zamyślony. Potem zaczął mówić:

–Bardzo źle się poczułem, kiedy kazano nam obstawiać ewakuację Breslau.

Bolała mnie głowa i chciało mi się wymiotować. Byłem jak nieprzytomny. Ale wsiedliśmy z kolegami do takiego śmiesznego francuskiego samochodu i pojechaliśmy na dworzec nad Odrą. Na szczęście zachmurzyło się strasznie i nie było sowieckich bombowców. Na dworcu pandemia. Nie ma pociągów, a tłum uciekinierów taki, że nawet nie mogliśmy się dopchać na peron. Pamiętam, że polscy pracownicy przymusowi wymyślili taki sprytny sposób. Chodzili na czworakach między nogami albo wręcz się czołgali. I wynosili dzieci, które umarły w tłumie. Układali je na ławkach. Pamiętam dokładnie ławki przed dworcem z poukładanymi zwłokami dzieci. My nie mogliśmy się przebić przez ciżbę. Przecież żołnierz w mundurze i z godłem na czapce nie będzie się czołgał pomiędzy nogami cywilów. Zapytałem wtedy jednego z polskich robotników, który znał nasz język, czy pomoże nam dostać się do środka.

Odpowiedział bezczelnie: „Albo pełzaj, albo zbombarduj ten dworzec. W Warszawie wam się udało, a tu będziesz walił w swoich, jeśli masz czym. My wynosimy tylko martwe dzieci. Martwi dorośli dalej stoją w tym tłumie. Nie mają gdzie upaść”. Wtedy

poczułem, że mam drugi atak.

–Czy wokół były kwiaty? – spytał Kuger.

–Jakie kwiaty?! Przecież była zima. – Gestapowiec zdecydował się jednak na playersa Borowicza. Przyjął ogień od Wasiaka i zaciągnął się głęboko.

–Miałem przed oczami martwe dzieci leżące równo na ławkach i martwych dorosłych stojących ciągle w rosnącym tłumie. Polacy mieli w dupie dorosłych, być może nawet się cieszyli, że zostanie mniej Niemców. Wyciągali tylko dzieci. A może nie byli w stanie wyciągnąć większych ciał. Nie wiem. Rozpalili sobie ognisko z połamanymi meblami, które wynieśli z porzuconych domów. Chwiejąc się na nogach, podszedłem tam. Potraktowali mnie wrogo.

–Wiesz, kolego – przerwał mu Kuger – trochę się im nie dziwię.

–Czułem się jak pijany – kontynuował gestapowiec. – A piłem przecież tylko kawę zbożową. Zataczałem się, bełkotałem.

–Czy Polacy mieli kwiaty?

–Nie, nie mieli. A przynajmniej nie zauważyłem.

–I co dalej?

–Usiłowaliśmy się skontaktować z centralą i powiedzieć, że z akcji na dworcu nici. Że nie da się przejść, że potrzebna jest co najmniej kompania. Jeden z kolegów usiłował się przedostać na peron torami, lecz tam też stał tłum. No ale jak się skontaktować? Nic już nie działało. Nawet telefon w pobliskiej aptece.

–Powiedział pan „w aptecę”? – przerwał im Borowicz. – Bo „apteka” cały czas powtarza się w aktach.

–Tak. Poszedłem tam, ciągle źle się czując, lecz telefon nie działał. Amerykańskie i rosyjskie bombowce poszarpały już wszystkie linie. Wracalem zygakiem jak pijak. Wtedy podszedł do mnie mały chłopiec.

–Czy powiedział: „Ten, który przybiera maskę zła, może być przecież tym dobrym”? – spytał Borowicz.

–Tak. Mniej więcej coś takiego. – Gestapowiec potrząsnął głową. – Skąd pan wie?

–Czytałem akta innych spraw.

–Dziwne. Takie same przypadki?

–Poza szczegółami tak.

–Naprawdę dziwne. Hm – zamyślił się. – Wsiadliśmy znowu do tego śmiesznego francuskiego samochodu. Byłem półprzytomny. I pojechaliśmy do centrum. Trwało to mniej więcej półtorej doby. Alianckie samoloty nie mogły latać z powodu chmur, ale ruska artyleria waliła równo. Dojechaliśmy do samego szefostwa, które miało siedzibę na Ostrowie Tumskim, w bibliotece klasztornej, ktoś zdał raport. Ja wymiotowałem.

–Pił pan?

–Nie.

–Kolego – włączył się Kuger – gdzie były kwiatki?

–Nie było.

–I co się stało?

–Wybiegłem ze sztabu gauleitera Hankego i zacząłem uciekać. Koledzy za mną, żeby powstrzymać. Przejaśniło się i przyleciały rosyjskie bombowce. Amerykanom było za daleko przy tej pogodzie. Wskoczyłem do takiej dziury wrytej w ziemi.

–Którą jedną ręką wykopał podoficer kripo – powiedział Kuger. Gestapowiec oniemiał.

–O Jezu. To pan?

–Ja też pana rozpoznałem dopiero teraz. Leżeliśmy tam razem przez jakieś trzydzieści minut. Później wyskoczył pan i pobiegł.

–Tak. Chciałem dotrzeć do Nowego Targu. To jakieś pięćset metrów, a może dwa razy więcej. Zajęło mi to cały dzień. Ruscy walili ze wszystkiego, co mieli. W nocy dotarłem do bunkra na placu. Byłem ogłuszony, nieprzytomny. Nikt nic nie wiedział, panika totalna, specjalne oddziały burzyły budynki wokół, zamieniając Breslau w ruinę. Ważny był tylko kąt ostrzału dział z placu na targu. W bunkrze, który był pod placem i miał normalne brukowane ulice z krawężnikami, leżały setki rannych i umierających. Obsługa medyczna pracowała na okrągło, zorganizowana wzorowo. Ale nie mogli nadażyć. Postanowiliśmy z kolegami, że już nigdzie dalej nie idziemy. Ten bunkier to będą nasze Termopile.

–Co on mówi?

–Termopile – powiedział Borowicz.

–A to jakaś miejscowość w okolicach Wrocławia? – pytał Wasiak.

–O Jezu, to symbol. Trzystu Greków broniło przejścia przeciwko miazdzącej

przewadze wroga.

–To Grecy walczyli z Niemcami we Wrocławiu? I wygrali?

–Wszyscy zginęli. Wasiak aż gwizdnął.

–O kurna! Rozstrzelali ich?

–Nie! Wtedy nie było broni palnej. Mówię o starożytnej Grecji. O Spartanach.

–Spartolili?

–O Matko Boska! Nie spartolili, tylko ich zabili. – Borowicz otarł pot z czoła. – Pamiętasz, jak nazwaliśmy nasz ufortyfikowany balkon w Hali Ludowej?

–Westerplatte.

–No właśnie. To symbol pozycji, z której nie można się już cofnąć. Nie ma gdzie -kontynuował.
– Amerykanie mają Alamo, my Westerplatte, a Niemcy wybrali Termopile. To tylko nazwa, pomnik czegoś większego od nas samych. Rozumiesz?

Chłop z pepeszą podrapał się po brodzie.

–Ni cholery.

–Dobra. – Borowicz odwrócił głowę do Kugera, powiedział po niemiecku: – Proszę kontynuować przesłuchanie.

Kuger milczał dłuższą chwilę.

–Wyłączyło się światło, jak mniemam?

–Tak – odpowiedział gestapowiec. – Walnęło w elektrownię czy w coś. Na szczęście w bunkrze ściany były posmarowane fosforem. Zaczęły świecić. Widać było cienie ludzi. Ci od amunicji mogli ją dalej nosić. Ale lekarze nie mogli już nic. Kilku miało latarki. Trzymali je w zębach. Ale to była porażka. Ludzie umierali na moich oczach. Sam świeciłem zapalniczką przy jednej z operacji. Zwykłą zapalniczką. Nagrzała się jak szlag. Musiałem przekładać z ręki do ręki. Pacjent zmarł. Lekarz po prostu nic nie widział. Jakbym śnił. Cienie żołnierzy, grzmot armat z dachu, jęczący, płaczący, kręcący się po nic ludzie. Upiorne, świecące fosforem ściany. Tylko zieleń wokół. Zieleń. I te cienie na jej tle. Smród spalonej nitrocelulozy, który dostawał się przez wentylatory. Smród gówna. I środków odkażających. I te monstra na tle fosforyzujących ścian. Piekło Dantego. Krzyknąłem do kolegów: „Wychodzę z bunkra!”. I nagle coś mnie zatrzymało.

–Co?

–Widok faceta, który rozkłada pod ścianą doniczki z kwiatami. Powiedział, że musiał je przynieść, bo w domu by nie przetrwały. Krzyknąłem: „Ty defetysto!”.

Kuger przygryzł wargi. Gdzieś to już słyszał. Zdaje się, w wykonaniu Grunewalda.

–Co było dalej?

–Ogarnął mnie jakiś amok. Zacząłem wrywać te kwiatki z doniczek i rozrzucać wokół. Ryczałem, że tu nie ma miejsca dla rannych, a on doniczki przynosi. Kiedy zaczął protestować, wyjąłem pistolet z kabury i przeładowałem.

–I co tamten powiedział?

–„Nie usiłuj być panem życia i śmierci. Nawet w stosunku do roślin”. Zapadła cisza, którą Kuger przerwał dopiero po dobrej minucie.

–Jak się nazywał?

–Nie wiem. Ogarnął mnie jakiś szal. Wrywałem te kwiatki, wrzeszcząc na niego i grożąc mu bronią. Tłukłem doniczki.

–Ile było tych kwiatków?

–Nie pamiętam. Może cztery, może pięć. Działo się ze mną coś dziwnego. Nie umiem tego opisać. Wyszedłem z bunkra.

–Sam? W taki ogień?

–Tak, sam. Było mi niedobrze. Płakałem. Ciekło mi z nosa. Kichałem i kaszlałem, jakiś ciężar położył mi się na płucach. Chciałem dojść do klasztoru, który stał tuż obok.

–Ty – Borowicz zerknął na Wasiaka – on opisuje objawy ciężkiej alergii.

–A co to jest alergia?

–Ja też mam takie obawy czasem – włączył się Miszczuk.

–Objawy – poprawił go Borowicz. – Macie plan miasta?

–Mamy. Ale niekompetentny, bo jeszcze nie wszystkie polskie nazwy wprowadzono.

–Niekompletny – znowu poprawił Borowicz. Pochylił się nad mapą wyjętą z szuflady. – Którędy szedł? Spytaj – zwrócił się do Kugera.

Gestapowiec odpowiedział sam:

–Pierwsza, najkrótsza uliczka była kompletnie zawalona gruzami, więc poszedłem jakieś dwadzieścia metrów dalej i...

–Jesteśmy w domu! – wrzasnął Borowicz. – Ja już wiem! Miszczuk i Wasiak patrzyli zdziwieni.

–Co wiesz? Podniósł głowę znad mapy.

–On poszedł ulicą Nożowniczą, bo nie mógł sforsować ulicy Jeleniej, skręcił na plac Bankiera, idąc ulicą Łaciarską. Potem wszedł do klasztoru, z kimś porozmawiał i wszedł na ukwiecony dziedziniec. Patrzcie na pory roku. Najpierw była zima, a teraz maj.

Wasiak wziął się pod boki i stanął w rozkroku.

–A! – To dokładnie zrozumiał i kiwnął głową, będąc pod wrażeniem umiejętności przedwojennego policjanta. – Znaczą kłamie skurwysyn?

–Nie. Ma luki w pamięci.

–A skąd ty możesz wiedzieć, którą szedł? – spytał Miszczuk.

–Bo czytam wasze akta. Dokładnie. – Borowicz zwrócił się do Kugera: – Zapytaj, jak trafił do klasztoru.

–Przez Altbuserstrasse.

–Czyli Łaciarską. Szedł z naładowanym pistoletem – mówił Borowicz po polsku. – Dygotał.

–Szedłem z odbezpieczonym pistoletem. Cały się trząsałem ze strachu.

–A co pana tak przerażało? – spytał Kuger. – Poza ostrzałem sowieckiej artylerii.

–To, że znajdę rozwiązanie.

–Słucham?

–Nie wiem. Nie potrafię wytłumaczyć. Wydawało mi się, że spotkam kogoś, kto pokaże mi dalszą drogę w życiu.

–I spotkał pan?

–Tak.

–Kto to był?

–Nazywał się Albert Grunewald.

–Jak?! – Kuger o mało nie spadł z krzesła. – Mój Boże! Mój Boże!

–Przedstawił mi się jako Albert Grunewald – powtórzył gestapowiec.

–Jak wyglądał?

–Dość niski, korpulentny, bardzo stanowczy, w płaszczu dobrej marki, starannie

wyprasowanym.

–To Helga mu prasowała. – Kuger nie mógł się otrząsnąć. – On mówi prawdę -zwrócił się do Borowicza. – Tak wyglądał Grunewald w dniu swojej śmierci. Widziałem zwłoki. Chyba kochał się w Heldze, ale nie znam tajemnic alkowy. Wiem tylko, że ona go bardzo kochała.

–Spotkał się z duchem? – spytał Borowicz. Miał zaufanie do Kugera.

Przedwojennych policjantów szkolono zdecydowanie lepiej niż powojennych milicjantów. Z całą pewnością wiedział, że tamten widział martwego przyjaciela. I dokładnie zapamiętał wszystkie szczegóły.

–Nie wiem. – Kuger powrócił do śledztwa i spojrzał na gestapowca. Rutyna, doświadczenie, procedura postępowania. – Proszę pana. W pańskich zeznaniach jest szereg nieścisłości. Mówi pan, że był świadkiem ewakuacji na dworcu, który teraz nazywa się Nadodrze. Była zima. Powiedział pan, że półtorej doby zajęła wam przeprawa na plac Neumarkt... – Kuger znowu nachylił się nad mapą – zwany teraz Nowym Targiem. I już jest maj. Umknęło panu parę miesięcy.

–Nie wiem. Nie wiem, co się ze mną działo.

–No przecież musiał pan podpisywać listę obecności w pracy albo przynajmniej pojawiać się w biurze – Kuger był bezlitosny.

–Była przecież wojna.

–Zaraz, zaraz. W maju to rzeczywiście była wojna, ale w zimie to jeszcze nie. Byłem w Breslau przez cały czas. Wiem, co się działo. Bombowce w ogóle nam nie zagrażały. To nie był kierunek sowieckiego natarcia. Nie chcieli tracić na nas sił.

–Tak. Pamiętam, jak na autostradzie pojawiły się tysiące Niemców ciągnących wózki z dobytkiem. Tylko wózki dziecinne były przystosowane na miejskie bruki. Wszystkie się psuły. Dzieci umierały.

–Dobrze, dobrze, ja też to widziałem. A bombowce były nad placem. – Kuger znowu nachylił się nad mapą. – Nad placem Grunwaldzkim. Chryste! – Otarł pot z czoła. – Plac Grunwaldzki. Albert Grunewald. Jak to się łączy.

–Przepraszam. Nie rozumiem pana.

–Panie kolego, jak pan wytłumaczy prawie półroczną nieobecność w siedzibie gestapo?

–Nie wiem. Jechałem tym francuskim samochodem.

–I przez półtorej doby z zimy zrobiła się wiosna?

Gestapowiec wzruszył ramionami.

–Nie wiem. Pan mi teraz udowodnił, że plotę bzdury. Ale nie ze złej woli. Nie wiem, jak to możliwe, ale na dworcu była zima, a w bunkrze wiosna. To fakt.

–A koledzy? Co mówili koledzy?

–Że skretyniałem. Że jestem tchórzem niegodnym munduru gestapo. Ale... -Otarł pot z czoła. – Ja nie jestem tchórzem. Skończyłem studia... – zaplątał się.

–Jak i ja – wszedł mu w słowo Borowicz. – Tylko jak wasze bombowce zaczęły zrzucać ładunek, to spierniczałem przez pole niczym zając.

–A jak wasze z Anglii waliły w nas, to ja też spierniczałem. Ale nie dowodzi to tchórzostwa.

–Dobrze. Nie licytujmy się.

Borowicz uśmiechnął się lekko.

–Był pan pod Falaise?

–Skąd to dziwne pytanie? – Gestapowiec wyraźnie się zaciekawił. – Tak, byłem. – Zamyślił się na chwilę. – Zdobyliśmy miążdzącą przewagę nad aliantami. A potem wasze czołgi poszły do ataku.

Dostałem odłamkiem w biodro. Ewakuowany zostałem samolotem do Berlina, gdy już Polacy domykali okrażenie. To był ostatni samolot. – Przez chwilę tarł nos. – Skąd to dziwne pytanie? – powtórzył.

–Czy był pan ciężko ranny? – spytał Kuger. – Czy jedynie lekkie draśnięcie?

–No wie pan co?! Z lekkim draśnięciem ewakuować kogoś ostatnim samolotem? Dostałem w biodro, odłamkiem. Ledwie mnie odratowali. Do dziś kuleję.

Kuger nie dał się zaskoczyć.

–A co oficer gestapo robił pod Falaise?

–Niczego nie powiem na temat mojej służby!

–Dobrze, nie nalegam. Jednak trochę daty nam się nie zgadzają.

–Nam?! – wrzasnął gestapowiec. – To już jesteś z nimi? Zdrajco!

–Nie, nie. Rozwiązujemy jedynie sprawę kryminalną. I tak na mój głupi rozum, coś tu się nie zgadza. Był pan pod Falaise, o ile pamiętam, to był sierpień czterdziestego czwartego.

–Tak.

–Jakim cudem kontynuował pan służbę już zimą, podczas ewakuacji Breslau?

–Nie wiem. Mieliśmy doskonałych niemieckich lekarzy.

–A rekonwalescencja? Borowicz odchylił się na krześle i powiedział do Kugera z uśmiechem:

–Masz go. Już obsmażonego na patelni. Kuger nie był amatorem. Uśmiechnął się również.

Skłonił głowę przed kolegą fachowcem.

–To co robiłeś pod Falaise? – spytał.

Gestapowiec otarł spotniałe czoło.

–Przesłuchiwałem jeńców. Głównie Kanadyjczyków. Także Anglików, Amerykanów, ale tych było mało. Dobrze znam angielski.

–Polaków?

–A skąd! Nie znam języka, a te cholery walczyły do końca. Nie dało rady nabrać więcej.

–Jak się dostałeś na ostatni samolot?

–Postraszyłem mundurem oficera gestapo. Ranę na biodrze zrobiłem bagnetem. Kanadyjczycy tak naciskali, że został nam trzydziestokilometrowy korytarz. Nasi ruszyli na Polaków, a ci sobie stali i strzelali. Nasze najlepsze siły. A ci walili jak do kaczek. No widziałem, że już koniec. Wolałem samolot niż ucieczkę pieszo.

–Aha, czyli jeden przeskok w czasie mamy wyjaśniony. Zupełnie realnie. Co z drugim?

–Proszę?

–Jakim cudem przejście z dworca do bunkra zajęło panu parę miesięcy? Gestapowiec oparł łokcie na kolanach. Podparł brodę dłońmi.

–Raz mówisz „pan”, raz „kolego”, a raz „ty”.

–Widzisz, to zależy od mojego nastroju – odparł Kuger.

–A który to ten zły?

–Zgadnij, panie kolego. Borowicz, który nadal tłumaczył na bieżąco, znowu o mało nie ryknął śmiechem.

Kuger naprawdę był dobry. Bardzo chciałby mieć takiego fachowca jako swojego podoficera przy śledztwie przed wojną. I nagle przypomniał sobie. Przesłuchiwał w Krakowie Żyda, jako świadka w aferze z tunelami. Aż podskoczył.

–Wiesz, o co go spytać?

–Wiem – uśmiechnął się Kuger i zwrócił do jeńca: – Kiedy weszliście do tunelu?

–Tuż po nieudanej akcji na dworcu.

–Jak długo musieliście iść?

–Myśmy nie szli. Jechaliśmy tym śmiesznym francuskim samochodem, który miał tylko trzy koła.

–Pod ziemią?!

–Tak. Tam się mogą minąć nawet dwie ciężarówki. Wam, oficerom kripo, o tym nie mówili, bo wy zwykle ścigaj złodzieje jesteście. Ale nam powiedzieli, gdzie jest wjazd. No i odkryliśmy z boku specjalny magazyn SS.

–A w nim koniak, wódka, piwo i wino.

–Tak. A do tego konserwy z całego świata, sucha kiełbasa, takie hiszpańskie gicze wołowe, peklowana szynka. Warzywa.

–I tymi warzywami tak żeście się upili, że dopiero po pół roku dotarliście do mojej okopanej pozycji?

–Nie, panie podoficerze. Zajęło nam to jakieś piętnaście godzin. W tych podziemiach to można nawet Tour d'Allemagne zorganizować.

–No, teraz to chyba Tour de Pologne. No ale dobrze. Nawet jak żeście się nachlali tymi warzywami i konserwami, bo alkoholu, jak rozumiem, nie tykaliście...?

–Oczywiście, że nie, panie podoficerze!

–Dobrze. Ja rozumiem te piętnaście godzin. Choć poprzednio mówił mi pan co innego. Ale teraz przynajmniej znam przyczynę.

Kuger poprosił o herbatę. Zaszło mu w ustach. A niby skąd wziąć taki rarytas? Mischuk zaskoczył ich wszystkich. Wyjął z kieszeni mały czarny prostopadłoscian. „Amerykańska, prasowana” – wyjaśnił. Zrobił grzałkę ze starej żyletki, dwóch zapalek i drutu. Wetknął druty do gniazdka. Herbata zaparzyła się błyskawicznie.

–Zrobię mu jeszcze jajka – powiedział.

–Masz prawdziwe jaja?

–Nie no. Te w proszku, amerykańskie. Nie do zjedzenia.

Zaczął przygotowywać papkę w innym kubku. Tą samą metodą co poprzednio. Gestapowiec, czując zapach, zaczął przełykać ślinę. Wasiak popatrzył wtedy na sufit.

–Panie Boże – powiedział – wiem, że jesteś Żydem. Ale ty wiedz, że nigdy w życiu nie doniosę na ciebie do gestapo.

Kuger, parząc wargi, upił łyk herbaty, która miała aromat, ale nie miała smaku.

–Wyjaśniliśmy więc te kilkanaście godzin. Teoretycznie – powiedział. – A skąd wzięło się kilka miesięcy? Chlaliście, żarliście i czekali na koniec wojny?

–Nie, panie podoficerze. To była tylko jedna impreza. No, trochę wzięliśmy z zapasów SS do tej francuskiej pseudociężarówki. Ale tym się nie dało wyjechać. Więc co można było zabrać, włożyliśmy do kieszeni i wydostaliśmy się takim szybem na powierzchnię.

–Do kieszeni włożyliście oczywiście tylko warzywa – wyłóśliwiał się Kuger. – A co z ciężarówką?

–Pewnie stoi tam do dziś.

–No cóż, przejdźmy do rzeczy. Co panu powiedział rzekomy Albert Grunewald?

–Zgraj mi wszystkie dane na iPod-a – poprosił Staszewski.

–Nie lepiej na pendrive'a? – spytała Mariola. – Albo ci zgram na przenośny dysk.

–Nie, ma wielkość dłoni, a ja chcę coś, co jest mniejsze niż kciuk. Muszę to mieć w swojej komórce.

–Oki. Wszystkie dane z komputera?

–Tylko akta sprawy. Wetknęła złącze do odpowiedniego portu w laptopie. Jednym ruchem myszy

przerzuciła wszystkie dane.

–Masz. – Podała mu iPod-a, przedtem chowając jego wysuwane żądło USB.

Sławek włożył do uszu słuchawki i włączył jakąś stację radiową.

–Czy pamiętasz czasy, kiedy radio było wielkości połowy szafy?

–Nie. Ale chodź szybko, bo taksówka już czeka. Włożył sandały, słuchając wiadomości. Wziął letnią kurtkę, żeby ukryć kabury z

pistoletami. Jak zwykle mu się zawinęła, więc Mariola musiała poprawić. Nie mógł poradzić sobie z prawie pancernymi drzwiami, które zamontowali w mieszkaniu zwanym „gniazdkiem”. Było im tu fajnie, mimo że musieli chodzić korytarzami przypominającymi wewnątrz bunkra Hitlera. A poza tym zbiór buractwa. Nikt nigdy nie powiedział w windzie „dzień dobry” poza nimi. Jak mówiła Mariola: „Burak buraka burakiem pogania”. Wsiedli do wypełnionej pasażerami, ale kompletnie bezosobowej windy. Wszystkie oczy wpatrzone były gdzieś w przestrzeń. Ludzie nieobecni duchem, udający, że wokół nie ma nikogo. Staszewski się wkurzył.

–Wiesz – powiedział do Marioli – strasznie mnie martwi ta okropna anonimowość w tych supernowoczesnych blokach. – Zwrócił się do pozostałych pasażerów: – Drodzy państwo, jest mi tak szalenie miło, że mogę jechać w waszym towarzystwie tą windą.

–Nam też! Nam też! – Nagle stracili całą udawaną obojętność. Skończyły się spojrzenia w sufit. – Miłego dnia!

Staszewski miał wrażenie, że idzie na śmierć. Grunewald opisywał, że rozmawiał z ludźmi na klatce schodowej. Sławek powtarzał scenariusz każdego punktu. Helga z nożem kuchennym i szpadelkiem oraz Mariola w kamizelce kuloodpornej z kewlaru, ze swoją dwudziestkądwójką i ogromnym visem w kieszeni. Z rosyjskim hełmem w ręku. Obie chciały chronić swoich mężczyzn. Heldze się nie udało. Miała tylko nóż i szpadek. Czy uda się Marioli? Była zdecydowanie lepiej wyposażona. Ale jakim cudem one to czują? Czują, że coś jest nie tak. Miszczuk poderwał sobie jakąś Dorotę tuż przed śmiercią. Jej mąż umarł w gułagu. Gruchali sobie, ale Dorocie też się nie udało. Miała tylko grabie. Zawsze w każdej historii tych dziwnych morderstw brała udział kobieta. Nie wiedział, o co chodzi. Nie udało się Heldze, nie udało się Dorocie. Ale kobieta Ziemskiego jednak sobie poradziła. Wyrwała mu broń z ręki, kiedy się chciał zabić. Była silna i rosła. Zerknął na Mariolę. Też była silna i rosła.

Zastanawiał się dalej. Czy ten przesłuchiwany gestapowiec miał kobietę? Podłączył, już w taksówce, swojego iPod-a do komórki, która mogła pełnić funkcje palmtopa. Tamten wspominał o jakiejś Sylwii z NSDAP. A ten oficer UB? Przełączył się na Internet i zalogował na komendzie. Żadnych konkretnych danych.

Nie! Jest! Miał. Sarę Blugenwitz, bo za często pojawiało się to nazwisko w aktach. Najprawdopodobniej sekretarkę. Czy coś było między nimi? Chryste, pewnie, że było. Przecież każdy normalny facet żyje z jakąś kobietą, jeśli nie jest gejem. Miał kobietę, którą pewnie kochał, lecz ona w ogóle nie miała szansy, żeby go uratować, bo nie stała u jego boku. Więc tu jest klucz? Kobiety, które chciały bronić swojego faceta. Żadna z nich nie zginęła. Jednym udawało się uratować kochanka, innym nie.

Albert Grunewald jechał dorożką z Helgą. Jego pruskie wychowanie sprawiało, że nie potrafił zaakceptować obecności kobiety w trakcie śledztwa. Ale jednocześnie wiedział, że ona go kocha. I że nie jest to zwykłe zauroczenie. On też kochał Helgę i również nie było to chwilowe zauroczenie. Co z tego, że jest służącą, a on oficerem policji? Czuł się rozdarty.

Jadąc czteropasmową ulicą, porządkował w myślach akta, które ostatnio przeczytał. Wypadki z wybuchającymi ludźmi powtarzały się od lat. Żadnej wzmianki w prasie poza tymi w trzeciorzędnych brukowcach. Postanowił przeczytać te brukowce w bibliotece. Dotarł nawet do archiwum. Pierwszy przypadek, z tego, co znalazł w papierach, miał miejsce podczas oblężenia Breslau przez brata Napoleona Bonaparte, Hieronima. Kule artyleryjskie zabiły wtedy jedenastu mieszczan i ich delegacja wymogła na dowództwie poddanie miasta. Dzisiaj nie pójdzie im tak łatwo, uśmiechnął się w myślach, choć wiadomości z frontu były zatrważające.

Bał się też tego, co przeczytał w starych aktach. Coś go tknęło i ostatnie dwa dni spędził nad papierami także spoza policji, dotarł do gestapo. Tak długo ślęczał nad dokumentami, że rozboleł go kręgosłup. Kazał fiakrowi skręcić w prawo. Miał znajomego lekarza, który mieszkał w przepięknej dzielnicy „naukowej”, czyli zapleczu Politechniki i Akademii Medycznej. To było jedyne takie miasto na świecie. Kilkanaście nagród Nobla. Grunewald usiłował nie pamiętać, że większość laureatów była Żydami. Niemniej nawet po czystkach miasto dalej żyło nauką. Miało się to niebawem skończyć. Grunewald przez chwilę czuł się jak nieprzytomny. Zobaczył przyszłość albo tak mu się wydawało. Przed wojną Breslau miał trzy uczelnie. I jedenaście nagród Nobla. Po wojnie będzie miał jedenaście uczelni i ani jednej nagrody. Otrząsnął się spotniały. Kwiaty na skwerze pachniały tak mocno.

Zatrzymali się przed domem znajomego lekarza. Grunewald poszedł przodem, Helga ze swoim nożem kuchennym i szpadelkiem tuż za nim.

Lekarz otworzył im w szlafroku.

–O, ty tutaj?

–Witam, przyjacielu.

–Co was do mnie sprowadza? – Lekarz zerknął na Helgę. – O Jezusie! Ona chyba nie zamierza użyć tego noża?

–Nie, nie – zawahał się Grunewald. – A przynajmniej nie w stosunku do ciebie.

–Co się stało?

–Mam potworny ból pleców i jedno pytanie.

–Dobrze, rozbieraj się.

Kiedy Grunewald zdjął koszulę, lekarz osłuchał stetoskopem płuca. Potem zaczął palcami badać kręgosłup. Uderzał w różne miejsca ciała pięścią. Jego służąca patrzyła podejrzliwie na Helgę z nożem i szpadelkiem w rękach. Podała im kawę.

–Wszystko w porządku. Po prostu się przepracowałeś. Za dużo ślęczenia nad aktami, za mało aktywności fizycznej.

Sam był bardzo wysportowany. Codzienne ćwiczenia gimnastyczne uważał za obowiązek każdego Niemca, a do tego uprawiał kajakarstwo, jazdę konną i tenis. Był także przewodniczącym komitetu planowania zajęć sportowych dla Hitlerjugend. Jego rumiana twarz wprost tryskała energią. Oprócz tego nie pił, nie palił i, sądząc z wyglądniętych spojrzeń rzuconych ukradkiem na Helgę, chyba nie uprawiał seksu.

–A mogę zadać to pytanie?

–Wal.

Grunewald zaczął wkładać koszulę. Helga mu pomagała, odłożywszy na chwilę swój nóż.

–Prowadzę sprawę ludzi, którzy wybuchają od środka. Tylko nie mów jak profesor z Berlina, że trzeba łyknąć dwie kapsułki z nadmanganianem i popić kwasem, a potem uderzyć się w brzuch.

–To istotnie niemożliwe. Nie zbijesz w ten sposób kapsułki. – Z dezaprobatą zerknął na zawiązujący się właśnie brzuch Grunewalda. – Za dużo tłuszczu.

–No to co mogło się stać?

Lekarz upił łyk gorącej kawy.

–Widzisz, teoretycznie można łyknąć ten nowy angielski plastik z czasowym zapalnikiem, ale to raczej brednie. Niemożliwe.

–A jeśli te wybuchy trwają od kilkuset lat? Od czasów Napoleona?

–Niemożliwe – powtórzył. – Chyba nie było wtedy dynamitu ani nitrogliceryny. Zresztą co sobie wyobrażasz? Że facet wypił kilka łyków nitrogliceryny i upadł brzuchem na chodnik? Raczej by ją strawił, jak sądzę, a najpewniej silnie się zatrzał. Nie jestem saperem.

No jak tu przejść do meritum? Doktor był niczym z innej planety. Tu i teraz. Żadnych fantasmagorii. Ćwiczenia fizyczne i zdrowy duch w zdrowym ciele, które kto inny już niebawem może posłać pod kule nieprzyjaciela. Ciekawe, czy taka kula rozpozna, że trafia w zdrowe ciało lub w chore? Sprawi jej to jakąś różnicę? Choćby i chory na raka. Efekt ten sam. Albo zdrowy młody bóg. I tak zostanie popsuty momentalnie. Grunewald zreflektował się, chyba za dużo słuchał Kugera. Defetyzm przyjaciela był zaraźliwy. Ale też te okropne gazety. Głupi przecież nie był. Wszyscy sojusznicy zamienili się we wrogów, czuł się osaczony, tonący w morzu antygermańskich hysterii, rosyjskiej zaciekłości, amerykańskiej powodzi dolarów, angielskiego wyrachowania i polskiej konsekwencji w dążeniu do celu. Zaczynał czuć się zaszczyty.

–No ale oni wybuchają – z trudem powrócił do rzeczywistości.

–Może mieli granat pod kurtką?

–Nie. Mielibyśmy wtedy ślady.

Lekarz zakropił sobie do oczu jakieś krople. Miał ewidentne przewlekłe zapalenie spojówek. Typowa alergia. Typowa alergia... Ale wtedy jeszcze tego nie diagnozowano. To pojęcie pojawi się dopiero za kilkadziesiąt lat. Niemniej teraz musiał strasznie cierpieć, doskonaląc swoje ciało i nie mogąc sobie poradzić z głupią histaminą produkowaną przez własny organizm.

–Widzisz – powiedział załzawiony. – Amerykanie mają sulfamidy, Anglicy penicylinę. Ten proszek i zastrzyk wygrają wojnę. Bo my nie mamy nic.

A jednak jakieś wątpliwości załęgły się w zdrowej narodowosocjalistycznej głowie Grunewalda.

–Mówisz jak Kuger.

–Dobrze, dobrze. – Doktor otarł łzy. – Mamy cibasol. Niestety, on przegra wojnę z antybiotykami, które mają tamci.

–Do czego zmierzasz?

–Widzisz, oni są w stanie wysłać z powrotem na front żołnierza, który odniósł ciężkie rany. My nie. To jest proszek, maść, zastrzyk, które wygrają wojnę. My ze swoim cibasolem możemy im na tyłek naskoczyć. Doświadczony weteran jest sto razy lepszy od chłopców i dziadków z Völksturmu. Brak nam nawet lekarzy. Wielokrotnie byłem wzywany do szpitala wojskowego. Łapałem się za głowę, widząc, jak młody chirurg po wyjęciu kuli chce od razu zaszywać ranę. Brałem wziernik i pokazywałem, że w środku są jeszcze kawałki munduru, kamyczki, źdźbła trawy. Przegramy nie dlatego, że mamy mniej czołgów. Przegramy, bo nie mamy sulfamidów i penicyliny.

–Ale do czego zmierzasz? Za czasów Napoleona też nie było penicyliny.

–Nie posunęliśmy się ani o krok naprzód – ziewnął lekarz. – Czytałem okólniki, że nasi lekarze czytają pamiętniki francuskich lekarzy z tamtych czasów, żeby dowiedzieć się, jak leczyć odmrożenia naszych żołnierzy.

–O co ci chodzi?

–O to, że przeszłość i przyszłość to jedno. Że sprawy powtarzają się cały czas?

–Kompletnie nie rozumiem.

Lekarz wyjął z biurka butelkę koniaku i napełnił dwa kieliszki.

–Jeśli sprawy dzieją się od paruset lat, to przecież nie może być to ta sama osoba.

To sekta.

Grunewald zamyślił się, zakładając marynarkę i wiążąc krawat. Usiadł na kozetce, a nie na krześle przed biurkiem.

–Wiesz – prawie szepnął – najbardziej w tej sprawie przeraża mnie to, że wszyscy śledczy giną.

–Nie panikuj. Zbieg okoliczności.

–Nie sędzę.

–Nie sędzę, żeby to miało znaczenie – powiedział Staszewski do Marioli. – Wszyscy śledczy w tych sprawach giną. Udało się jedynie Kugerowi, bo go odsunęli od śledztwa. Udało się Wasiakowi, bo list do komendy informujący o własnej śmierci został ewidentnie napisany jego ręką. I był jeszcze jeden fachowiec. Prawdopodobnie

przedwojenny oficer policji. Ale nie znam nazwiska, bo nie ma go w aktach.

Nieprawdopodobnie wykształcony fachowiec. On chyba rozwiązał tę sprawę.

–No to dlaczego nie znasz rozwiązania?

–Bo nie wpisali do akt. Ale jestem równie dobrze wykształcony jak tamten. Ja też dam radę.

–W to akurat nie wątpię.

Była przyzwyczajona do jego huśtawek nastroju. I do tego, że przy całej pyszałkowatości na pokaz miał bardzo niską ocenę własną.

–Słuchaj, widzę ślady w papierach. Tam współdziałał wysokiej klasy specjalista. A nie milicjanci z komunistycznego nadania. To był gość. Widzę jego ślady. Ale nie wiem, jak się nazywa.

Mariola spojrzała na Staszewskiego z troską. Przez chwilę przetrawiała coś w myślach. Potem nieśmiało powiedziała:

–Sławek, ty cały czas powtarzasz ciągle te same zdania, te same słowa... Piłeś już coś dzisiaj?

Zawahał się.

–Jedno piwo.

–Akurat. A ta butelka wódki w szufladzie?

–Oj, kilka łyków raptem.

–Sławku, kochanie... Czuć od ciebie alkohol. Martwię się.

–Nie przesadzaj. – Wzruszył ramionami. – A co do powtarzalności słów, to powtarzają się także sytuacje. W różnych konfiguracjach, w różnych wariantach, ale to ciągle ta sama opowieść.

–To takie ważne?

–To doprowadzi nas do celu. – Położył rękę na kolanie Marioli. – Zaraz zobaczysz, że coś się stanie.

Borowicz uzupełniał akta sprawy. Odruchowo poprawiał błędy ortograficzne. Konsultował się z Kugerem w drobiazgach.

–No cóż. – Wstał ociężale. – Gestapowca można odprowadzić.

Miszczuk wezwał strażnika. Już umiał się posługiwać amerykańsko-niemiecką konsolą. Ci na wartowni również już potrafili. Strażnik zjawił się po kilkudziesięciu sekundach. Borowicz podszedł do Kugera.

–Wie pan, co oznacza słowo honoru polskiego oficera? Kuger kiwnął głową.

–Domyślam się. Borowicz pomógł inwalidzie się podnieść i poprowadził, a właściwie przeniósł go

na wózek uchodźców stojący pod ścianą. Sami uchodźcy czekali na zewnątrz. Włożył mu do kieszeni papier zwolnienia.

–Proszę bardzo. Tu jest tuszonka, bimber i chleb. – Podał Kugerowi wszystko. –

Czy wywiązałem się z umowy?

Niemiec swoją jedyną ręką przycisnął łupy do piersi. Spojrzał Borowiczowi w oczy.

–Tak jest, panie oficerze!

–No to miłej drogi do Niemiec. Po tygodniu koczowania na dworcu. – Uśmiechnął się. – Ale może będzie pan miał szczęście i pojedzie już dzisiaj.

–Dziękuję, panie oficerze!

–My policjanci musimy się wspierać. – Odwrócił się do swoich współpracowników. – Wezwijcie dwóch strażników, żeby pomogli znieść ten wózek po schodach.

Miszczuk naprawdę już umiał obsługiwać konsolę. Wdusił przycisk z napisem „Waffen SS”. Ciekawiło go, jakie mundury będą mieć na sobie, ale, niestety, nosili zwykłe, polskie.

–Słucham? – krzyknął dowódca patrolu.

–Znieście ten wózek po schodach.

–A później do jakiej celi?

–Do kurwy nędzy – zdenerwował się Wasiak. – Po prostu wystawcie go na ulicę i niech se idą, gdzie chcą!

–Tak jest!

Strażnicy chwycili zaimprovizowany pojazd. Kuger zasalutował do gołej głowy.

Borowicz oddał salut. To nie był żaden zagorzały nazista goniący Żydów po podwórku, żeby ich potem zagazować. Zwykły łapacz złodziei i morderców. Dobry w swoim fachu.

–I co? Dowiedziałaś się czegoś od tego gestapowca? – spytał Miszczuk.

–Nie. Więcej powiedział mi Kuger.

–I co powiedział?

–Że musimy iść na... – Borowicz nachylił się nad szkicową mapą. – Na plac Nankera. Do klasztoru.

–Na chuj do klasztoru? Modliłem się w ostatnią niedzielę. Byłem u spowiedzi świętej. Przyjąłem hostię.

–Nie w tym rzecz – poderwał się Borowicz. – Ja już mniej więcej wiem, o co chodzi. Dzięki Kugerowi.

–On naprawdę taki dobry?

–Tak. Mając jedną rękę i jedną nogę oraz żadnej władzy, wyciągnął od tamtego, co chciał. – I dodał po chwili namysłu: – A ja chciałbym mieć takiego podoficera przed wojną.

–Faktycznie – powiedział Wasiak. – Nie przypierniczył tamtemu w mordę ani razu.

–Masz nas – dodał Miszczuk. – Powiedz, co robić, a jak rozwiązesz sprawę, puścimy wolno. Nie będzie sprawy o szaber.

–Dobrze. – Borowicz zapalił playersa. – Mam tylko nadzieję, że wasze słowo honoru też obowiązuje.

Staszewski z Mariolą jechali taksówką czteropasmową ulicą Kochanowskiego. Helga nie mogła znaleźć fiakra na postoju przy willi doktora, więc musieli przejść na piechotę spory kawałek drogi. Wsiedli do dorożki dopiero gdzieś tutaj. Sławkowi i Marioli nie chciało się leżeć pieszo w ten upał,

ale skoro odtwarzali wydarzenia, to musieli. Teraz wsiedli do taryfy. Zawsze to „wynajęty pojazd”, jeśli miało to jakieś znaczenie.

Sławek wyjął komórkę i zadzwonił do przyjaciela, prywatnego detektywa.

–Cześć, Witek.

–No cześć, Sławku. Czyżby znowu policja potrzebowała wsparcia sił prywatnych?

–Dokładnie. Jak zadzwonię na komendę, to się dowiem, że takiej sprawy nie można załatwić. A ja chcę załatwić sprawę.

–Gdzie?

–W Stanach Zjednoczonych.

–O Chryste! Ale będzie cię to kosztowało. – Witek westchnął wprost do słuchawki. – Siedzę sobie spokojnie w Berlinie, a tu jakiś pojeb wysyła mnie... – zawiesił głos. – Gdzie?

–Do Ameryki.

–Człowieku. Ja tam nikogo nie znam. Będę musiał wyrabiać kontakty.

–Tak mi coś mówi, że ten tajemniczy przedwojenny oficer uciekł właśnie tam. Jak najdalej. – W trakcie rozmowy Staszewski przesyłał przez komórkę dane sprawy z iPod-a do komputera prywatnego detektywa.

–Co mam zrobić? – spytał Witek.

–Nie znam nazwiska oficera, który to rozwiązał. Ale wiem, co ja bym zrobił na jego miejscu. I tam go trzeba szukać.

–Chryste Panie! Mam szukać człowieka, o którym nic nie wiem?

–Szukaj Wasiaka. Masz już dane w komputerze.

–OK. – Witek zawiesił na chwilę głos. – Tyle razy ci mówiłem, że może rzuciłbyś w cholerę tę całą policję i zaczął pracę u mnie. Potrzebuję oficera o takich kwalifikacjach! Nie bój się. Nie będziesz siedzieć po nocy w samochodach, podglądając, kto kogo jebie, w sprawach rozwodowych. Ja potrzebuję oficera operacyjnego.

–Nie mogę, stary. Pani Rzeczpospolita woła do służby.

Tamten postanowił użyć ostatecznego argumentu.

–U mnie będziesz mógł pić w pracy – obwieścił. – Ja po prostu potrzebuję fachowca, który potrafi rozwiązywać sprawy. A nie pierdoły, która jest o siódmej trzydzięci w pracy i psim wzrokiem patrzy ci w oczy.

Czyżby przyjaciel mówił o jego kolegach z komendy? Spotkał któregoś czy co?

–Nie. Polska każe służyć jak każdemu swojemu wilkowi.

Witek był jednak nieustępliwy.

–Możesz przyjeżdżać do Berlina nawet dziś, razem z Mariolą. Zarobisz pięć razy tyle co w policji!

–Nie mogę – odparł Staszewski. – To byłoby jak dezercja. Rzeczpospolita każe mi służyć.

–Żeby cię tylko w dupę nie kopnęła, debilu! – Witek zamilkł na kilka sekund. – No dobra. Zrobię to dla ciebie za darmo. Ale pamiętaj, moja oferta jest ciągle aktualna. Potrzebuję ludzi, którzy potrafią myśleć, a nie tylko służyć niczym pieski pokojowe i merdać ogonem.

–Będę pamiętał. Dzięki.

Sławek wyłączył telefon. Miał dziwne przeczucie, że zaraz coś się stanie. Grunewald pisał w raportach, że jadąc dorożką, zauważył próbę kradzieży furmanki. Kazał zatrzymać się fiakrowi. Wysiadł i „godnością urzędu” przepędził złodzieja. Nie gonił go, bo przecież nie wypadało, żeby oficer osobiście ścigał byle kogo na piechotę. A zawiadomić posterunkowych nie miał jak. Nie miał nawet gwizdka. Trudno. Złodzieja złapie kto inny.

Wsiadł na powrót do dorożki. Kazał fiakrowi kupić w kiosku najnowsze gazety i wieźć się do dzielnicy naukowej. Zamierzał skonsultować się z kilkoma profesorami. Był bardzo sumienny. Zostawił więc w komendzie raport, że nie będzie go dzisiaj, przedstawił cel oraz trasę podróży, krótki opis tego, co się dotychczas wydarzyło, i pojechał dalej.

Dorożka ledwie manewrowała pomiędzy rzeszami uchodźców z miast zajętych przez uchodźców z terenów, którym już bezpośrednio zagrażały alianckie oddziały. Oprócz chłopskich wozów ciągniętych przez ludzi zdarzały się nawet dziecinne wózki w opłakanym stanie. Służące mieszkańców okolicznych willi wносиły wodę do picia w wiadrach i gromadzący się wokół nich tłum co chwilę przystawał, powodując kolejny zator. Dorożkarz skręcił na pas zieleni na środku czteropasmówki. Ale tędy też nie zajechali daleko. Zatrzymało ich dwóch ludzi w dziwnych pseudomundurach z napisem „Volkssturm” na rękawach.

–Halt!

–Co się dzieje?

–Rekwirujemy konia. Dorożkarz o mało nie spadł z kozła. Grunewald uniósł się, pokazując legitymację.

–Jestem oficerem policji. Jadę służbowo.

–Przykro mi, panie oficerze, to rozkaz samego gauleitera – tłumaczył jeden, a drugi już szarpał się z uprzężą. – Wszystkie niepotrzebne w produkcji konie mają być przeznaczone na front w celu zapewnienia transportu. A dorożka nam niepotrzebna – wyjaśniał uprzejmie.

Woźnica zeskoczył na ziemię.

–A co ja teraz będę robił? – krzyknął. – Mam co jeść wyłącznie dzięki niemu!

–Spokojnie. – Volkssturmista uśmiechnął się i wyjął z kieszeni notes. – I dla pana coś się znajdzie.

Najwyraźniej traktował swoje zajęcie jako osobistą zemstę za to, że jego samego zmobilizowano kilka dni temu. I nie mógł darować tym, którzy dotąd przebywali „na wolności”.

–Nazwisko?

–Klemke Jurgen.

Tamten zapisywał szybko przez kalkę. Wypytał o adres i kilka innych danych.

–Proszę. – Podał furmanowi kartkę. – Jest pan zmobilizowany. Tam o pana zadbają. Nie będzie pan głodny.

–Ale ja mam sześćdziesiąt pięć lat!

–Nie ma złej pory, żeby nastąpił ten pierwszy raz. Ludowy szturmowiec uśmiechnął się jowialnie. Wyłapywanie starszych mężczyzn i dzieci było chyba tym, do czego najbardziej się nadawał. I w dodatku sprawiało mu satysfakcję.

–Ale ja nigdy nie byłem w wojsku!

–Spokojnie, przeskołą. Bez obaw. Nie wyślą na front, zostanie pan na razie w Breslau.

Drugi volkssturmista podszedł do Grunewalda. Włożył do ust lulkę i szukał po kieszeniach papierośnicy.

–Bardzo nam przykro, panie oficerze, ale to rozkaz samego gauleitera. Przeciwno takiej instancji nikt się nie odwoła.

Potknął się nagle i zatoczył na Helgę.

–O, przepraszam. – Odkoczył. – Mój Boże! O mało nie zgryzłem tego szkła w

ustach.

Przedmuchał lufkę i zaczął czyścić. Zerknął na Helgę.

–A pani niech schowa ten nóż, bo zrobi komuś krzywdę. No cóż – dodał po chwili przerwy. – Dalej muszą państwo iść pieszo.

Ruszyli znowu pasem zieleni. Było im łatwo iść po trawie, bo nie mieli żadnych bagaży. Tłum na pozostałych czterech pasach gęstniał. Co chwilę ludzie zatrzymywali się w ogóle. Upał rósł. Grunewalda coraz bardziej swędziały powieki i piekły oczy. W kącikach zbierały się łyzy. Helga schowała swój nóż w rękawie niczym włoski mafioso. Ale szpadek dalej trzymała groźnie w dłoni.

Nagle usłyszeli wesoły głos:

–Mein Gott! Albert Grunewald ze swoim nowym asystentem. Co się dzieje z tą policją?

W cieniu karłowatego drzewka siedział Kuger z kpiącym uśmiechem na twarzy.

–Co ty tu robisz?

–Siedzę i czekam na ciebie.

–Skąd wiesz, że tu będę?

–Oj, położyłeś tak ładnie na biurku swój raport. Jak zwykle skrupulatny do granic możliwości.

Grunewald o mało nie eksplodował.

–Przeglądałeś moje akta?!

Kuger zrobił minę w rodzaju: „Możecie mnie lżyć, jestem największą świnią na świecie”. A jednocześnie kiwał głową w geście: „To dla twojego dobra”. Miny i gesty były bardzo wyraziste. Kuger po prostu marnował się w kripo. Gdyby wybrał zawód aktora, wyniesiono by go na Olimp.

–Nie grzebię ci po szufladach. Ten leżał na blacie, przeczytałem odruchowo i...

–I?

–Przyszedłem cię ostrzec.

–Przed czym? Kuger jedną ręką skręcił i zapalił papierosa. Trochę to trwało, więc Grunewald ponowił pytanie:

–Przed czym?

Kuger zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym. Grał teraz przedszkolankę, która musi przeprowadzić grupę małych dzieci przez ruchliwą ulicę. Jeśli oczywiście była na świecie jakakolwiek przedszkolanka, która paliła papierosy.

–Chcę ci powiedzieć, dlaczego żyjesz.

Grunewald oniemiał. Kuger podskoczył nagle.

–O! Gazety! – Wyrwał cały plik z kieszeni letniego płaszcza oficera. – To u was na przedmieściach jeszcze są? W centrum już wymiotło wszystkie kioski.

Rozłożył gazety na trawie i zaczął wertować. Czytał między wierszami. Patton znowu prze jak burza, Einsenhower wykonuje ogromny manewr, Rosjanie napierają tak, że nawet wiadomości z frontu nie są pewne – podejrzewał, że wymyślają je na poczekaniu dziennikarze i propagandyści. „Wehrmacht wycofuje się tylko i wyłącznie dla skrócenia długości frontu. Hitler ma Vunderwaffe w zanadrzu”...

Ma jedynie Wunderscheiße, a i to jedynie w chwilach nasilenia biegunki, pomyślał. Nawet on, urodzony kpiarz, bał się w obecnej sytuacji powiedzieć to głośno.

–Odpowiesz mi? – zniecierpliwził się Grunewald. Kuger podniósł głowę.

–Najpierw ostrzeżenie. Pod żadnym pozorem nie idź tam, gdzie zamierzasz.

–A cóż to ma za znaczenie? Idę do dzielnicy naukowej. Po konsultacje.

–Aha. – Kuger zerknął na uzbrojenie Helgi. – kiedy już dorwiecie takiego naukowca, to go szpadelkiem w głowę i nożem po gardle? – Roześmiał się. Patrzył uważnie w oczy przyjaciela w całkowitym milczeniu. W końcu powiedział: – Idziesz na plac Nankiera.

–Owszem.

Nie było sensu ukrywać prawdy.

–Już ja cię znam. Mimo że powinienes zmierzać w przeciwnym kierunku, idziesz dokładnie tak, jak opisałeś w raporcie, specjalnie położonym na wierzchu. Chcesz sprawdzić, czy ktoś cię nie śledzi.

Grunewald podziwiał przenikliwość Kugera. Teraz żałował, że odsunął wtedy przyjaciela od śledztwa. Być może razem dawno już rozwiązaliby tę sprawę.

–Przejrzałem wszystkie akta, to znaczy te, do których miałem dostęp, a więc podpisane moim nazwiskiem. Szczególnie protokoły sekcji. I wiesz... – mówiąc, Kuger nie przerywał wertowania rozłożonej na trawie gazety. Choć po prawdzie niewiele było do wertowania. – Taki drobiażdżek, na który nikt nie zwrócił uwagi, bo niby jaki związek miałoby takie coś z samowybuchem?

Zaintrygowany Grunewald, nie bacząc na godność oficera, przysiadł na trawie. Helga kucnęła obok, obciążając spódnicę.

–Wszystkie ofiary miały silnie zaczerwienione oczy i nosy.

–Alkoholicy?

–A skąd... Nie wiem dlaczego. Wyglądali, jakby przed zgonem co chwilę musieli wycierać nosy. A oczy to już nie wiem skąd. Ale... – Kuger zakiepował w trawie. – Twoje oczy, stary, nie wyglądają dzisiaj najlepiej.

Nie zwracał uwagi na tłum wokół ani na koszmarnie wiadomości ze wszystkich frontów. Jego spojrzenie świdrowało. Przypominał hipnotyzera usiłującego wprowadzić pacjenta w trans.

–Byłeś już na placu Nankiera. Opisałeś to. Ale wtedy uratował cię śnieg.

–Rzeczywiście, trochę pieką i swędzą mnie powieki. – Grunewald wyjął chusteczkę i wytarł nos. – Dlaczego uratował mnie śnieg?

–To było szczególne lato. Ja zostałem przy aktach, a ty poszedłeś do klasztoru na wizję lokalną. Sam opowiadałeś, że wszystkie kwiaty były pokryte mokrym, szybko topniejącym śniegiem. Zwróć uwagę, że żaden z wypadków samowybuchów nie zdarzył się w zimie.

–Tak! Tak! – krzyknęła wyraźnie podniecona Helga. – Ja też pamiętam ten dzień! Musiałam w domu strącać go z rabatek na balkonie, żeby się nie zniszczyły -perorowała. – I jeszcze pamiętam, jak byłam dzieckiem, to śnieg spadł w maju. Ojciec posłał mnie do piekarza po chleb...

–Droga Helgo – przerwał jej Grunewald – domyślamy się, że ojciec nie posłał cię do piekarza po dynamit. Dajmy spokój anomaliiom pogodowym. – Zwrócił się do Kugera: – Przecież wokół też są kwiaty i nic się nie dzieje.

–Nie wiem. Może tamte są jakieś inne.

–To dlaczego żadnej z zakonnicek nic się nie przydarzyło?

–Wiesz, i arszenik można jeść, byle nie całą garść naraz. Tu jest jeszcze czyjeś celowe działanie.

Przerwał im odległy warkot samolotów. Lu dzie wokół ż ciekawością podnosili głowy. Po chwili zobaczyli klucz nisko lecących samolotów.

–Hurra! Hurra! – zaczęły krzyczeć i wiwatować. Wrocław nigdy nie był bombardowany. A Luftwaffe ciągle miała dobrą opinię. Ciągle odnosiła zwycięstwa,

choć też coraz mniejsze. Ludzie machali rękami, pozdrawiając pilotów. Mówiło się o nich „żołnierze w białych kołnierzykach”.

Pilot pierwszego samolotu chyba nawet nie widział w życiu białego kołnierzyka. Pod skórzaną kurtką miał zapiętą pod szyję rubaszkę. Powiedział sobie w duchu: Istinno, istinno gawariu wam... Eto! I nacisnął spusty karabinów maszynowych.

Tłum na dole stał tak zszokowany, że mimo pierwszych ofiar nikt się nie ruszył przez dobre kilkadziesiąt sekund. Jedynie Kuger wykazał się refleksem. Chwycił Helgę za rękę i pociągnął za sobą. Zdażyli przeskoczyć kilka wózków, kiedy tłum pękł nagle. Na szczęście przed nimi była już tylko chłopska furmanka. Skoczyli na ziemię i przeczołgali się pod wozem na pobocze.

–Na wały! – Kuger ciągnął Helgę za rękę. Ludzie wyli, wpadali na siebie, umierali. Usiłowali zasłaniać się dziecinnymi wózekkami. Schować za czymkolwiek, uciec gdziekolwiek, ale nie mieli gdzie. Wille wokół otoczone były przepięknymi, lecz dość wysokimi płotami. Silny, wysportowany mężczyzna zapewne poradziłby sobie z nimi bez trudu, jednak takich mężczyzn nie było wśród tłumu, bo służyli w wojsku.

Kuger z Helgą biegli już tylko na zasadzie rosyjskiej ruletki. Uda się albo nie. Było coraz więcej miejsca wokół, jedynie trzeba było lawirować wśród coraz większej ilości leżących na ziemi ciał. Nie mogli rozmawiać w ryku lotniczych silników i huku wybuchów, więc ciągnął ją za rękę. Rosyjska ruletka. Tyle że tym razem nabój był w każdej komorze, a i rewolwerów trochę za dużo.

Dobiegli jednak. Kuger pociągnął kobietę w lewo. Ryk silników cichł powoli, nie było już słycać broni maszynowej.

–Pod most? – wydyszała Helga.

–Nie! Samoloty zatoczą krąg i wrócą, żeby zrzucić bomby. Na pewno na most. – Zaczął ją ścigać po stromej skarpie.

–Ale tu będziemy zupełnie na widoku! – histeryzowała.

–Nie bój się. Dwoje ludzi to nie cel dla samolotu. Ale dla pewności oddal się ode mnie na dwadzieścia kroków.

Grunewald tymczasem stał spokojnie wśród ofiar. Ranni wyciągali ręce, prosząc o pomoc. Ci, którym nic się nie stało, biegali wokół nieprzytomni i ogluszeni. Ktoś kogoś ciągnął za nogi, znacząc asfalt pasmem krwi. Ktoś z najbliższej willi szedł, drąc prześcieradła. Grunewald tymczasem obserwował ciekawe zjawisko na niebie. Malutkie ptaszki atakowały niewielką jaskrawobiałą chmurę, wlatywały do niej, wylatywały, pikowały z góry, próbowały z dołu... To wyglądało naprawdę pięknie. Uśmiechnął się. Najbliższy wózek, choć nikt go nie pchał, powoli toczył się w jego stronę. Zza niego podniósł się ojciec, który nie żył od kilku lat. Miał przyjazny wyraz twarzy, więc Grunewald uśmiechnął się jeszcze bardziej, zobaczył matkę, która zmarła na gripę. Chciał podejść i ją objąć, ale zostawił to na później. Boże, jaki świat jest piękny.

Samoloty szturmowe wracały właśnie po zatoczeniu kręgu. Grunewald widział twarz pilota pierwszej maszyny. Pomachał mu przyjaźnie ręką. Odwrócił się, żeby zobaczyć skutki ataku. Śliczne złote bomby, opadając powoli, machały skrzydłami nad mostem. A później zamieniały się w anioły otoczone srebrnymi iskierkami. Jedna z bomb podleciała bliżej, zawisała w powietrzu, tak jakby mu się przyglądała. Wyjął

papierośnicę z kieszeni płaszcza, żeby ją poczęstować papierosem. Nie chciała. Poszybowała gdzieś w dal, pewnie do nieba.

Tymczasem Kuger krzyczał do Helgi:

–Jeszcze nie wstawaj! Jeszcze nie wstawaj! Dopiero kiedy ucichł huk wybuchów, zdał sobie sprawę, że cały czas wrzeszczał ze wszystkich sił.

–Oni strzelali do ludzi – płakała. – Oni strzelali do ludzi! Nie mogła tego zrozumieć.

–A my to do kogo strzelaliśmy? – zdenerwował się. – Do żab na łące? Obejrzał się.

–Mój Boże! Gdzie jest Grunewald?

–Nie wiem – chlipnęła.

–Myślałem, że biegnie za nami.

–Nie wiem.

–No to idziemy z powrotem. Trzeba zorganizować jakąś pomoc. Miał ochotę wymiotować...

Ledwie się podniósł i poprawił ubranie. Po chwili

jednak zaczęli wspinać się na wał przeciwpowodziowy.

–Wiedziałem, że tak będzie – dyszał, ocierając pot swoją jedyną ręką. Cały drżał, nie mógł zaczerpnąć powietrza. – Wiedziałem, że tak będzie.

Na górze zobaczyli nareszcie jakichś ludzi, którzy przeżyli jatkę. Cała grupa poniewczasie uciekała koroną wału.

–Stać! – krzyknął Kuger. – Jestem podoficerem kripo. Musimy udzielić pierwszej pomocy!

–A niech cię szlag trafi! – wrzasnęła jedna z kobiet i pobiegła dalej.

–Wstyd! – odkrzyknęła Helga.

Ale po kilku krokach, kiedy zobaczyła sytuację na jezdni, zachwiała się, oparła o najbliższe drzewo i zwymiotowała gwałtownie.

–Chodź, chodź. Opanuj się.

Ruszyli dalej. Kiedy wyszli zza płotu, w tym bezmiarze leżących ciał zobaczyli stojącego z radosnym wyrazem twarzy Grunewalda.

–O, jesteście.– Wyjął papierosa, zapalił, ale nie zaciągał się, tylko robiąc zeza, obserwował zar.

–Panie Albercie co z panem? – Pierwsza podskoczyła Helga.

Kuger odsunął ją delikatnie. Rzeczowo, na tyle, la ile mógł, sprawdzał stan kolegi. Liczba rąk i nóg z grubsza się zgadzała już na pierwszy rzut oka, lecz Kuger szukał śladów krwi. Na szczęście nie znalazł.

–Spokojnie. To tylko szok.

Grunewald poddawał się oględzinom niewzruszony niczym Budda. Po prostu stopił się z uniwersum.

–Widzicie, jaki świat jest piękny? – powiedział spokojnie i z namaszczeniem jak ksiądz podczas niedzielnej mszy. – Nieprawdaż?

–Panie Albercie. Co z panem?

–To szok – powtórzył Kuger. Ruszył do ludzi, którzy darli prześcieradła dla rannych, ale nie doszedł. W tym momencie wybuchła bomba z opóźnionym zapłonem i odłamek trafił go w nogę. Upadł na ziemię.

Ktoś musiał coś spieprzyć w radzieckiej fabryce. Bomba miała wybuchnąć dużo później. Kiedy już przybędą zorganizowane ekipy ratunkowe, żeby przetrzebić świeże mięso i siać defetyzm. Zwykły falstart.

Notabene drugą ofiarą tego wybuchu był polski robotnik przymusowy, który opowiadał później wiele historii z tamtych czasów. Też miał szczęście. Leżał ranny i krzyczał z bólu. Odłamek przebił mu prawy policzek, przeleciał przez szeroko otwarte do krzyku usta i wyleciał lewym policzkiem. Właściwie żadnych strat. Poza dwoma bliznami. Dzięki nim po latach weteran wyglądał, jakby się ciągle uśmiechał.

Kilka lat później ulicą Łaciarską, zwaną dawniej Altbuserstrasse, szedł przerażony oficer

Milicji Obywatelskiej. Powinien wezwać posiłki. Ale jak? Na piechotę do Komendy Głównej czy najbliższego komisariatu? Łaciarska była jednym wielkim gruzowiskiem. Miszczuk ledwie mógł się przedrzeć. Rozpiął tandetną kurtkę, którą otrzymał z dostaw UNRRA. Wyjął radziecką tetetkę i przeładował. Podskórnie czuł, że mu to nie pomoże. Jednak musiał rozwiązać tę sprawę.

–Schowajcie te wasze steny pod płaszcze. To przecież samo centrum. Żadnych band nie ma.

Borowicz i Wasiak nie byli tego tacy pewni, lecz posłuchali rozkazu. Spoceni i zmęczeni dotarli do bram klasztoru. Był mało zniszczony, przynajmniej w stosunku do kompletnie zrujnowanego kościoła obok. Siostra furtianka nie chciała ich wpuścić,

ale na widok milicyjnych legitymacji błyskawicznie otworzyła bramę. Przeszli szerokim korytarzem w stronę dziedzińca. Tuż przed oszklonymi drzwiami napotkali sporą grupę sióstr, które usiłowały rozmawiać na migi. Pod ścianami ustawione były wózki z mizernym dobytkiem.

–Dobra – powiedział Miszczuk. – Wy ustalcie, o co im chodzi, a ja pójde zerknąć na ten feralny dziedziniec.

Borowicz z Wasiakiem podeszli do sióstr.

–Milicja Obywatelska. O co się kłócicie?

–My się nie kłócimy. Tylko one nie znają polskiego, a żadna z nas nie umie po niemiecku. My z Kresów.

–A o co wam chodzi?

–Jak kazali nam wyjeżdżać, to dotarliśmy aż tutaj. Na zachód. Dostałyśmy z PUR-u przydział na ten klasztor. – Siostra mówiła ze śpiewnym wschodnim akcentem. – Wszystkie tu mają zamieszkać. No ale my przecież Niemek nie chcemy wyrzucać. My katoliczki.

Skinął głową.

–Rozumiem. Więc czego konkretnie chcecie?

–Jakiegoś dachu nad głową. Przez trzy dni nic nie jadłyśmy. Siostry są wyczerpane.

–Mhm. – Borowicz podeszedł do niemieckiej przeoryszy. Ta cofnęła się bojaźliwie, widząc wystającą spod płaszcza metalową rękojeść automatu. Odetchnęła z ulgą jednak, kiedy usłyszała język niemiecki. Borowicz dokładnie wyjaśnił sytuację. Przeorysza uśmiechnęła się.

–Ależ oczywiście! – Kazała pomóc swoim podopiecznym zaciągnąć polskie wózki na górę. – Tu jest wiele wolnego miejsca, bo większość; sióstr poszła służyć w szpitalach wojskowych i cywilnych. Potem gauleiter Hanke nakazał ewakuację zimową i większości mieszkańek już nie ma.

–A znalazłoby się coś do jedzenia?

–Oczywiście. Zapraszamy na skromny obiad.

–Dziękuję.

Borowicz podeszedł do Wasiaka. Obserwowali, jak obie przeorysze, jeszcze bardzo ostrożnie, pozdrawiają się wzajemnie. Niemka dostała miniaturkę obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Polka otrzymała malutki szkaplerzyk. Kobiety uśmiechnęły się do siebie nawzajem.

–Zastanawiające – mruknął Borowicz. – A może to pierwszy malutki kroczek do przyjaźni.

–No co ty? – zachnął się Wasiak. – Przyjaźń z Niemcami? Zwariowałeś?

W tym momencie na dziedzińcu wybuchł Miszczuk. Obu zatkało. Stali jak dwa słupy soli, gapiąc się bezmyślnie w jasny prostokąt wyjścia na dziedziniec. Żaden z nich nie mógł wykonać najmniejszego ruchu. Widzieli zmasakrowane zwłoki, krew barwiącą żwirek ścieżki między klombami, poruszane lekkim wiatrem płatki kwiatów.

–Kłątwa! Kłątwa! – krzyczała niemiecka przeorysza. – To już nie pierwszy raz!

–Wiem – powiedział niby spokojnie Borowicz, ale dalej stał w szoku jak sparaliżowany.

–Graniatką w niego rzucili? – spytał rozdygotany Wasiak. Też nie zrobił ani kroku. Oszołomienie nie chciało minąć.

–A słyszałeś huk?

–Nie.

Wasiak przemógł się i ruszył do przodu. Powoli, prawie na palcach.

–To może snajper?

–A słyszałeś wystrzał?

–Nie.

Borowicz też zrobił niepewny krok w stronę dziedzińca, potem jeszcze jeden. Zadziwiające, lecz siostry nie biegały wokół w panice. Obaj poruszali się wśród nieruchomych postaci niczym dwóch żywych ludzi pomiędzy postaciami z gabinetu figur woskowych, które ktoś ustawił w teatralnych pozach.

–Kłątwa, kłątwa! – zawodziła zakonnica. Popchnęła jedną ze swoich sióstr, burząc reguły martwego krajobrazu. – Przyrowadź księdza. Szybko!

Wasiak wyjął spod płaszcza swojego stena i przeładował. Rozglądał się wokół. Zerknął nawet na sufit, jakby stamtąd mogło zagrażać im jakieś niebezpieczeństwo.

–Co to było? Z procy go załatwili?

–Trzeba katapulty, żeby uzyskać taki efekt. – Borowicz powoli odzyskiwał nerwy. – Po prostu kolejny przypadek.

Wasiak przełknął ślinę. Usiłował uspokoić się, oddychając głęboko.

–Pójdę po niego. Może się da jakoś pomóc? – spytał, ale takim tonem, jakby oczekiwał, że Borowicz stanowczo go powstrzyma.

–Przecież widzisz, że nie żyje. Jeśli tam wejdiesz, to mogą i ciebie zabić.

Rzeczywiście, ciało Mischuka leżało w tak nieprawdopodobnej pozycji, że widać było gołym okiem. Już po nim. Zresztą człowiek nie ma takiej ilości stawów, żeby aż tak się powyginać.

–Myślisz, że to ludzie zrobili?

–Nie! Diabły, czarownice, upiory, wampiry... Pewnie, że ludzie. – Borowicz zagryzł wargi. Została mu chociaż część rozsądku i rutyna przedwojennego oficera śledczego. – Dobra, robimy tak. Ty ukryj się tutaj i strzelaj do wszystkiego, co się rusza na dziedzińcu. Ja sprawdzę korytarze.

–Dobra. – Wasiak nie miał lepszego pomysłu. Najwyraźniej jednak odetchnął z ulgą.

Borowicz odbezpieczył swoją broń i zaczął biec w kierunku schodów. Z rozwianym płaszczem przeskakiwał po kilka stopni naraz. Potknął się i jego sten wypruł krótką serię. Zawyły rykoszety. Jakimś cudem tylko nie dostał własnym pociskiem. Boże, był tak zdenerwowany, że biegł z palcem na spuście. Zdjął go natychmiast, przesuwając palec na kabłąk. Wbiegł na korytarz, gdzie przerażone siostry usiłowały dostrzec, co się dzieje na dole.

–Won od okien! – wrzeszczał. – Won od okien.

Siostry zaczęły się cofać. Raczej niemrawo, rzucając wokół nieprzytomnymi spojrzzeniami.

–Nie pod przeciwległą ścianę! – strofował przerażone kobiety Borowicz. – On będzie was widział i strzeli przez szybę. Kłась się pod parapetami!

Siostry niezbornie usiłowały się położyć prawie że jedna na drugiej. Borowicz znalazł jednak wolne miejsce. Zerknął i błyskawicznie się schował. Nic. Zaczął biec dalej. Nic z tego. Wrócił zdyszany po kilkunastu minutach.

–I co? – spytał Wasiak. – Ubiłeś drania? Bo słyszałem strzały.

–Nie. Musimy wejść na dziedziniec. Sądząc po minie, milicjant wolałby tego nie usłyszeć.

–Obaj naraz?

–Cholera wie co lepsze. – Borowicz zastanawiał się gorączkowo. – Może tak: ja wyskoczę, a ty będziesz mnie krył.

–Dobra. – Wasiak zrobił przykłęk przy framudze, po tej stronie, gdzie kładł się długi cień. Odrzywając na ułamek sekundy wzrok od dachów, sprawdził położenie zamka w swoim automacie. – Czysto – szepnął.

Borowicz wyskoczył błyskawicznie, przebiegł kilka kroków i przypadł za najwyższym z idealnie przystrzyżonych krzewów. Odwrócił się, mierząc w ścianę, którą dotąd miał za plecami. Nic. Kompletnie nic. Zaczął się czołgać w kierunku zwłok Mischzuka. Zapach kwiatów odurzał go. Ale... Ale było coś jeszcze. Nagle usłyszał słowa: „Wybaczamy wam i prosimy o wybaczenie”. Nie mógł się otrząsnąć. Zobaczył dwóch mężów stanu, którzy podają sobie ręce na moście pomiędzy Polską a Niemcami, alians wojskowy, a potem polityczny. Sekundę trwał w stuporze, a potem wrzasnął:

–Duchów nie ma! Rzucił się do ucieczki. W drzwiach szarpnął Wasiaka za kołnierz i ryknął:

–Spadamy! Tam coś jest!

–Jezu, co? Biegli korytarzem do wyjścia.

–Nie wiem. Zwiewamy jak najdalej.

–Na komendę?

–Nie.

–No to gdzie?

–Do Ameryki!

Altbuserstrasse była małą, ale dość długą ulicą. Oficer kripo szedł nią rozdygotany. A może powinien wezwać gestapo? Poprosić o posiłki? Jak? Najbliższy telefon był chyba w aptece na Rynku. Albert Grunewald trzęsącymi się ze strachu rękami rozpiął płaszcz. Wyjął swojego lugera i przeładował. Wiedział, że mu to niewiele pomoże. Ale musiał rozwiązać tę sprawę.

Oblężenie już trwało. Z Neumarktplatz rozlegał się ogłuszający łoskot dział. Lecz sama uliczka była jeszcze nienaruszona. Grunewald szedł jak nieprzytomny. Otrzeźwił go lekki wiatr. Odruchowo spojrzął w bok. Wiatr otworzył drzwi bramy, gdzie dwaj żołnierze zrzucali mundury i przebierali się w cywilne ubrania. Podbiegł, krzycząc:

–Stać! Tu kripo!

Miał pecha. Trafiał na spadochroniarzy Göringa. Jeden z nich wyszarpnął swój pistolet, przeładował i strzelił szybciej, zanim starszy już Grunewald zdążył pociągnąć za spust. Oni po prostu od paru lat brali udział w prawdziwej walce, on nie. Nigdy nie strzelał do człowieka.

Spadochroniarz podszedł do leżącego i dobił go następnym strzałem.

–Ty! Nie wygłupiaj się – powiedział drugi żołnierz. A właściwie pół jeszcze żołnierz, a pół już cywil, jeśli sądzić po konglomeracie elementów różnorodnych ubrań, jakie miał na sobie.

–Bo co?

–A jak ktoś usłyszał? Zabójca nie miał wątpliwości.

–W tym huku dział? Niby kto? Wszystkich ewakuowali.

–Fakt. Nawet jeśli ktoś został, to siedzi spietrany w piwnicy.

Szybko przebrali się do końca. Najgorzej szło im z butami. Musieli wybebeszyć kilka mieszkań, żeby znaleźć odpowiednie.

–Masz te inwalidzkie papiery?

–Mam, psiakrew. Przeszukałem trupy w całej kostnicy, udając, że szukam ciała brata. – Dezerter rozwinął dwie kartki. – Jeden jest po wylewie do mózgu, drugi ślepy. Kim chcesz być?

–Nie chcę być ślepy. – Kolega wzruszył ramionami.

–A wiesz, co to jest wylew?

–Nie – padła niewątpliwie szczerą odpowiedź.

–A ja wiem, bo wypytałem lekarza z innego szpitala. Będę miał nieruchomą połowę ciała i bełkotał, wskazując ci drogę. Ty mnie prawie niesiesz, ale wleź od czasu do czasu w jakąś latarnię i nigdy nie patrz nikomu w twarz.

–Zaraz. Przecież ślepy musi mieć laskę.

–Ten, co tu leży, ma laskę. Pewnie kiedyś oberwał.

–Ale to nie taka...

–O żeż, szlag by cię. Zaraz ci oskrobię lakier nożem.

–Dobra. To do ataku – powiedział spadochroniarz po polsku. Słyszał ten okrzyk wielokrotnie z wrogich linii podczas walk pod Monte Cassino. – Zanim Ruscy nie zamkną pierścienia.

Ślepiec i półparalitik zgrabnie przeskoczyli nad nieruchomym ciałem. Sprawnie, sprintem przeskakiwali też z bramy do bramy w strefie ostrzału, gdzie nie było patroli. Potem zamierzali iść wolniej.

Albert Grunewald nigdy nie dotarł do kryjącego tajemnicę klasztoru.

Staszewski z Mariolą stali uwięzieni w sznurze samochodów dokładnie w miejscu, gdzie Kuger przed laty zarobił odłamkiem bomby. Sławek wysiadł, prostując kości, a także po to, żeby zerknąć, co się dzieje z przodu.

–O rany, jakiś wypadek chyba.

–Co?

–Mówię, że wypadek. Postoimy sobie na tej patelni. Mariola również wysiadła. Otarła pot z czoła.

–Roztopię się.

–To zdejmij tę kamizelkę.

–Nie. Wiem, że coś się stanie. Tak jak z Miszczukiem, Grunewaldem i innymi oficerami.

–Grunewald przecież został zastrzelony. I... – Staszewski urwał nagle. Wskazał na czerwonego mercedesa zaparkowanego na poboczu. – Czy mnie wzrok myli, czy oni go właśnie kradną?

Zaciekawiony podszedł bliżej. Dwóch osiłków, siedząc już w środku, majstrowało pod stacyjką. Na tylnym siedzeniu dygotał przerażony staruszek.

–Proszę pana! – krzyknął. – Niech mi pan pomoże!

Staszewski oszołomiony bezczelnością złodziei patrzył wręcz z cieniem podziwu. Ci dwaj kroili brykę w biały dzień, na oczach przechodniów, tuż przy samochodach stojących w korku. Nie słyszał o czymś takim nawet od specjalistów z komendy.

–Niech mi pan pomoże – prosił staruszek. – Wnuk tu zaparkował i poszedł coś załatwić. Mnie kazał pilnować auta. Ale co ja mogę przeciwko tym siłaczom?

–Ja bym chyba też nic nie wskórał w walce wręcz.

–No to nieci pan wezwie policję!

–No... No. – Potrząsał głową. – Chyba tak.

Wyjął z kieszeni komórkę i zrobił szybko dwa zdjęcia w wysokiej rozdzielczości. Bandytom umknął ten fakt, ale telefon zauważyli.

–Ty – warknął ten siedzący na miejscu pasażera. – Schowaj komórkę, bo ci ją zabiorę, a tobą wyczyszczę przednią szybę. Brudna jest.

Staszewski posłusznie schował aparat. Chciało mu się śmiać. Tymczasem drugi łysol obszedł blokadę zapłonu.

–Możemy jechać.

Pierwszy odwrócił się do staruszka.

–Ty, dziadek. Wsiadasz czy jedziesz z nami?

Staszewski roześmiał się głośno.

–Po cholere wzywać policję, skoro jest na miejscu. – Wyciągnął legitymację. –

Obydwaj wysiąść i ręce na maskę.

Bandzior przy kierownicy nawet nie spojrział.

–Spierdalaj – powiedział spokojnie.

Zaciekawiona rozwojem wypadków Mariola, ciągle z hełmem w ręku i w kewlarowej kamizelce, podeszła z boku. Tym razem bandzior spojrział.

–O Chryste! Siły specjalne! O tym nie mówili!

–Chodu! – Drugi otworzył drzwi po swojej stronie samochodu i szczupakiem wyskoczył na chodnik. Kolega poszedł w jego ślady. Zaczęli uciekać, roztrącając przechodniów.

–Dziękuję, dziękuję, dziękuję – bełkotał osłabły nagle z ulgi staruszek.

–Nie ma za co – mruknął Sławek. – My zawsze na posterunku.

Wyjął znowu telefon i przesłał zrobione złodziejom zdjęcia na komendę. Połączył się z SWD.

–Postarajcie się złapać tych dwóch – powiedział. – Powinni uciekać albo ulicą Kochanowskiego, albo wałami po południowej stronie kanału. Ale to tylko moje przypuszczenia. Może być jeszcze Chopina i okolice.

–Przyjęłam. Kopiuję zdjęcie do terminali radiowozów. – Słyszał stuk klawiszy dyspozytorki. – Co zrobili?

–Kroili merola w biały dzień.

–To naprawdę takie ważne, żeby aż uruchamiać wszystkie siły w okolicy?

Staszewski tylko westchnął. Jednorazową chusteczką otarł pot z czoła. Było cholernie gorąco. Niektórzy z przechodniów, niestety, wyłącznie płci męskiej, wachlowali się własnymi koszulkami.

–Bardzo ważne, bo to chyba część innej sprawy.

–Korek już rusza – wtrąciła Mariola.

–O, właśnie! Proszę mi dać numery rejestracyjne tych dwóch samochodów, które zderzyły się na Kochanowskiego jakieś pół godziny, czterdzieści minut temu.

Znowu stuk klawiszy. Kobieta po drugiej stronie była bardzo sprawna w obsłudze sprzętu, lecz też w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie.

–Przykro mi. Nie było żadnego zgłoszenia.

–Ale to poważny wypadek. Dwa zmasakrowane samochody.

–Sprawdzę w drogówce, może coś wpłynęło w ostatniej chwili. Choć wątpię. Czy widzi pan te samochody na poboczu albo widział pan ciągniki pomocy drogowej?

–Nie.

–No to pewnie się dogadali między sobą i pojechali.

Uśmiechnął się.

–We wszystko uwierzę oprócz tego, że Polacy po wypadku się dogadają.

Pozabijają to tak.

Miał wrażenie, że cała ta sytuacja została zaaranżowana. Przede wszystkim debilna kradzież. Po co kroić auto, skoro po prawej ma się nieprzejezdne chaszcze, po lewej korek, a z przodu chodnik na

moście zbyt wąski na tak wielkiego mercedesa. Teoretycznie (lecz tylko teoretycznie) można było wycofać się na wały i ich koroną dotrzeć do Pomorskiej, ale tylko po to, żeby wrąbać się w korek na drugim moście. W tym czasie właściciel zawiadomi policję i umarł w butach. Zresztą jak samochód o tak niskim zawieszeniu miałby przejechać przez tory kolejowe? Staszewski zdał sobie sprawę, że złodzieje nie mieli którędy uciekać, a jednak kradli. Mogło więc chodzić wyłącznie o niego?

Zaraz, przecież Grunewald też widział złodzieja furmanki. Jednak nie podszedł bliżej, tylko „odparł go godnością urzędu”. Czy chodziło o to, żeby podejść blisko? Nie udało się. Tamci byli jednak na to przygotowani. Podstawili jakichś pseucovolkssturmistów w dziwnych mundurach. Jeden z nich miał w ustach lufkę. Dlaczego Grunewald tak dokładnie opisywał w raporcie nieistotne drobiazgi? A może były istotne? Może dmuchnięto mu czymś w twarz, skoro potem miał halucynacje? Połączył te fakty? Chyba nie. Lecz nos przedwojennego oficera wyczuł w tym coś dziwnego, jeśli opisywał takie szczegóły. Hm... A ci z mercedesa mieli lufkę? Nie, to już nie te czasy. Widział jakąś rurkę w ręku jednego z nich, ale myślał, że to jakiś przyrząd do obchodzenia samochodowej blokady. Dziś to mógł już być aerozol.

–Mariola! – krzyknął. – Szybko do domu!

–No, nareszcie jakaś mądra decyzja. – Dziewczyna odłożyła hełm i zaczęła ściągać kamizelkę.

–Nie ma czasu. Szybciej!

Wskoczyli do samochodu. Staszewski położył na dachu niebieskiego koguta, włączył syrenę. Gwałtownie wdarł się na prawy pas, potem na lewy, sforsował pas zieleni dzielący jezdnię i ruszył, manewrując między leniwie ustępującymi mu miejscami autami. Dopiero na skrzyżowaniu, kiedy już skręcił w lewo, dał gaz do dechy, szybko zmieniając biegi. Mieli około dwustu na godzinę. Zaczął hamować tuż przed parkingiem, z piskiem opon skręcił, a później szarpnął kierownicą w lewo, jednocześnie podnosząc dźwignię ręcznego hamulca. Samochód wykonał zgrabny piruet i zatrzymał się od razu tyłem na właściwym miejscu.

–Wariat! Wariat – powtarzała Mariola, chowając twarz w rękach.

–Szybciej! – Wskoczył na zewnątrz. Rzucił koguta na przednie siedzenie i pobiegł do drzwi wejściowych.

Na szczęście jedna z wind stała na parterze. Jezu, jak długo jedzie się na czwarte piętro. A dotychczas wydawało mu się, że to błysk.

–Co się stało? – pytała rozdygotana Mariola.

Nareszcie! Usłyszeli łagodne „ping!” i drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Pogalopowali korytarzem dłuższym niż w bunkrze Hitlera. Staszewski długo nie mógł trafić kluczem do dziurki.

–Teraz zamknij drzwi na oba zamki, zamknij wszystkie okna i zaciągnij rolety.

–Ale co się stało?

–Zaraz! – Wskoczył na balkon, zasunął osłonę klimatyzacji, która automatycznie przestawiła się na obieg wewnętrzny. Rozejrzał się wokół. Supersolidne, prawie pancerne drzwi, zamki nie do sforsowania, dobrze zabezpieczone okna. Jego doświadczenia z prowadzonych spraw o włamania i to, jak je wykorzystał, właśnie procentowały. Lodówka pełna żarcia, zapasy wody, suche, wojskowe porcje żywieniowe, poukładane jedna na drugiej w garderobie, tulejki z chemicznym światłem, kilka egzemplarzy broni palnej i spore zapasy amunicji.

Byli zamknięci niczym w twierdzy.

–Czy wreszcie mi wytłumaczysz?

–To nasze Westerplatte – powiedział. Powtarzalność sytuacji.

–Co ty bredzisz?

–Uważaj, możemy mieć halucynacje.

–O Jezu.

Zamyślił się na chwilę.

–Słuchaj, co pomogło temu pisarzowi, który prowadził amatorskie śledztwo w tej sprawie? Ześwirował trochę, ale mu się udało.

Mariola otarła spocone czoło.

–Był nawalony chemią po dziurki w nosie.

Mogła mieć rację. Na szczęście oboje byli alergikami. Mieli zapas leków, który mógłby obsłużyć pół armii podczas rocznej kampanii. Wysypali zawartość ogromnej szuflady na ziemię i zaczęli grzebać w stosie kolorowych pudełeczek.

–Co bierzesz?

–Zyrtec.

–Za słabe. Ja wezmę Claritine. Pulmicort.

–Wypłucz usta.

–Wezmę Berotec.

–To ja Berodual.

–Syntaris. Allertec, nie, to za słabe, Telfas, substancja czynna to chyba feksofenadyna, przeczytaj, bo za małe literki.

–Rotadin? Substancją czynną jest loratadinum. Niiieee... To samo co Claritine.

Pierwsza zorientowała się Mariola.

–Przestańmy łykać te świństwa, bo się zatrujemy. I nawet pogotowie nas nie uratuje, bo nikt nie sforsuje tych pancernych drzwi.

Przymknął oczy i westchnął. Dziewczyna miała rację. Rozejrzał się wokół. Może wystarczy to, co już łyknęli. Podszedł do lodówki i nalał sobie sporą szklaneczkę ginu.

–Ty też chcesz?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Usiadł pod ścianą, bo nawet nie chciało mu się podejść do kanapy. Przysiadła obok niego, przytuliła się ramieniem. Siedzieli w milczeniu, czekając na nie wiadomo co. Czas się dłużył niemiłosiernie. Rosła tylko ilość niedopałków w pudełku po lekarstwach, gdzie kiepował. Po prostu popielniczka była za daleko, żeby wstawać. Mariola spojrzała na Sławka z wyrzutem.

–Słuchaj, air condition działa w zamkniętym obiegu. Może byś przestał kurzyć?

–Dobra. – Wstał jednak. Nalał sobie nową szklaneczkę ginu. – Masz jakieś halucynacje?

–Tak! – Zrobiła niby to groźną minę. – Śni mi się, że siedzę obok faceta, który wali dwieście na godzinę po wąskiej drodze, który chciał mnie utopić na Mazurach przy ośmiu w skali Beauforta, który jest alkoholikiem, nałogowym palaczem, militarystą, który zamienił nasze gniazdko, naszą śliczną chałupkę, w silnie broniony bunkier. Stal, szkło, aluminium, aseptyka. Nie można kroku zrobić, żeby nie potknąć się o jakieś elektroniczne urządzenie. Nawet w NASA tyle nie mają. – Odetchnęła głęboko. – A teraz najgorsze: śni mi się, że jestem z nim z własnej woli!

Tylko machnął ręką.

–Bardzo śmieszne... A widzisz tego pajęczka na ścianie?

–Widzę – Mariola była zgodliwa.

–To do chrzanu. W takim razie to nie halucynacje.

–A widzisz tego ptaszka? – teraz ona spytała.

–Jezu, jakiego ptaszka? – Spojrzał we wskazanym kierunku. – Nie widzę.

–Halucynacje! – krzyknęła przerażona. – Albo ty, albo ja. Wytrzeszczył oczy.

–No, nie widzę! Podbiegła do ściany, gdzie wisiał awangardowy obraz.

–No ten. Nie widzisz? O mało nie zemdłał.

–A ja myślałem, że chodzi o żywe stworzenie... – Zdjął obraz ze ściany i obracał najpierw na bok, a potem do góry nogami. – Zresztą skąd mam wiedzieć, że to ptaszek. To może być byle co.

Przerwały im dźwięki symfonii Wagnera płynące z ogromnych głośników ustawionych wokół.

–Odbierz, jeden – powiedział Staszewski.

Małutkie urządzenie, które Sławek miał zawieszone na małżowinie usznej, najwyraźniej rozumiało ludzką mowę. Przełączyło sygnał z komórki wprost do ucha i powiedziało mu, kto dzwoni.

–Witam, pani Elu.

–Dzień dobry, panie Sławku. Niestety, nie mam dobrych wiadomości z SWD.

–Nie znaleźli tych dwóch od mercedesa?

–Znaleźli. Niestety, w stanie nieświeżym.

–O, szlag! – Szamotał się z obrazem, żeby go umieścić z powrotem na ścianie. – Jak ich zabili? Słuchał jeszcze przez dłuższą chwilę, potem klepnął się w policzek, żeby urządzenie nad uchem rozłączyło telefon. Mariola spojrzała na Sławka z uwagą.

–Bardzo źle?

–Bardzo.

Borowicz i Wasiak dotarli do gruzowiska przed Dworcem Głównym. Zaszyli się w ruinach hotelu, żeby oczyścić ubrania. Z trudem, przy pomocy gazety otrzepali się wzajemnie z pyłu i kurzu. Ostrożnie przeszli przez plac, po którym kręciło się wiele patroli. Z bunkra pod placem sączył się ohydny zapach stęchlizny, betonowy basen przeciwpożarowy cuchnął jeszcze bardziej. W przytłaczającym swym ogromem hallu dworca zaczęli szukać placówki służby ochrony kolei. Znaleźli błyskawicznie – tuż przy wejściu do tunelu pod peronami. Pierwszy wszedł Wasiak.

–Milicja Obywatelska. – Pokazał legitymację. – Ochraniam kapitana UB z Warszawy. – Wskazał Borowicza. – Musimy szybko napisać raport dla komendy wojewódzkiej.

Sokista zerwał się na równe nogi i zsalutował. Borowicz łaskawie skinął głową.

–Towarzyszu – ciągnął Wasiak – czy macie maszynę do pisania i papier?

–Maszyna jest. Ale niemiecka.

–Wystarczy. A macie zaufanego człowieka, który zanieś raport na komendę? Bo my musimy jechać dalej. Obywatel kapitan ściga bardzo podejrzanego...

–Nie mów nic więcej – przerwał mu Borowicz. – Sprawa poufna.

–Tak jest, obywatelu kapitanie! – Wasiak zwrócił się znowu do sokisty: – Musicie opuścić posterunek. Raport jest ściśle tajny.

Włączył się Borowicz:

–Stańcie przed drzwiami i pilnujcie, żeby nikt nie wchodził. No chyba że inni towarzysze z UB. Jest nas tu sporo.

Sokista strzelił obcasami, nawet dość prawidłowo, musiał przed wojną służyć w wojsku. Lekko przerażony wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Borowicz zajął miejsce i spokojnie wkręcił czystą kartkę. Dopił resztkę kawy, która stała na biurku.

–O, nawet dobra – zdziwił się. – Nie to co te amerykańskie barwione siki.

–Może jeszcze przedwojenna? – zaciekał się Wasiak.

–Ciiii... bo nas „towarzysze z UB” usłyszą – zażartował Borowicz.

–Ta. – Wasiak przejrzał się w lśniącej metalowej powierzchni jakiegoś urządzenia. – „Towarzysze”, czyli ja i moje odbicie w lustrze.

Klawisze wydawały głuchy odgłos. I choć maszyna była bardzo dobrej jakości, to taśma z tuszem zdradzała swoje pochodzenie – ersatz-produkcja z ostatnich miesięcy wojny. Borowicz musiał co chwilę cofać wałek i poprawiać jakieś litery. Nie przeszkadzało mu to. W AK podrabiał niemieckie dokumenty i pieczętki. Był w tym dobry. A teraz to po prostu łatwizna. Szybko stworzył kilka pism. Otworzył szufladę i

opatrzył każde taką ilością pieczętek, ile ich znalazł. Niektóre lekko zmodyfikował, podkładając papier pod połowę odbicia, żeby nie było adresu jednostki, która wydała dokumenty. Zostawał sam nagłówek.

–Teraz ty – powiedział Borowicz. – Masz ołówek?

–A nie lepiej, żebyś ty napisał na maszynie? Ja kiepsko piszę.

–I właśnie o to chodzi. O twój charakter pisma i sposób formułowania myśli. Podał mu kartkę papieru i kopiowy ołówek. Wasiak popluł solidnie i zaczął w

mękach tworzyć list do komendanta, w którym opisywał, jak to ściga samotnie groźnego przestępcę, i prosi, żeby obstawić dworzec w Krakowie, tam go wspólnie zwiną. Całość ozdobił starannym podpisem.

Borowicz złożył list w zgrabny trójkąt. Otworzył drzwi i podał „raport” sokiście.

–Zmieniliśmy decyzję. Najpierw musi to zobaczyć komendant w Opolu. Gdy przeczyta, to odeśle do Wrocławia. Możecie kogoś zaufanego z tym wysłać?

–Tak jest!

–Dobrze.

Nie zwracali więcej na niego uwagi. Szybkim krokiem przemierzali hall w poszukiwaniu dyrekcji. Ktoś powiedział, że to w innym budynku. Wyszli więc na zalany słońcem plac.

–Szlag! To jest jak labirynt. Albo jakiś pałac.

–Nie bój się. Zobaczysz jeszcze większe dworce. Podeszli do człowieka, który stał na trawniku oparty o motykę i zamyślony patrzył gdzieś w dal.

–Przepraszam najmocniej – zaczął Borowicz. Ale nie dane mu było skończyć.

–Tam. – Mężczyzna w filozoficznym nastroju nawet nie odwrócił wzroku. Pokazał palcem.

–Skąd pan wie, o co pytamy?

–Wszyscy pytają. Kolejka na jakieś dwa dni stania. Wasiak zainteresował się nagle:

–A czemu pan tak tu stoi?

–Pielic kazali, ale tu nie ma chwastów. Odwrócił leniwe spojrzenie.

–To co pan robi?

–Czekam na chwasty. – Znowu przeniósł wzrok na jakiś punkt w dalekiej przestrzeni. – Aż wyrosną – wyjaśnił.

–Chodź – ponaglił Borowicz Wasiaka. – Nie mamy czasu.

Z trudem przedarli się przez zbity tłum. Nie było czym oddychać. Tylko dzięki sile i bezwzględności Wasiaka dopchali się do sekretariatu.

–Pan dyrektor nie przyjmuje nikogo! – wrzasnęła na ich widok sekretarka.

–Milicja. – Znowu nastąpiło okazanie legitymacji.

–Kontroler służby ochrony kolei. – Borowicz pokazał stworzony przed kilkoma

minutami papier.

Sekretarka natychmiast spuściła z tonu. Wasiak oparł się o parapet. Żeby być w porządku względem władzy, kobieta musiała się do niego odwrócić przodem, a tyłem do biurka. I o to chodziło mniej więcej. Mieli wszystko umówione wcześniej.

–Czy były wśród sokistów próby agitacji antykomunistycznej? – Wasiak bezbłędnie udawał enkawudzistę. Zbyt wielu ich widział w życiu. Zdążył wszystko zaobserwować.

–Nie. Nic o tym nie wiem – odparła przestraszona.

–A mundurowi pracownicy przenoszą jakieś ulotki, gazetki? – indagował.

–Nie. Nie widziałam.

–Podbiję sobie delegację. – Borowicz nachylił się za jej plecami i przybił pieczętki dyrekcji na pozostałych papierach, potem dołożył jeszcze imienne stemple samego szefa. – Dobrze – powiedział sucho. – W takim razie musimy sami sprawdzić trefny pociąg. Szlag.

–Mhm – przytaknął Wasiak. – Niech nam pani wystawi dwie służbówki do Berlina.

Trzęsącymi się rękami szybko wypełniła dokumenty. Wyszli bez słowa, żeby znowu przeciskać się przez tłum. Na kolejny papier pobrali w magazynie dwa drelichy, sprzęt kolejarski, amerykańskie wojskowe porcje żywieniowe i dokładną mapę połączeń. Lekko uspokojeni przeszli do tunelu pod peronami. Nie było żadnych informacji, więc musieli wchodzić na każdy i pytać kogoś z koczujących na ziemi ludzi. Odpowiedni pociąg znaleźli na czwartym peronie. Jakakolwiek próba wejścia do środka była z góry skazana na niepowodzenie. W środku był tak nieprawdopodobny tłok, że ludzie leżeli nawet na półkach z bagażami, przez korytarz nie dało się przejść. Niektórzy wisieli na zewnętrznych stopniach wagonów, trzymając się poręczy. Na szczęście oni mieli inny plan. Podeszli do lokomotywy i wspięli się po drabince. Jak wszędzie dotąd, ich dokumenty zrobiły piorunujące wrażenie. Strach przed nową władzą powoli stawał się coraz większy.

–Będziemy jechać z wami. Ścigamy groźnych przestępców – powiedział Wasiak.

–Musimy udawać, że jesteśmy zwykłymi robotnikami – dodał Borowicz.

–Oni mogą wysiąść na każdej ze stacji, lecz my będziemy obserwować. Kiedy wysiądą, to ich złapiemy.

Maszynista z pomocnikiem oszołomieni potakiwali głowami.

–Kiedy odjeżdżamy?

–A cholera wie – odparł maszynista, wycierając rękawem swój olbrzymi nos. – Stoimy od świtu, więc pewnie niedługo.

–Dobra. To róbcie swoje.

Obaj wspięli się na tender, żeby ubrudzić węglem swoje nowiuteńkie kombinezony.

–Co o tym myślisz? – spytał Wasiak. – Bo ja mam mętlik w głowie.

–Nie ty jeden. – Borowicz wiedział, o czym tamten mówił. – Nie mam zielonego pojęcia, co się stało w klasztorze.

Metodycznie brudził swój kombinezon. Potem przeszedł do czernienia twarzy.

–No ale powiedziałaś...

–Że miałem omamy? Tak. Miałem.

Wytarł twarz szmatą, żeby brud wyglądał naturalnie.

–I co widziałeś?

–I tak nie uwierzysz.

Wasiaka nie dało się zbyć byle czym. Był dociekliwy.

–A dlaczego nie uciekaliśmy na komendę?

–Niewyjaśnione zabójstwo Mischzuka, nieudzielenie pomocy, być może rannemu. Ty może uniknąłbyś więzienia. Ja nie.

–Kryłbym cię przecież.

–Akurat. Ja byłbym pierwszy, ty prawdopodobnie drugi. Zrozum nareszcie.

Każda policja, kiedy ma nierozwiązaną, dziwną sprawę, szuka kozła ofiarnego. Muszą się wykazać, a tego nie rozwiążą, bo są za głupi. Więc trzeba wymyślić mordercę i spokój. A przy metodach UB nie byłoby dla nich problemem, żebyśmy się przyznali do winy. Przecież nie powiemy, że miałem halucynacje i bałem się podejść bliżej.

–Co fakt, to fakt. Ja to się w Rosji przyznałem, że kopałem kanał pod Kremlem. Borowicz parsknął śmiechem.

–I uwierzyli?

–Pewnie. – Wasiak odruchowo zaczął drapać się po genitaliach. – Jak ci jaja ścisną szufladę...

– umilkł nagle.

–Rozumiem.

Borowicz zastanawiał się, co oni tu robią. Prosty chłop i wykształcony człowiek, w dodatku z talentem. Obaj na tej samej drodze prowadzącej donikąd. Siedzieli nieruchomo, każdy pogrążony we własnych myślach.

Pociąg rzeczywiście ruszył „za chwilę”. Oczekali na tendrze raptem pięć godzin, kiedy ktoś podbiegł do maszynisty. Chwilę później skład ruszył powoli, nabierając prędkości. Odetchnęli z ulgą. Potem zeszli do maszynisty i pomocnika. Borowicz zapalił papierosa.

–Dokończę to śledztwo – powiedział, wypuszczając dym z ust. – Albo ułatwię sprawę mojemu następcy.

–Chcesz wracać? To po co wyjeżdżasz?

–Nie. Nie wrócę już do ojczyzny. Wasiak wzruszył ramionami.

–Moja ojczyzna jest już za granicą. Wschodnią.

Borowicz zdjął czapkę i wystawił głowę przez małe okienko. Długo patrzył na znikający w perspektywie gmach Dworca Głównego. Powtarzał w myślach dwa zdania jak mantrę:

„Jeśli odchodzisz, to nie opuszczasz tych miejsc. One będą dalej żyć w tobie...”

Sławek obudził się nagle i podniósł z pościeli, zrzucając kołdrę na podłogę. Potoczył wokół nieprzytomnym wzrokiem.

–Słuchaj, czy mrówki mają uszy? – powiedział niewyraźnym, zaspanym głosem. Mariola już krzątała się przy kuchni, robiąc śniadanie.

–Co ci przyszło do głowy?

–No przecież jesteś dendrologiem. Musisz wiedzieć.

–Kochanie. – Podeszła bliżej. – Jak by ci to powiedzieć... Dendrologia to nauka o drzewach i roślinach. Mrówka nie jest drzewem. Tylko zwierzątkiem.

–A kto by mógł wiedzieć?

–Jezu, śniło ci się coś?

Machnął ręką, podchodząc do lodówki po piwo. Potem usiadł na skołtunionym prześcieradle i otworzył puszkę.

–Nieważne – mruknął. Pociągnął kilka wielkich łyków.

–Boli cię głowa?

–Czemu?

–No bo wczoraj się uwaliłeś na amen. Na wyświetlaczu ekspresu pojawił się znak gotowości.

Palce Marioli szybko

uderzały w lśniące stalowe klawisze programatora. Ustawiła dwie filiżanki, moc na maksimum, jedną z mlekiem, drugą z cukrem. Enter. Młynek zawarczał, mieląc świeże ziarenka kawy. Potem rozległ się syk pary. Dziewczyna podała jeszcze grzanki pokryte roztopionym serem z opiekacza i mikroskopijne, pikantne kotleciki z mikrofalówki. Staszewski nie tykał na razie jedzenia. Sączył powoli piwo, potem poszedł pod prysznic.

–Wystygnie! – krzyknęła za nim.

–Już, już. Wyszedł mokry, owinięty w ogromny ręcznik. Przysiadł jak zwykle nie przy barku, tylko na swoim ulubionym brzegu łóżka. Skubnął z talerza kawałek kotlecika, dwa razy ugryzł tosta i wypił duszkiem kawę. To było całe jego śniadanie. Powrócił do piwa.

–Sławek? – Mariola patrzyła na niego zza barku.

–Mm?

–Czy mógłbyś przestać pić?

–W tej chwili?

–Nie, w ogóle. Teraz on popatrzył zdziwiony.

–Mogę. Umilkła zaintrygowana. Podeszła i usiadła obok na łóżku. Objęła go ramieniem.

–Poważnie mówisz? Rzucasz od dzisiaj?

–Od jutra, jeśli ci na tym zależy. Zerknął na zegarek. Była szósta trzynaście.

–Ubieraj się. Idziemy. Sam przebrał się błyskawicznie. Ogolił się w kilkanaście sekund. Był gotowy do

wyjścia. Marioli zajęło to pół godziny. W końcu jednak udało im się wsiąść do rozgrzanego mimo wczesnej pory jak piec martenowski samochodu. Dotknął

przycisków opuszczających szyby i na chłama włączył się do gigantycznego korka na ulicy pod domem.

–Słuchaj. – Mariola podniosła szybę i włączyła klimatyzację. – Dlaczego wczoraj mówiłeś, że jest bardzo źle? Co ci ta baba z komendy nagadała?

–Powiedziała, że złodziei zastrzelono z kalibru cztery i pół milimetra.

–No to co?

–To wiatrówka.

–Dalej nie rozumiem.

Wy tłumaczył jej, że to broń idealna do napaści, cicha, mała, nie zostawia żadnych śladów. Ale trzeba spełnić kilka warunków. Podejść z przodu i bez nerwów strzelić w ściśle określone miejsce. A wszystkie profesjonalne wiatrówki, które widział, były jednostrzałowe. On sam miał ośmiostrzałową, lecz to prawie zabawka, napędzana butlą z gazem, którą można kupić w każdym sklepie z bronią bez zezwolenia. W związku z tym było dwóch zabójców. Zastrzelili tamtych naraz, jednym strzałem każdy.

–Do rzeczy, Sławek. Do brzegu.

–No to teraz sobie policz, ile osób brało udział w akcji. Dwóch złodziei, dwóch egzekutorów, dziadek w mercedesie i „właściciel” auta, dwóch kierowców, którzy się zderzyli. W sumie ośmiu. Prawdopodobnie ktoś tym dowodził, ktoś planował, ktoś nas śledził i nadał sygnał przez radio, że jedziemy i ma nastąpić „wypadek”. Daje to minimum jedenaście osób. Kogo na to stać? Jeśli to gang, jaki był cel tych działań?

Wzruszyła ramionami.

–Po prostu im się nie udało.

–Jeżeli chcieli mnie zabić – kontynuował Staszewski – to łatwiej byłoby strzelić z

trzydziestkiósemki. Wystarczy odsypać trochę naważki prochu i huk nie jest taki znowu głośny.

–Nie mogli zabić policjanta, boby się taka afera w prasie zrobiła...

Roześmiał się.

–Akurat! – I dodał po chwili zastanowienia: – Czekaj. W jakimś sensie masz rację. Wszystkie tropy prowadzą do komendy.

–Jezus. Jakie?

–I Grunewald, i ja zostawiliśmy na widocznym miejscu trasę przejazdu.

Wystarczyło zerknąć i już wiesz, gdzie zastawić pułapkę.

–A nie łatwiej byłoby cię po prostu śledzić?

–I to jest właśnie drugi trop. Po pierwsze, wiedzą o mnie, za dużo bandziorów nałapałem. Trzy razy dostałem nagrodę dla najlepszego oficera. Te męty powoli wychodzą z pierdła, mogą się mścić. W związku z tym za każdym razem jadę do pracy inną trasą. Nie mam żadnych stałych przyzwyczajęń...

–Poza wódką – przerwała mu.

–Oj, przestań! Przecież powiedziałem ci, że jutro z tym kończę. – Gwałtownie zmienił pas ruchu na prawy i skręcił w boczną uliczkę, potem znowu wydostał się na główną, ale już mniej zakorkowaną. – I wracając do sprawy. Drugim śladem jest fakt, że przy każdym zabójstwie policjanta w jego macierzystej komendzie jest przeprowadzana kontrola wewnętrzna. Bardzo wnikliwa.

–Sądziś, że ktoś tego nie chce?

–Tak. Woli, żeby to był wybuch, gdzie sprawa właściwie należy do naukowców, a nie glin. Lub samobójstwo. Wtedy prawdziwy zabójca pozostaje poza podejrzeniami.

Przygryzła wargi. Zamyślona otworzyła skrytkę i wyjęła paczkę papierosów. Zapaliła od razu dwa – dla siebie i dla Sławka.

–Boże – szepnęła, widząc, że skręca na plac Nankiera. – Chyba nie jedziesz TAM!

–Owszem, jadę. – Zaparkował bez trudu. Było to jedyne miejsce w ścisłym centrum, gdzie dało się jeszcze znaleźć czasem jakiegokolwiek miejsce do parkowania poza specjalistycznymi nad – lub podziemnymi budowlami.

Wysiadła z ciężkim sercem. Staszewski usiłował ją uspokoić.

–Kochanie, nikt nam dzisiaj nie podał żadnego środka, a ja chcę się tylko rozejrzeć. Jedno spojrzenie i wychodzimy. OK?

Mariola miała dreszcze na plecach. Przeczucie, choć nie była policjantem, rzadko ją zawodziło. Sławek nazywał to kobiecym szóstym zmysłem. Często korzystał z jej rad, czy raczej sugestii. Sam nie miewał przeczuć. Był człowiekiem do cna racjonalnym, który nie wierzył w nic poza faktami i własnymi przemyśleniami. Swoje sukcesy zawdzięczał poza ciężką pracą nonkonformizmowi, inteligencji i jakiejś nieprawdopodobnej wręcz, wybiórczej pamięci. W związku z tym nie był systematyczny. Na komendzie nazywano go „hrabia Staszewski”. Potrafił nie przychodzić na odprawy albo w ogóle nie przychodzić do pracy. Stałe godziny urzędowania – jak to nazywał – przyprawiały go o depresję. Zawsze był malkontentem, zawsze miał swoje zdanie. A ponieważ okazywał się przy tym naprawdę skuteczny, potwornie kłuł w oczy tych, którzy za komendantem „teczkę nosili” i było to ich najważniejsze osiągnięcie.

Weszli na wewnętrzny dziedziniec. Widok, który uspokoił nawet Mariolę. Rozkwitające klomby, stara studnia, zewsząd okna otaczających budynków, a wszystko to skąpane w ostrym słońcu. I jak tu myśleć o duchach, zjawiskach nadprzyrodzonych czy jakiejś sekcie? To przecież bzdury. Wszystko wydawało się bardzo normalne. Mariolę zaskoczyła maleńka powierzchnia. Wyobrażała sobie, że plac będzie dużo większy. Poza tym – nie mogła uwierzyć, że Miszczuk i inni wybuchali

właśnie tutaj. Usiedli na małym murku okalającym jeden z kwietników. Sławek zapalił kolejnego papierosa. Kiedyś spytał koleżanki: „Czy jest jeszcze jakiś nałóg, którego nie mam?”. Znajoma po dłuższym zastanowieniu odparła: „Nie ćpasz!”.

–Wiesz co? – powiedział. – Przez cały czas mam wrażenie, że zabieram się do tego od dupy strony.

–Do czego? – Spojrzała zdziwiona.

–Do śledztwa. To przecież nie były wybuchy.

–Co?! – Aż podskoczyła. – Przecież widziałeś ciała w kostnicy.

–Skutek to jedno, a przyczyna może być inna. Zawsze kiedy obserwator jest spanikowany, widzi nie to, co się naprawdę dzieje. A potem opowiada takie bzdury, że uszy więdną. Dodaje też coś od siebie. Opowieść się zmienia, ewoluuje, a słuchacz, szczególnie rutynowy, jak na policji, przykłada do niej własny, znany szablon. Zamyślił się.

–To nie były wybuchy.

–A co?

–Skojarzenie jest proste. Trochę pomagają leki antyhistaminowe. Ale tylko trochę, nie do końca.

–Powiedz mi wreszcie, co to jest? Wydmuchnął kółko dymu z ust.

–Alergia. Mariola dłuższą chwilę siedziała oniemiała.

–Zwariowałeś. Przecież te ciała sekcjonowali anatomopatolodzy. Nie wykryliby tego? Przecież to fachowcy.

–Policyjni lekarze. Fachowcy tak, ale rutyniarze. Po co badać inne ścieżki? Przecież widać, że to wybuch. I tłumaczą, że można zeżreć nadmanganian i popić kwasem albo łykać semteks. To brednie. Nie inaczej.

–Jak może alergia spowodować wybuch?

–Tego nie wiem. Myślę o czym innym. Jak to pięknie brzmi: wybuch wewnętrzny, UFO, spisek rządowy, samozapłon... Tymczasem jedynym udokumentowanym przypadkiem jest opisany przez Miszczuka incydent spalenia się przez oficera UB. Ale on to zrobił klasycznie. Wylał na siebie kanister z benzyną i ciach zapalką. Zresztą i tak musiał się dostrzelić.

–Nie mogę uwierzyć. – Potrząsnęła głową. – Zaraz. Przecież Grunewald też opisywał samozapalenia.

–Opisywał na podstawie czyjejś relacji. Sam niczego nie widział. Identyczny mechanizm: spietrany, zszokowany świadek. Nic ci nie powie poza: „Zobaczyłem morze ognia, on się palił bez przyczyny, o Jezu, Jezu, Jezu”.

Podziwiała dystans Sławka i suche spojrzenie na całość. Jego niekonwencjonalny umysł działał naprawdę inaczej niż wszystkie inne.

–Ciągle nie mogę uwierzyć.

–To posłuchaj, kiedyś ugryzł mnie giez. Twarz bardzo szybko spuchła mi tak, że nic nie widziałem. Musiałem podnosić sobie brwi palcami, żeby móc zadzwonić na pogotowie. To nie był wybuch, ale wyglądałem jak trzystukilowy Nosferatu. Kiedy wbiłem palec w czoło, to wgłębienie pozostawało przez parę minut. Zresztą inaczej. Ostatnio zmarła znana aktorka. Od ukąszenia zwykłej osy. Ale opowiem ci o najlepszym przypadku. Przywieziono do szpitala Akademii Medycznej dziewczynę, której lekarz wstrzyknął penicylinę czy coś w tym stylu, nie pamiętam nazwy. I z dziewczyny zlaźła skóra. Cała. Wezwano policję, bo pierwsze skojarzenie było takie, że ktoś ją oblał

kwasem. A tam, oblał... Chyba wykapał. Wokół sami wirtuozi, najlepsi lekarze we Wrocławiu. I nic. Bez skóry nie da się żyć. Umarła szybko.

Mariola słyszała już setki takich opowieści z jego ust.

–To straszne – powiedziała beznamiętnie.

–Widziałem na własne oczy. Sto procent skóry oddzieliło się od ciała. I jak to nazwać, szukając sensacji? Samoskórozłaźcem?

–Jesteś okropny! – Wbrew słowom uśmiechnęła się jednak.

–Załóżmy, że mamy wzmocnioną czymś reakcję alergiczną. Nagle zaczyna puchnąć jakiś organ wewnętrzny. Robi to tak szybko, że rozrywa inne organy, żyły, tętnice, a nawet skórę.

–I stąd te kwiaty zawsze?

–Tak. Niektórym się nie udaje, nie wiem co, ale spotyka ich porażka.

–W śmierci?

–Mhm. Wtedy popełniają samobójstwo. Nie wiem, co to może być. Jakiś ersatz czegoś. Nie mam pojęcia czego.

Zamyśliła się na krótką chwilę. Rozsłoneczniony dziedziniec przywodził na myśl wszystko, tylko nie ciąg okropnych zbrodni. Najchętniej zdjęłaby koszulę i poopalała się trochę w samym staniku. Chociaż nie. Dziedziniec był osłonięty z czterech stron. W ogóle nie czuło się wiatru.

–Jeśli te kwiaty powodują wzmożenie ataku alergii, to czemu siostry urszulanki i ich uczennice nie chorują? Przecież w takim zgromadzeniu musi być co najmniej kilkanaście alergiczek.

–Nie wiem.

Staszewski wyjął kolejnego papierosa, mimo że w ustach miał jeszcze poprzedniego. Wyrzucił go i zapalił tego drugiego. Oparł głowę na rękach. Pasemka dymu wędrowały leniwie po pochylonej twarzy. Mariola wiedziała, że w takich przypadkach lepiej mu nie przeszkadzać, choć kobieca ciekawość podpowiadała coś zupełnie przeciwnego. Wolała jednak nie ryzykować napadu złości, hysterii ani ironiczno-kpiąco-obrażliwych uwag. A wszystko to się przydarzało, kiedy ktoś przerywał mu stan skupienia. Rozglądała się wokół. To tu zginęło kilku oficerów. Tutaj też zaraziło się kilku innych. W efekcie szukali potem jakichś kopał, żeby popełnić teatralne samobójstwo w otoczeniu kwiatów. Przytulny, skąpany w słońcu dziedziniec nie sprawiał wrażenia niemego świadka strasznych zbrodni. Podniosła głowę. W jednym z okien na drugim piętrze mignęła jej postać zakonnicy w czarnym habitcie. Po chwili zauważyła tamtą w oknie pierwszego piętra, a potem parteru.

–Ale goni. – Szturchnęła Sławka, wskazując obiekt swoich obserwacji. – Chyba chce nas stąd wyrzucić.

Poniósł głowę niezbyt przytomny. Zakonnica ukazała się w drzwiach.

–Dziwne – powiedział. – Przecież tu urzędują urszulanki czarne, a ta ma szary habit.

–Co? Pogięło cię? Przecież ma czarny.

Potrząsnął głową.

–Szary, a spod spodu widać purpurę. – Przyjrzał się bliżej. – Chryste, przecież kobieta nie może być biskupem.

–Ty mówisz poważnie?

–Tak.

Mariola wstała lekko i podeszła do zakonnicy.

–Znowu policja? – domyśliła się tamta. – Kiedy rozwiążecie sprawę tej kłątwy? Boję się, że tu jacyś dziennikarze zaczną przychodzić. Przecież to w końcu wypłynie.

–To on jest z policji – powiedziała Mariola. – Ja chcę tylko przeprowadzić pewne doświadczenie.

–A pani?

–Ja jestem dendrologiem.

Nie zwracała uwagi na trajkotanie zakonnicy, która ściszym głosem opisywała nawet wizytę specjalisty z klasztoru jasnogórskiego, który odprawiał egzorcyzmy w nocy, żeby nie straszyc uczennic. Szukała odpowiednich kwiatków. Zerwała po płatku z dwóch kwiatów. Podeszła z powrotem do siostry.

–Słuchaj – zwróciła się do Staszewskiego. – Widzisz je? – Podniosła rękę, pokazując płatki.

–Tak.

–Jakie mają kolory?

–Biały i purpurowy.

–Doskonale. – Przyłożyła płatek do habitu. – Masz omamy wzrokowe. Odsuń się o kilka kroków.

–A jakie one mają kolory? – spytał, odsuwając się posłusznie w tył.

–Takie jak wymienileś. A kolory habitu ci się nie zgadzają. – Przyłożyła lewą rękę do zdziwionej lekko zakonnicy, konkretnie do białego fragmentu jej stroju. – To złocień różowy, czyli *Chrysanthemum coccineum*, zwany dawniej *Pyrethrum roseum*. Jest purpurowy.

–Ale po co ci to doświadczenie?

–Chcę się dowiedzieć, które z nas ma omamy. Znam te rośliny z katalogów i wiem, jakie mają kolory. Widzę, jakie barwy ma habit. – Wyciągnęła w stronę siostry prawą rękę z drugim płatkiem. – To wełnianka wąskolistna, czyli *Eriophorum angustifolium*, jest biała.

Mariola przesunęła rękę znowu na białe tło.

–Widzisz coś?

–Nie za bardzo. Purpurowy kwiatek zlewa się z purpurą na habicie.

–O Chryste! Chodźmy stąd! – Podbiegła, chwyciła Sławka za rękę i pociągnęła do wyjścia. – Jeszcze tu wrócimy – krzyknęła do zakonnicy.

Wybiegli na ulicę. Mariola pospiesznie skręciła w Jodłową. Pociągnęła Sławka w bok, znowu skręcili i znaleźli się przed zakładem kosmetycznym połączonym z solarium. Prawie siłą wepchnęła Staszewskiego do środka.

–Przepraszam, czy jest u państwa prysznic? – spytała zaskoczoną panienkę za ladą.

–T... tak.

Mariola rzuciła na ladę swoją wizytówkę. Staszewski wiedział, dlaczego to zrobiła.

Na niewielkim kartoniku przed nazwiskiem widniały dwie magiczne litery: „dr”. Rzeczywiście miała stopień doktora, ale siłą rzeczy nie była lekarzem.

–Proszę pani, mam pacjenta alergicznego przed atakiem. Muszę zmyć wszystkie pyłki. – Położyła na ladzie banknot pięćdziesięciozłotowy, który został skwapliwie przyjęty. Dziewczyna w nieskazitelnym kitlu wskazała kierunek.

–Proszę.

Mariola otworzyła drzwi od kabiny.

–Oddaj telefony, portfel i pistolet. Włóż w ubraniu i spróbuj je na sobie wyprać.

Potem do goła i całość bardzo dokładnie. Łącznie z włosami, twarzą... Pamiętaj, wypłucz usta i nos. – Prawie siłą wepchnęła Sławka w butach do środka. – Zaraz wrócę. –Zatrzasnęła za nim drzwi kabiny.

Wróciła, kiedy wycierał się firmowym ręcznikiem. Zupełnie nowym, bo nie zbierał wody za dobrze, za to zostawiał na ciele drobne włókienka. Podała mu suche ubranie, które kupiła przed chwilą w sklepie obok – pseudowojskowe spodnie i ogromny T-shirt w biało-czarne pasy.

–A buty?

–Oj, pójdziesz bosy. I tak jest cholerny upał. Spakowała mokre rzeczy do reklamówki. Panienska odprowadziła ich do samych

drzwi. Pięć dych, które trafią do jej prywatnej kieszeni, bo licznik żadnego z solariów nic nie nabił – to była gratka. Przeszli na ukos przez wielki plac Nowy Targ do małej mafijnej knajpki urządzonej w jednym ze strzelistych budynków opactwa.

–Gdzie na bosaka do lokalu?! – rozdarła się szatniarka. Ale po chwili dostrzegła, kto wchodzi, i nagle spokorniała. – Ach, to pan... Proszę, proszę. – Zawołała kelnera: – Stolik na dwie osoby. Biegiem!

Ten zgiął się w ukłonie i poprowadził ich w najciemniejszy kąt sali. Chciał podać karty, ale Staszewski powstrzymał go ruchem ręki.

–Napijemy się czegoś.

–To co zwykle?

–Nie, nie, żadnego alkoholu. Poprosimy kawę i colę. Usiedli w przepastnych skórzanych fotelach. Mariola chichotała cicho.

–Aresztowałeś kiedyś tych dwoje?

–Kelnera tak, parę lat temu, a szatniarki nie kojarzę. Nie mam pamięci do twarzy. Zapomniał o papierosach, które w kieszeni zamokły pod prysznicem. Wziął od Marioli ohydne damskie voque'i. Były straszliwie cienkie i w ogóle nie dawały dymu. A przynajmniej takiego, który mógłby poczuć w płucach.

–Słuchaj, rozumiesz coś z tego, co się stało na dziedzińcu?

–Hm, niby jestem specjalistką od roślin, ale nie mam zielonego pojęcia. –

Zagryzła wargi zamyślona. – Wiesz, bardziej mnie interesuje, dlaczego ty miałeś jakieś głupie objawy, a ja nie.

–Tym bardziej ja nie mam pojęcia.

Przerwali, kiedy kelner rozstawiał naczynia. Przed Mariolą wylądowała gorąca szarlotka z lodami.

–Specjalność zakładu – wyjaśnił kelner. – Gratis od firmy.

–Skąd wiedział, że to moje ulubione? – Spojrzała zaskoczona na Sławka. –

Pierwszy raz tu jestem.

–Widzisz, kochanie, oprócz nas na tej sali siedzą sami gangsterzy. Ja wiem sporo o nich, a oni o mnie, a więc siłą rzeczy i o tobie.

Rozejrzała się zaciekawiona.

–To naprawdę bandziory?

–Tak. Ale to ich knajpa. Co najwyżej się pobijają, choć każdy ma kłamkę przy sobie. Ten lokal to najbardziej bezpieczne miejsce w mieście. – Uśmiechnął się. – Tu się nie zabija.

–Podniecające – szepnęła.

–Jak dla kogo – mruknął, rozczesując palcami ciągle mokre włosy. – Ja ich mam na co dzień.

Podczas kiedy Mariola z wyraźnym zaciekawieniem lustrowała ponure postaci przy innych

stolikach, Staszewski zastanawiał się, czy ma kogoś zaufanego na komendzie. Powoli odrzucał w myślach kolejne nazwiska. I nagle doznał olśnienia. A jednak miał. Zawiesił na uchu małą słuchawkę.

–Połącz z „Marek Hofman” – polecił.

Komórka błyskawicznie połączyła go z numerem zapisanym w elektronicznej książce telefonicznej.

–No cześć, stary – usłyszał po chwili zachrypnięty głos. – Jak leci?

–Chciałbym powiedzieć, że dobrze.

–Uuuu, szlag. Aż tak źle? Staszewski włożył do ust kolejnego nieprzyzwoicie cienkiego papierosa bez smaku.

–Słuchaj, mam prośbę.

–No wal.

–Czy mógłbyś prześwietlić zderzenie dwóch samochodów na Kochanowskiego sprzed paru dni? Kierowcy nie zgłosili wypadku. No i krojenie merola wraz z egzekucją na wałach.

Hofman lubił takie przypadki. Lubiał też, jak koledzy zwracali się do niego, bo nie mogli sobie sami poradzić. Spytał jednak:

–Jeśli nie zgłosili, to jak...

–Prześle ci wszystkie dane i moje osobiste uwagi do kompa. Usłyszał westchnienie.

–Wakacyjna nuda. – Hofman ziewnął głośno. – Więc czemu nie? Akurat. Hofman i Staszewski konkurowali ze sobą. Komenda wojewódzka miała

tylko dwa asy w talii. Właśnie ich dwóch. No... może jeszcze liczył się trochę Jarek Korzeniowski. Ale był zbyt skrupulatny w swoich działaniach, żeby zostać wirtuozem. Niemniej liczyła się tylko ta trójka. Resztę oficerów można było spokojnie przekazać wojsku w charakterze sierżantów pilnujących musztry. A tu nagle jeden z asów zwraca się do drugiego. Gratka. Nie sposób nie pomóc, zarabiając jeden punkt na swoim koncie w ich prywatnym totalizatorze.

–Tylko dam ci to na adres domowy i... – Staszewski zawahał się. – Z pominięciem policyjnego serwera. Nie ściągaj tych plików na komendę.

Chwila ciszy.

–Zrozumiałem.

–Bosko. Z góry dzięki.

–Nie ma sprawy. Nara.

–No hej. Klepięciem w policzek wyłączył telefon. Z małego plecaka Marioli wyjął palmtopa. Na szczęście miasto fundnęło internautom bezpłatny i bezprzewodowy dostęp do sieci w centrum. Bez trudu połączył się więc z własnym laptopem stojącym teraz w pustym mieszkaniu. Szybko wybrał odpowiednie pliki i zdalnie zebrał w jeden skompresowany pakiet. Podał hasło wyjścia, a kiedy ekran zamigotał, wyłączył palmtopa i schował z powrotem do plecaka. Dane powinny już być w komputerze stojącym w równie pustym mieszkaniu Hofmana. Dopił resztkę kawy.

–Spróbujmy zrekapitulować fakty. – Zawahał się. – Może raczej moje durnowate hipotezy.

–A jeśli nie są durnowate?

Wzruszył ramionami.

–Mniej więcej od roku tysiąc osiemsetnego ktoś podaje różnym ludziom środki halucynogenne, łącząc je jakoś z wpływem alergenów. – Nerwowo potarł ręce. –

Bzdura. Alergię zaczęto diagnozować dopiero po prawie dwóch wiekach. Ale ciągnę dalej. Pewne poszlaki wskazują, że coś dziwnego dzieje się na komendzie. Ktoś tym kieruje. Kolejna bzdura. W tysiąc osiemsetnym w ogóle nie było komendy. A potem... Jak wytłumaczyć, że ci sami ludzie rządili za faszyzmu, potem komunizmu i wreszcie kapitalizmu? Jak przeżyli zmianę ustrojów, państw, czystki UB, kolejne weryfikacje i w końcu lustrację? Nie, to już kompletne brednie. Ale...

Przerwały mu dźwięki skocznej melodii.

–Odbierz, jeden. W słuchawce rozległ się głos Witka z Berlina:

–Cześć, stary. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. W głosie przyjaciela słyhać było triumfalne nuty. Kolejny as wrocławskiej policji. Obecnie w Berlinie kręcił lody, bo ktoś kiedyś tu na miejscu potrzebował kozła ofiarnego. Z pochodzenia był Niemcem, więc bardzo łatwo poszło mu przesadzenie się na inną grządkę.

–Znalazłem Wasiaka. Staszewski zapalił kolejnego niedobrego papierosa.

–Żywego?

–Jak najbardziej – roześmiał się tamten. – No, przynajmniej żył jeszcze, kiedy z nim rozmawiałem.

–Jaja se robisz? Kurde, jak go znalazłeś?

–Poszedłem po najmniejszej linii oporu. Po prostu dałem ogłoszenia w każdej polonijnej gazecie: „Polski oficer policji poszukuje pana Wasiaka w wiadomej sprawie”. – Znowu śmiech. – Zadzwoił po dwóch dniach. Pogadaliśmy.

Staszewski przyłożył obie dłonie do twarzy.

–To na pewno ten?

–Na pewno. Zresztą sam się przekonasz, wysłałem ci numer jego telefonu mailem i zaraz dla pewności esemesnę.

–Dzięki. Ile ci jestem winien?

–Nie wygłupiaj się. Pamiętaj tylko o mojej ofercie. Tu w Berlinie zarobisz nareszcie prawdziwe pieniądze.

–Będę pamiętał. Naprawdę dziękuję.

–Nie ma sprawy. Zawsze do usług.

Staszewski ponownie klepnął się w policzek, przerywając połączenie. Odruchowo zerknął na zegarek. Trzynasta trzynaście. Westchnął.

–Kto to był? – indagowała Mariola. – Coś ważnego?

Patrzył prosto na nią, ale jakby jej nie widział. Myślami błądził gdzieś daleko. Otrząsnął się dopiero po dłuższej chwili.

–Czy zwróciłaś uwagę, że ilekroć spojrzę na zegarek, to zawsze musi tam być trzynastka? Dziesiąta trzynaście, dwunasta trzynaście, dwudziesta trzynaście...

–Oj, przestań.

–Nie o to chodzi. Masz swojego discmana?

–Tak. – Sięgnęła do plecaka.

–Sprawdź, na którym utworze go wczoraj zatrzymałaś. Włączyła urządzenie i zerknęła na ekran.

–Na trzynastym.

–To zobacz jeszcze, który utwór leci właśnie na twoim iPod-zie i numer stacji radiowej w nim ustawionej.

Siedzieli nieruchomo, patrząc na siebie. Powtarzalność sytuacji.

Mimo obaw Borowicza ich dokumenty sprawiły duże wrażenie na polskiej granicy. Pociąg

przetrzepano dosyć pobieżnie – tylko dwie osoby skute kajdankami poszły do strażnicy SOK-u. Już trzy godziny później pociąg mógł przejechać do radzieckiej strefy okupacyjnej. Rosjanie jednak w ogóle nie interesowali się obsługą lokomotywy. Niepotrzebnie przygotowali trzy butelki bimbru i kosztowności wyprute

z płaszcza Borowicza. „Raboczije” nie były najwyraźniej tym, co rekiny lubią najbardziej. Pociąg trzepano przez jedenaście godzin. Kilkunastu pasażerów, ustawionych dwójkami, musiało udać się do dworcowej komendantury. Ruszyli dalej w środku nocy. Do Wschodniego Berlina dotarli nad ranem.

Zwinęli się z lokomotywy bez słowa. Najpierw toaleta. Nie bez trudu odnaleźli dworcową ubikację, gdzie mogli nareszcie zmyć węglowy pył i przebrać się w cywilne ciuchy. Drelichy upchnęli w plecakach. Zbiegli do tunelu szerokimi schodami. Kiedy wyszli na zewnątrz, niczym nie różnili się od koczujących wokół podróżnych usiłujących załapać się na jakikolwiek pociąg. Zaciekawieni rozglądali się wokół. Berlin właściwie przypominał Wrocław. Morze gruzów. Gdziekolwiek tylko w miarę całe budynki. Wszędzie panoszyli się Rosjanie, z tą jednak różnicą, że miejscową ludność traktowali jak wrogów, nie tak jak Polaków w mieście, z którego uciekli.

Doskonała znajomość niemieckiego pozwoliła Borowiczowi błyskawicznie zorientować się, jak dojść do zachodniej części Berlina. Trochę pobłądzili pośród ruin. Niektórych odcinków po prostu nie udało się sforsować. Minęło południe, zanim zobaczyli pierwszego amerykańskiego żołnierza.

–No, tośmy prawie wolni – wysapał zmęczony Wasiak.

–Z naciskiem na „prawie”. – Borowicz też ledwo zapał. Usiedli na jakimś zwałowisku i zajęli się suchym prowiantem. Nie mieli wody.

Wasiak pociągnął dwa wielkie hausty bimbru.

–No co ty? – obruszył się Borowicz. – Walutę pijesz?

–Eeee... Wątpię, żeby Amerykańcy byli w stanie przełknąć takie świństwo.

–No fakt. – Zabrał koledze butelkę i też pociągnął z gwinta. – Musimy gdzieś znaleźć wodę.

–Chyba w rzece.

Nieludzko zmęczeni ruszyli dalej. Mijali coraz bardziej okazałe instalacje wojskowe zachodnich aliantów. Najpierw wielkie namioty rozbite w parkach, potem blaszane baraki, a nawet pospiesznie wyremontowane budynki dawnej Rzeszy. Wreszcie ujrzeni cel swojej podróży. Amerykański park samochodowy. Podeszli do wielkiej ciężarówki, z której robotnicy wyładowywali worki z mąką. Borowicz zagadał kierowcę swoją szkolną angielszczyzną, kalecząc ją okrutnie.

–Do you want a cigarette?. – Wyciągnął w kierunku tamtego dłoń z paczką playersów.

–A smokie?. Nope.

–Co ona gada? – włączył się Wasiak.

–Nie wiem. Nic nie rozumiem. Podjął jednak dalszą konwersację:

–We want to go to France.

–Germans?

–No, no, we are from Poland.

–Ou, POWs?

–No co on gada? – niecierpliwił się Wasiak.

–Nie mam pojęcia. Kompletnie go nie rozumiem.

–Może on mówi po amerykańsku?

–Cholera go wie. – Borowicz wyciągnął z kieszeni dwie złote dwudziestodolarówki. – We have this.

Kierowca zerknął po raz pierwszy z pewnym zainteresowaniem.

–So?

–We want to take a travel to the France.

–Copy you.

–And we have this too. – Borowicz wyjął spod płaszcza złoty naszyjnik. – France -powtórzył.

–To the first checkpoint only.

–No. Please, help us. We want go to France.

–Roger that. I'll show you something. Just wait. Kiedy odszedł, Wasiak znowu się dopytywał.

–No co on zalewa?

–Powiedział, że ma na imię Rodżer. I mamy czekać na... nie wiem. Na coś. – Borowicz zapalił papierosa. – On strasznie bełkocze.

–Jezu, chyba nie wyda nas Ruskim?

–Spokojnie, nie z takich transportów się uciekało.

–Z Kołymi nie uciekniesz. Ich wątpliwości rozwiął poprawny, choć z silnym akcentem język polski.

–No, chłopaki – powiedział kierowca. – Co? Znudził się wam komunistyczny raj?

–Tak jakby – odparł Wasiak. – Nie da się ukryć.

–Dobra. Do Francji chcecie? – Wyciągnął rękę. – Pokażcie, co tam macie. Uważnie oglądał naszyjnik. Po dłuższej chwili schował wraz z monetami do kieszeni.

–Może być. – Uśmiechnął się i wskazał im własną ciężarówkę, na którą ładowano właśnie puste worki. – Wskakujcie na pakę, no i przebierajcie się w pasiaki.

–W co?

–No, takie battledressy, co nosili więźniowie obozów koncentracyjnych. Mam w środku wozu kilka sztuk na takie okazje. I posmarujcie mordy popiołem, bo te wasze pucułowate gęby wszystko przypominają oprócz żywych szkieletów.

Posłusznie wykonali polecenie. Nie zdążyli się nawet podopinać, kiedy wielka ciężarówka ruszyła, grzmiąc potężnym silnikiem. Kiedy wydostali się z miasta, ruszyła ostrzej szerszą autostradą. Plandeka łopotała w porywach wiatru. Wieczorem osiągnęli francuską strefę okupacyjną. Po kilku godzinach byli już we Francji. Kierowca zawiózł ich prawie pięćdziesiąt kilometrów w głąb terytorium. Dał im na drogę mapę, kompas, dwie puszki cornedbeefu i trochę franków.

–Nie zdejmujcie pasiaków. W tym łatwiej iść – powiedział. – Kiedy dotrzecie do portu, szukajcie polskich statków. Pamiętajcie: wara od angielskich frachtowców, bo to sukinsyny.

–Dobra. Dzięki.

–No to powodzenia. Do zobaczenia w Ameryce.

W dalszą drogę ruszyli na piechotę. Nie było to trudne. Nikt o nic nie pytał, nikt nie kontrolował. Miasta omijali szerokim łukiem, a na wsiach ludzie czasem karmili ich i poili. Nikt nie bronił wstępu do stodół na nocleg.

Normalne ubrania włożyli dopiero w pobliżu portowego miasta. Tu musieli uważać, ale rady kierowcy polskiego pochodzenia okazały się przydatne. Szybko wtopili się w tłum na nabrzeżu. W porcie stały trzy niewielkie polskie frachtowce, a nawet polski krążownik stojący na redzie. Ale to za wysokie progi dla nich. Wybrali najmniejszy ze statków. Kiedy powiedzieli, skąd są, natychmiast otoczył ich tłum marynarzy żądnych najświeższych wiadomości z kraju. Malowali wszystko w czarnych barwach, a rozmowa trwała prawie dwie godziny. Wasiak rozpoznał nawet jakiegoś krajana, z którym spotykał się na odpustach w miasteczku leżącym najbliżej jego wsi. Ekschłop, obecnie marynarz, o mało nie rozplakał się na widok butelki bimbrowa, którą wyciągnęli.

–Nareszcie coś do picia. – Pociągnął kilka łyków i chuchnął. – Ile ma mocy?

–Jakieś osiemdziesiąt procent.

–No! Czuć, że prawdziwy. Nie to, co ten płyn do podlewania kwiatków, co go siorbią Angole.

Borowicz postanowił się włączyć:

–Słuchajcie, ludzie. – Wyjął z plecaka drugą butelkę bimbrowa. – Musimy się dostać do Anglii.

–A co za problem? – obruszył się marynarz. – No przecież statek jest.

–Oficerowie się nie przyczepią?

–Spokojnie. Nie takich przemycaliśmy. Tylko musimy wam skombinować dreluchy.

–Mamy własne – uśmiechnął się Wasiak.

Po kilku minutach, dźwigając sporą skrzynię, byli już na statku. Impreza w ładowni trwała dalej. Kompletnie pijani Borowicz i Wasiak zasnęli ukryci za wielkimi beczkami dopiero około północy.

Rano, skacowani potwornie, obudzili się już w Anglii.

W tych czasach Anglicy nie sprawdzali praktycznie niczego poza biletami kolejowymi. Odizolowani na swojej wyspie czuli się bezpieczni, wojna dawno się skończyła, a poza tym byli przyzwyczajeni do bełkotu cudzoziemców. Borowicz i Wasiak bez przeszkód dotarli do Londynu, który przytłoczył ich swoją wielkością, nieprawdopodobnym wręcz tłokiem, jazgotem i ciągłym ruchem. Był też stosunkowo mało zniszczony. Na szczęście Borowicz miał znajomości, wyrobione jeszcze przez ojca, w emigracyjnych obecnie kołach dyplomatycznych. Pomoc otrzymali od razu. Przygotowanie papierów trwało jednak prawie trzy tygodnie. Zaokrętowali się na szwedzki parowiec, który gdyby nie brak żagli, mógłby z powodzeniem konkurować z innymi statkami o tytuł Latającego Holendra. Przeciekał, dymił, nie trzymał kursu, a porcje żywieniowe pochodziły chyba ze starych angielskich zapasów z okresu bitwy pod Trafalgarem.

Niemniej dopłynęli do swojej wymarzonej Ameryki. Wyszli, a właściwie uciekli przez meandry doków wypełnionych tłumem marynarzy z różnych stron, omijając sławetne immigration rooms. Zszokowani szli ulicami miasta, które nie zaznało wojny. Wokół wszystko było inne. Wszystko przytłaczało, nie tylko architekturą, ruchem i pędem, ale odmiennością obyczajów. Zaszli do jakiejś knajpy, żeby się upić. Niestety, szybko okazało się, że zaszyte w płaszczu Borowicza złote dolary straciły swoją czarodziejską moc. Coś, co w Europie potrafiło rzucać uroki na ludzi, tu okazało się zwykłymi pieniędzmi. I w dodatku trzeba było je wymienić w banku, żeby móc płacić.

–No to my już za wielką wodą – powiedział Wasiak, smętnie popatrując na swoją szklanekę śmierdzącego bourbona. – Już nas nie dopadną.

–No way! – odparł Borowicz skupiony nad rozmówkami angielskimi, które czytał namiętnie, żeby podszlifować swój angielski. – Exactly.

Wasiak skrzywił się, przełykając haust zabarwionego na brązowo płynu, jak nazywał whisky. Spojrzał jednak na przyjaciela wyjątkowo trzeźwo.

–Co będziemy tutaj robić? – spytał cicho.

–Co się da – to była odruchowa odpowiedź. Borowicz zagryzł wargi.

–Widzę przecież. Coś cię męczy.

–Tak.

Przedłużająca się cisza. Mrok wokół, bo zaszyli się w najciemniejszym kącie knajpy. Klaksony za oknem, miarowy stukot obcasów przechodniów na chodnikach. Upiorna atmosfera wyobcowania. Poczucia, że są w miejscu, które do nich nie należy i którego nigdy nie rozumieją.

–Jestem wyjątkowo skrupulatnym oficerem śledczym.

–Co to ma do rzeczy?

–Są sprawy, których się nie zostawia.

–Jezuuuu... Ty wciąż o tym śledztwie? – Wasiaka aż poderwało. – Jak chcesz je dalej robić, to po coś z Polski uciekał?

–Można je kontynuować, siedząc tutaj. Albo rozwiążę sprawę, albo zostawię ślady mojemu następcy.

–Jak?

–Zobaczysz. Po prostu złoczyńcy weszli mi na honor – wyjaśnił.

Staszewski krążył po wielkim budynku, w którym mieszkał. Długie i wąskie, wykładane kafelkami korytarze przypominały wnętrze bunkra Hitlera. Piwnice, wentylatornie, piony wind, podziemne garaże, boksy na rowery przypominały miasto mrówek. „Pentagon”. Tak zwali budowlę jej mieszkańcy. Istny labirynt przejść, monstrualnych tarasów, pozbawionych zieleni podwórek przywodzących na myśl lotniska, mówiących ludzkim głosem wind, parkingów, jakichś urządzeń migoczących lampkami. Pentagon by night. Pusty.

Snuł się po nocy, zrobił chyba wiele kilometrów na piechotę, nie wychodząc na zewnątrz. Bo padało, a on nie wziął goreteksu. Zaciągnął się papierosem. Światła zapalały się przed nim i gasły z tyłu, kiedy przechodził w zasięgu czujników. Jak w statku kosmicznym – słyszał wyłącznie brzęk odpalanych jarzeniówek i ciche pstryknięcia gaszonych oraz odgłos własnych kroków. Czemu chodził po nocy, nie mogąc spać? Zerknął na zegarek. Trzecia trzynaście. Zatrzymał się, wprowadzając w błąd jakieś sterowniki, które przez chwilę jeszcze zapalały kolejne lampy z przodu. Sam tkwił w półmroku lamp awaryjnych, nerwowo trąc brodę. Czy te trzynastki mają jakieś znaczenie? Od dłuższego czasu Staszewski łapał się na tym, że ilekroć spojrzał na zegarek, widział jakąś trzynastkę. Prychnął w złości. Popatrzył na wskaźnik łączności ze stacją nadawczą we Frankfurcie, która regulowała jego zegarek co do sekundy. Kanał trzynasty. Stopień naładowania baterii? Trzynasty. A który dzisiaj? Zawsze miał problemy z zapamiętaniem, jaki jest właśnie dzień tygodnia – był uzależniony od elektroniki. Oczywiście trzynasty, wtorek. Męczyła go ta powtarzalność cyfr.

Ponure, prowadzące do niczego rozmyślanie przerwała mu skoczna melodia z mikroskopijnych głośniczków.

–Odbierz tutaj, jeden – mruknął cicho, ale system rozpoznawania mowy zrozumiał. – Tak?

–Cześć. Wiem, że nie śpisz o tej porze – to był Marek Hofman z komendy.

–Nie śpię.

–No nie żebym był jakiś szczególnie upierdliwy, ale może choć czasem zaliczyłbyś parę godzin

w objęciach Morfeusza?

–A ty? – odpowiedział pytaniem.

–Ja to co innego. Prowadziłem sobie sprawę o uprowadzenie małoletniej i gwałt, a ty mnie zmuszasz do zajmowania się jakimiś pseudozłodziejami mercedesów.

–Oj, nie marudź. – Staszewski usiadł pod ścianą wprost na podłodze korytarza. Przestał się przejmować, co sobie pomyślą sąsiedzi, jakby jakiś sąsiad mógł się pojawić o trzeciej trzynastie rano na korytarzu. Przestał się przejmować w ogóle tym, co ludzie myślą o nim i jego zachowaniu. Kiedyś, dla zakładu, zaparkowali z kolegą cywilny samochód na schodach urzędu wojewódzkiego. Siedzieli obaj na murku i obserwowali. Spieszący do swoich obowiązków ludzie starannie omijali auto. Zero komentarza. „Skoro tu stoi, to pewnie jest jakaś przyczyna”. Innym razem wracał zatruty z jakiejś imprezy. Wokół żadnej publicznej ubikacji, wszystkie knajpy daleko,

a on po prostu musiał. Zrobił to kilkanaście metrów od zatłoczonego przystanku tramwajowego. Znowu nikt nie zwrócił uwagi. Jakby stał się przezroczysty bez spodni. Od tej chwili siedzenie na podłodze nie stanowiło czegoś wyjątkowego. Miał dobrą pralkę. – Znalazłeś coś?

–Tak. Chyba nici z tego twojego spisku.

–Boże. Tylko mi się wydawało, że kradli merola na Kochanowskiego?

–Nie. Ale nie ma w tym nic podejrzanego. Po prostu dwóch młodych debilów ścigało się czteropasmówką i wpadło na siebie.

–Dlatego nie zawiadomili policji?

–Dokładnie. W dodatku byli pijani. To bracia. Przepchnęli rozwalone samochody w boczną ulicę i uciekli, żeby wytrzeźwieć. Pytałem sąsiadów, następnego dnia przyjechała pomoc drogowa.

–A reszta?

–Też prozaiczne. Właściciel mercedesa jest pomniejszym dealerem części samochodowych. Fabrycznie nowych. Wiesz, takich fabrycznie nowych, które wypadły z TIR-a podczas transportu, ale się nie potłukły. – Hofman zaśmiał się cicho. – No i inny złodziej, któremu nastąpił na odcisk, kazał swoim oprychom zwalić tego mercedesa do Odry w ramach poprawienia wzajemnych stosunków – zakpił. – Nie ma tu nic tajemniczego.

–A śmierć tych bandziorów?

–Jak to? – Hofman był wyraźnie zaskoczony.

–Co: jak to? – nie zrozumiał Staszewski.

–No... no tego nie ruszałem w ogóle. Przecież to ty prowadziłeś śledztwo w sprawie tego faceta.

–Jezus. – Organizm Staszewskiego o trzeciej w nocy nie działał najlepiej. – Możesz mi coś przypomnieć?

–Zwariowałaś? No przecież to ty zamknąłeś ostatnio śledztwo egzekutora z wiatrówką. Nie pamiętasz?

Staszewski zapalił papierosa. Leniwie wydmuchnął dym. Coś mu świtało na granicy świadomości. Ale żeby aż taka amnezja? Dobrze, że rzucił picie. Otrząsnął się dopiero po dłuższej chwili.

–Dobra, dzięki za pomoc.

–Nie ma sprawy. Tylko nie chlej tyle.

–Już nie piję w ogóle.

–Akurat. – Hofman westchnął. – Do jutra.

–No cześć. Naprawdę dzięki. Nie wiedział, jak długo siedział oparty o ścianę korytarza,

odpalając jednego

papierosa od drugiego. Naprawdę mógł być tak nawalony, że odbębnił jakąś sprawę i niewiele pamiętał? Chodził, rozmawiał z ludźmi, załatwiał sprawy i to wszystko w jednym alkoholowym ciągu? O, szlag!

Nie miał pojęcia, od czego zacząć. Prowadził śledztwo i ciągle nie miał żadnych podejrzanych. Ani jednego. Nie miał nikogo, kto dałby się powiązać z tą sprawą. Zamyślił się. Nikogo? Naprawdę?

Podniósł się ociężale i zerknął na zegarek.

Była czwarta trzynaste.

Wypił dwa redbulle z lodówki. Otrzeźwiły go trochę, choć głowa dalej chwiała się z niewyspania. Staszewski włączył laptopa. Czekał na sygnał uruchomienia systemu operacyjnego, kopnął wielki wyłącznik komputera stacjonarnego stojącego pod biurkiem. Gwizdnął na ekspres, żeby zaparzył jeszcze jedną kawę. Potwornie drogie urządzenie również rozumiało ludzką mowę. Ale nie było przynajmniej złośliwe w przeciwieństwie do Marioli, która obudzona gwizdem pomstowała z łóżka zaspanym głosem.

–Nie mógłbyś się pofatygować i włączyć go ręcznie? – wrzasnęła.

–Nie.

Wyjęła spod łóżka zabawkę, karabinek szturmowy airsoft gun, udający amerykański M-16. Uwielbiali się tym bawić na poligonie w słoneczne dni. Staszewski słyszał, jak przeładowuje. A potem „puffff”. Strzeliła z sypialni przez otwarte drzwi, nie widząc sylwetki na fotelu, w ścianę za jego plecami. Liczyła na rykoszet. Plastikowa kulka wyładowała na klawiaturze laptopa.

–Dostałeś?

–Nie. Zapalił papierosa, logując się na serwerze komendy. Potrzebne mu były wyłącznie urzędowe sygnatury, ponieważ to było jego własne śledztwo. Wszystkie notatki i materiały miał na własnym, stacjonarnym komputerze. Bezpiecznym, bo niepodłączonym do sieci. Szybko kopiował dane z laptopa. Potem przeniósł je na

pendrive'ie. Miał już wszystko pod ręką. Boże... Wyobraził sobie Grunewalda i Kugera spacerujących przepięknymi uliczkami Breslau, dyskutujących o sprawie w restauracjach czy gasthausach, a na akcję jadących dorożką. Widział też Mischzuka i Wasiaka przedzierających się przez gruzy z pistoletami maszynowymi w rękach. A on prowadził to samo śledztwo, siedząc w domu. Miał wszystko pod klawiszami.

Ekspres z kuchni zagrał jakąś melodyjkę, informując, że kawa już gotowa. Poszedł ostrożnie, na palcach, trochę bojąc się, że Mariola znowu strzeli ze swojego M-16. Ale nie. Spała, wypinając swoją kształtną pupę. Spod kołdry wystawała też jej zawinięta koszula, która ukazywała majtki a la ciotki rewolucji. Pociął jej kiedyś dwie pary nożyczkami, kiedy się krzątała przy kuchni. Ale widocznie zakamuflowała jakieś jeszcze w garderobie. Wziął z kuchni jedyny ostry nóż i przeciął te również. Miała wystarczająco dużo stringów, żeby nie pokazywać się w barchanach.

Kawa okazała się zbyt słodka. Jak zwykle wszystkie urządzenia, które mieli w domu, żyły sobie w najlepsze bogatym życiem wewnętrznym. Nawet głupi ekspres do kawy, który ledwie rozumiał artykułowaną mowę. Staszewski usiadł znowu przed komputerem i zaczął przeglądać akta.

Sprawa, którą prowadził nie tak dawno przecież. Trochę ponad pół roku temu, jak wynikało z dat na dokumentach. Rozbicie drobnego gangu handlującego kradzionymi samochodami. Siedmiu osadzonych. Zmarszczył brwi. Siedmiu... i ten jeden, ósmy, który strzelał ze specjalistycznej wiatrówki. Też trafił do aresztu, lecz dzięki zeznaniom Staszewskiego uniknął nawet procesu. Zwolnili go następnego dnia. Zapalił kolejnego papierosa, choć ten poprzedni dymił jeszcze w

popielniczce. Chryste, czy mógł być aż tak pijany, żeby rozwiązać sprawę i niczego nie pamiętać? Czy możliwe jest racjonalne działanie, kiedy jest się nawalonym jak stodoła od rana do nocy i niczego się nie pamięta już po upływie pół roku?

Westchnął ciężko. Dobrze, że rzucił już picie. Ręce przestawały mu drżeć, palce znowu błyskawicznie i bezbłędnie trafiały w klawisze komputera, pamiętał, co robił i mówił poprzedniego dnia. A tu nagle jego własna sprawa rozwiązana w wódczanej malignie. Nie pamiętał niczego poza nieistotnymi szczegółami. Czuł się niczym bohater powieści, której autor pod koniec zapomniał, co napisał na początku. Teraz musiał czytać wszystko jak cudzy kryminał, nie mając pojęcia, w którą stronę rozwinię się akcja. Drgnął nagle. Zaraz, zaraz, zaraz... Skoro on stworzył te dokumenty, to może nie on powinien je analizować. Podskórne przecucie starego policjanta. Dreszcz

emocji. A może otoczony szklaneczkami z alkoholem sam stworzył coś pokrętnego? Specjalnie coś zagmatwał? Po co?

Zadzwoił do kolegi z wydziału wewnętrznego.

–Cześć, stary. Masz chwilkę?

–Żeby porozmawiać tak. Ale niewiele ci pomogę – odezwał się kolega. – Złapałeś mnie w Szwecji.

–O cholera.

–No mów, o co chodzi.

–Chciałbym, żebyś przeanalizował pewną sprawę.

–Co, złapałeś kogoś z komendy na przekręcie? Kto to?

–Nie. – Staszewski znowu zapalił papierosa. Trampek w ustach zamienił się w parę kaloszy. Dwa poprzednie papierosy ciągle tkwiły w wycięciach popielniczki. Wkrótce zabraknie tam miejsca. Ale nie mógł opanować odruchu. – Chodzi o moją własną sprawę. Czy wszystko zrobiłem by the book.

–O Jezu. Jakbyś coś ukradł, zastrzelił kogoś czy podsunął koledze świnie, to mógłbym ci pomóc. Ja od prostych poruczeń. A tobie potrzebny lepszy spec.

–Znasz kogoś?

–Ktoś zawsze się znajdzie. – Kolega zastanawiał się dłuższą chwilę. W tle dobiegał gwar rozmów w jakimś dziwnym języku. – Chyba mam. Jest taki analityk w Warszawie...

–Znam go?

–Nie. Ale bardzo kontaktowy facet.

–To stań na rzesach i mi go załatw.

–Nie ma sprawy, esemesnę mu twój numer i powinien oddzwonić.

–Bosko! Dzięki.

Odłożył komórkę. Zaczął googlać, szukając jakiegoś polskiego instytutu specjalizującego się w badaniach alergii. Do wyboru, do koloru, ale żaden nie wzbudził w nim zaufania. Albo skostniałe od rutyny uczelnie państwowe, gdzie najmłodszy pracownicy może dowiedzieli się już, co to jest w ogóle alergologia, albo prywatne kliniki, nastawione na szybki zysk. Oferowały w leczeniu nawet metody takie jak akupunktura, kamasutra albo leczenie wzrokiem lub bełkotem. Dobrze.

Przeszedł na amerykański Science Citation Index. Tu nareszcie wyłowił polskich naukowców, którzy naprawdę mieli coś do powiedzenia, skoro drukowali ich na Zachodzie. Za oceanem nie było już jakoś artykułów w rodzaju „Wpływ wsadzenia

sobie w dupę zwiniętej wczorajszej gazety i mocnego nią kręcenia na ustatycznieniowanie odalegizacji dowkorowej na przykładzie wsi agroturystycznej i planów jej przyszłej budowy”.

Przerwały mu dźwięki opery Wagnera. Na wyświetlaczu domowego telefonu pojawił się napis:

„Połączenie nieznane, lokalizacja nieznana”. Przełączył na głośnik wiszący nad biurkiem.

–Tak, słucham.

–Witam. Tu Bartek Nowosielski. Dzwonię z poruczenia kolegi.

–Co za ulga, że tak szybko. Tu Sławek Staszewski. Tamten był rzeczowy.

–Jaką sprawę miałbym analizować?

–Zaraz prześlę na laptopa wszystkie dane i...

–Jakiego laptopa? Jestem na urlopie.

–No to na konto. Można ściągnąć z kawiarenki internetowej i... Tamten znowu nie dał dokończyć.

–Jakiej kawiarenki, Chryste? Na pustyni? – mrucał przez chwilę. – Złapałeś mnie w Egipcie – wyjaśnił. – Właśnie jadę na wielbłądzie, po piasku, strasznie trzęsie, gnojek co chwilę chrapie i jest chyba zły na upał bardziej ode mnie.

Rzeczywiście w słuchawce coś parskało i jakby gulgotało. Staszewski wiedział, że takie dźwięki wydają dromadery.

–O cholera. To pozdrów wielbłąda ode mnie.

–Pozdrowić? Żeby mnie opluć? – Nowosielski roześmiał się jednak. – Ty wiesz, ile to garbate bydłę jest w stanie wyrzucić z siebie lepkiego syfu?

–Na szczęście nie wiem.

–No dobra – Nowosielski przeszedł na ton ugody. – Ktoś ze współuczestników wycieczki musi mieć jakiś komputer pod polską komórkę ze sobą.

–Będę strasznie wdzięczny. To cholernie pilne. Nowosielski przybrał nagle ton zaśpiewu, jakim raczą wiernych księży w kościołach.

–Bracia – zawodził – przekażcie sobie znak pokoju... Tfu! Przekażmy sobie adresy kont i numeeeeeryyy...

Tym razem roześmiał się Staszewski.

–Masz u mnie przysługę.

–Nie wątpię. Słyszałem, że jesteś najlepszym oficerem śledczym wrocławskiej komendy.

–Fakt. Tak o sobie mówię w chwilach, kiedy napadnie mnie chorobliwa skromność.

Chwilę później dwie pary dłoni, jedna we Wrocławiu, w klimatyzowanym pokoju, a druga w Egipcie, z grzbietu wielbłąda, zaczęły stukać w klawisze, przekazując sobie cyfry i litery.

Jako policjant Staszewski widział wiele śmierci. A właściwie jej efektów w postaci ciał – spokojnych, jakby człowiek tylko zdrzemnął się na chwilę, albo okrutnych, zmieniających twarz denata w maskę strachu lub cierpienia. Zdarzały się też jeszcze mniej ciekawe: topielcy, szubienicznicy, desperaci skaczący z okien, ofiary poparzeń... Ale nie to było ważne. Ważny był mrok. Staszewski nie bał się śmierci. Kiedyś jego poprzednia dziewczyna zrobiła mu test psychologiczny, z którego wynikało, że jest co prawda kompletnym porąbańcem, ale akurat nie boi się śmierci. Był zwykłym fatalistą, pogodzonym z myślą, że cokolwiek by robił, stanie się to, co ma się stać. Czasami wydawało mu się nawet, że ten naznaczony mu termin będzie najpiękniejszym dniem jego życia. Ciasne, oświetlone gazowymi latarniami uliczki, po których krążył, nie napawały go choćby niepokojem. Kompletnie sam o trzeciej w nocy. Uwielbiał ten ostatni bastion poprzedniej cywilizacji, oddalony od rozświetlonego nawałą elektrycznego światła miasta. Jego łuna była zza potężnych brył kościołów, sprawiała, że liście zarośli nad rzeką lśniły srebrem, a korony drzew przypominały dekoracje w jakimś teatrze. Atmosfera niczym ze szkiców Brunona Schulza – mrok myśli, tajemnych rytuałów, znaków czegoś, co kryje się we mgle. Nie wiedział, czy coś czai się na niego w ciemności. Ale miał pewność, że coś ważnego stanie się albo dziś, albo jutro. Zwykła

wrażliwość i dar obserwacji, w gruncie rzeczy nawet w tym przypadku obserwacji samego siebie, a nie jakiś tam dar przewidywania.

Zerknął na zegarek. Trzecia trzydzieści siedem. Po raz pierwszy na wyświetlaczu nie pojawiła się trzynastka. Uśmiechnął się lekko. Najbliższa brama również nie nosiła tego numeru, nie znajdował się też na trzynastym piętrze, Mariola nie ustawiła programu w telewizji, ani nawet pralki na trzynastkę. Po raz pierwszy od momentu, kiedy zaczął to przedziwne śledztwo. Wyjął z kieszeni palmtopa i sprawdził w sieci strefy czasowe. W USA, na Zachodnim Wybrzeżu, musiała być teraz osiemnasta trzydzieści siedem. Idealna pora. Podyktował aparatowi telefonicznemu numer.

–Good evening. What can I do for you? – odezwał się głos, który pasował do lokaja w tanim filmie o burżuazji.

–Hallo. I'm a police officer from Poland. Could I speak to mister Wasiak?

–I'll check this, sir. Please, wait.

Ani chybi lokaj, przemknęło Staszewskiemu przez głowę. Na szczęście nie musiał czekać długo.

–Wasiak, słucham.

Tym razem ochrypty głos należał do kogoś raczej nawykłego do wydawania poleceń niż ich słuchania.

–Witam serdecznie. Nazywam się Staszewski i jestem policjantem, który...

–To w pana imieniu tamten gość dał ogłoszenie? – przerwał mu Wasiak.

–Tak.

–Śledztwo w sprawie klasztoru?

–Tak.

–No to pytaj pan, o co pan chce.

Tak zaskoczył Staszewskiego, że ten nie mógł przez chwilę zebrać myśli.

–Mmmm... Jak się nazywał ten oficer, którego dokooptowaliście z Miszczukiem do śledztwa?

–Borowicz. A skąd pan w ogóle o tym wie?

Transatlantyckie łącza były bezbłędne. Staszewski słyszał oddech Wasiaka. Nawet tykanie jego staromodnego zegara.

–Przeczytałem wszystkie panów akta. A ponieważ nagle ich styl diametralnie się zmienił i stał się... mmmm... bardziej fachowy, to wydedukowałem, że dobrali panowie jakiegoś profesjonalistę.

–Aha. – Po raz pierwszy w głosie Wasiaka można było usłyszeć cień szacunku. – On wymyślił naszą ucieczkę. On napisał parę papierów, przystawił pieczątki, podrabiał, co mógł. Tylko raz chciał, żebym jeden list napisał własnoręcznie. Nie wiem po co.

Staszewski wiedział po co. Z całą, całkowitą pewnością.

–Mogę to panu wyjaśnić – powiedział.

–Naprawdę?

–Tak. W ten sposób Borowicz zostawił dla mnie ślad. Wasiak zawahał się, szepcząc coś niezrozumiałego.

–Dla pana? – dodał głośniejszym głosem.

–Dla kogoś, kto będzie dalej prowadził to śledztwo. Chodziło o to, żeby rozpoznać charakter pisma i porównać daty. Pan napisał list po swojej „śmierci”. I to skłoniło mnie do tego, żeby pana szukać.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

–Nie domyśliłem się tego – głos Wasiaka stał się już prawie sympatyczny. – Ale ma pan rację. Chciał, żeby ktoś dokończył sprawę.

–Czy w związku z tym mógłby pan opowiedzieć wszystko po kolei?

–O tym, czego nie ma w aktach? Tak. Tylko niech mi pan najpierw powie, dlaczego pan się tym zainteresował po latach?

Staszewski nie miał pojęcia, czy mówić całą prawdę.

–Wie pan, właściwie przypadkiem. Kiedyś, będąc w Niemczech, zetknąłem się z Kugerem – Sławek przypisał sobie znajomość Ziemskiego. Wasiak i tak nie mógł tego sprawdzić.

W głosie Wasiaka zabrzmiało autentyczne zdziwienie.

–Z Kugerem? To on jeszcze żyje?

–Już nie. Ale ułożył sobie wszystko po wojnie po swojemu. Myślę, że był szczęśliwy z tą swoją Polką. Zresztą nieważne. Początkowo myślałem, że to zrządzenie staruszka, którego zżera skleroza. Potem, długo po powrocie do kraju, też właściwie przypadkiem, natknąłem się na akta i zrozumiałem, że Kuger mówił prawdę.

Wasiak znowu mu przerwał:

–Ale dlaczego podjął pan działania w sprawie, w której nie ma nawet żadnych podejrzanym?

Děj vu. To samo pytanie zadał sobie wcześniej.

–Proszę pana, to śmieszne śledztwo...

–Ono nie jest śmieszne. Ta sprawa zabija wszystkich, którzy usiłują ją rozwiązać. Staszewski roześmiał się.

–Zdołałem zauważyć.

–Tylko nieliczni zdołali ująć śmierci. – Wasiaka trudno było zrozumieć. Na kresowy akcent z młodości nałożyła się amerykańska wymowa tak charakterystyczna dla tamtejszej Polonii. – A pan? Czy pan boi się śmierci?

Chryste, przecież o tym myślał przed chwilą. Miał wrażenie, że były milicjant czyta w jego głowie.

–Nie.

–Oj, młody człowieku... – Wasiak westchnął ciężko. – A nie łatwiej w zwykły sposób popełnić samobójstwo? Zastrzelić się, powiesić, wypić truciznę?

–Wolałbym przykład kogoś z tych nielicznych, którzy przeżyli.

–Kogo? Kugera pan spotkał, Borowicz umarł ze starości, ten gestapowiec pewnie zgnił na Sybirze, a ze mną pan właśnie rozmawia. Nikt inny nie przeżył.

Staszewski czuł, że Wasiak mu się wymyka. Postanowił powiedzieć prawdę.

–Po wojnie, po waszej ucieczce z kraju, te dziwne zgony się powtarzały. Ciągłe w ten sam sposób. Prowadzenie śledztwa zlecono mi na drodze formalnej.

Wasiaka nie zdziwiło to zupełnie.

–Dlaczego? – spytał.

–Podobno jestem najlepszym oficerem śledczym w tym mieście.

–Aha. I znowu długa cisza. Wasiak podjął rozmowę dopiero po minucie.

–Dobrze. Powiem panu, co wiem.

–Od początku?

–Tak. Pominę mało ważne szczegóły naszej ucieczki. Dalsze śledztwo Borowicz prowadził już w Stanach.

–Słucham?

–No tak.

Szczegóły ucieczki nie zostały jednak pominięte. Zanudzony opowieścią przygód

krok po kroku Staszewski usiadł na środku pustej uliczki i wyciągnął z kieszeni redbulla. Dopijał właśnie resztki, kiedy w opowieści pojawiły się nareszcie wątki amerykańskie. Borowicz i Wasiak nie mieli żadnych poważniejszych pieniędzy. Nie potrafili też niczego, co byłoby przydatne. Zaczynać więc od budki z hamburgerami? Nie bardzo wiedzieli nawet, jak zrobić takie paskudztwo. Jedyne wiedza, jaką posiadał Wasiak, ograniczała się do gospodarzenia w zapadłej kresowej wsi. Ale Borowicz całą wojnę spędził jako specjalista od podrabiania dokumentów w AK. Szybko okazało się, że te amerykańskie były ówczasie łatwiejsze do podrobienia od niemieckich. Mniej więcej po miesiącu dysponowali kompletem poręczeń bankowych i wzięli spory kredyt. Jednak zamiast zwiewać z kasą do Meksyku, jak postąpiłaby większość tamtejszych, ograniczonych umysłowo przestępców, kupili ruinę farmy. Obaj wyremontowali walący się dom, postawili ogrodzenie, uporządkowali teren. Zaczęli nawet uprawiać rolę. Niestety. Kompletnie im nie szło. Umiejętności Wasiaka, przydatne na polskich kresach, w warunkach amerykańskich nie sprawdzały się

zupełnie. Farmę trzeba było sprzedać przed upływem roku. Jakież było ich zdziwienie, kiedy pierwszy z oferentów zaproponował im dużo więcej, niż sami zapłacili. Borowicz olśniło. Infrastruktura! Szybko kupili kolejną ruinę i zrobili z niej cacko. Zysk osiągnięty ze sprzedaży już po kilku miesiącach pozwolił im spłacić wzięty na lewo kredyt. Ale dla banku stali się całkowicie wiarygodni. Kupili dwie wiejskie farmy, najęli ekipę polskich cieśli, którzy uciekli od czerwonych wspaniałości w kraju. Pod koniec lat czterdziestych zatrudnili miejscowego architekta. Mieli jeszcze większy zysk, bo zamiast farm budowali luksusowe miejsca do wypoczynku dla bogatych mieszczuchów. Najęli księgowego i specjalistę od inwestycji. Postawili swój pierwszy budynek dla bogatych emerytów ze wspaniałym zapleczem i obsługą. Potem poszli w podmiejskie osiedla mieszkaniowe. W połowie lat pięćdziesiątych byli już milionerami. I wtedy nadszedł ten dzień. Borowicz podjechał pod ich luksusowe biuro nowym odkrytym cadillakiem.

–Czas wrócić do śledztwa, towarzyszu milicjancie! – krzyknął zza kierownicy.

Wasiak wychylił się przez okno. Nie cierpiał klimatyzacji i w swoich kolejnych gabinetach (biura zmieniali często, bo swoją działalnością objęli już kilka stanów) zawsze kazał montować u siebie normalne, otwierane w sposób klasyczny okna.

–Niby jak, panie policjancie?

–Oj, przestań mnożyć problemy, obywatelu. Stworzymy specjalną grupę do rozwiązania tej sprawy. Sanacyjno-bolszewicką.

–Taki ze mnie bolszewik jak z ciebie lagerkapo! – Wasiak zawahał się przez chwilę. – A nasz interes?

–A tam. Zatrudnimy dyrektora generalnego. Potem padło pytanie:

–Dlaczego? Borowicz nie umiał odpowiedzieć. Przynajmniej w prosty sposób. Zastanawiał się bardzo długo.

–Nie będę pieprzył głodno, że bandyci weszli mi na ambit ani choćby rzucili wyzwanie. Zaintrygowała mnie ta sprawa. – Znowu zamilkł. – Słuchaj. I ty, i ja, czy chcieliśmy czy nie, składaliśmy przysięgę. Że będziemy bronić, chronić i tak dalej. Z pozoru robiliśmy to w różnych państwach. Ale Polska jest jak wąż. Tylko zmienia skórę. Jedyne i prawdziwa RP trwa dalej. Niezmienna.

–Nic nie zrozumiałem. – Wasiak kręcił głową. – Ale skoro ty idziesz, to ja też pójdę.

–Wiem.

–I co było dalej? – spytał Staszewski, siedząc ciągle na środku oświetlonego gazowymi lampami chodnika. Miał nadzieję, że nie dostanie wilka od zimnego bruku.

W luksusowej willi pod Santa Monica Wasiak skinął na służącego. Lokaj wiedział, o co chodzi szefowi. Przyniósł stary portfel, ten z lat pięćdziesiątych, z czasów, kiedy staremu teraz człowiekowi zaczęło się powodzić dobrze. Przyniósł też spatynowany kapelusz Borowicza. I list. Przed oczami Wasiaka przesuwano się całe jego życie. Malutka wioseczka, gułag, wrocławskie gruzy i obcy budynek milicji. Ucieczka do Stanów, utrata nadziei i łut szczęścia, dzięki któremu miał teraz wszystko, co chciał. Potem śmierć Borowicza, otoczonego dziećmi i wnukami. Wyprawił mu taki pogrzeb, że zleciało się pół miasta, żeby zobaczyć, skąd wzięły się zwłoki króla na ich cmentarzu. Jeszcze raz dotknął zapieczętowanego listu.

–Zaczęliśmy zadawać sobie proste pytania – podjął po chwili. – Odłożyliśmy na później te skomplikowane, jak: dlaczego zawsze ginie oficer, który prowadzi śledztwo w sprawie innego oficera? Pytaliśmy, co jest w klasztorze, czego nie ma gdzie indziej. Niby co? W miarę całe ściany, dziedziniec ze studnią. Myśleliśmy, że to ta studnia, ale...

–Kiedy doszliście do tego, że to kwiaty na dziedzińcu?

–Pan też do tego doszedł? – Wasiak był pod wrażeniem. – No, no. Widzę, że nasze śledztwo trafiło w naprawdę dobre ręce.

–Jak Borowicz na to wpadł? – Staszewski uśmiechnął się lekko. – Przecież wtedy nie diagnozowano jeszcze alergii.

–Taaaa... Przypadkiem. Borowicz zwiął z Krakowa, kiedy zaczęli się czepiać akowców. Ukrył się w bandzie szabrowników, żeby jakoś przeżyć we Wrocławiu. I przypomniał sobie, że szabrownicy wdarli się do opuszczonej pracowni profesora Ostermanna. Nie było zbyt wielu rzeczy do ukradzenia, ale zobaczyli ogromne pojemniki z preparatami.

–Jakimi?

–Różne ludzkie flaki i osobno sporo roślin, w tym kwiatów. Także takie, które rosły na dziedzińcu klasztoru.

–Aha. – Staszewskiemu przyszło coś do głowy.

–Wiem, o czym pan myśli. – Tym razem uśmiechnął się Wasiak. Było to wyraźnie słycać w słuchawce.

–O Wytwórni Filmów. Ale po co szabrownicy przenieśli tam pojemniki?

–Oj, nie żył pan w tamtych czasach. – Ciche westchnienie. – Z reguły preparaty do badań przechowuje się w formalinie, ale jeden pojemnik się stłukł i szabrownicy odkryli, że Ostermann przechowywał swoje w spirytusie. A to wtedy była wymienna waluta.

–Chyba tego nie pili?

–A skąd. Przewieźli do swojej kryjówki w Wytwórni, odciedzili ludzkie szczątki i kwiaty, a spiryt sprzedali Ruskim, którzy stacjonowali niedaleko.

Staszewskiemu zrobiło się niedobrze.

–O Chryste Panie!

–Stąd kwiatki w Wytwórni. Potem już się tam wypadki nie powtarzały, prawda?

–Tak. I stąd spirytus zamiast formaliny. Mogłaby coś uszkodzić w roślinach.

–No. Tyle tylko, że to nam nic nie dawało. Ślaliśmy listy do różnych naukowców, ale każdy odpowiadał, że wachając kwiatki, nie można się otruć. No, może wydestylować jakąś truciznę, ale są łatwiejsze sposoby. W każdym razie żadna roślina nie spowoduje wybuchu.

Staszewski, mimo że przykładał telefon raz z jednej, raz z drugiej strony, miał już spoczone obydwie małżowiny. Bolały go też plecy. Ociężale podniósł się z bruku, przekuśtykał z powodu zastałych mięśni kilkanaście kroków i przysiadł na murku przy moście. Bał się o pojemność baterii w

telefonie, ale po chwili pomyślał, że w razie czego połączy ją z palmtopem i przez USB zyska trochę prądu.

–I co zrobiliście dalej?

–Trochę utknęliśmy. Ale na szczęście Borowicz wymyślił, że pojedziemy do Biblioteki Kongresu i będziemy śledzić Ostermanna.

–Jak?

–Pośmiertnie. W tej bibliotece to oni tam mają wszystko. A kiedy dogadaliśmy się z jednym Polakiem, który tam pracował, za wojny cichociemnym, zdobyliśmy listę nazwisk ludzi, z którymi się spotykał. Von Kreutzky, Affenbach, Horch... Same sławy.

Wow. Przedwojenna policja była naprawdę dobra i skrupulatna.

–Który był chemikiem?

–Von Kreutzky. Do tego też pan doszedł? Staszewski pokręcił głową.

–Tak. Ale nie do nazwiska.

–A do tego, że Kuger i Grunewald pracowali w tym samym gabinecie, w którym pracował później złapany przez nas gestapowiec?

–Nie.

–A potem my?

–Nie.

–A potem być może pan?

–Tego nie wiem.

–Niech pan prześledzi los tego pokoju. A konkretnie: ludzi, którzy w nim pracowali. Ten gestapowiec... – Wasiak przerwał znowu. Najwyraźniej miał talent do gubienia wątku. Albo to po prostu starość. Staszewski był coraz bardziej zmęczony. Nie chciał alkoholu. Wyjął z kieszeni kolejnego redbulla i papierosa z pomiętej paczki.

–Tak?

–On pokazał nam nawet maski przeciwgazowe w specjalnej skrytce. To wariaci, ci Niemcy. Trzymać maski dla policji... Mieli za dużo wszystkiego.

–Niekoniecznie. – Staszewski dokonał cudu, zapalając papierosa z telefonem w jednej ręce i puszką z pićem w drugiej.

–A ta śmieszna centralka w pokoju? Firmy Siemens. Jest tam jeszcze?

–Nie. Za socjalizmu zdemontowali wszystko i zainstalowali jakieś Elwro. A w tej chwili znowu zdemontowali i założyli nowe, skomputeryzowane centralki. – Staszewski zaciągnął się i upił łyk energizera. – Też firmy Siemens.

Wasiak roześmiał się głośno.

–Okey. Powiedziałem już wszystko. Wszystkie konkretne informacje prześlę panu na adres elektryczny. A konkretnie: jutro mój wnuk, bo ja się nie znam na tych elektrycznościach.

–Rozumiem.

–No to pozostała mi tylko jedna rzecz.

Wasiak obracał w palcach starą, pożółkłą kopertę. Historia. Spora część życia

Borowicza. Znowu miał przed oczami wszystko, co mu się przytrafiło. Taki zwykły świstek papieru. W jego wiosce w ogóle nieosiągalny. W gułagu zwijało się kartki w trójkąt, zanim nie przyszła wiadomość, że nie ma na czym pisać. W milicji wystarczył świstek z pieczętką, a specjalne niebieskie koperty były szczytem luksusu na szczególne okazje. Potem te koperty spadły do statusu „najtańszych”, a później w ogóle zniknęły. Ta, w której spoczywał list, należała do superluksusowych. Dziś budziłaby śmiech. Nie miała samoprzylepnych rogów, nie było okienka na

adres ani delikatnego wzorku lub faktury.

Wasiak złamał łąkową pieczęć z odciśniętym godłem, który na sygnecie nosił Borowicz.

–Jest list do pana. Od niego. Staszewskiego wbiło w bruk z wrażenia.

–Do mnie?!

–Tak.

–Boże. Jak?... Skąd on?... Boże! – plątał się coraz bardziej.

–Jest do pana – powiedział sucho Wasiak. – List od nieboszczyka. Przeczytać? Staszewski nie mógł poradzić sobie z własnymi odczuciami. Borowicz napisał do

niego list? Przecież to mu się śni. To jakieś aberracje umysłowe po odstawieniu alkoholu. Halucynacje. To tylko sen.

–Szanowny Panie. – zaczął Wasiak. – Skreślam te słowa, wiedząc, że pan jeszcze nie pojawił się na tym świecie. Jeszcze się pan nie urodził. A mimo to wydaje mi się, sporo o panu wiem...

Staszewski wypalił dwa papierosy. Kiedy Wasiak skończył czytać, właściwie leżał na wsporniku mostu nad Odrą. Nie martwił się ani pojemnością baterii w telefonie, ani kosztem rozmowy. Przewrócił się na wsporniku jak na łóżku, patrząc na łagodną toń poniżej. Skądś przypomniawszy sobie fragment znanej szanty:

Rzuciłaś, kurwo, mnie, rzucę się w morskie fale, ale nie utopię się... bo, kurwa, pływam doskonale.

–To wszystko? – spytał, plując niedopałkiem do wody.

–Tak.

–Dziękuję w takim razie. Musi my chyba kończyć, już świta. Zaraz pojawi się słońce.

Wasiak w Santa Monica podszedł do okna w swoim pałacyku. Popatrzył na świetlisty, coraz bardziej czerwony krąg tuż nad horyzontem.

–A u mnie zaraz zajdzie.

Staszewski przez sen kopnął Mariolę tak, że z mety się obudziła. Na szczęście zwyczajna była tych spraw i nie reagowała za ostro. Ostatnio na wakacjach cudem uniknęła większego uszczerbku na zdrowiu – zdążyli zamienić się miejscami i spała od ściany. A Staszewski jak zwykle kłócił się z kimś w malignie i przyładował tak, że rozwalił hotelowe łóżko. Często bił się we śnie. „Był czas przywyknąć” – mawiała Mariola. Teraz odwróciła się tylko, z trudem otwierając oczy.

–Z kim rozmawiasz? – spytała, słysząc jego bełkotanie. Spojrzał na nią nieprzytomnie.

–Rozmawiam ze snem – oświadczył i przekreślił się na drugi bok.

–A sen ma coś mądrego do opowiedzenia? – zainteresowała się nagle.

–Ma. – Podniósł głowę. – A ty czemu nie śpisz?

–Może nie jestem jeszcze gotowa na te mądrości. A poza tym przylałeś mi tak, że będę miała siniaka!

–Przepraszam – mruknął. – Zdenerwował mnie gość po prostu.

–Co mówił?

–Oj, to jakiś recydywista. Mówił, że w jelicie grubym ma tasiemca pijaka. I ten tasiemiec włożył mu głowę do żołądka i wypija cały alkohol. A facet cierpi, bo żeby teraz się upić, potrzebuje aż dwóch i pół litra wody. A na to go nie stać.

–I za to mu przylałeś? Usiadł na łóżku rozbudzony, zapalił lampkę.

–Nie. – Zastanowił się. – Przywaliłem komuś innemu. Ale nie wiem za co. Rozmasowała sobie pośladki.

–Musiałeś go bardzo nie lubić, bo walnęłaś jak kafar. – Ziewnęła. – Napijesz się

herbaty?

–Bardzo chętnie. Ja zrobię.

Poszedł do kuchni. Nastawił elektryczny czajnik, z szafki wziął dwie filiżanki.

Mariola piła „siki świętej Weroniki” – słomkowy napój ledwie o barwie białobrazowej, z torebki. On „szatana” – sypanego ginsenga z dwóch łyżek.

–Wiesz – odwrócił się – przez całe życie marzyłem o kobiecie, która kiedy nie może spać, to napije się ze mną herbaty i chwilę pogada.

–Ja też. – Uśmiechnęła się smutno do swoich wspomnień. – Ja też ciebie długo szukałam, debilu.

–Kocham cię.

–A ja ciebie, kompletnie porąbany wariacie.

Usiedli na ciepłym, oplecionym bluszczem balkonie. Latarnie umieszczone kilka pięter niżej rzucały fantastyczne cienie na ściany ogromnej budowli. Poza nimi o tej porze aktywne były tylko koty wydzierające sobie co lepsze łupy ze śmietników.

–Naprawdę mnie kochasz? – spytała. Skinął głową.

–Dlaczego ciągle masz wątpliwości?

–Bo ciebie znam, mało sowiecka – powtórzyła jego powiedzenie. – Zaraz się jakaś Alinka uwiesi ci na szyi, Danusia będzie mi robić awantury przez telefon, że się z nią nie spotykasz, a Kasia...

–Zostaw Kasię w spokoju.

–Prześladuje mnie. Gdy widzę wiadomości w dzienniku, dotyczą jej miasta. Gdy widzę drogowskaz, to oczywiście prowadzi do niej. Otwieram gazetę i już wiem, że będzie coś z jej okolic. Walczyła o ciebie i...

–I już. Na taką miłość jak do ciebie czeka się całe życie, idiotko. Czasem się nie doczekuje. Więc nie myśl, że się od ciebie odczepię.

–Ale ona...

–Prześladuje cię? Mnie z kolei prześladowa trzynastka. Widzę ją wszędzie.

–Mówiłeś.

–Choć ostatnio przestała. Upiła łyk gorącej herbaty.

–Coś ważnego się stanie? Podziwiał jej intuicję.

–Też mam takie wrażenie.

Znowu upiła łyk. Potem spytała z jakąś dziwną determinacją:

–Zginiesz? Wzruszył ramionami.

–Nie wiem.

–Nie chcę.

Wstał lekko i poszedł do gabinetu. Wyjął z paczki dwa papierosy.

–Przynies też list – zawołała z balkonu.

–OK.

Wrócił z kartką sporządzoną przez jakieś urządzenie rozpoznające nagrane słowa. Wydruk oczywiście nie miał podpisu. Mariola wzięła kartkę, zaciągając się głęboko

papierosem. Kiedy zapalała świeczkę w balkonowym, pozbawionym ozdób szklanym uchwycie, zauważył, że drżą jej dłonie. Czytała głośno:

Szanowny Panie! Skreślałam te słowa, wiedząc, że pan jeszcze nie pojawił się na tym świecie. Jeszcze się pan nie urodził. A mimo to wydaje mi się, sporo o panu wiem. Przyznam, że trochę dziwne pisać do kogoś, kogo jeszcze nie ma, ale spróbuję.

A oto co o panu wiem. Jest pan nerwusem który nie może ani chwili usiedzieć na jednym miejscu. Bez przerwy pan po coś sięga, chodzi z miejsca na miejsce, zapewne słuchając muzyki. Jest pan niepozbiany, roztrzepany, niesumienny, leniwy... A jednocześnie jest pan najbardziej skrupulatnym, sumiennym, doprowadzającym zawsze sprawy do końca oficerem policji/milicji (nie wiem), zawsze mającym rację w każdym przypadku, co doprowadza pieski wokół do białego szaleństwa. Ile by to pana nie kosztowało, pan zawsze robi swoje.

Łatwo pana zranić, łatwo doprowadzić do furii. Nigdy nikomu nie udało się zawrócić pana z drogi. Oglądałem ostatnio w tym durnym amerykańskim kinie najnowszy western „High Noon”...

Staszewski od razu sprawdził w palmtopie datę. „W samo południe” – 1952. Ładnie: „najnowszy”. Sam oglądał to jako dziecko. W roli głównej Gary Cooper, reżyserował Stanley Kubrick. Staszewski ściągnął trailera z jakiegoś holenderskiego serwera. Jedyne nazwisko, jakie jeszcze rozpoznał na liście płac, to Lon Chaney. Czarno-białe obrazy przesuwały się na malutkim ekraniku.

...Kończy się jak zwykle happy endem. Panu jednak „szczęśliwe zakończenie” chyba nie będzie dane. Zresztą nie wiem. Nie mnie wypowiadać się o losach wszechświata. Domyślił się pan, dlaczego to piszę? Prawdopodobnie tak, jeśli dobrze zgaduję...

Bo pisząc o mnie, opisujesz samego siebie, pomyślał Staszewski.

...Ale powiem wprost, dla pewności. Pisząc o panu, opisuję samego siebie, jeśli ktoś się podjął tej sprawy i jeszcze nie uciekł albo nie zginął, znak, że jest podobny do mnie. Kompletny wariat, występny, mający prawo za nic.

Postrzegający tylko siebie i resztę świata. Resztę, która usiłuje mu się przeciwstawić. A w takich sytuacjach da pan z siebie wszystko. Płacąc, płacąc, płacąc... Poświęcając, co tylko można poświęcić. No nic. To właśnie coś dla pana...

Staszewski przypomniał sobie inny western, nakręcony dokładnie czterdzieści lat później. „Unforgiven” – „Bez przebaczenia”. Powtórzył napis z czołówki filmu jak znaną piosenkę: „Staszewski występny człowiekiem był, nie stronił od kobiet i alkoholu...”. No trudno. Ludzie rodzili się z gorszymi wadami.

...Problem w tym, że to śledztwo jest szczególne. Zawsze zabija tego, kto je prowadzi. No i w pewnym sensie mamy impas. Mam nadzieję, że zdobył pan materiały Wasiaka i zapoznał się z nimi. Choć to niewiele da. Trzeba sobie zadać pytanie: Gdzie jest to ostateczne wyciągnięcie rewolweru z kabury? Kiedy nastąpi? I... czy jest pan na nie gotowy?

Wiem, że to będzie bardzo przykre przeżycie. Jeśli pan przeżyje, oczywiście. Nie jestem zwolennikiem teorii „samowychuchów”, myślę, że to jakaś nieznaną chorobą. Żywię więc nadzieję, że w pańskich czasach będzie już na nią lekarstwo. Nie jestem Bogiem. Nie mnie przewidywać.

W każdym razie uważam, że powinien pan pójść na ten dziedziniec i doświadczyć wszystkiego osobiście...

–Wariat! Wariat! – krzyknęła Mariola, przerywając głośną lekturę. Zerwała się i zaczęła krążyć po balkonie. Nie za bardzo było gdzie chodzić, więc żeby w ogóle poruszać się od barierki do barierki, musiała drobić małymi kroczkami. Z boku mogłoby to wyglądać dość śmiesznie, gdyby nie wyraz jej twarzy.

–Tak. Taki sam jak ja – powiedział Staszewski. Oczy Marioli zwiastowały nadejście końca świata.

–Nie puszczę cię!

–Zobaczmy. – Sławek zerknął na kartkę:

Prowadzi pan śledztwo w sprawie, w której nie ma żadnego podejrzanego, prawda? Niech więc

się pan zastanowi, kto mógłby być tym podejrzanym...

Kilka pustych linijek.

Wie pan, o kim mówię?... Znowu przerwa.

Życzę powodzenia. Pozdrawiam. Sławomir Borowicz.

Wóz specjalny przypominał do złudzenia ciężarówkę do przewozu mebli, ale nie miał żadnego kamu flażu. Zaparkowany na zatłoczonej innej ulicy nie wzbudzał niczyich podejrzeń. W środku technik kończył przyklejać małą kamerę do skroni Staszewskiego. Starannie przykrył ją włosami. Druga kamera tkwiła ukryta w torbie przewieszanej przez ramię, a trzecia została wcześniej umieszczona na dachu budynku.

–Partanina – odezwał się siedzący przed ekranami łączności Hofman. – Bandyci od razu się zorientują, że wszystko jest na podglądzie.

–Ale my nie łapiemy bandytów. – Staszewski podwinął rękaw koszuli. Przemył skórę spirytusem, a potem wbił igłę. – Ostermann i von Kreutzky, twórcy tego upiornego kręgu śmierci, od dawna nie żyją.

–To kogo chcesz aresztować?

–Nikogo. Chcę się dowiedzieć, co jest grane.

Hofman podniósł porzuconą przez Staszewskiego strzykawkę.

–A to?

–To najsilniejszy środek antyhistaminowy, jaki zna cywilizacja. Jeszcze w fazie testów w Warszawie.

–A ty jak zwykle znasz odpowiedniego profesora, który ci to po prostu dał. Staszewski uśmiechnął się ponuro.

–Jak zwykle potrafię dotrzeć do odpowiedniego profesora.

–A jak go przekonałeś?

–Każda uczelnia jest umocowana w jakieś machloje i przekręty. Wystarczy znać trochę temat i już masz materiały, na kogo chcesz.

Hofman nalał do kubka kawę z termosu. Parząc usta, wypił kilka łyków.

–No dobra – westchnął. – Lek przeciwko alergii... Nie lepiej włożyć maskę przeciwigazową? Albo potraktować te wszystkie cholerne kwiatki gaśnicą śniegową? Kwasem, solą, napalmem czy wręcz „Pomarańczowym Agentem”?

–Wtedy prawdopodobnie nic się nie stanie. I niczego się nie dowiemy.

Hofman zapalił papierosa, nie zwracając uwagi na syknięcie technika. W wozie specjalnym nie powinno się palić. Dopił kawę z kubka i napełnił go znowu.

–A co z Mariolą? Zawsze ci towarzyszyła.

–Pokłóciliśmy się wczoraj.

–Bardzo, bardzo?

–Mhm. Nazwała mnie gnojem.

–Oj... – Hofman roześmiał się nagle. – To chyba nie pierwszy raz w historii. Biedna Mariolka dołączyła do kompanii bab, które nie mogą znieść twoich wariactw? Czy może stworzyłbyś z nich cały batalion?

–Poszło o to, że nie może już znieść, jak ryzykuję życie. I w ogóle awantura w typowo babskim stylu. Bez stylu, planu działania i wyznaczenia sobie celów, które chce kłótnią osiągnąć.

Hofman wzruszył ramionami.

–Naprawdę nie wiem, co te baby w tobie widzą. Jak można żyć z takim popaprańcem? A one lecą jak ćmy do ogniska.

–Na szczęście ty nie jesteś kobietą. Staszewski wstał lekko.

–No to chyba wszystko gotowe.

–Mhm.

Otworzył tylne drzwi pojazdu ze specjalną służą, żeby niczego nie było widać z zewnątrz. Zeskoczył na chodnik.

–Kontrola połączeń – gdzieś w środku głowy usłyszał głos technika. – Kamera na skroni. Porusz głową.

Staszewski rozejrzał się wokół.

–OK. Kamera w torbie. Naceluj na wóz, punkt kontrolny.

Przeszedł na przód samochodu. Poruszył torbą tak, żeby technik zobaczył nalepkę z rejestracją na szybie.

–OK. Kamera na dachu też OK. Mikrofon zewnętrzny?

–Raz, dwa, trzy...

–OK. Mikrofon kierunkowy?

Staszewski podniósł rękę.

–Raz, dwa, trzy – powiedział do zegarka.

–OK. Surround? Pstryknął palcami kilka razy wokół siebie.

–Peeeełne koło. Słyszę cię wyraźnie i bez zakłóceń.

–No, to teraz na Księżyc możesz lecieć – włączył się Hofman. – Pozdrów

Twardowskiego, ale na razie pokaż nam trochę podczerwieni. Spróbuj zerknąć na jakiś piękny, cieputki damski tyłeczek.

Staszewski włożył przeciwsłoneczne okulary. Zerknął na przechodzącą obok kobietę.

–No, do jasnej cholery! – rozległo się znowu w jego głowie. – Ona ma okres! Zerknął na przechodzącego obok księdza.

–Cholera! A ta ma penisa! No co ty wybierasz?

–Ale sukienkę ma fajną, nie? – mruknął. W wozie musiało dojść do wymiany zdań, bo Hofman odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

–OK. Laser i GPS?

–Pierwszy krok, drugi, trzeci, czwarty...

–OK. Drugie.

–No przecież widzicie moją pozycję.

–Oj, jaki drażliwy. Pistolecik naładowany? Kamizelka nie uwiera?

–Wszystko w normie.

–Patrz, teraz oficjalny – Hofman zwrócił się do technika. Po chwili zbliżył się znowu do mikrofonu. – Idź przed siebie, pogromco duchów. Specjalnie dla ciebie rozgłośnia „Police sex and rockroll station”. – Puścił mu w słuchawki głośne Sex Pistols. – I jeszcze dla naszego nieustraszonego pogromcy lesbijek cytat z Pisma: „A choćbym kroczył cienistą doliną...”, nie zesram się. Albowiem bracia założyli mi pampersa!

Staszewski ryknął śmiechem wprost w twarz przechodzącej starszej kobiety. Ta spojrzała zgorziona.

Ruszył przed siebie. Ulicą Łaciarską, po której wiele razy szli już oficerowie prowadzący to śledztwo. Nie było Marioli, która zawsze potrafiła go wesprzeć. I to w chwili, kiedy najbardziej jej potrzebował. Trudno. Obejrzał się do tyłu, na wóz specjalny. Przez radio wezwał regulaminowe

posiłki. Dalej był sam. No i dobrze.

Przyzwyczał się. Prawo Murphy'ego. Wszystko zawodzi, kiedy jest najbardziej potrzebne. Nie czuł niczego konkretnego. Mimo łomotania Sex Pistols w uszach miał wrażenie, że otacza go przedziwna pustka. Szedł sobie wśród nielicznych o tej porze przechodniów. Wydawali się nieprzytomni z niewyspania, koloru zielonego, jeśli można się tak wyrazić. Widział już takich ludzi, kiedy kazano mu odwalić praktykę w jakimś urzędzie, tuż po studiach. Ludzie koloru zielonego w windzie. Nie mógł zrozumieć. Po jaką cholere przeżywali to wszystko, jeśli nie chcieli. A później herbatka, kawka, już w urzędzie. Śniadanie. Nawet już nie symulacja pracy. Oglupiająca, szara egzystencja. Z ilu chwil składa się życie człowieka? Ile herbatek wypijemy? Ile kretyńskich kłótni zaliczymy? Wzruszył ramionami. Tylko po co? Miał receptę na życie jak każdy miejski singiel. Dwa lata trwania związku – tak mówiła statystyka. A z drugiej strony było mu żal. Bo zwykle angażował się praktycznie bez reszty. Nie licząc debilnych podrywów na każdym ze służbowych wyjazdów. Miał całą kolekcję „pamiątek wojennych”. Majtki, staniki, raz nawet zdobył minispódniczkę, ponieważ kobieta wyszła w jego spodniach. Na szczęście miał drugą parę. Raz przyznał się Marioli, że przeleciał znaną redaktorkę z telewizji. Spytała tylko, czy coś czuje, kiedy ją widzi na ekranie. „Nic” – odpowiedział zgodnie z prawdą. Był nawalony wodą po same uszy. Właściwie to prawie nie pamiętał, czy przeleciał wtedy przy okazji strażnika na portierni, czy woźnego. I teraz, głupio we własnym mniemaniu, właściwie skończył z pić. Nawet Mariola, widząc go kompletnie trzeźwego, powiedziała:

–Chyba się teraz zacznę wstydzić, gdy mnie będziesz brał. Po raz pierwszy na trzeźwo.

Nie zauważył, kiedy dotarł na dziedziniec klasztoru. Usiadł na małej ławeczce przy murku flankującym klomb. Gównu go obchodziła ta sprawa. Ziewnął nawet znudzony. Pamiętał, jak Mariola założyła mu w laptopie folder zatytułowany „Wakacje marzeń”. Umieściła tam ich zdjęcia z wyjazdu nad morze. Lubił je oglądać. Ciekawe, komu taki folder założy Mariola w przyszłym roku? Ciekawe, jaka kobieta założy taki jemu?

–Co czułeś, gdy poderwałeś kobietę koledze, spałeś z nią, a potem oni przyjechali do ciebie? – pytała Mariola. – Spali razem na twoim łóżku, a ty w pokoju obok. Co czułeś?

–Nic – zawsze odpowiadał zgodnie z prawdą, jeśli nic go to nie kosztowało. Uśmiechnął się do swoich myśli. A co czuł w tej chwili? Nic.

Z boku dosiadł się Mischuk.

Staszewski w pierwszej chwili nawet go nie zauważył. Był pogrążony w swoich ponurych rozmyślaniach, przeplatających się perfidnie z afirmacją piękna wokół. Tylko on mógł połączyć w sobie te dwa aspekty rzeczywistości naraz. Ból i piękno, totalne zmęczenie i rozsadzająca energia, jakaś niesamowita wiedza, którą posiadał, obok dziecinnej naiwności. O, właśnie! Złapał się na tym, że jego przemyślenia są coraz bardziej naiwne.

–Czemu pan taki smutny? – spytał Mischuk.

Spojrzał na faceta w rozpiętej amerykańskiej kurtce. Umiał się opanować, choć wrażenie było piorunujące.

–A pan nie byłby smutny? – odparł. – Prowadzę śledztwo w jakiejś idiotycznej sprawie, która ciągnie się od lat trzydziestych zeszłego wieku, oficerowie giną jeden po drugim, nie mam żadnego podejrzanego i... I nagle przysiada się do mnie facet, który nie żyje od kilkudziesięciu lat. Nie nazwie pan tego powodem mojego stanu?

–Życie niesie ze sobą różne niespodzianki. Staszewski uśmiechnął się lekko.

–W pańskim przypadku trudno to nawet nazwać życiem. Mischuk roześmiał się na cały głos.

–No patrzaj. A tuś mnie pan zagał.

–Pan...

Nie mógł dokończyć, bo w słuchawce rozległ się głos Hofmana:

–Sławeczku, a mógłbyś zdradzić, z kim gadasz?

–Z panem Miszczukiem. Ciche cmoknięcie do mikrofonu.

–Ja pytam poważnie.

–Chryste, no z Miszczukiem, bo się przysiadł na ławkę! Mam ci podać jego dowód osobisty do kamery?

Długa chwila ciszy.

–OK, zrozumiałem. Stosuję procedurę „Policjant w akcji – nie może mówić - niebezpieczeństwo”. Nasi wkraczą za dziesięć sekund. Osiem, siedem, zajmiemy też korytarze, pięć, cztery...

–Nie! Nie, nie, nie! Źle mnie zrozumiałeś!

–Akcja stop! – Hofman ryknął tak, że Staszewskiemu o mało nie rozsadziło bębenków. – O co ci, kurwa, chodzi? – to przynajmniej rzucił ciszej.

–Nic się nie dzieje. Nie ma niebezpieczeństwa.

–No to z kim rozmawiasz?

–Mówiłem. Z Miszczukiem.

–Pokaż go.

–Przecież patrzę na niego. Usłyszał ciche głosy w tle.

–Kamera numer jeden, na skroni – nic. Rozpoznał głos technika.

–Kamera numer dwa, w walizce – nic. Kamera numer trzy, na dachu – nic.

–Skan podczerwieni?

–Nic.

–Sławek – to znowu Hofman w uchu – wyceluj w niego laserem. Staszewski podniósł torbę i skierował w odpowiedni punkt.

–Co masz? – znowu Hofman.

–Namiar na najbliższą ścianę. Trzydzieści metrów – to był technik. – Kompletnie nic poza tym.

–Sławek – tym razem Hofman zbliżył się do mikrofonu – naprawdę nic ci nie grozi? Jeśli nie możesz mówić, dmuchnij trzy razy do mikrofonu.

–Mogę mówić – odparł Staszewski. – Grozi mi straszne niebezpieczeństwo, ale pistolety i karabiny tego nie powstrzymają. Tkwij na pozycji.

Hofman długo nie chciał się zgodzić. Mełł jakieś niezrozumiałe przekleństwa pod nosem.

–Rób, jak chcesz. OK – powiedział nareszcie zrozumiale.

Miszczuk trwał nieporuszony podczas dyskusji, z której powinien słyszeć tylko połowę. W końcu jednak drgnął lekko.

–Nie wierzą, że pan ze mną rozmawia? – spytał.

–Tak. Nie wierzą.

–Ot, i taka jest ta wasza technika. Psu na budę się nada. Staszewski oparł ramię o górną deskę ławeczki. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

–Widzi pan... Technika to nie tylko urządzenia, takie czy inne. To także sztuka zdyscyplinowanego myślenia.

–O, nie wiedziałem.

–Owszem. Zapali pan?

–Chętnie. – Mischczuk przyjął papierosa z podsuniętej paczki. Nachylił się, odpalając od amerykańskiej Zippo.

Staszewski, zaciągając się, szepnął do mikrofonu ukrytego w zegarku:

–Hofman, ile widzisz ogników w podczerwieni?

–Jeden – odpowiedź padła natychmiast. – Twój. – Chwila na zastanowienie. I pytanie: – Ile miałeś papierosów w paczce?

–Trzynaście.

–A ile masz?

Chowając goldeny do kieszeni, Staszewski przeliczył palcem, niby to guzdrząc się z kieszenią cargo swoich wojskowych spodni.

–Jedenaście. Gdzie drugi papieros?

–Moment. Kamera trzy, zbliżenie. Chwila ciszy.

–I co?

–Leży pod ławką. Nie pali się. Musiałeś upuścić. Mischczuk uśmiechnął się szeroko.

–Nie dość, że oni nie wierzą, ci, co słuchają – zaciągnął się i wypuścił gęsty kłęb dymu – to i pan mi nie wierzy.

–A jak tu wierzyć człowiekowi, który zginął jakieś sześćdziesiąt lat temu.

Dokładnie tutaj. W tym miejscu.

–Wot, rzeczywiście większa zagwozodka.

Mischczuk wyjął z kieszeni spodni sporą butelkę zatkaną zwitkiem papieru. Obaj mieli na sobie wojskowe spodnie z ogromnymi kieszeniami. Obaj amerykańskie. Choć u Mischczuka wynikało to z potrzeby i dostaw UNRRA, a u Staszewskiego wyłącznie z aktualnej mody. Te pierwsze były ze zwykłego frontowego drelichu, te drugie typu woodland, luksusowe, z przewiewnego tropiku.

–Strzelimy po łyku?

–Wie pan, właściwie to już nie piję. Ale w takim towarzystwie...

Przejął butelkę. Czuł jej ciężar i chłód. Wyciągnął zębami papierową zatyczkę i wypluł na rękę, bo w dzieciństwie widział, że tak się robi na filmach pokazujących dokonania Ludowego Wojska Polskiego. Owionął go zapach okropnego bimbru. Mężnie jednak pociągnął potężny łyk.

O Boże! Gówna w płynie! – to była jego pierwsza myśl. Nie! Nitrogliceryna, cyjanek, trutka na szczury pomieszana z płynem do przetykania klozetu na glikolu z

dodatkiem odrdzewiacza i kocich szczyń. To była jego druga myśl. Trzeciej już nie miał. Zaczął kaszleć, usiłując pozbyć się ohydny zapachu z ust. Wirowało mu w głowie.

–I co? Teraz mi pan wierzy? Staszewski podniósł zegarek do ust.

–Co widziałeś na ekranie? – spytał Hofmana.

–Jak odstawiasz pantomimę.

–A coś więcej? Butelkę?

–Nic. Mischczuk przejął bimber i pociągnął kilka łyków. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

–Cóż – powiedział lekko zachrypniętym głosem. – Właściwie to podziwiam pana. Naprawdę podziwiam.

–Dlaczego?

–To śledztwo prowadziło już wielu oficerów. Każdy zginął. Tylko nielicznym udało się uciec. A i to przez przypadek.

–Ja też zginę?

–Raczej tak. – Mischczuk roześmiał się nagle. – A raczej nawet na pewno. Ale to nie boli.

Po raz pierwszy Staszewski na pytanie: „Co teraz czujesz?” nie odpowiedziałby: „Nic”.

Rozgrywka zaczęła mu się podobać.

–Mam parę asów w rękawie.

–Myśli pan o tych pistoletach i karabinach, które mogą tu się pojawić w każdej chwili? – Mischuk zerknął w bok, na wejście na dziedziniec. – Mnie osłaniali Wasiak i Borowicz ze stenami w rękach. Jeden o mało nie powystrzelał wszystkich zakonnic, drugi zesrał się w gacie ze strachu.

–Borowicz miał jednak coś pod czaszką.

–Ano. I spierniczyli dzięki niemu. A potem ich to gryzło latami. – Mischuk spojrział wprost w oczy Staszewskiemu. – Ale u pana bojaźni nie widzę żadnej.

–Ano – sparodiował tamtego. – Po prostu nie zamontowali strachu na wyposażeniu tego egzemplarza człowieka, który posiadam. Zabrakło w magazynie i jestem wybrakowany.

–I takich ludzi lubię. Nie to, co ludzie, którzy kiedy zobaczą kostuchę, to od razu w płacz i poniżą się, przekraczając wszelkie granice przyzwoitości. Będą się czołgać w gównie, błagając o jeszcze kilka dni. A pan jest chyba fatalistą.

Staszewski podrapał się po głowie. Słońce dokuczało coraz bardziej.

–Przyznam, dziwne określenie u kogoś, kto był chłopem, więźniem, a potem prostym milicjantem. Skończył pan jakieś uczelnie w zaświatach, że potrafi się pan tak wysławiać?

–Wiele się nauczyłem – przytaknął Mischuk. – No nic. Przejdźmy do rzeczy.

Siedzieli w „Novokainie” na Rynku. Hofman zaliczył jakąś niesamowitą sałatkę z tuńczyka, Staszewski sączył tonic, ale bez ginu. Tylko z cytryną. Na ścianach wisiały obrazy. A właściwie to tylko pozłacane, ozdobne ramy kryjące obudowy plazmowych telewizorów, na których wyświetlano dzieła sztuki i inne duperele. Dzieła sztuki były fajne, duperele, szczególnie te paraseksualne, raczej nie.

–Kiedy zorientowałeś się, że rozmawiasz sam ze sobą? – spytał Hofman, odsuwając od siebie talerz.

–Cholera wie. Ty nie widziałeś niczego na monitorach, a on wydawał się wiedzieć wszystko. Myślałem, że coś mi powie.

–I powiedział?

–Właściwie do czego pan zdąża? – spytał Staszewski.

Mischuk pociągnął jeszcze jeden łyk bimbru.

–Chciałbym usłyszeć od pana, do czego pan doszedł. – Zamyślił się na moment. – Chociaż nie muszę. Mogę to panu opowiedzieć.

–Opowiedzieć co?

–Wyniki pańskiego śledztwa.

–Wie pan wszystko? O całym wszechświecie?

–Tak.

–To w takim razie proszę mi powiedzieć, jak nazywali mnie rodzice, kiedy byłem dzieckiem. Mischuk nawet nie spojrział w bok.

–Nazywali pana „Kaja”.

–Jak miała na imię moja pierwsza dziewczyna?

–Basia. Nie wiem, po co mścił się pan na niej potem. Blizny na sercu mężczyzny od ran, jakie zadały kobiety, które go porzuciły, nie szpecą, ale...

Staszewski przerwał mu brutalnie. Przechylił się przez poręcz ławki i wyrwał z klombu garść trawy. Nie patrząc na własną dłoń, podsunął ją Mischukowi.

–A ile żdzbeł trawy trzymam w garści? – spytał zaczepnie. – Przepraszam za takie pytanie. No

ale skoro jest pan wszechwiedzący?

–A kto by tam liczył źdźbła?

–Nie wiesz? – Staszewski nagle zrezygnował z formy „pan”. – A ile wynosi pierwiastek sześcienny z sześciu miliardów dwustu trzech milionów siedmiuset piętnastu tysięcy ośmiuset dziewiętnastu, pomnożony przez trzy dwudzieste czwarte silnia?

Miszczuk tylko machnął ręką.

–Nie wiesz, prawda? Coś do chrzanu z tą twoją wszechwiedzą po śmierci. Miszczuk ryknął śmiechem.

–A do czego zmierzasz? – też przeszedł na ty.

–Do tego, że niby wiesz wszystko oprócz tego, czego nie wiem ja. Po prostu mam wrażenie, że rozmawiając z tobą, rozmawiam sam ze sobą. Taki rodzaj monologu rozpisanego na dwie role.

Miszczuk wyciągnął z kieszeni paczkę playersów i gazetę. Urwał kawałek pierwszej strony wielkości dłoni rozkruszył papierosa. Skręcił sobie tytoń w urwany fragment, włożył do ust i zapalił. Wokół rozszedł się gryzący dym, głównie grubego, kiepskiej jakości papieru.

–Tak jest mocniejszy – wyjaśnił Miszczuk i podał Staszewskiemu gazetę.

Przeczytał tytuł: „Pionier”. Nic mu nie mówiła ta nazwa. Zauważył tylko, że pismo wydano w 1945 roku we Wrocławiu. Zerknął na kilka artykułów. Jakiś czytelnik skarżył się, że przybysze wysiedleni zza Buga chowają w mieszkaniach zwierzęta. Ktoś trzymał w łazience krowę kto inny w pokoju dwa konie, a w piwnicy świnie. Podobno zjawisko było powszechne.

Miszczuk zajrzał mu przez ramię.

–A co się dziwią? – skomentował artykuł. – Tak najłatwiej pilnować. Co się mają szabrownicy upaść na cudzej nędzy.

Z drugiej kieszeni wyjął jeszcze „Naprzód Dolnośląski”. Artykuł otwierający donosił o pierwszym przedstawieniu w Operze Wrocławskiej. Była to „Halka” w reżyserii Stanisława Drabika z Franciszką Platówną. Przedsięwzięcie na poły

prywatne, ze znalezionymi dekoracjami i strojami tyrolskimi, szybko przerobionymi na góralskie. Niemiecki baletmistrz uczył niemieckich tancerzy poloneza i mazura, a całość sponsorowała Armia Czerwona.

–Wiedziałaś o tym?

–Nie. – Staszewski oparł brodę na rękę. – Ale wiem, o co ci chodzi. Mogłem jednak o tym kiedyś słyszeć, zapomniałem, a teraz wyjąłem to z mojej podświadomości.

Miszczuk tylko machnął ręką. Staszewski podniósł do ust zegarek.

–Hofman, zadaj takie pytanie, na które nie mogę znać odpowiedzi.

–Mmmmm... – usłyszał w uchu. – O czym teraz myślę?

–O dupach! Tyle to akurat wiem.

–No dobrze. Jaki jest numer sprawy, którą właśnie prowadzę? Sławek przekazał pytanie Miszczukowi. Ten zerknął w bok.

–KW łamane przez coś tam, coś tam, łamane przez zero sześć. Staszewski roześmiał się nagle.

–No właśnie. Tyle sam bym się domyślił. Ale nie wiesz, jaki numer kryje się pod „coś tam, coś tam”.

–Widzę, że jesteś uparty. – Miszczuk pociągnął łyk samogonu. Nie zagryzał niczym, tylko chuchnął w rękaw. – No dobrze. Skoro uważasz, że jestem tobą, to może taka rozmowa z własnym alter ego przyniesie coś dobrego?

–Może.

–A może – teraz Mischuk wyraźnie go przedrzeźniał – pomogłoby spotkanie z kimś innym? –

Wskazał na mężczyznę zbliżającego się idealnie utrzymaną alejką wśród klombów.

Staszewski wstał odruchowo. Kiedy przybysz podał mu rękę, uściśnął ją mocno. Starszy, kulturalny pan o lekko siwiejących włosach przedstawił się uprzejmie:

–Jestem Albert Grunewald.

Staszewski czuł dotyk jego dłoni. Lekko spoconej, trochę zimnej. Czuł oddech mężczyzny i woń klasycznej, staromodnej męskiej wody po goleniu.

–Nie, nie, nie... To nie tak. Widziałem wasze zdjęcia w aktach, wiem o was wszystko. Stąd te halucynacje.

Przedwojenny oficer kripo lekko skinął głową.

–Jest pan pewien?

–Świetnie mówi pan po polsku, panie Grunewald. Jak na niemieckiego oficera przynajmniej.

–Był czas się nauczyć. – Grunewald wyjął srebrną papierośnicę z ozdobną dedykacją. W osobnej skrytce był nawet pojemnik na lučki do papierosów bez filtra. Zapalniczka z pierwszej wojny światowej w kształcie naboju, rogowe okulary... Boże! Nikt już dzisiaj nie wiedział nawet, co to jest rogowa oprawa. – Czemu pan jest taki spięty? Czyżby znowu to samo śledztwo bez podejrzanych, dzięki któremu straciliśmy życie?

–Właśnie pan przekonał mnie, że rozmawiam z samym sobą. Pana tu nie powinno być.

–Dlaczego?

–Pan nigdy nie doszedł do klasztoru. Zastrzelono pana na ulicy Łaciarskiej. Na Altbuserstrasse. Grunewald usiadł na ich ławeczce.

–Czyż nie kieruje to pana na nowy trop w śledztwie?

–Istotnie. – Staszewski odruchowo potarł brodę. – Otworzyła mi się klapka w mózgu.

Ukrył twarz w dłoniach. Jak mógł na to nie wpaść? Dlaczego tak długo błądził po omacku?

–Ma pan już podejrzanego? – indagował Grunewald.

–Tak. Mam.

W „Novokainie” oprawne w pozłacane ramy obrazy zaczęły pokazywać skąpo ubrane panienki na tle panoramy miasta. Od czasu do czasu tylko pojawiała się reklama jakiegoś przedsięwzięcia kulturalnego. Hofman poszedł do ubikacji, a Staszewski, chcąc wykorzystać chwilę, wystukał numer do Egiptu. Bartek Nowosielski, analityk z Warszawy, odebrał prawie natychmiast.

–No jak tam, opluł cię ten wielbłąd w końcu? – rzucił Staszewski zamiast powitania.

–Na szczęście nie.

–Fakt. Słyszę w twoim głosie jakby zadowolenie.

–Bo jestem już w Seucie, takiej hiszpańskiej enklawie w Afryce.

–Rozumiem. Tam już alkoholu w bród.

–Dokładnie. – Bartek przełknął coś właśnie. – Słuchaj, przeglądałem akta twojej sprawy. To, co mi zleciłeś.

–Tej nędznej grupki złodziei samochodów i profesjonalnego mordercy. I co?

–Wiesz, właściwie to nic nie znalazłem. Sprawa przeprowadzona rutynowo, dokumentacja w porządku, przedstawione dowody miażdżące. Nie ma się do czego przyczepić. Złapałeś garstkę debilów, którzy dopiero startowali w złodziejskim fachu. I na szczęście nie wystartowali na dobre, dzięki tobie.

–Nie o to pytam – przerwał mu Staszewski.

–No właśnie... – Nowosielski milczał dłuższą chwilę. – Pojawiają się dwa pytania. Po pierwsze, dlaczego do rozwiązania takiego bzdeta skierowano właśnie ciebie? Jednego z najlepszych specjalistów od naprawę poważnych spraw. No, ale to można jakoś tam wytłumaczyć. Na przykład ktoś z wierchuszki chciał sobie poprawić statystykę wykrywalności.

–Nie o to pytam – powtórzył Staszewski.

–Wiem... Pojawia się więc drugie pytanie. Co wśród tej bandy troglodytów z podwórka robił profesjonalny zabójca, który później pokazał, że potrafi zastrzelić dwóch byków ze zwykłej wiatrówki.

–Ciepło, ciepło... Do tego właśnie zmierzam.

–Słuchaj, w papierach nie ma gotowej odpowiedzi.

Jakiś owad w Afryce dorwał się właśnie do mikrofonu, brzęcząc obrzydliwie. W Polsce jakaś komarzyca usiłowała ugryźć Staszewskiego, ale palnął ją papierową chustką.

–To jest... To jest...

–No wykrztuś wreszcie.

–Słuchaj, z boku wygląda to, jakbyś miał go jako odpad z innej sprawy i sam włączył do śledztwa w sprawie tych durnowatych samochodów.

–A po co?

–Przepraszam. Czy ja jestem Bogiem? A może jestem tobą? Nie mam zielonego pojęcia.

–A co sugerujesz?

–Nic! Powiem ci jednak brutalnie szczerze. Wygląda na to, że sam go kryłeś. Umoczyłeś faceta w jakieś gówno, żeby mieć na niego bata, a potem uratowałeś mu tyłek. I teraz perfekcyjny snajper chodzi sobie na wolności, wiedząc dwie rzeczy. Po

pierwsze, jest ci teoretycznie niby wdzięczny. Ale nie jest też głupi, więc jest jeszcze „po drugie”...

–A po drugie co?

–On wie, że tylko ty masz na niego haka. I jeszcze jedno.

–Mhm?

–Dlaczego taki profesjonalista strzela do dwóch zboków, którzy chcieli komuś zadołować mercedesa?

Zapadła męcząca cisza. Nic. Nic. Nic. Poza brzęczeniem owadów po obu stronach słuchawek. Bartek przerwał ją pierwszy:

–Sławek.

–Co?

–Powiedz mi, że się mylę.

Cisza. Cholerna, nieprawdopodobna wręcz cisza. Namacalna, niematerialna, trudna do zmierzenia, niewyobrażalna. Nikt nie wie, ile durnowatych określeń można byłoby jeszcze wymyślić.

–Sławek, powiedz mi, że się mylę.

Chrząknięcie. Trzask jakichś przekaźników na linii. Feedback w słuchawce i dźwięki jakiejś melodii puszczonej z głośników w knajpie, która walczyła o lepsze z szumem klimatyzatorów po obu stronach.

–Sławek, proszę. Powiedz mi, że się mylę.

–Dzięki, stary, za pomoc. I naprawdę przepraszam, że zawracam ci głowę takimi bzdetami podczas urlopu.

Staszewski dotknął czerwonego przycisku na stalowej klawiaturze swojego telefonu.

Albert Grunewald wyjął z kieszeni płaszcz numer „Volkischer Beobachter” z czterdziestego piątego roku. Ale nie po to, żeby robić skрэty z urwanych kawałków. Otworzył na przedostatniej stronie i pokazał Staszewskiemu.

–O, proszę. – Małeńka notatka donosiła o bombie podłożonej pod siedzibę gauleitera przez „elementy defetystyczne”. – Proszę – powtórzył. – Jest organizacja antyfaszystowska w Breslau.

–Och, żebym się nie przejął i nie klęknął odruchowo. Dopiero w czterdziestym piątym się zorientowali, że coś jest nie tak, kiedy już Ruscy dokręcili śrubkę?

–A jeśli istnieli już wcześniej? Myślał pan o tym, prawda?

–Owszem. Ale i tak ich rozstrzelali. Gdzieś czytałem...

–E tam. – Grunewald lekceważąco machnął ręką. – Ja w tym mieście byłem. Rozstrzelali tych, co akurat byli pod ręką i nie mogli za szybko uciekać na inwalidzkich wózkach, bo gruzy wokół już się piętrzyły.

–Przeżyli?

–Niech pan nam powie. – Grunewald uśmiechnął się sympatycznie. – W końcu rozmawia pan sam ze sobą, a my jesteśmy wyłącznie pańskimi halucynacjami.

–Naczytałeś się akt – inicjatywę przejął Miszczuk. – Wiem, że to trudne.

–Dlaczego?

–Oj, bo co chwilę masz jakieś meldunki od posterunkowych: „Spotkałem trupa. Trup nie żył. Kopłem go ze dwa razy, żeby sprawdzić, czy nie symulant, a potem spytałem słownie, czy jest martwy. Trup zdecydowanie odmawiał współpracy z organem władzy ludowej”.

Staszewski roześmiał się cicho.

–Wyszedłeś z obiegu. Czasy się zmieniły.

–Co?

–Dzisiaj piszą tak: „W ramach czynności operacyjnych zlokalizowałem zwłoki w rejonie, gdzie się znajdowały. Denat mimo wielokrotnych wezwań nie wykazywał szczególnej aktywności słownej ani ruchowej. Okazał się martwy, bo był zimny, co stwierdziłem organoleptycznie, dotykając go ręką. Melduję, że nie miałem na wyposażeniu termometru, żeby potwierdzić to laboratoryjnie”.

Grunewald zakiepował swojego papierosa w małej, przenośnej popielniczce wykonanej z mosiądzu.

–Dobrze, że nie dożyłem okupacji radzieckiej. Bo tam w meldunku napisaliby:

„Znalazłem trupa. Po wstępnym przesłuchaniu towarzysz trup przyznał się do wszystkiego”.

Staszewski przygryzł wargi.

–No dobrze. Czego ode mnie chcecie?

Miszczuk nachylił się do niego.

–Powiedz nam, powiedz sobie, co już wiesz. Skoro jesteśmy tylko zwidami, nie pomożemy ci, ale ty sam możesz sobie pomóc.

–Po prostu zrekapituluj fakty – dodał Grunewald. – Mówiłeś, że znasz już podejrzanego.

–Tak. Znam. Obaj, Grunewald i Miszczuk, wymienili się uśmiechami.

–A kto nim jest?

–Ja – odparł bez wahania. Znowu znacząca wymiana spojrzeń.

–W pewnym sensie przynajmniej. Ale zacznijmy od początku. Ostermann i von Kreutzky poznali się na konferencji naukowej w Berlinie. Zaprzyjaźnili się w pociągu Berlin – Breslau. Obu interesowały halucynogeny. To wiem z materiałów Borowicza i

Wasiaka wyszperanych w Bibliotece Kongresu w USA. Obydwaj reprezentowali podobne dziedziny nauki, choć każdy podchodził do problemu z innej strony.

Ostermann był botanikiem. Zwiedził cały świat w poszukiwaniu roślin, przy pomocy których tubylcy zbliżali się do swoich bogów. Stworzył pierwsze hybrydy, krzyżował dwa organizmy należące do odrębnych taksonów. Podobno wyhodował rośliny dostosowujące swoje toksyny do zmiennych warunków atmosferycznych, a także reagujące na zmienność swoich ofiar. To mógł być pies, kot, człowiek. Podobno wyhodował rośliny odporne na zmiany i płodne, co jest dość trudne do uzyskania wśród hybryd. Odwrotnie von Kreutzky, prawdopodobnie niemiecki Żyd polskiego pochodzenia. Miał kilka fakultetów. Był uczniem Freuda, ale po nieudanych eksperymentach z morfiną odwrócił się od mistrza i poszedł w stronę czystej chemii. Usiłował stworzyć idealne lekarstwo na depresję, stany lękowe, psychozy i agresję. Niestety, żeby móc eksperymentować, najpierw musiał wynaleźć coś, co powodowało te stany. To mu się udało. Na antidotum cywilizacja musiała czekać aż do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego, na Leo Sternbacha z firmy Roche i jego valium, czyli diazepam. Von Kreutzky'ego interesowała też tajemnicza choroba, której wtedy jeszcze nie nazwano. Alergia. Coś, co może spowodować prawie natychmiastowy zgon. Żeby odnaleźć trop, von Kreutzky kontaktował się nawet z Australijczykiem Clemensem von Pirquetem, który stworzył to słowo, pisał do Wymana, który pierwszy wskazał pyłki jako przyczynę „dziwnej choroby” łączonej ni to z katarem, ni z astmą, czasem kończącej się gwałtowną śmiercią. Pisał do Curtisa i Blackleya, Moona i Freemana, ale nic z tego nie wyszło.

Podczas brzemiennej w skutki podróży z Berlina do Breslau von Kreutzky i Ostermann wpadli sobie w ramiona. Każdy z nich miał gotowe rozwiązanie tego,

czego szukał ten drugi. Podczas długich rozmów zapoczątkowanych w pociągu, a kontynuowanych przez lata w najstarszej restauracji w Europie, „Piwnicy Świdnickiej”, doszli, że kombinacja klasycznej, laboratoryjnej chemii i wpływu roślin pozwoli regulować człowieka jak szwajcarski zegarek.

Zespół, jeśli można to tak nazwać, „Stowarzyszenie znajomych” zaczęło się rozrastać. Affenbach, Horch, Staollen, Kircheck. Listę można byłoby ciągnąć długo. Wiem, że do czegoś doszli. Nie wiem do czego. W każdym razie notatki i korespondencja wzajemna nagle się urwały.

–Dlaczego? – spytał Grunewald.

–To były chwile rozwoju nazizmu. Takie mam dziwne przypuszczenia, ponieważ nie dysponuję źródłami, że ta nowa brunatna ideologia zupełnie im nie pasowała. Ale to tylko moje domysły.

–A co się stało? – tym razem spytał Miszczuk.

–Nie wiem. Choć znając naukowców, myślę, że bardzo nie spodobał im się ówczesny porządek. Nie wiem, naprawdę. Podejrzewam, że założyli organizację...

Miszczuk patrzył dość obojętnie.

–Wywrotową? – spytał.

–Spisek? – dodał Grunewald.

–Och, oni byli przedwojenni, więc prawdopodobnie antyfaszystowską jacejkę cichych i skupionych intelektualistów. Znam takich ludzi. Głowy w obłokach, piękno wokół, a tu nagle tramtadamtamtam. Pif-paf! Prawdopodobnie zbrzydził ich widok ludzi, których dotąd uważali za kolegów, a którzy nagle pokazali, kim są naprawdę.

–Kim?

–Pieskami merdającymi ogonami przed nową władzą. Gryzącymi się o to, kto będzie bliżej koryta. Zmierzyła ich wizja pseudointeligentów, jak by się to później powiedziało, z awansu, którzy zdobywali kierownictwo jednostek naukowych, bo mieli większe pojęcie o lizu-lizu-polityce niż o jakiegokolwiek nauce. I jeszcze coś.

–Co?

–Chcieli mieć dalej swój Breslau. Taki, jakim był. Wielonarodowy tygiel złożony z Niemców, Żydów, Polaków, Czechów i dziesiątek innych nacji, a nie „marschieren, marschieren, alle zusammen”. Tacy to byli antyfaszyści. Chcieli chronić kulturę i to szczególne coś, co tkwi w tym mieście. Nie chcieli podkładania bomb.

Grunewald pokiwał głową i zrobił minę w rodzaju: „A o co ja podejrzewałem tych biedaków? Niech mi Bóg wybaczy”.

–Tego nie ma w aktach. Skąd wiesz? – wtrącił Mischuk.

–Nie wiem. Tylko domysły. Może sam taki jestem?

–A co jest w aktach?

–Tylko jedna wzmianka. Von Kreutzky wpadł nagle. Grunewald przytaknął. Widział przecież te akta.

–No, ale nie ma ani słowa, za co go zatrzymali. Dziwna sprawa.

–Właśnie. Zatrzymali i wypuścili po dwóch dniach? Nie stawiając żadnych zarzutów? Dziwne.

–No właśnie.

–To zupełnie nie po niemiecku. Żadnych akt, protokołów, spisów, notatek służbowych, stenogramów. To po prostu niemożliwe.

–To po prostu niemożliwe – zgodził się absolutnie Grunewald. – Więc co się stało?

–Nie mam zielonego pojęcia. W papierach nic nie ma. Ale...

–Ale? – podjął znowu Grunewald.

–Naprawdę nie wiem. Opieram się na przemyśleniach. Ale gdyby do mnie przyszedł facet, który powiedziałby, że chce jedynie chronić istotę swojego miasta, jego ducha... Nie będzie podkładał bomb ani strzelał do nikogo, a jedynie wydawał gazetki, to... Tobym go zwolnił. Rzykując wszystko.

–Wszystko – powtórzył Grunewald. – A znalazł się ktoś taki po stronie niemieckiej policji?

Tu Staszewski był już pewny.

–Znalazł się. Hermann Glass. Oficer, który podpisał zwolnienie von Kreutzky'ego i nie zostawił żadnego śladu w papierach.

Obydwaj umarli policjanci przytaknęli zgodnie.

–Więc organizacja miała odtąd swojego człowieka w policji?

–Tak. Przejrzałem jednak inne sprawy, które prowadził Glass. Był porządnym człowiekiem, choć ewidentnie tchórzem. Nadawał się na konspiratora jak ja na piłkarza. Organizacja stanęła więc przed poważnym problemem. Jak się uchronić przed następnymi wypadkami? Mogli się dowiedzieć, kto w danej chwili prowadzi śledztwo. Ale co dalej? Zastrzelić go? Zasztyletować? Oblać kwasem czy wysadzić? Każda spektakularna zbrodnia wyjdzie na jaw wcześniej czy później. – Staszewski uśmiechnął się. – Śledczy trafili jednak na prawdziwych naukowców. Po co zabijać? Jeśli ktoś grzebie w tym, w czym nie powinien, niech sam to robi. Bez żadnego kontaktu z konspiratorami i ich wtyczką w policji.

–Ostermann i von Kreutzky?

–Oczywiście. Dlaczego nie mieli wykorzystać tego, w czym naprawdę byli dobrzy? Halucynogeny, środki depresyjne i alergia. Wystarczy to wszystko połączyć i eliminować, kogo się chce, bez żadnego kontaktu.

Miszczuk i Grunewald zerknęli na siebie.

–Widzisz? Mówiłem, żeśmy poszli do piachu nie na darmo. My milicjanty zuchy, a on zdolniacha!

Grunewald też był pod wrażeniem.

–Dostarczyli na policję środek von Kreutzky’ego? – spytał.

–Tak. I nawet wiem gdzie.

–Skąd?

–Natchnął mnie protokół przesłuchania tego gestapowca. – Staszewski zerknął na Miszczuka. – On opisywał, jak podczas ostrzału był w bunkrze pod Nowym Targiem. Zabrakło prądu. Ale ktoś to wcześniej przewidział i jedną ze ścian posmarowano fosforem. Zaczynała świecić w ciemności.

–Ale jaki to ma związek z policją?

–Myślę, że Glass, czy wręcz von Kreutzky, posmarował swoim preparatem jedną ze ścian w moim gabinecie. Ktoś musiał ich spłoszyć. Pewnie sprzątaczką, bo Wasiak opisywał, że już po wojnie znalazł w tym gabinecie maski przeciwgazowe. Stąd domyślam się, że malowali w nocy. A sprzątaczką, kiedy zobaczyła leżące maski, prawdopodobnie włożyła je do szafy, gdzie nikt ich nie ruszał.

–A Ostermann?

–Ostermann podarował zakonowi urszulanek sadzonki egzotycznych kwiatów. Zafundował klomby i bezpłatne szkolenie, jak się nimi zajmować. Królewski dar, bo kwiaty były rzeczywiście ładne, egzotyczne, a jednocześnie odporne na zmienne warunki pogodowe i cholernie drogie.

–I co dalej?

–Glass ze względu na stan zdrowia poprosił o przeniesienie do pracy za biurkiem. Łatwo poszło, bo przecież miał nowych „kolegów”, w tym wielu lekarzy światowej sławy, którzy wystawili mu odpowiednie papiery. Został kierownikiem administracyjnym budynku policji. Odtąd wiedział dokładnie, który z oficerów prowadzi jaką sprawę. W jego gestii leżał też rozdział pokojów, w których mieli pracować odpowiedni ludzie. I tak powstał mechanizm zbrodni, w którym żaden ze sprawców nigdy i pod żadnym pozorem nie miał absolutnie kontaktu z ofiarą.

–A gdyby zginęli przypadkowi ludzie?

–Jacy? Preparat sam w sobie jest nieszkodliwy. Kwiatki też. A może sądzicie, że zakonnice gremialnie i codziennie odwiedzały gmach policji, i to właśnie ten pokój z pomalowaną ścianą? A może policjanci nagle się nawrócili i codziennie odwiedzali klasztorny dziedziniec?

–Ale przecież śledztwo w sprawie dziwnej śmierci kilku oficerów mogło być zlecane różnym ludziom.

–A było, było. Tylko że taki oficer niczego nigdy nie odkrył. W całym śledztwie nie dało się przecież znaleźć kogoś choćby podejrzanego. Żeby zginąć, oficer musiał siedzieć w TYM pokoju i zostać skierowany do klasztoru.

–Jak?

–Proste. Jeśli Glass zorientował się, że ktoś prowadzi śledztwo w sprawie grupy Ostermann – von Kreutzky, pod byle pozorem dawał mu stanowisko pracy we właściwym pokoju. Wszystko jedno z jakiego powodu, remontu, sprzątania, deratyzacji, nowych mebli czy nowej centrali firmy Siemens. Dla dyrektora administracyjnego wymyślenie powodu przeniesienia to przecież błahostka. Oficer prznosił się, w nowym biurku znajdował akta sprawy o zgonach kolejnych oficerów trwających od

dziewiętnastego wieku, szedł na klasztorny dziedziniec i po tygodniu nie było go wśród żywych. Kto ze śledczych nie skusiłby się, żeby rozwiązać tak starą i tak tajemniczą sprawę. Z tym że papiery z dziewiętnastego wieku były sprytnie sfałszowane. Zgony zaczęły się w latach trzydziestych, od działalności grupy Ostermann-von Kreutzky.

–No ale nie wszyscy ginęli na dziedzińcu.

–Właśnie. Oficerów, którzy zginęli w związku z tą sprawą, można podzielić na trzy grupy. Pierwsza to alergicy. Nawdychali się oparów preparatu w swoim gabinecie, pyłki kwiatów wzmocniły jego działanie i spowodowały tak silną reakcję histaminową, że przypominało to wybuch. Jednak to chyba efekt uboczny. Ostermann i von Kreutzky wcale nie chcieli zwracać uwagę na „cuda”, które się przydarzały.

–A druga grupa? Złożona z tych, którzy nie cierpieli na alergię?

–Otóż to. Metoda okazała się bardzo perfidna. Śledczy po wystawieniu się na ekspozycję pyłków kwiatów, które wzmacniały działanie środka chemicznego, doznawał halucynacji. Potem następowała kolejna faza. Przymus samobójstwa spowodowany totalną depresją. A potem... Strzał w głowę, podpalenie się, jak ten

nieszczęsny oficer UB, skok z dwudziestego drugiego piętra Poltegoru, powieszenie... Reakcja następowała albo natychmiast, albo nawet po kilku dniach. Grunewald poruszył się niespokojnie.

–A trzecia grupa?

–Ta najbardziej tajemnicza? – Popatrzył tamtemu w oczy. Wiedział, że to tylko halucynacja, że rozmawia sam ze sobą, a twarz przedwojennego oficera zna jedynie ze zdjęć w aktach. Wizja była jednak tak realna, tak namacalna, że nie mógł się opanować. Zmienił temat: – Wie pan, w czterdziestym piątym, pod sam koniec obłączenia... Ciała chowano byle gdzie. Najczęściej tam, gdzie nastąpił zgon.

–Tak. Wiem.

–Myślę więc, że pańskie ciało leży jakieś kilkadziesiąt metrów stąd.

Grunewald uśmiechnął się smutno. Pochylił głowę.

–Tak. Gdzieś na Altbuserstrasse. – Znowu się uśmiechnął. – O, przepraszani. Na Łaciarskiej. Ale wie pan, nigdy szczytem moich marzeń nie był okazały nagrobek na porządnym cmentarzu.

Staszewski podał mu rękę. Ciekawe, jak śmiesznie wyglądało to na monitorach Hofmana w wozie operacyjnym stojącym też kilkadziesiąt metrów stąd. Być może zaparkowali nawet wprost na grobie Grunewalda. Wielka ciężarówka, klimatyzowane wnętrze, dwie ściany wypełnione elektroniką, szumiące cichutko mechanizmy, popiskiwanie namierników i grób faceta zastrzelonego ponad sześćdziesiąt lat temu pod kołami. Ciekawe, jak sam wyglądał na monitorach, podając rękę pustej przestrzeni przed sobą. Tylko że on widział człowieka siedzącego tuż obok, czuł zapach jego wody kolońskiej, ciepło dłoni...

–A trzecia grupa? – powtórzył Grunewald. Staszewski wierzchem dłoni wytarł spocone czoło.

–To pan i ja.

Morderca posiekał cztery ogromne cebule, do tego wkroił główkę świeżego czosnku. Dodał kilka śledzi, a całość polał chińskim sosem sojowym. Smród zabijał muchy w locie. A on to będzie musiał zjeść na kolację. Trudno. Postawił obok butelkę wódki, najtańszej, najbardziej ohydnej. Wzdrygnął się odruchowo. Nie lubił alkoholu. No, może czasem kieliszek wina do obiadu. Wina z najwyższej półki oczywiście, lecz

generalnie preferował herbatę. Miał w szafce całą kolekcję z różnych stron świata. Dzisiaj, niestety, nie mógł się nią raczyć, bo prawdziwa herbata doskonale zabija różne zapachy. Na talerzyku

obok położył kilka plasterków pleśniowego sera.

–OK – mruknął do kota śpiącego na biurku. – Kolacja na dzisiaj gotowa.

Czuł się źle, jak przed każdą akcją. Od tygodnia nie mył zębów ani głowy, nie kąpał się, nie używał dezodorantów, nie golił. Co gorsze, musiał jeszcze zająć się swoim ubraniem. Buty kupił w Poznaniu, płaszcz znalazł na śmietniku w Częstochowie, koszulę dostał w pomocy społecznej w Gdańsku, a spodnie wyżebrał w Caritasie w Lublinie. Lubił jeździć po kraju swoim sportowym, wypasionym samochodem. Zawsze mu się coś trafiało. Prowadzony GPS-em z mapą Polski dojeżdżał do jakiegokolwiek miasta, parkował na peryferiach, zamawiał taksówkę i jechał na przeciwległe przedmieścia. Potem tramwaj z tymi ohydnyimi ludźmi, którzy musieli wstawać o szóstej i biec do pracy. Mieli ziemiste twarze i miny, jakby szli na ścięcie. W większości przysypiali. Jedyne kobiety, które się znały, rozmawiały czasem o cenach pietruszki albo o tym, jak Józek poderwał dziewczynę Mietkowi, albo że rajstopy z czegoś tam są lepsze od rajstop z czegoś tam. Morderca przesiadał się do autobusu i jechał w stronę przeciwną. A tam znowu klasa pracująca. Głośne czknięcia czy nawet pierdnięcia. Nieprzyjemne zapachy. Wieczne narzekania kobiet dotyczące dzieci, biedy czy wręcz nędzy. Z trudem powstrzymywał się od kąśliwych uwag: „Idiotko, jak ci z dziećmi ciężko, to po cholere rodziłaś?”. I narzekania mężczyzn. Na utrudnienia w ruchu, bałagan w mieście, burdel w ich przedsiębiorstwie. A oni potrafiliby to naprawić w trzy sekundy. Nigdy nie powiedział: „Człowieku, skoro jesteś taki mądry, to dlaczego nie jesteś bogaty? Dlaczego nie zostałeś dyrektorem, premierem, prezydentem i nie naprawiłeś tego w trzy sekundy?”. Morderca był dzieckiem z dobrego domu. Synem profesora i pani inżynier. Nigdy nie brakowało mu niczego, do momentu aż życie kopnęło go w dupę. Potem nauczył się jednak myśleć, radzić sobie i jeździć maserati, a nie „środkami komunikacji”. Czasem jednak musiał. Kiedy wysiadał z autobusu, zwykle używał pół opakowania „Chanel Egoist”, żeby pozbyć się „atmosfery tłumu”. Potem z reguły szedł na piechotę do jakiegoś lumpeksu i kupował ciuchy. Nikt nie mógł go rozpoznać, nikt zapamiętać. To były najpiękniejsze chwile jego życia. Poznawał miasta na piechotę. Każde niby podobne do innych, każde mające swoją nieogarnialną duszę. A potem noc w podrzędnym (lub superluksusowym, w zależności od kaprysu) hoteliku, opowieści poderwanej dziewczyny o tym, jak Kaziu emablował Miecia albo że rajstopy z czegoś tam są lepsze

od czołgu pływającego Marines... czy jakoś tam. Nie słuchał, tylko potakiwał. Zawsze w nocy, gdy podrywka spała, wychodził do parku albo chociaż na skwerek. Chłonał atmosferę wokół. Był przekonany, że każde miasto można poznać jedynie po ciemku. Wiedział od razu, czy żyje, czy jest martwe, czy ludzie w nim mieszkający mają w sobie ikrę, czy już się poddali. Czasem rozmawiał z pijaczkami, czasem siedział kompletnie sam, aż rosa osiadła na ubraniu. Uwielbiał świt. Pogoda mu nie przeszkadzała. Ubrany w te wszystkie hi-techy, polary, goreteksy, windstopery, tkaniny oddychająco-nieprzepuszczalne, rozprowadzające równomiernie ciepło, z wkładkami antybakteryjnymi, mikrofiltrami, czuł się równie dobrze przy plus dwudziestu i minus dwudziestu. W suszy i podczas ulewy. Zawsze zastanawiał się, w jaki sposób jego buty potrafią odprowadzić nadmiar wilgoci na zewnątrz, będąc jednocześnie kompletnie nieprzemakalne. Ale to nieważne. Miał niesamowity zmysł obserwacji. Patrzył, podglądał, czuł, wyciągał wnioski. Dlatego wybrał Wrocław na miejsce, gdzie mógł żyć. Jedyne miasto tak popaprane, pochrzanione, wariackie, durnowate, wiecznie rozkopane i posrane. Było takie samo jak on. Nie zasypiało nigdy. Jak on. Żyło na pełnej prędkości. Jak on.

Nigdy nie wykonał żadnego kontraktu we Wrocławiu. Do czasu... W ogóle miał wrażenie, że będzie się musiał nareszcie zmierzyć z poważnym przeciwnikiem. A nie z jakimś idioten-durniem, który pozwalał się rozpracować w dziesięć sekund, a zabić w jedną. Miał straszną ochotę wyjść na

ulice miasta, które nigdy nie zasypiało. Nigdy nie przykładało głowy do poduszki. Teraz jednak czekało go zadanie. Tydzień temu wysypał kotu z kuwety najdroższy żwirek, jaki zwykle kupował w sklepie z artykułami dla zwierząt. Olbrzymi pers przyjął zmianę z dużą niechęcią. Dokładnie w chwili, kiedy zobaczył, że w swojej kuwecie zamiast pachnącego żwirku miał pomięte ubrania kupione w całej Polsce. Z wściekłości zaczął je drapać i rozdzierać pazurami. Musiał też zaznaczyć nowe terytorium, więc zaczął na nie sikać i trykać. Smród w mieszkaniu stałby się nie do zniesienia, gdyby nie najwyższej klasy klimatyzacja.

Morderca podszedł do kuwety i powąchał. Zmarszczył nos, czując mrowienie w zatokach. Ubranie na jutro również było gotowe.

Stał przed ogromnym, panoramicznym lustrem. Powoli rozebrał się do naga, rozrzucając zdejmowaną odzież byle gdzie. Pojutrze sprzątaczką zrobi z tym porządek. Dał jej tydzień wolnego i już zaczynał źle się czuć w bałaganie, który sam zrobił. Nie był narcyzem ani w ogóle jakimś szczególnym zwolennikiem swojego ciała, ale przyjrzał się uważnie własnemu odbiciu. Wziął własnej roboty złoty flamaster i zaczął

malować na skórze skomplikowane wzory. Flamaster napełniony był prawdziwym sproszkowanym złotem w odpowiedniej zawieszynie z kleju. Morderca po prostu nie lubił plątaniny kabli, która mogłaby krępować jego ruchy. Zwyczajnie malował złotem układ elektryczny sam na sobie. Wszystkie połączenia i odgałęzienia prowadzące do elementów, które przyklejał wprost do skóry. Baterie przykleił na wysokości nerek, kondensatory pod lewą pachą, ograniczniki spustów na brzuchu, elektronikę kamery pod pośladkami. Pod prawym przedramieniem przykleił sobie broń. Również własnej roboty dwulufową wiatrówkę. Wystarczyło rozmontować cztery sportowe pistolety, dostępne w każdym sklepie z bronią, jeśli ktoś miał choć odrobinę sprytu, nawet w Polsce. Ale on kupił najlepsze – czeskie. Wystarczyły mu lufy, bo pojemniki gazowe kupił w Dusseldorfie. Zamyślił się na chwilę. Czechy. Piękny kraj. Jeśli się mówiło płynnie w ich języku, można było kupić każdą broń bez problemu, a jak się mówiło mniej płynnie, to też każdą, tylko że drożej. Morderca znał czeski perfektnie. W wolnych chwilach nawet tłumaczył na polski z ich języka romantyczne powieści. Czasem zastanawiał się, jakich języków musieli uczyć się bohaterowie powieści Forsytha. Francuskiego? Flamandzkiego, holenderskiego, niemieckiego? On sam znał jedynie czeski, jednak w stopniu takim, że w Pradze brano go za tubylca, i w zupełności mu to wystarczało. Zawsze coś stamtąd przemycał, brał dodatkowo do bagażnika dwa, trzy litry wódki, żeby go na czymś złapali – chciał wyglądać na zwykłego. Ale przy tej unijnej granicy? Nigdy nic mu nie wytknięto na cie. Wódkę wyrzucał do najbliższego kosza albo stawiał na śmietniku pod swoim domem. No cóż. Rozpijał naród. A przynajmniej tę część, która grzebała po śmietnikach.

Sama broń też była szczególna. Cztery lufy zostały sklezione w dwie. Jedna obok drugiej, jak w dubeltówce. Pocisk, przelatując przez łączenie, uruchamiał dodatkowy elektryczny spust. Jeszcze jeden zbiornik z powietrzem dodawał mu przyspieszenia. Ot, „zrób to sam”. Każdy kretyn, który miał dostęp do Internetu, mógłby zrobić sobie coś takiego. Pociski też zresztą były specjalne. Wydrążone od środka, napełnione odrobiną mielonego szkła, z kropelką rtęci i stalową przybitką. Po uderzeniu w przeszkodę pocisk wnikał w nią i rozpadał się na małe kawałki. Stalowa przybitka działała jak tłok, doprowadzając do eksplozji mniej twardych elementów, które rozrywały pocisk, czyniąc z niego rodzaj miniaturowego granatu. Żaden chirurg nie mógł odnaleźć szkła ani rtęci w czaszce pacjenta. Morderca strzelał zawsze w miękkie części ciała. Konkretnie: w oko. Precyzji sprzyjały specjalne okulary – mikroskopijna kamera podczepiona do luf umocowanych na prawym przedramieniu przekazywała

obraz na soczewkę po lewej. Wystarczyło powoli poruszać ręką, żeby dokładnie namierzyć cel.

Druga soczewka pełniła rolę dalmierza, miała wytrawioną skalę zbliżeniową, dzięki której można było dokładnie odmierzyć odległość od celu. Potrzebny był jeszcze stały element, na podstawie którego można było obliczyć parametry. Ale jak to zrobić? Jeden jest gruby, drugi chudy, jeden wysoki, drugi niski... Morderca drugą podziałkę wyskalował na wielkość tęczówki. Wystarczyło podejść na tyle blisko, żeby zmieściła się między dwiema kresczkami. Lekkie ruchy prawą ręką, spojrzenie na obraz w drugiej soczewce i... przyciśnięcie spustu lewą dłonią w kieszeni spodni. Wystarczyło przez dziurę w kieszeni dotknąć jednego styku namalowanego złotem na udzie. Potem drugiego, jeśli zachodziła potrzeba. Miał tylko dwa strzały, przeładowanie broni zajmowało kilkanaście minut. Ale to mu zawsze wystarczało. Problemy pojawiały się, jeśli ofiara nosiła okulary. Wtedy podnosił je i strzelał z przyłożenia albo mierzył w tętnicę na szyi. Był dobrym anatomem. Kiedyś chciał być lekarzem i wiedza, którą nabył przed laty, niespodziewanie procentowała. Na szczęście jutrzejszy cel nie nosił okularów. Wiatrówka. Zero huku, zero podrzutu, zero odrzutu, jeden precyzyjny strzał, a kilka godzin później jakiś chirurg w szpitalu powie: „Nie miałem żadnych szans! Tu się nic nie dało zrobić! Szkło, rtęć, odłamki ołowiu... w mózgu?! Nie miałem żadnych szans!”. Ktoś zakryje denatowi twarz. Morderca nie denerwował się. Nie znał tego stanu. Nikt nigdy nawet nie miał choćby cienia podejrzeń w stosunku do niego. Nikt nigdy. Żaden z oficerów policji nie wpadł na jego trop. Pamiętał zlecenie na premiera Szwecji Olofa Palmego. Zastrzelił go na oczach tłumu ludzi wychodzących z kina, choć korzystał z innej broni. Nikt nawet go nie kojarzył. Nigdy nie był choćby podejrzanym. Rodzina Jaroszewiczów. Generał Papała. On tylko liczył pieniądze, kiedy policja szalała. Ach, wielka policja. Zbiór niedouków, pierdziśtołków, nieudaczników, marzących o karierze superkomandosów, na razie jednak szperających po kieszeniach drobnych złodziejasków. Czasami miał wrażenie, że gdyby zsumować IQ wszystkich funkcjonariuszy dowolnej komendy wojewódzkiej, to wyszedłby jakiś ułamek jego inteligencji.

Nikt nigdy.

Żaden z oficerów śledczych nie natrafił na żaden ślad jego działalności.

Morderca znowu spojrzał w lustro. Przełknął ślinę.

Nikt nigdy.

–Psiakrew! – Nigdy nie klął w gorszy sposób.

Nikt nigdy.

Poza jednym oficerem. Człowiekiem, którego tam nie powinno być. Wrażliwym, inteligentnym, posiadającym nieprawdopodobny wprost zmysł obserwacji. Wyciągającym racjonalne wnioski z chwil zadumy, ze swoich marzeń chyba. Ten facet był półbogiem. Kimś, kto nie powinien znaleźć się w policji. Wrażliwy inteligent, skupiony, skrupulatny, z błyskiem geniuszu, z mózgiem wyregulowanym lepiej niż zegar atomowy w Greenwich. Facet o mentalności dziecka, upierdliwy do niemożliwości, nieznający żadnych granic, dla którego Bogiem była wyłącznie logika. Szaleniec, gbur, zakochany w sobie intelektualista, wariat kompletny. Niekompetentny w prostych sprawach, leniwy, chlejący, żeby zapić żale. Niekonwencjonalny nonkonformista, widzący rzeczy, o których inni ludzie mogą tylko marzyć, żeby je zobaczyć. Marzyciel, dupek, z głową gdzieś na orbicie Marsa, a nogami tkwiącymi w piekle. Jak taki prawdziwek uchwalił się w policji, gdzie głównym zadaniem było posłuszne merdanie ogonkiem przed biurkiem szefa? Jak to jest, że facet, który nie potrafił sobie uprać koszuli, odkrył... Odkrył właśnie jego?

Morderca zaczął się ubierać w cuchnące kocim moczem ciuchy. Zabrał się za kolację, ale najpierw nalał sobie do kieliszka podłej wódki, żeby móc jedzenie w ogóle przełknąć. Na fotelu przed biurkiem rozścielił folię, żeby skóra na obiciu nie przeszła odorem szczyń. Tę noc spędzi bezsennie. Trudno. Lubił stare filmy, więc włączył sobie „Rio Bravo”, a na później przygotował „W

samo południe”.

Jutro też odbędzie się pojedynek. Pomiędzy nim a tym pochrzanionym kompletnie, porąbanym geniuszem z policji.

Staszewski był jedynym oficerem, który zdołał go rozpracować. Stał się prawdziwym problemem.

Morderca dotknął broni przyklejonej do przedramienia. No, ale problemy są po to, żeby je rozwiązywać.

Już jutro.

Staszewski teraz już robił to tylko dla siebie. Wiedział, że najbardziej prawdopodobnym rozwiązaniem jest to, że jutro umrze. Wszystko straci sens. Po co się więc starać? Tylko dla honoru, dla siebie i dla Rzeczypospolitej. Bo przecież nie dla tej chmary bab, które go otaczały. Mariola na początku walczyła z jego byłymi i potencjalnymi kochankami. Odbierała telefony, gasiła awantury, przekomarzała się,

zabijała nadzieję. Potem dała sobie spokój. Kiedy się pokłócili, wrednie pokazał jej dwa ostatnie SMS-y: „To był drugi telefon od Ciebie. Czy się znamy? Przedstaw się, proszę, a ja odwdzięczę się tym samym”. „Przepraszam, to chyba pomyłka? Jeśli naprawdę mnie znasz lub nie... Odpisz, proszę”.

Nie miał zielonego pojęcia, która to baba napisała. Nie pamiętał dokładnie, ale ostatnio dał numer telefonu dwóm dziewczynom na koncercie w klubie „Firlej”, kiedy poszedł do baru napić się soku. Legenda jego młodości właśnie zarzynała się na scenie, nie chciał na to patrzeć. Nudziło mu się, skądś przypełzł smutek. Nie zamierzał podrywać tych dwóch, tak tylko zagadał dla sportu. Żeby coś się działo. Widział, jak barmanka nalewała komuś wódkę, odmierzając ilość brudnym kieliszkiem, z którego przed chwilą pił ktoś inny. Spotkał Maćka z telewizji, pogadali o niczym. Wrócił na salę koncertową, gdzie legenda na scenie właśnie patrzyła na zegarek, żeby zobaczyć, ile jeszcze czasu zostało do końca odrobienia pańszczyzny. Nie lubił głośnych miejsc, żadnych dyskotek ani klubów, gdzie uszy wrywa wraz z mózgiem. Jego strongpointem było gadanie. A któraś z tych dwóch najwyraźniej połączyła nadzieję z facetem, który potrafi powiedzieć coś więcej niż „wow, jazzy, trendy i ousps”. Nie miał zielonego pojęcia, jak brzmiały imiona tych dziewczyn. Jedynie symulował, że zapisuje ich numery telefonów.

Ale ta myśl drążyła go bezustannie. Po co to zrobił? Dla sportu? A teraz inna rzecz nie dawała mu spokoju. Po co ryzykował życie, rozwiązując tę sprawę? Dla sportu? Po to, żeby pokazać, że jest największy, najbardziej genialny, potrafi przenikać mrok, jest najlepszą kurwą na rynku? Pokazać... Ale, Chryste, komu? Komu? Kto doceni, ile pracy w to włożył, ile wysiłku, ile dał z samego siebie? I po co? Żeby mu ktoś nad grobem powiedział: „byłeś wielki”? A co go to będzie obchodzić, kiedy już będzie martwy? A poza tym nikt nic takiego nie powie, bo słowa „Byłeś wielki” są zarezerwowane dla tych, którzy potrafili posłusznie merdać ogonkiem.

Więc dlaczego?

Dla honoru, dla siebie, dla Rzeczypospolitej. W honor nikt już nie wierzył. Myśląc o Rzeczypospolitej, większość Polaków chciała uciec do Dublina albo Berlina. A jego droga? Otchłań, Limbo, Szeol, Hades. Nie, nie, był żeglarzem. Parę ładnych razy pływał na Mazurach. Więc dla niego było Hilo albo Maui. Może Fiddlers Green? I sześć błota stóp.

No to dla siebie. Staszewski wyjął i zapalił kolejnego papierosa. Samemu sobie pokaże, że jest najlepszą kurwą na rynku. Wydmuchnął dym i spojrzał na halucynację w postaci Alberta Grunewalda.

–Była trzecia grupa oficerów prowadzących to śledztwo. Którzy uniknęli

„wybuchu” i nie popełnili samobójstwa. Lecz i tak już nie żyją. Poza moim skromnym przypadkiem.

–Jacy to byli oficerowie? – indagował Grunewald.

–Na przykład pan i ja. Coś nas uchroniło od tych przykrych dolegliwości. Mnie na pewno chronią silne środki antyhistaminowe. A pana...

–Właśnie.

–Nie wiem i pewnie się już nie dowiem. Może Helga?

–Helga? Moja służąca?

–Tak. Pamięta pan, jak wyszła z panem ze szpadelkiem w rękę, żeby pana bronić? Mnie broniła Mariola w hełmie, kamizelce kuloodpornej i z dwudziestkądwójką w kaburze. Ale nie o to chodzi. Ani pistolet, ani szpadek się nie przydały. Chodzi chyba o ich babski szósty zmysł. Mnie Mariola uratowała, gdy dostałem halucynacji, tu, na tym dziedzińcu, po raz pierwszy. Myślę, że z panem było podobnie.

–A ci oficerowie należący do trzeciej grupy?

–Tak jak mówiłem. To pan i ja. Paru innych. Oni sami zastawiali na siebie pułapki.

Miszczuk pociągnął wielki łyk ze swojej butelki z bimbrem. Jego to nie dotyczyło. „Wybuchł” kilkadziesiąt lat temu, kilka metrów od miejsca, gdzie teraz siedzieli.

–Nie ma żadnych śladów w dokumentach. Niczego nie napisał już pan w swoim pamiętniku – kontynuował Staszewski. – Znalazłem w aktach jedną rzecz. Tuż przed rosyjskim atakiem bombowym w okolicy mostów na Kochanowskiego... Boże, nie wiem, jak ta ulica się wtedy nazywała. Zatrzymali pana dwaj żołnierze w dziwnych mundurach. Myślę, że to byli spadochroniarze Göringa.

–Być może – powiedział Grunewald. – A pana zwiódł opis lufki w ustach jednego z nich. A może to nie oni mieli lufkę? Nie pamiętam...

–Tak. I sama sytuacja również mnie zwiódła.

–Ale do czego pan zmierza?

–Musiał pan się nimi zainteresować. „Dziwne mundury”. I pewnie przypadkowo wykrył pan jakieś przekrety. Poznał pan niemieckich komandosów, którzy dezercerowali z wojska i chcieli uniknąć rozpoznania.

–I?

–Pan sam ukartował własną śmierć. Grunewald wyjął swoją staroświecką papierośnicę. Nie otwierał jej, tylko stukał

nerwowo o nadgarstek lewej dłoni. Nie wiedział niczego więcej, niż zawierały pokłady pamięci w mózgu Staszewskiego. Był tylko halucynacją. Ale sprawiał piorunujące wrażenie.

–No dobrze – powiedział. – Wynająłem ich sam na siebie?

–Myślę, że odbyło się to prościej. Pewnie dostarczył im pan cywilne ciuchy i jakieś dokumenty. Powiedział, którędy najlepiej uciekać. A potem poszedł pan na ulicę Łaciarską i dał się zabić.

Grunewald odłożył papierośnicę na ławeczkę. Palcami delikatnie masował sobie brodę w zamyśleniu.

–Ciekawa teoria. Sam doprowadziłem do swojej śmierci?

–Przykro mi, ale chyba tak. Z tym że dusza policjanta dalej w panu tkwiła.

Ukartował pan wszystko w ten sposób, że tych dwóch dezercerów złapano i rozstrzelano kilkaset metrów dalej. – Staszewski uśmiechnął się lekko. – Pewnie dokumenty były źle podrobione, co?

Grunewald wzruszył ramionami.

–W moim pamiętniku jest wzmianka, że zajmowałem się tymi, którzy kradli dokumenty w szpitalach polowych. Ma pan chyba rację.

–A jak było z tobą? – wtrącił się Mischuk.

–Podobnie. Te chemikalia w gabinecie mają jakiś destrukcyjny wpływ na umysł. Nawet jeśli się nie jest alergikiem albo jest się pod ochroną najnowszych lekarstw. Traci się pamięć, działa jak somnambulik...

–A to przypadkiem nie alkohol? – Mischuk pociągnął kolejny łyk bimbrowy.

–Grunewald praktycznie nie pił, a miał to samo. I jestem przekonany, że sam to ukartował. Ja z własnych akt dowiedziałem się, że znalazłem groźnego mordercę. Ale tak zagmatwałem śledztwo, że on ciągle jest na wolności. Niczego nie pamiętam. Dałem papiery do sprawdzenia analitykowi z Warszawy, a ten był w szoku. Nie powiedział tego wprost, ale miał wrażenie, że sam zastawiłem na siebie pułapkę.

–Jak?

–Proste. Na wolności jest morderca, który wie, że mam na niego haka – zdenerwował się Staszewski. – Jaśniej tego powiedzieć się już nie da.

–No to cię stuknie. – Mischuk oderwał kawałek gazety, żeby zrobić skręta, ale po chwili zrezygnował i wziął papierosa od Grunewalda. – Zabije cię na mur, skoro taki dobry w swoim fachu.

–Najlepszy.

–A jak na to wpadłeś? – spytał Grunewald.

–Te chemikalia doprowadzały do dziwnych zmian w umyśle, ale coś jednak się broniło. Tak jak u pana. Nie jestem fachowcem i nie wiem, czy to podświadomość, czy jakiś prymitywny instynkt samozachowawczy... Jednak coś w moim mózgu usiłowało mi dać znać, że wszystkie sprawy idą nie tak.

–W jaki sposób?

–Trudno powiedzieć. Wszędzie widziałem trzynastki. Pechowa liczba. Widziałem je naprawdę wszędzie. Jeśli spojrzę na zegarek, to zawsze musiała być tam trzynastka, tak samo na programatorze pralki, kuchenki mikrofalowej, telewizora, radia, numeru autobusu czy dnia miesiąca.

–Ja też to miałem – powiedział Mischuk.

–I ja – dodał Grunewald.

–Wiem, czytałem wasze papiery. Jakaś część mojego organizmu usiłowała mnie ostrzec i, co gorsze, udzielało się to osobom w moim otoczeniu. Mariola na przykład wszędzie widziała nazwę miejscowości, w której mieszka moja poprzednia dziewczyna. W radiu, w TV, na rejestracjach samochodów. Wszędzie.

–A morderca?

–Właśnie. Jego sprawa w moich aktach miała sygnaturę: ble, ble, ble, łamane przez trzynaście. Mimo że nie wynikało to z kolejności.

Grunewald wstał ciężko i zamyślony zaczął przechadzać się między klombami.

–A Ostermann i von Kreutzky? Po co mieliby zabijać oficerów po wojnie?

–Oni obaj już nie żyją. Stworzyli coś, co pozwoliło przetrwać ich organizacji cały okres faszyzmu. – Staszewski wstał również. – A teraz... – Uśmiechnął się smutno. – Teraz to już tylko martwy, ślepo działający mechanizm.

Grunewald odpowiedział mu uśmiechem.

–Rozwiązał pan sprawę, nad którą głowiło się wielu oficerów od lat trzydziestych. Większość z nich zginęła tragicznie, nieliczni uciekli... Gratuluję panu.

–Eeee – odparł Mischuk. – I tak cię ten morderca zajebie.

–Zobaczmy, co przyniesie następny dzień.

Ruszył w stronę wyjścia. Po chwili zatrzymał się i odwrócił. Na dziedzińcu nie było nikogo. Słońce chowało się właśnie za dachami klasztornych budynków.

Zerwał kilka kwiatków i włożył do foliowego woreczka. Zamierzał je przekazać do analizy chemicznej. Miał wątpliwości, czy powinien ujawnić ten mechanizm i dać komuś do rąk tak straszliwą broń. Ostermann i von Kreutzky, dwaj cholerni geniusze. A może po prostu spalić kwiatki, wywieźć ziemię z dziedzińca i zburzyć pokój na komendzie pod jakimkolwiek pozorem? Ruszył do wyjścia. Ostermann i von Kreutzky. Dwóch ludzi przepelnionych marzeniami. Którzy nie chcieli słuchać wojskowych marszów ani werbli. Którzy nie mogli znieść tego, że znikają ich sąsiedzi, którzy nie lubili swądu płonących budynków. Chcieli po prostu mieć swój wielonarodowy Breslau na zawsze. Dwóch genialnych naukowców i ich Breslau forever.

–Udało wam się, chłopaki – mruknął, wychodząc na plac Nankiera. Rozejrzył się wokół. – Długo to trwało, ale Wrocław jest już taki, jak chcieliście.

Ruszył w stronę wozu specjalnego. Staszewski był jedynym oficerem policji, który nie uciekał, nie zginął, nie został wywieziony karawanem, tylko szedł ulicą Łaciarską w stronę przeciwną niż wszyscy dotąd. Od prawie osiemdziesięciu lat.

Hofman otworzył drzwi wozu.

–No i co? – spytał. – Doszedłeś do czegoś, mamrocząc do siebie na pustym dziedzińcu?

–Tak. Odwołaj wsparcie.

–Ok. Technik wyłączał wszystkie urządzenia.

–Ja nic nie zrozumiałem.

–I nie ma potrzeby. – Hofman uśmiechnął się słodko. – Wyjmij wszystkie dyski i daj Staszewskiemu.

–Ale to wbrew przepisom! – zachnął się technik.

–Milcz, kiedy starsi mówią. – Hofman sam ładował srebrne krążki do plastikowego pudełka.

Cholerny fachowiec. On jeden dobrze wiedział, że te zapisy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Wydarł stronę z dziennika operacyjnego specsamochoodu. Później zapełni następną jakimś ble, ble, żeby rozliczyć dzień. Podał pełne pudełko Staszewskiemu. Ten również się uśmiechnął. Czasami miał wrażenie, że w całej komendzie jest tylko dwóch oficerów, którzy potrafią myśleć perspektywicznie.

Szybko przeliczył dyski. Było ich trzynaście.

Policjant dyżurny w komendzie wojewódzkiej wstał na widok Staszewskiego.

–Pan zastępca komendanta chce pana widzieć – zameldował.

–To się dobrze składa, bo ja go też.

–Aha – policjant coś sobie przypomniał. – Złapali tych dwóch dowcipnisiów, którzy dzwonili do różnych ludzi. No ci, którzy mówili, że porwali pańską żonę. Dwaj główniarze, już siedzą. Powiedzieć im coś od pana?

–Tak. Ochrzanić, że nie porwali żony naprawdę. Policjant roześmiał się i zasalutował.

–Będzie zrobione. Już my im damy... Staszewski przebiegł kilkadziesiąt schodów w supernowoczesnym, jak na

ówczesne czasy, budynku niemieckiej policji. Choć i dzisiaj wzbudzały podziw. A na pewno zadyszkę. Domyślał się, że w sekretariacie zastępcy będzie musiał odsiedzieć swoje pół godziny. Zastępca był człowiekiem starej daty i chciał, żeby wszyscy podwładni odczuli moc jego władzy. Choćby przez oczekiwanie w towarzystwie równie znudzonych kolegów. Staszewski jednak dostąpił

wyjatkowego zaszczytu. Wezwano go już po dwudziestu minutach.

– Witam pana. – Zastępca komendanta siedział w ogromnym gabinecie mogącym pomieścić nawet siedzibę niewielkiej prywatnej firmy. Niemcy mieli rozmach, projektując to wszystko. Staszewski odniósł wrażenie, że znajduje się w minikatedrze.

– No cóż, mam z panem do pogadania.

Staszewski przerwał mu jednak:

– Ja też. Właśnie rozwiązałem sprawę, nad którą ślęczeli oficerowie pracujący w tym budynku od osiemdziesięciu lat. Większość zginęła, niewielkiej części udało się uciec. A ja to rozgryzłem.

– To się chwali. To się chwali – powiedział smętnie zastępca.

– Mam też mordercę, który załatwił generała Pupałę i rodzinę Jaroszewiczów. Mam człowieka, który zastrzelił Olofa Palmego.

– Nie, nie, nie. – Zastępca zmienił ton na ostry. – My się w politykę nie mieszamy.

Staszewski przez chwilę miał wrażenie, że śni. Albo że urzędnik naprzeciw jest po prostu głuchy. Ewentualnie toczyła się tu gra, której zasad nie znał. Uspokoił się natychmiast, jak zawsze przed akcją. Mówił teraz już cicho i spokojnie.

– To nie polityka. Mam cyngla, który załatwił Pupałę, Jaroszewiczów i premiera Szwecji. Którego specsłużby wynajmowały do czego...

– A w to to my się już zupełnie nie mieszamy! – zastępca przerwał mu gwałtownie. Przez chwilę wyglądał na zdenerwowanego, ale uspokoił się równie szybko jak Staszewski. Nie był więc taki do końca zły. Był po prostu nieudacznikiem.

– Wezwałem pana w innej sprawie.

Spokój. Spokój jest kluczem do rozwiązywania wszystkich spraw. Spokój uzdrowia, pozwala panować nad sytuacją.

– Mówię niewyraźnie? – Staszewski zaczynał się dobrze bawić. Już mniej więcej wiedział, o co chodzi. – Rozwiązałem sprawę, w której zginęło już wielu oficerów kripo, milicji, UB, policji i...

– A kogo to obchodzi? – zastępca postanowił być zupełnie szczery.

Staszewski uśmiechnął się promiennie.

– Kogo to obchodzi? – powtórzył oficer za biurkiem, zdejmując okulary. – Proszę pana – przeszedł do rzeczy – muszę pana zwolnić z pracy.

Staszewski spojrział przez okno. Słońce odbijało się w fosie, jedynej pozostałości systemu obrony Wrocławia, który to system kazał zniszczyć Napoleon Bonaparte.

– Oczywiście chcę pójść na ugodę. Żadnej dyscyplinarki – kontynuował zastępca. – Trzymiesięczne wypowiedzenie, zaległe urlopy. Trzynasta pensja.

– Z fachowców pozostanie panu tylko Hofman. Może Korzeniowski. A potem już tylko sprzątaczką.

– Proszę nie kpić. Hofmanem też się zajmiemy. – Niechący łokciem strącił teczkę personalną Staszewskiego. Pod spodem rzeczywiście leżała teczka Hofmana. – Nonkonformiści – zastępca dowiódł, że obce słowa nie są mu tak do końca obce, choć przez chwilę zastanawiał się nad tym, co właśnie powiedział. – To jest partyzantka, a nie uczciwa praca policjanta!

– Trochę wydaje mi się, że śnię. Przecież rozwiązuję najgorsze sprawy. Takie, których nikt inny nawet nie umie ruszyć.

– Ale ile pan ich rozwiązuje? Jedną? Dwie rocznie? Pięć? A ja tu mam aspiranta Józwiaka, który potrafi rozwiązać w tym czasie trzydzieści spraw!

To już były czyste pogaduszki. Zwykle słowne przepychanki. Z tym że Staszewski nawet nie przepychał. Zrozumiał i bawił się świetnie. Był tym żołnierzem w okopie, który pierwszy zrozumiał, że dowództwo nie przyśle mu wsparcia artylerii, tylko strzeli w plecy. Żaden problem. Chcą? Mają.

–Ach... tego, co podnosi wartość skradzionych psów do takiej kwoty, żeby z wykroczenia zrobiło się przestępstwo. Potem łapie hycła amatora, bo mu go sąsiedzi palcem wskazują, i ma wykrywalność rzędu sto procent.

–Proszę nie kpić! – Zastępca komendanta uderzył pięścią w blat biurka. – On ma wielkie osiągnięcia! A nawet pisze artykuły naukowe.

–Chyba czytałem. Kilkanaście artykułów w piśmie „Policja dzieciom”. O tym, że nie wolno dotykać znalezionych niewybuchów i nie należy iść do parku z nieznanym, który daje cukierki. – Staszewski zamyślił się na chwilę. – To jak to jest w końcu? Można dotykać niewybuchów i przy nich majstrować czy nie? On to rozstrzygnął?

–Proszę przestać. Józwiak zostanie inspektorem, który podwyższy nam współczynnik wykrywalności. A nie jak pan, który grzebie się w sprawach z lat trzydziestych. Proszę opróżnić swój pokój. On tam będzie siedział.

–Teraz rozumiem. – Staszewski założył nogę na nogę. – Potrzebny jest mój wolny etat. Ponieważ Józwiak jest synem siostry komendanta. I musi mieć odpowiedni gabinet... – Przygryzł wargę. – A na miejsce Hofmana to chyba zatrudnią zięcia kuzyna matki pasierba. Ja ciągle o szefie.

Zastępca przeszedł na ton oficjalny.

–Ciężą na panu następujące zarzuty. Nie przychodzi pan regularnie do pracy. Na korytarzach szepcze się wręcz o panu „hrabia Staszewski”. Jeśli chce, to jest, jeśli nie chce, to go nie ma.

–Rozumiem, że pan sprząta te korytarze i wszystko słyszy.

–Poza tym – kontynuował niewzruszony zastępca – na akademię z okazji osiemnastolecia wydziału przyszedł pan nie jak inni w mundurze czy garniturze, tylko w czerwonej bluzie i trampkach!

–Proszę pana. Trampki nie produkuje się od jakichś dwudziestu lat. To były adidas.

–Nieistotne. Poprawimy w piśmie na: „w obuwiu sportowym”! Drugie: gdy się u nas załgał nietoperz i wisiał u sufitu...

–U powały – przerwał mu Staszewski. – Albo pod sufitem. Dbajmy trochę o język polski.

–Nieistotne! Gdy ten nietoperz tam wisiał, to pan pod spodem sporządził tablicę z napisem: „Batman! Jesteś ostatnią nadzieją policji”!

–Przepraszam, ale tablicę „sporządziłem” w gabinecie.

Kpił sobie w najlepsze. Jak w każdej instytucji państwowej fachowcy nie byli potrzebni. Potrzebowano wiernych i biernych.

–Nieistotne. Przyjechała nawet telewizja i sfilmowała. Pan nas ośmiesza.

–Ależ skąd – zakpił otwarcie Staszewski. – Jak Rejtan broniłem wejścia do pańskiego gabinetu.

Zastępca na szczęście nie zrozumiał.

–A poza tym często czuć było od pana alkohol! O! W tej chwili nawet czuję!

–To akurat niemożliwe. – Staszewski nachylił się nad biurkiem i powąchał. – Ale rzeczywiście czuć wódkę w tym pomieszczeniu.

–O, przepraszam – wyrwało się zastępcy komendanta. Odruchowo zasłonił usta. – Miałem dzisiaj oficjalne spotkanie. I trochę musieliśmy...

–Znaczący schlał się pan o trzynastej, według kodeksu Jaruzelskiego?

–Wypraszam sobie! A co do pana, to mam jeszcze jeden zarzut!

–Słucham.

–Przyszedł do pana poszkodowany rolnik. I rzucił panu na biurko martwą kurę! A pan nawet nie zerknął!

Staszewski rechotał w duchu.

–Miałem odmówić requiem?

–Pan powiedział na widok denata: „Wydział zabójstw piętro wyżej”! – zastępca rzucił miażdżący argument. – A poszkodowanym był krewny komendanta!!!

–Rozumiem – powiedział Staszewski. – Mój etat jest potrzebny, żeby awansować Józwiaka. Powinniśmy zmienić nazwę z komendy policji na „komendę rodzinną”,

–Widzę, że dalsza rozmowa z panem nie ma sensu. Proszę złożyć broń w magazynie i oddać odznakę. Jak mówiłem, nie będziemy się wyzwierzczać.

Trzymiesięczna odprawa, zaległe urlopy, trzynastka... Wszystko będzie pańskie.

Akurat, pomyślał Staszewski. Powiedział jednak tylko:

–Mam trzy nagrody dla najlepszego oficera śledczego. Rozwiązałem sprawę, dla której ginęli oficerowie pracujący w tym budynku od lat trzydziestych. Mam na widelcu zawodowego mordercę, który załatwił premiera Szwecji, rodzinę Jaroszewiczów i generała Papałę. – Zrobił dramatyczną przerwę, a potem uśmiechnął się szeroko. – Wiem, że pracowałem w instytucji zwanej...

Komendant przerwał mu natychmiast.

–To się chwali – powtórzył. – Jednak Józwiak ma jedenaście nagród.

–Za te skradzione kundły, co połapał? – drwił Staszewski. – Czy za pracę

naukową: „Jak przechodzić po pasach przez jezdnię”?

–Proszę nie utrudniać. Proszę oddać dyski z danymi, które pan ma.

Staszewski sprawdził dyskretnie, czy pudełko wciąż znajduje się w kieszeni udowej wojskowych spodni. Tkwiło na posterunku.

–Gdzieś mi się zapodziały. Ale znajdę przy okazji. A jak nie, to Józwiak znajdzie.

Uśmiechnął się szeroko. Niczym na amerykańskim filmie położył na biurku

pistolet i odznakę. Nie chciało mu się po prostu chodzić do magazynu. Wyszedł, starannie zamykając drzwi.

Znowu te cholerne schody. Krótki marsz korytarzem. Sprzątaczkę patrzyły na niego spod oka. Wieści na komendzie rozchodziły się szybko. Wyczuwał we wzroku kobiet pogardę. Trzasnął drzwiami własnego gabinetu. A właściwie to już gabinetu Józwiaka. Nie miał wielu rzeczy. Kilka obrazków na ścianie, pół tony łusek ze strzelnicy, ale te postanowił zostawić. Kilka listów od dziewczyn, ale tych też wolał nie zabierać. Podarł i wrzucił do kosza. Dwa tanie długopisy. Notesik. Też podarł. Nic ważnego. Zegarek w firmowym opakowaniu – nagroda od ówczesnego komendanta z czasów, kiedy zaczynał. Wrzucił do kosza. Dyplomy, nagrody, stare, wyszczerbione ołówki, gumki, zapisane kartki. Do kosza. No i kolekcja. Trzymał ją w pracy, bo w domu się wstydził. Po prostu każdą napotkaną kobietę, z którą coś go łączyło, prosił o pamiątkę „czasu wspólnych, szczęśliwych chwil”. Miał w pudle z napisem IBM Computer sporą kolekcję damskich majtek, staników, nocnych koszul. Zawsze za pamiątkę odpłacał z nawiązką. I teraz głupio – ani wziąć, ani zostawić.

Usiadł za biurkiem. Podniósł słuchawkę i wystukał numer na małej centralce Siemens.

–Hofman, słucham.

–Cześć, stary.

–A, witam bezrobotnego.

–Aż tak szybko?

–Komenda aż huczy. Światłowodem nie byłoby szybciej.

–Wiesz, że ty jesteś następny? Hofman roześmiał się głośno.

–Czy ty mnie masz za idiotę? Pewnie, że wiem. Mój etat też jest potrzebny pupilkom szefa, a konkretnie: jego rodzinie.

–Bo wiesz. Jakby co, mam nagraną robotę w Berlinie. Wystarczy dla dwóch.

–Weź się przestań stresować. Popatrz, jak nam się świetnie zrymowało. Ty masz nagraną robotę w Berlinie, a ja w Dublinie. Będziemy spotykać się w Paryżu.

Staszewski roześmiał się i odłożył słuchawkę. Po chwili podniósł ją znowu. Zarezerwował bilet do Berlina. Płatność kartą. Potem wystukał numer do znajomego adwokata.

–Cześć, stary. Właśnie mnie wywalili z pracy.

–Och, jak ja lubię takie sprawy – rozległo się w słuchawce. – Kasa za nic... Te instytucje państwowe są takie bezbronne.

–Komenda policji jest bezbronna?

–Jak każda instytucja państwowa. Toż jełop na jełopie tam siedzi, nie ubliżając tobie osobiście. A kadrami pewnie rządzi córeczka, wnuczka, siostra, powinowata szefa albo jego kumpla?

–Jakbyś zgadł.

–Ja nie zgaduję. Podpisałeś coś?

–Nic.

–No to mamy ich na widelcu. Wezwij lekarza.

–Po co?

–Powiedz, że cię dupa boli od siedzenia na krześle. Albo że popielniczka stała za daleko i spaliłeś sobie papierosem palce. Weź zwolnienie.

–Jak długo?

–Przez rok. Tydzień po tygodniu. A potem wystąpimy o roczny urlop dla poratowania zdrowia. Potem jeszcze trzy miesiące wypowiedzenia i zaległe urlopy, ale skoro w kadrach siedzi jakaś idiotka, to na pewno namiesza w papierach i ją złapiemy na kolejne dwa lata. Spoko wodza. Będą ci płacić przez kilka lat za to, że nic nie robisz. – Adwokat miał swój dobry dzień. – Ale ja chcę od tego dziesięć procent.

–Masz.

Westchnienie brzmiące niczym mruczenie kota, który zobaczył mysz w zasięgu pazurów.

–Mam? Naprawdę?

–Tak.

–No to ty masz kilkuletni urlop w pełni płatny. Załatwione. Tym razem Staszewski usłyszał ziewnięcie.

–Dzięki.

–A za co? Ty mi lepiej podaj numer konta, z którego będziesz odprowadzał moje dziesięć procent. Uwielbiam sprawy przeciwko klinicznym kretynom pracującym w państwowych instytucjach. – Adwokat miał świetny humor. – Powinowata szefa, mówisz? Szkoda, że nie zażądałem dwudziestu procent. Przecież oni będą cię utrzymywać do końca życia.

–Co?

–Renta, choroba zawodowa. Państwo polskie nie chce ci płacić za to, że coś robisz, to będzie płacić za to, że nic nie robisz. Boże! Uwielbiam proste sprawy. – Śmiał się w najlepsze. – Kadrowa to powinowata szefa z tatusinego awansu? Skończę ją w trzy sekundy. Ale za to chcę sportowy

samochód.

–Mówiłeś, że dziesięć procent.

–Na jedno wychodzi. Puszczę ich w samych skarpetkach. – Ciągłe się śmiał. – Muszę kończyć, bo chcę pojeździć po dealerach i wybrać sobie odpowiedni model autka.

–Dobra. Dzięki.

–To ja dziękuję. Nie co dzień pieniążki wskakują same do kieszonki. To ja dziękuję, naprawdę.

Staszewski odłożył słuchawkę. Ostermann i von Kreutzky. Tylko to tak naprawdę miał w głowie. Rozejrzył się po swoim byłym gabinecie. Która to ściana? Którą malowali Ostermann, von Kreutzky i Glass pamiętnej nocy w maskach przeciwigazowych? I to tak, że mechanizm działa dalej, nawet po osiemdziesięciu bez mała latach? Boże! Jak prosta była odpowiedź. Spojrzył w prawo. To była ta ściana, na którą padało słońce z panoramicznych okien. Podgrzewana codziennie farba. Wiele późniejszych warstw nie potrafiło zapobiec wydzielaniu się oparów. Ta ściana była codziennie podgrzewana. Czuł obecność tamtych ludzi. Czuł ich genialną mechanikę, która, ciągle sprawna, brnęła przez otchłanie czasu i dalej pełniła swoje zadanie, choć jej autorzy spoczywali od dawna w grobach. Chciałby się z nimi zaprzyjaźnić, bo też pragnął ich Breslau forever. Wrocławia na zawsze. Takiego, jaki już znowu jest. Bez werbli faszystowsko-komunistycznych, ale za to z Pomarańczową Alternatywą, która zmiotła kolejny totalitaryzm z powierzchni ziemi bez żadnych strat własnych. Breslau-Wrocław nigdy się nie poddawał. A jeśli już, to jako ostatni. Rozmyślenia przerwała mu sprzątaczką.

–Przepraszam – otworzyła drzwi – ale muszę tu posprzątać. Zabrał pan już swoje rzeczy?

–Tak.

–Bo zaraz przyjdzie tu aspirant Józwiak.

–A gdzie on teraz jest?

Sprzątaczką postanowiła okazać Staszewskiemu swoją władzę. Chwilową, daną na mocy decyzji szefa, kiedy to on jest zwolniony, a ona w prawie. Odparła:

–W pracy! A nie tak jak pan. Nie wiadomo gdzie. Uśmiechnął się lekko do małej nie w sensie fizycznym kobiety.

–Myśli pani, że aspirant Józwiak jest lepszym oficerem niż ja?

–On jest codziennie w pracy. Uczciwie robi swoje. A nie jak pan. Przerwał jej:

–Jest lepszy ode mnie czy nie? Zerknęła zaskoczona znad swojego kubła ze szmatami.

–Co pan chce? – spytała rozeźlona. Ta wyższość człowieka, który tkwił gdzieś na dole drabiny społecznej i nagle zyskuje władzę nad tym, który spadł z okolic bliskich szczytu. Zemsta! – Jest lepszy. Jest codziennie w pracy. Przykłada się do obowiązków.

Nie wiadomo, co go podkusiło. Wstał, wziął z półki kryształowy wazon, który dostał od komendanta w nagrodę za piętnaście lat służby. Opłukał go w podręcznej umywalce, wytarł, napełnił świeżą wodą i postawił na biurku. Z kieszeni wyjął foliową torebkę z kwiatkami wziętymi do analizy z klasztornej dziedzińca. Wstawił kwiatki do wazonu.

–Ładne? Niech pani powącha. Powąchała durna.

–Ładnie pachną.

–No to jeżeli Józwiak jest choć w części tak dobry jak ja, ma mniej więcej tydzień na rozwiązanie tej sprawy. Jeśli nie jest tak dobry, to i on, i pani spotkacie się niedługo w piekle. Naocznie przekona się pani, kto tu jest naprawdę oficerem. Otworzył drzwi, ale zatrzymał się jeszcze na moment.

–Aha. I niech pani przetrze południową ścianę gabinetu mokrą szmatą. Tam się

zebrało sporo kurzu.

Zastanowił się moment.

–Południowa ściana to ta tutaj. – Wskazał palcem, bo uzmysłowił sobie, że sprzątaczką może po prostu tego nie wiedzieć.

Ostatni raz zerknął na ścianę i na kwiatki w wazonie.

Armagedon. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego zabił Bogu ducha winnego Józwiaka i sprzątaczkę.

„Rio Bravo”, „High Noon”, czyli „W samo południe”, „Unforgiven”, czyli „Bez przebaczenia”. Nie pamiętał już, jaki film opisywał Borowicz. Staszewski robił teraz przegląd tytułów w myślach, idąc na spotkanie ze swoim przeznaczeniem. On sam musiał wyjść na ulicę przed komendą. Nie taką jak na Dzikim Zachodzie – pustą, piaszczystą, gdzie ludzie w okolicznych domach zamykali okna, widząc zmierzających ku sobie rewolwerowców. Ta ulica była brukowana, z niekończącą się lawiną aut, a okien nikt nie zamykał. Były zawsze zamknięte z powodu hałasu silników i klimatyzacji wewnątrz budynku. Z trudem przedostał się na drugą stronę jezdni. Na dachu samochodu postawił laptopa i wsunął do kieszeni czytnika pierwszy dysk. Komputer zaczął szyfrować dane.

Z kieszeni wyciągnął komórkę. Dotknął tylko dwóch przycisków. Szykował się do tej rozmowy od dawna.

–Grufi Gott, hier Witek Müller, Privatdetektiv.

–Cześć, stary. Twoja oferta ciągle aktualna? Mężczyznę po drugiej stronie dosłownie zapowietrzyło.

–Co? Co? – mówił niezbornie. – O Jezu! Naprawdę chcesz przyjechać?

–Kiedy mam być? Dzisiaj? Długa chwila ciszy.

–Jezus. Ty mówisz poważnie?

–Tak.

–Chryste! Człowieku, pewnie, że dzisiaj. – Witek nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. – Twoja pensja razy dziesięć, mieszkanie na tydzień, później kupię ci willę. Samochód, sprzęt i wszystkie duperele. Premia od każdej rozwiązanej sprawy w wysokości samochodu. I przysięgam, żadnych spraw rozwodowych, żadnego ślęczenia w bramie czy w wymarznętym samochodzie i robienia zdjęć. Bierzesz tylko porwania, zabójstwa, zemsty rodzinne, sprawy spadkowe z morderstwem w tle.

–Biorę.

–Sławek – Witek nie mógł się otrząsnąć – czy mogę stanąć przed lustrem i powiedzieć sobie, że mam w stajni najlepszego oficera śledczego w Polsce?

–Bez przesadnych komplementów. – Chwila zastanowienia. – Możesz.

–No to czekam na ciebie wieczorem. Z komitetem powitalnym. Spodoba ci się tłumaczka, bo w twoim typie. Duża, rosła, postawna... Cycuchy tam, gdzie trzeba, i wielkości tej, co trzeba. Typowa Niemka, śliczna. Taka do schrupania.

–Przestań. Przyjadę pociągiem Wrocław – Berlin.

–Będziemy czekali.

–I jeszcze jedna sprawa. Muszę ci wysłać moją polisę ubezpieczeniową. Przyjaciel domyślił się błyskawicznie.

–Dobra. Ślij, tylko zaszyfruj.

–Właśnie to robię.

–Jakie hasło?

–Odpowiedź na pytanie: „Co piliśmy w trakcie naszego ostatniego spotkania?”. W

mianowniku, żeby uniknąć meandrów języka polskiego. Odpowiedz jak najprościej.

–Dobra. Rozumiem.

Ostatnio spotkali się na dworcu. Rozmawiali przez minutę. Hasło więc brzmiało:

„Nic nie piliśmy”. Teoretycznie można byłoby użyć słowa „niczego” zamiast „nic” i dlatego poprosił o najprostszą formę. Witek domyślił się od razu.

–Nie ma sprawy. Odbieram.

Staszewski odłożył telefon. Podpiął go do laptopa na dachu samochodu.

Uruchomił połączenie. Powoli, jakby bał się wykonywać gwałtowne ruchy, wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Nie chciało mu się palić. Rozglądał się wokół. Ulica nie przypominała tej z czasów Dzikiego Zachodu – za dużo samochodów. Zmieniał w laptopie dyski, jeden za drugim. Pojedynek na Main Street. Uśmiechnął się. Tyle że

jeden z rewolwerowców nie miał nawet pistoletu. E tam! W razie czego napluje tamtemu w oko.

Staszewskiego owionęła fala smrodu. Odruchowo odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na zapitego staruszka, który ledwie trzymał się na nogach. Tak jak wszyscy. To była pierwsza konstatacja. Bo on tak chce – druga. Wystająca z kieszeni butelka wódki, nędzne, porwane ubranie, sękaty kij, dwie wyszargane torby zwisające z ramienia, wypełnione jakimiś klamotami. I ten smród. Właśnie tego chciał staruszek. Żeby się ludzie od niego odruchowo odwracali. I kolejna myśl. Przecież jeśli jest tak biedny, to nie może mieć butelki wódki.

Pojedynek!

Odwrócił się do niego przodem. Gonitwa myśli. To przecież nie idiota. Na pewno rozpracował cel i właśnie tego chciał!

Staszewski wyjął z kieszeni i założył przeciwsłoneczne okulary. Miał ich całą kolekcję. Od zwykłych górien za kilkanaście złotych po specjalne do wspinaczki wysokogórskiej za czterysta. Takich nie przebije kula kalibru cztery i pół milimetra. Dłonią zasłonił gardło.

Najwyżej będzie miał poważnie poranioną rękę osłaniającą tętnice szyjne. Ubrania, czyli T-shirta i lekkiej kurtki, śrut z wiatrówki też nie przebije. A przynajmniej Staszewski miał taką nadzieję. Sam widział, jak sportowy pistolet potrafił przebić metalowe puszkę po konserwach na wylot. A morderca na pewno miał lepszą broń.

–Impas, co? – powiedział głośno.

Czy tak wyglądał pojedynek na Dzikim Zachodzie? Morderca podniósł rękę.

Staszewski dorzucił jeszcze:

–Moja polisa ubezpieczeniowa właśnie wędruje do Berlina, przez australijski serwer.

Morderca zerknął w bok. Musiał zobaczyć coś w kępie krzaków rosnących na skarpie przy fosie. Nagle opuścił rękę, odwrócił się i odszedł, kuśtykając. Ludzie odwracali od niego głowy.

Pociągiem tej samej relacji przyjechali do Breslau Ostermann i von Kreutzky. Tędy wyjeżdżał Kuger. Podobny pociąg wiozł Borowicza i Wasiaka.

Staszewski odmówił przyjęcia lurowatej kawy i ciasteczka serwowanych przez obsługę Eurocity. Mimo wczesnej pory, była dwunasta dwadzieścia trzy (a nie dwunasta trzynaście na przykład), chciało mu się spać. Nerwy sprawiały, że dosłownie kleiły mu się powieki. O szóstej będzie dopiero w Berlin Ostbahnhof. Tak przynajmniej pokazywał mu palmtop. Miał nadzieję, że polskie karty kredytowe są tam honorowane i będzie go stać na taksówkę. Przysypiał z głową na wezgielciu przepastnego fotela wagonu pierwszej klasy. Z nudów przeglądał witryny internetowe w swoim telefonie. Nuda, nuda, nuda... Nagle jednak trafił na portal www.rozaniec.pl. Choć był ateistą, zajrzał z ciekawości i zaczął czytać.

Załóżmy, że bogobojna kobieta odmawia różaniec codziennie oraz że zaczęła w wieku 10 lat, a skończyła w wieku 80 lat, kiedy zaczyna się u niej starcza demencja. Odmawiała więc różaniec codziennie przez siedemdziesiąt lat. Ile różańców odmówiła? Dwa tysiące pięćset pięćdziesiąt! Imponujący wynik? Wydaje się, że tak. Ale zakładając, że robiła to uczciwie, zajęło jej to 2550 godzin, a więc 1065 dób. Daje to prawie trzy lata wyrwane z życia. Czy chciałbyś dostać trzyletni wyrok i odsiedzieć go w więzieniu, powtarzając przez cały czas tę samą czynność? Chyba nie.

Załóżmy, że któraś z kobiet jest wyjątkową dewotką i odmawia pięć różańców dziennie. Załóżmy, że jest fachowcem i odmówienie jednego zajmuje jej tylko dwadzieścia minut. Odmawia jednak sto dwadzieścia siedem tysięcy siedemset pięćdziesiąt różańców. Imponujące, prawda? Niekoniecznie.

Bla, bla, bla...

Czy jest inna droga chwalenia naszego Pana? Czy jest inna droga w zanoszeniu próśb o spełnienie naszych marzeń, potrzeb, poratowanie w chorobie i nieszczęściu oraz zbawienie naszej duszy? Oczywiście! Ale czy chce Ci się modlić przez kilkanaście lat? Czy liczba ponad stu dwudziestu tysięcy robi na Tobie wrażenie? Nie. U nas w serwisie www.rozaniec.pl supernowoczesny komputer odmówi za Ciebie miliard różańców w ciągu sekundy! Czytaj powoli: W Twojej intencji miliard różańców w przeciągu sekundy! Za jedyne złoty dwadzieścia dwa grosze brutto. Płatność smsem.

Czyż nie jesteśmy najlepsi na religijnym rynku?

A może masz wątpliwości?

Opłata za modlitwę na przykład. A księdzu nie płacisz za mszę w Twojej intencji? Nie płacisz za ślub, poświęcenie domu, pogrzeb?

A może myślisz, że urządzenie mechaniczne nie może się za Ciebie modlić? Czy słyszałeś o religii Tybetu i ich słynnych młynkach modlitewnych? Wystarczy wprawić je w ruch ręcznie, przy pomocy wody lub prądu elektrycznego i już same modlą się za Ciebie. Podobnie jest w wielu religiach świata. A może myślisz, że katolicy tego nie robią? Wprost przeciwnie. Robią. Czyż nie zapaliłeś nigdy choćby świeczki w intencji zmarłego na grobie? Kupiłeś świeczkę, a ona pali się w intencji zmarłego długo po tym, jak ty już jesteś gdzie indziej i myślisz o czymś innym...

A może przeraża cię liczba różańców odmawianych przez nasz komputer? Może to niezgodne z tradycją katolicką? A czyż w średniowiecznej Francji nie zamawiano stu tysięcy mszy za zbawienie duszy? Wiesz, ilu zakonników musiało je odprawiać i jak długo? Ile to kosztowało? Ale my szanujemy cudzy czas i pieniądze!

Miliard różańców w ciągu sekundy (za jedyne 1,22 pln brutto) – a jak zamówisz minutę, to w promocji masz sześćdziesiąt miliardów różańców za pięć złotych plus VAT (za dodatkową opłatą manipulacyjną 4 złote wystawiamy faktury i przysyłamy potwierdzenie – wydruk z komputera określający liczbę modlitw za Ciebie).

Pamiętaj: Jaka jest pojemność pamięci Boga? Ilu różańców jest w stanie wysłuchać? Jeśli sprawia cuda, to prawdopodobnie musi wybierać te z próśb, które spełni, wyłącznie losowo z całej masy, którą wysyła mu ludzkość.

Wybieraj więc: siedemdziesiąt lat modlitw i marne sto tysięcy czy sekunda u nas i miliard próśb skierowanych do Boga. Kto ma większą szansę na to, że spełnienie WŁAŚNIE JEGO PROŚBY ZOSTANIE WYLOSOWANE?

Nasz komputer „eXXXtreme plus” sprawi, że boski cud może stać się realny. Że zapewnisz sobie większe szanse niż człowiek, który modlił się klasycznie przez 70 lat. Pamiętaj, że komputer Cię nie oszuka. Będzie się modlił, nie ziewając w trakcie. Komputer nie może kłamać, robić swojego

byłe jak, myśląc w trakcie o czymś innym.

Jeszcze się wahasz? Zamów godzinę (superpromocja: 50 złotych plus VAT), a uzyskasz liczbę różańców odmówionych za Ciebie większą niż ilość gwiazd w kosmosie, większą od ilości wszystkich ziarenek piasku na naszej planecie, bo w promocji dostajesz całą niewykorzystaną przez innych użytkowników moc procesora. Ta liczba nie zmieści się na wyświetlaczu Twojego kalkulatora.

Tak jak nie można porównywać siły ludzkich mięśni z ciężkim buldożerem, tak nie można porównywać mocy sprawczej ludzkiego mózgu z naszym superkomputerem „eXXXtreme plus”!

Zamów dobę! Czy wiesz, że tej liczby jeszcze nikt na świecie nawet nie wypowiedział? Nikt sobie nawet nie wyobraził?

Staszewski, śmiejąc się w duchu, zamówił sobie minutę. Pięć złotych to nawet z VAT-em nie pieniądze. Sześćdziesiąt miliardów różańców w jego intencji właśnie zaczęło być odmawiane. Patrzył na zmieniające się na wyświetlaczu co sekundę liczby. Rozbawiony wyciągnął papierosa, ale nie zapalił. Chciało mu się spać. Na wyświetlaczu skończyła się skala. No to teraz już musi nastąpić jakiś cud. Pytanie jaki?

Ocknął się, kiedy ktoś otworzył drzwi do przedziału.

–Niemożliwe! – usłyszał znajomy głos. Podniósł oczy. Ziemski.

–Cześć. Ty też do Berlina?

–Nie, jadę na konwent do Zielonej Góry. A co z twoim śledztwem?

–Zakończone.

–Niemożliwe.

–No tak. Przez kilka minut dyskutowali o szczegółach.

–Kapitalne! – Ziemski oparł się o swoją brązową podróżną torbę. – Ale jaja.

–A gdyby to była powieść? – spytał nagle Staszewski. – To jakie byś napisał zakończenie?

Pisarz wyjął paczkę goldenów lightów, zdjął folię, paznokciem rozerwał nalepkę akcyzy.

–Wiesz, zakończenie powieści jest szczególnie ważne z dość prostego powodu. Najlepiej, żeby zawierało jakąś przewrotkę. Coś, co albo zaskoczy czytelnika, albo zasugeruje mu, że powinien czytać nie wprost, a między wierszami. Szczególnie ważne jest ostatnie słowo.

–Jedno słowo?

–Tak. Choć czasem się nie udaje i trzeba pewien problem sugerować już wcześniej.

–No to załóżmy, że to ja byłbym bohaterem twojej powieści. Jak byś ją zakończył?

–Przede wszystkim gdybyś był moim bohaterem, musiałbyś trochę bardziej mnie przypominać. A postaci, które cię otaczają, musiałyby bardziej przypominać moich znajomych. Nigdy nie opisuję rzeczy wyłącznie wyssanych z palca. Zawsze to zmienione trochę zdarzenia, które mnie naprawdę spotkały.

–A poważnie. Jak byś zakończył?

–Hm... – Ziemski wydmuchnął kłęb dymu. – Jest dzisiaj fantastyczna pogoda, świeci słońce, mamy kontynentalny wyż, jadę na dobry konwent. Mam doskonały humor. Wiesz... Gdybyś był moim bohaterem, to dzisiaj dałbym ci możliwość wyboru zakończenia.

–Na przykład jakiego? – spytał zaintrygowany nagle Staszewski.

–No nie wiem. – Pisarz przygryzł wargę. – Może tak: z powodu tego środka chemicznego połączonego z działaniem pyłków zginąłeś tam, na dziedzińcu klasztoru. W przedśmiertnej malignie wydawało ci się, że widziałeś Grunewalda i Mischzuka, a nawet z nimi rozmawiałeś. W miarę

postępującej agonalnej destrukcji mózgu zaczęło ci się wydawać nawet, że jesteś bohaterem literackim i...

–Nie, nie – przerwał mu Staszewski. – To mi się nie podoba. A poza tym to już zrobiłeś w „Waniliowych plantacjach”. Podciągnąłem się z twojej twórczości. – Uśmiechnął się do pisarza.

–Fakt. Ale i tak żaden z czytelników się nie domyślił, więc można powtórzyć.

–E tam.

–No to może polećmy Stefanem Grabińskim?

–Kto to?

–Przedwojenny pisarz od horrorów. Stworzył nowele kolejowe: „Głucha przestrzeń”, „Błędny pociąg”, „Ślepy tor”... To z tomu „Demon ruchu” chyba.

–I jak by to szło?

„Staszewski ocknął się, kiedy ktoś otworzył drzwi do przedziału. Przecierając oczy, podał konduktorowi bilet. Mały kartonik wykonany z grubej tektury, z dziurką w środku. Pamiętał takie bilety tylko ze wspomnień z dzieciństwa. Konduktor zresztą też wyglądał dziwnie. W staroświeckim mundurze, ze złotym łańcuszkiem od zegarka ukrytego w kieszonce kamizelki. Zerknął na nieprzeniknioną czerń za oknem.

–Tak długo spałem? Już noc?

–Nie, proszę pana. Przejeżdżamy przez tunel.

–Jezu! Przecież nie ma żadnego tunelu pomiędzy Wrocławiem a Berlinem. Konduktor podkreślił płomień gazowej lampy wiszącej nad drzwiami. Domknął okno, żeby nie wpadały przez nie iskry z parowej lokomotywy.

–A kto panu powiedział, że jedziemy do Berlina? – Zamyślił się na chwilę. – To bardzo dziwny pociąg. Nikt nie wie, dokąd zmierza...”

–Nie, nie – realny Staszewski przerwał opowieść. – To też mi się nie podoba.

–No dobra – przyznał Ziemski. – To może tak:

„Staszewski ocknął się, kiedy ktoś otworzył drzwi do przedziału. Do środka weszła wysoka, zgrabna kobieta. Obcisły żakiet podkreślał jej duże, kształtne piersi. Kiedy usiadła naprzeciw i założyła nogę na nogę, przez chwilę pod minispódniczką widział koronkowe zakończenia jej pończoch. Przełknął ślinę. Kobieta chlipała, przecierając oczy głębokie jak ocean jedwabną chusteczką.

–Przepraszam – powiedział – czy mogę w czymś pomóc?

Rozplakała się głośno.

–Rzucił mnie narzeczony. – Wytarła nos. – Boże, czy ja kiedykolwiek w życiu przeżyję nareszcie prawdziwą miłość?

Staszewski nachylił się z uśmiechem...”

–Przestań – powiedział prawdziwy Staszewski. – Bo to się zaraz przerodzi w pornografię. Już ja cię znam. Zaraz ona mnie pobije albo ja ją pobiję, a potem przez trzydzieści stron będziemy uprawiać seks, od którego rezonans wprawi pociąg w drgania i wypadniemy z torów, niszcząc jakieś miasto.

Ziemski podniósł oczy wyraźnie zaintrygowany.

–Dobre. Muszę zanotować. – Roześmiał się. – Naprawdę fajne. Bohater, który podpowiada, czego chciałby doświadczyć.

–Wymyśliłbyś coś takiego, wiesz... Z dwuwykładnym zakończeniem i koniecznie z ostatnim słowem, które naprowadzi czytelnika na pewien tor rozmyślań.

Pisarz tylko wzruszył ramionami.

–Niemożliwe.

Myślał zasepiony przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

–Słuchaj, zastanawiałem się kiedyś nad taką powieścią, którą skończyłbym pierwszego listopada. Żeby i data była znacząca. Ale to niemożliwe. Nie da się przewidzieć dnia zakończenia powieści. Miałaby to być opowieść o ludziach, którzy być może są tym samym człowiekiem, może nie, a może...

Podparł ręką brodę i zamilkł.

Staszewski ocknął się, kiedy ktoś otworzył drzwi od przedziału. Boże! Krótka drzemka i aż takie majaki? Za dużo się chyba wydarzyło w ostatnich dniach. Zerknął w bok. Mariola objuczona jak wielbłąd weszła do środka.

–Wzięłam tylko najpotrzebniejsze rzeczy – powiedziała, stawiając dwupiętrowy plecak na fotelu. Drugi postawiła obok. – To tylko artykuły pierwszej potrzeby.

Dwie torby podróżne umieściła na stelażu, a wielki wiklinowy kosz na swoich kolanach. Wyjęła z niego ogromny termos. Sprawnie naląła im kawy do dwóch porcelanowych filiżanek, które oczywiście też miała ze sobą.

–A co ty myślisz? – rzuciła do zupełnie zaskoczonego Staszewskiego. – Że ja jestem taka kompletnie głupia? Że nie widziałam, co się święci? Że ci pozwolę samemu ryzykować?

Przypomniał sobie chwilę, gdy podczas „pojedyńku” obaj z mordercą zerknęli w bok. Na kępę krzaków nad fosą. Morderca odszedł, kiedy zobaczył Mariolę z wycelowaną w niego dwudziestkadwójką. Wolał nie sprawdzać, czy dziewczyna dobrze strzela. I postąpił słusznie.

Kilkaset kilometrów dalej w swoim biurze Witek Müller wezwał cały swój personel do gabinetu. Kazał sekretarce przynieść koniak i kieliszki.

–Drodzy przyjaciele! – Wzniósł toast. – Dzisiaj przyjedzie do nas oficer śledczy. Prawdziwy. Niech ktoś wynajmie mu mieszkanie. Później rozejrzemy się za willą w dobrej dzielnicy.

–On naprawdę jest taki dobry? – spytał Günther, zastępca Witka.

–Najlepszy.

Złocisty płyn palił go w gardle.

–Chcę mieć też na jutro dobry samochód i cały sprzęt. No! Wyłączyliśmy na szersze wody.

Kiedy pracownicy wyszli, podniecony krążył po gabinecie. Zatrzymał się przed mapą Europy. Nagle zanucił na melodię polskiego hymnu: Przejdziem Nysę, przejdziem Ooodręęę, będziemy bogaczami! Potem dodał ciszej:

–Tylko niech ostatni z fachowców zgasi światło, bo reszta nie będzie wiedziała, gdzie jest kontakt.

Podniósł z biurka swój kieliszek.

–Nalej mi jeszcze koniak – poprosił sekretarkę. Kiedy spełniła prośbę, uśmiechnął się do niej.

–Dziękuję, Helgo.

Koniec

Copy by lille, 2009

Plik bez szczegółowego

sprawdzania błędów

niezabezpieczony hasłem.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-09

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Spis treści

[2010-04-30](#)